



*Esther Freud*



*W pułapce  
miłości*

Nie wiem, czy wspominałem kiedyś o mojej znajomej Caroline - powiedział Lambert, gdy na bawelnianym obrusie przed Larą stała porcja *kedgeree* na grubym białym talerzu - ale rano dostałem list i... - Umilkł, odnotowując pojawienie się przed nim kotletów wieprzowych. - Najwyraźniej nie jest z nią najlepiej.

- Och. To znaczy: nie, raczej nie wspominałeś. - Lara wpatrywała się w brązowe dzwonka ryby, złote żółtko jajka, pietruszkę, która przykleiła się do ryżu. Chciała zacząć jeść, ale wydawało się, że byłoby to nieuprzejme.

- Jest bardzo...? - Nigdy nie była pewna, czy przy starych ludziach wypada mówić o wieku. - Jest...? - Powiedziała to bardzo pogodnie: - Bardzo stara?

- Cóż... - Ojciec wziął ostry nóż i odkroił kawałek kotleta.

- Strasznie stara to chyba nie. Może o kilka lat starsza ode mnie. Jakoś po sześćdziesiątce? - Westchnął. - Całkiem młoda.

Lara przytaknęła skinieniem, unosząc do ust pierwszą łyżkę miękkich, pachnących cynamonem i goździkami ziarenek ryżu. Rozgryzała chrupiące nasiona kardamonu i zastanawiała się, czy kiedykolwiek - o ile w ogóle - sześćdziesiąt kilka lat będzie uważała za względnie młody wiek.

- Zastanawiałem się - kontynuował ojciec, gdy kelner nalewał im herbaty - czy nie powinienem jej odwiedzić. Wynajęła we Włoszech dom na lato, jak co roku, wiesz, jej mąż był Włochem. I co rok mnie zaprasza, ale pomyślałem, że tym razem... Tym razem może rzeczywiście bym się wybrał.

Zmarszczył czoło i opuścił wzrok, dzięki czemu Lara mogła bezkarnie go obserwować, przekonać się, jak wpłynęła na niego ta deklaracja, na człowieka, który dla zasady nigdy nie ruszał się z Londynu, nigdzie nie wyjeżdżał, o ile wiedziała, nie opuszczał miasta od czasów poprzedzających jej narodziny. Czemu, spytała go kiedyś, nigdy nie podróżujesz? A on wzruszył ramionami i odpowiedział pytaniem, po co podróżować, skoro mieszka się w najlepszym miejscu pod słońcem?

Przez pewien czas jedli w milczeniu. Potem, wciąż przeżuując kolejny kęs, zawiesił wzrok na Larze.

- Byłaś kiedyś?



ktoś otarł się przypadkiem o te, które wciąż żyły, sypialnię wypełniał zapach tak bogaty i intensywny, że bezwiednie przerywało się swoje zajęcia i wciągało go do płuc.

Odkąd poznała ojca, a czasem dokuczała Larze myśl, iż nie pamięta dnia, gdy to się stało, spisywał historię Wielkiej Brytanii dwudziestego wieku. Fragmenty już ukazały się w druku, fakt, przeciwko któremu się burzył, bowiem ilekroć to się zdarzało, jego harmonogram pracy zakłócały zamówienia na artykuły, prośby o udzielenie wywiadu, listy, na które musiał odpisywać. Sprawiał wrażenie kogoś, kogo mierzą wszelkie wtręty, komu naprawdę, w idealnych warunkach, nie powinno się nigdy przeszkadzać, to zaś oznaczało, że ludzie, którym udało się z nim spotkać, czuli się wybrańcami, a każdą sekundę uszczkniętą z jego czasu traktowali jak cenny podarunek.

Prawdziwe imię i nazwisko Lamberta brzmiały: Wolfgang Goldstein. W dzieciństwie wszyscy wołali na niego Wolf. Nie chcąc imienia, które kojarzyło się z wilkiem, zmienił je na Lambert, a nazwisko skrócił do Gold. Oficjalnie zrobił to trzy miesiące po swoim przyjeździe do Londynu, dzień po swoich osiemnastych urodzinach, gdy w „Timesie” ukazał się jego gniewny list, podpisany tym pseudonimem - wówczas po raz pierwszy zobaczył w druku swoje przyszłe nazwisko. Dlaczego akurat Lambert? - spytała go Lara, zastanawiając się, jak chciałaby się nazywać, gdyby to, jak nazywa się teraz: Lara Olgalissa Riley, nagle jej zbrzydło - a on wyjaśnił, że wybrał imię Lambert, ponieważ nie brzmi tak groźnie jak Wolfgang, lecz wciąż się z nim kojarzy. Taki prywatny żarcik, który on jeden rozumie. Kiedyś przeglądając nekrologi w „Timesie”, natknął się na wzmiankę o Williamie Lambercie „Bertiem” Percivalu, pułkowniku, który spokojnie zmarł we śnie. O czym był tamten gniewny list do „Timesa”? Lara albo zapominała o to zapytać, albo moment zawsze wydawał się nieodpowiedni.

Lambert miał piętnaście lat, gdy przyjechał do Anglii. Na rok przed wojną rodzice wysłali ukochanego jedynaka do Austrii. Jak gdyby było mu to pisane - być kochanym - przyjęli go pod swój dach i przysposobili państwo Holtowie.

Sir Anthony i lady Anne mieli czworo dorosłych dzieci, mieszkanie w Belgravii oraz dom w Dorset, gdzie dla bezpieczeństwa Lambert spędził pierwsze lata wojny, myszkując w starej bibliotece, strzepując kurz z książek nie otwieranych od lat. Holtowie rozpieszczali go, uważali za geniusza z tym jego nienagannym angielskim, znajomością muzyki, teatru oraz sztuki, chlubili się przed znajomymi tym, jak doskonale orientuje się w realiach politycznych, które skłoniły Austriaków i Niemców do poparcia prącego do wojny Hitlera.

Matka Lary, Cathy, zaledwie raz widziała lady Holt. Było to przypadkowe spotkanie na Piccadilly Circus. Cathy i Lambert szli w kierunku Green Park, gdy lady Holt, tęga kobieta o przenikliwych paciorkowatych oczach, wypadła ze sklepu Fortnum and Mason. Lambert przedstawił je sobie, wyjaśnił, że Cathy studiuje literaturę angielską w college'u, na którym on wykłada. Lady Holt zmrużyła oczy tak bardzo, iż niemal zniknęły, i patrząc na brzuch ciężarnej Cathy, spytała, czy to nie okropnie męczące, studiować tak krótko przed rozwiązaniem. - Dziwię się, że pani mąż na to pozwala - stwierdziła.

Cathy spojrzała na Lamberta i widząc, że wcale nie zamierza oświecać swojej przybranej matki co do łączących ich relacji, zaczęła się jąkać, mamrotać pod nosem i kręcić głową. - Nie. To wcale nie jest męczące. - Zaczerwieniła się.

- I lady Holt się nie domyśliła, że byłaś jego dziewczyną? - spytała Lara.

Czuła się podwójnie dotknięta, jak gdyby obrażono nie tylko jej matkę, ale też - o ile w ogóle można obrazić kogoś będącego jeszcze w łonie matki - ją samą, jednak Cathy tylko się śmiała.

- Twój ojciec zawsze powtarzał, że nigdy się nie ożeni, nigdy nie będzie miał dzieci. Mówił, że się do tego nie nadaje. Cóż, wtedy mu nie wierzyłam. Miałam zaledwie dziewiętnaście lat. Jak widać, lady Holt znała go lepiej.

- Ale jak on mógł? - Lara zupełnie tego nie rozumiała. Cathy objęła ją ramieniem. - Chyba nie jest nam najgorzej, prawda? - I pocałowała ją w bok głowy.

Lambert i Lara postanowili dotrzeć do Włoch pociągiem. Pociągiem, jak orzekł Lambert, podróżuje się wygodniej i w bardziej cywilizowanych warunkach

niż samolotem - ach, te kolacje w eleganckim wagonie restauracyjnym - jednak oboje wiedzieli, że trwająca trzydzieści sześć godzin podróż to dla niego więcej czasu na oswojenie się z myślą, że opuszcza Wielką Brytanię.

- Ruszamy bardzo wcześnie, więc może byłoby lepiej, gdybyś u mnie zanocowała - zaproponował. - Wtedy będziemy mieli pewność, że nie zgubimy się na stacji.

- Dobrze - zgodziła się Lara, jak gdyby to było coś całkiem naturalnego. I wieczorem ciepłego czerwcowego dnia, trzy miesiące po swoich siedemnastych urodzinach, tydzień przed ślubem księcia Karola i Diany Spencer, na który szykował się cały Londyn, weszła z torbą na ramieniu po schodach kamienicy przy Kensington, nacisnęła dzwonek i szykowała się do spędzenia pierwszej w życiu nocy w domu ojca.

- Witam. Wejdz proszę. - Lambert oficjalnie skinął głową, z jakiejś przyczyny wymawiał każde słowo jeszcze staranniej niż zazwyczaj. Przez moment oboje stali nieśmiało w holu. - Jestem po kolacji - powiedział, jak gdyby to mogło ją zmartwić, jakby takie sprawy należało jak najszybciej wyjaśniać, i mimo jej zapewnień, że ona też jadła, wycofał się do kuchni i otworzył lodówkę. Była duża i biała, znacznie większa od tej, która stała w domu jej i matki, za to niewiele w niej było: połówka cytryny, otwarta butelka z mlekiem i coś płaskiego, owiniętego białym papierem.

- Mam trochę ozorka... - zaproponował niepewnie. Powiedziała, że na kolację miały makaron z żółtym serem.

- Zjadłam z mamą - i poklepała się po brzuchu, jak gdyby naprawdę była syta.

Lambert nie miał drugiej sypialni, więc rozłożył na sofie w gabinecie prześcieradło i pled w szkocką kratę, którym owijał się, kiedy było mu zimno. Jednak, chociaż szukali i szukali, nigdzie nie mogli znaleźć dodatkowej poduszki. Ostatecznie okazało się, że skórzane siedzisko fotela daje się wyjąć, o ile szarpnie się dostatecznie mocno, i owinąwszy je ręcznikiem, ułożyli je na jednym końcu prowizorycznego łóżka.

Powiedzieli sobie dobranoc, gdy Lara opłukawszy twarz i umywszy zęby,

wyszła z łazienki już w nocnej koszuli. Starła się nie słuchać, jak ojciec kręci się po łazience. Czytała książkę, zatykając uszy, by nie słyszeć odgłosu sikania, szczęknięcia spłuczki i szumu wody w sedesie, a potem, ileś minut później, zabawnego gulgotania, kiedy płukał usta. Spała płytko na pikowanej guzikami skórzanej sofie, tak nierównej, iż przyśniło się jej, że pływa w morzu, unosząc się gładko na falach, a potem, choć to kołysanie zdawało się nie mieć końca, usłyszała, jak rozsuwają się zasłony i poczuła na twarzy strumień ostrego słonecznego światła.

- Dzień dobry - przywitał ją Lambert i widząc, że nie śpi, wyszedł do kuchni nalać wody do czajnika.

Rozumieli się bez słów, idealnie, jak gdyby mieszkali razem od zawsze. Lambert został w kuchni, dopóki się nie ubrała. Następnie, wciąż w szlafroku, zamknął się w sypialni, aby Lara mogła wymknąć się do łazienki. Umyła twarz i obejrzała ją skrupulatnie w jasnym porannym świetle, krzywiąc się na widok ciemnej plamki pryszczu, czającego się tuż pod powierzchnią skóry na policzku. Uczesała się, układając włosy w taki sposób, aby jedno pasemko zakryło krostkę, a potem niezadowolona z efektu natapirowała je, żeby nie przylegały płasko do głowy. Nie patrz, powiedziała sobie w duchu, ale nie mogła przestać, choć wiedziała, że żadne sztuczki nic tu nie dadzą i choć rozpacz zacisnęła się wokół niej jak wielki czarny parasol, przybrała pogodny wyraz twarzy i zmusiła się do wyjścia z łazienki.

Lambert już miał bilety. Tylko skąd? Wydawało się niewyobrażalne, by sam je kupił - poszedł na dworzec i cierpliwie stał w kolejce. A może ktoś go wyręczył? Ktoś praktyczny, znający się na takich rzeczach. Lara obejrzała je w taksówce. Dwa bilety tam i z powrotem na pociąg, którym dojadą do promu, z Victoria Station aż do Pizy. Pozostawało odszukać właściwy peron, pociąg do Dover i swoje miejsca.

Lara podążała tuż za nim. Trzymała się blisko, gdy pośpiesznie przedzierali się przez tłum, rozglądając się za czymkolwiek, co by im pomogło odnaleźć peron. Było wcześnie rano, lecz na stacji panował ścisk. Turyści z wielkimi plecakami siedzieli na ziemi zbici w stadka jak mewy. Rodziny ubrane z myślą o spędzeniu



dnia na świeżym powietrzu, zmierzające na południe do Eastbourne albo do Brighton, biznesmeni z walizkami pasującymi do garniturów, w spodniach wyprasowanych w kancik, kładących się na eleganckich półbutach.

A potem, z nagłym drgnieniem, Lara zauważyła, że ojca przy niej nie ma. Rozejrzała się, ujrzała morze głów w letnich czapkach i gdy coraz rozpaczliwiej szukała go wzrokiem, zbyt mocno ściskając torebkę, ogarnęła ją rozpacz kompletnej bezradności. Chryste, pomyślała, nie mam biletu, nie mam pojęcia, dokąd jedziemy, i wtedy raptem znalazł się w zasięgu jej wzroku, stał, czekając na resztę i przytrzymując ramieniem zwinięte w rulon gazety.

- Tato! - krzyknęła wstrząśnięta, jak szybko na powrót stała się dzieckiem.

Do odjazdu zostało zaledwie pięć minut. Lara czekała na gwizd - już rozbrzmiewał jej w uszach. Jednak Lambert poszedł do następnego kiosku, gdzie, nie śpiesząc się, kupił zapalki i paczkę gitane'ów. Przecież można je kupić w strefie wolnocłowej, powiedziałaaby, gdyby to był ktokolwiek inny, ale dalej potulnie czekała na ojca, a on spokojnie odliczał drobne i podawał je sprzedawcy.

- Trzy minuty - syknęła ledwie słyszalnie, i nagle, jeszcze w półobrocie, zaczął biec, wymachując torbą, roztrącając ramionami ludzi, którzy zachowywali się tak, jak gdyby pojęcie pośpiechu było im obce.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam. - Jego słowa płynęły ku Larze, biegnącej tuż za nim, a potem byli już na peronie, pędząc na złamanie karku, przepychając się i trzymając przed sobą bagaże, wskoczyli do pociągu.

- To bardzo ważne - wysapał - jak się zaczyna podróż. - Rozległ się gwizd i we wszystkich wagonach zatrzasnęły się drzwi.

- Ważniejsze niż to, jak się ją kończy? - Lara z ulgą opadła na swoje miejsce.

- Jutro ci powiem. - Uśmiechnął się, rozłożył gazetę i z wystudiowaną nonszalancją zaczął czytać.

\* \* \*

W dzieciństwie Lara bardzo rzadko widywała się z ojcem: latem sporadycznie zabierał ją na lody, raz zaprowadził ją do księgarni i oznajmił, że może wybrać, co



tylko jej się spodoba. Wskazała *Małego lorda* z okładką błękitną jak niebo i z dużymi brązowymi literami. Książka wciąż stała na półce w jej domu wśród innych tomów, głównie starych, tanich wydań i droższych, kupionych dla pięknych okładek, i ilekroć Lara przypadkiem na nią spojrzała, czuła się dziwnie skrepowana, jak gdyby wtedy, w wieku dziesięciu lat, okazała się przesadnie sentymentalna. Powinna wybrać którąś z jego książek? - zastanawiała się, wiedząc, że byłoby to śmieszne, gdyby poprosiła o studium Europy w latach międzywojennych albo o jego książkę o jego drugiej ojczyźnie, Wielkiej Brytanii, o tym, jak radykalnie Brytyjczycy zmienili się w pierwszych latach po wojnie.

Za to po powrocie z Indii, gdy razem z Cathy przeprowadziły się do Londynu, ojciec częściej szukał jej towarzystwa. Umawiali się na śniadanie w staroświeckich lokalach emanujących chłodną elegancją, w rodzaju hotelu Claridge czy Dorchester, czasami zaś u schyłku dnia Lara czekała na niego przed wejściem do muzeum, tuż przed jego zamknięciem, i szybko obchodzili ekspozycje.

Rzadziej bywała w jego mieszkaniu. Tam zapominając o jej wizycie, potrafił dokończyć rozmowę telefoniczną i wrócić do pracy. Lara siedziała wówczas w kuchni, kartkując stare katalogi aukcyjne, reklamujące skarby mające pójść pod młotek w domach aukcyjnych Sotheby'ego czy Christie'ego, albo przez godzinę aż do ostatniej strony czytała goniący za tanią sensacją *News of the World*.

W kuchni Lamberta walały się całe stosy gazet. Dlaczego ich nie wyrzuci, dziwiła się, jednak gdy sprawdzała daty, często okazywało się, że to wszystko z jednego tygodnia. Po co kupować aż tyle? Przecież we wszystkich piszą to samo. Czasami widziała, jak mając zbyt mało czasu, by wszystkie przeczytać, przeglądał je pobieżnie, szybko przebiegał wzrokiem strona po stronie, jak gdyby szukał jakiejś konkretnej informacji.

W takie popołudnia Lara zaglądała w końcu do jego gabinetu i patrzyła, jak siedzi z długopisem w ustach i wpatruje się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

- Tato... Może już sobie pójdę - mówiła szeptem, a on zrywał się z fotela, przypominając sobie, że ona wciąż tam jest.

Rano ledwie mieli czas na śniadanie. Tylko jabłko i filiżanka bladej herbaty. Resztę jabłek Lara zabrała ze sobą, by nie zgniły, pozostawione w misie. Spakowała je do torby wraz z butelką perriera, którą zgarnęła z holu. Teraz otworzyła ją i upiła łyk. Woda musowała tak gwałtownie, że Lara omal się nie zachłysnęła.

- Powoli - powiedział Lambert i sięgnął po butelkę.

Nie wiedziała, czy to przez tę wodę, czy przez fakt picia z jednej butelki, której ojciec nawet nie wytarł, ale nagle zakręciło jej się w głowie z emocji. Wyjeżdżają razem. Ruszają na najprawdziwsze wakacje! Aż dotąd nie mogła w to uwierzyć i aby ukryć podniecenie, obróciła się i wyjrzała przez okno. Londyn zostawili za sobą, już pędzili przez krajobraz przedmieścia, już mknęli przez chaszcze i pola. Zerknęła na ojca, ale siedział z zamkniętymi oczami, trzymając butelkę za wąską szyjkę.

Pociąg pękał w szwach. Ludzie tłoczyli się nawet w korytarzach, a oni byli sami w przedziale wagonu pierwszej klasy, z ciemnymi siedzeniami, szerszymi niż standardowe, z oparciami przykrytymi na wysokości głowy płótnem białym i sztywno nakrochmalonym jak fartuszek hotelowej pokojówki. Lara wiedziała, że to jest złe, czuła rażącą niesprawiedliwość tej sytuacji, lecz równocześnie przeciągnęła się z lubością, zjadła jabłko, wyrzuciła ogryzek przez uchylone okno i patrzyła, jak porywa go pęd powietrza.

Pomyślała o matce, którą widziała wieczorem, pochyloną nad zlewem i zajęta myciem sałaty i nagle uświadomiła sobie, że nawet nie spytała Cathy o jej plany. Może zrobi to, co pod jej nieobecność zwykła robić Lara: urządzi prywatkę, zdenerwuje sąsiadów, na śniadanie będzie się objadać faszerowanymi liśćmi winogron prosto z puszki i kapać trzy razy dziennie. Nagle, patrząc, jak słońce wlewa się przez okno, poczuła się idealnie szczęśliwa, świadoma, że to najlepszy etap podróży, bezpiecznie rozpoczętej, lecz bez groźby rychłego dotarcia do celu.

Przypomniała sobie, jaka nieszczęśliwa się czuła ostatniego dnia semestru, zaledwie dziesięć dni wcześniej. Jakim się czuła tchórzem, gdy zmarnowała ostatnią okazję, by bodaj słówkiem odezwać się do Clive'a - do Clive'a, o którym śniła od

trzech semestrów, do którego wzdychała, o którym fantazjowała i który wciąż nie wiedział o jej istnieniu. Każdego poniedziałku siedziała za nim na historii, zbyt zaabsorbowana widokiem jego czarnych kręconych włosów, szerokością barków pod prostą drelichową kurtką, by mogła zrobić coś więcej oprócz kompletnie nieczytelnych notatek. I wtedy się zdecydowała. Zagada do niego w środę, gdy w porze lunchu znowu będą mieli potańcówkę, i będzie to ukoronowanie wszystkich środowych dyskotek od trzech semestrów, w czasie których nie zatańczyła ani razu. Lara i jej najlepsza przyjaciółka Sorrel ciągle wchodziły i wychodziły z klasy, czały się przy zasłoniętych oknach i szeptały po kątach zawsze z uczuciem, że coś się zaraz wydarzy.

Tamtej środy stała niedaleko Clive'a - oddzielała ich tylko sterta krzeseł - i zbierała się na odwagę, aż tu nagle, w momencie gdy już chciała do niego podejść, do sali wparowała dziewczyna z kółka dramatycznego, bez wahania złapała Clive'a za rękę i zaciągnęła na parkiet. Poszedł za nią jak ciele. To było aż takie proste. A ona jak ostatnia idiotka dosłownie umierała ze strachu. Czemu była taka głupia? Zamknęła oczy, by uciec od obrazu tych dwojga, Meg i Clive'a, zaledwie pół godziny później nieprzytomnie całujących się za sceną.

- Mój Boże. - Lambert drgnął i usiadł prosto, czując, że pociąg zwalnia. - To już? - Wzięli torby i przepychając się przez zatłoczony korytarz, czekali na chwilę, gdy strumień pasażerów wyniesie ich na peron.

Na promie był bar, w którym śmierdziało piwem i wszędzie walały się przepelnione popielniczki, choć rejs dopiero się zaczął, oraz kafeteria, w której kierunku Lara tęsknie spoglądała, lecz Lambert uparł się iść do restauracji. Gdy do niej dotarli, był już tylko jeden wolny stolik. Zaledwie usiedli, ktoś ich spytał, czy może się dosiąść. Lara nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć.

Jednak Lambert z kurtuazją skinął głową i jakiś mężczyzna, nazbyt elegancki i zadbany jak na Brytyjczyka, usiadł, przedstawił się i natychmiast zaczął rozmowę, zupełnie jak gdyby od dawna byli na ten lunch umówieni.

Okazał się profesorem medycyny z Belgii, naukowcem, i wkrótce stało się

jasne, że słyszał o Lambercie, oczywiście, że go poznaje i jest zachwycony, że ma szansę rozmawiać z takim wielkim człowiekiem. Dyskutowali, wymieniali poglądy, rzucali nazwiskami i przedstawiali swoje teorie, a Lambert, który zawsze się zaklinał, że nienawidzi rozgłosu, że męczą go rozmowy o jego książkach, ku zaskoczeniu Lary to kiwał potakująco, to przerywał Belgowi i tłumaczył mu coś, robiąc to wszystko z niekłamaną przyjemnością.

Lara przysłuchiwała się z nadzieją, że zdoła wnieść coś do rozmowy, wiedząc, że powinna uważać, może nawet spróbować coś zapamiętać z tej światłej, jak przypuszczała, dyskusji, jednak szybko zdała sobie sprawę, że jest zbyt skoncentrowana na samym słuchaniu, by cokolwiek zrozumieć. Przeprosiła zdawkowo i poszła do łazienki.

Nie śpieszyła się. Mijała sklepy, punkt informacyjny, stoisko wolnołowe, a potem przez otwarte drzwi wyszła na pokład. Stała wysoko, a w dole kłębiło się ciemnozielone, groźne morze. Pochyliła się nad balustradą i wsunawszy stopy między malowane pręty, myślała o tym, jak łatwo wypaść za burtę. Czy barierki nie powinny być solidniejsze, by pokusa prześlizgnięcia się na drugą stronę nie była taka silna? Odsunęła się od balustrady. Mewy krzyczały i nurkowały wokół promu, dzieci z piskiem biegały po rampach.

Poszła na dziób, gdzie osłaniając się przed wiatrem, tuliły się pary zakochanych o twarzach jaśniejących od morskiej bryzy i ze szczęścia. Stali spleceni ramionami przy drewnianych ławkach, wokół których walały się okruchy i pogniecione papiery, w które kiedyś były zawinięte czyjeś kanapki. Wpatrywała się w plecy mężczyzn, szukając w nich Clive'a, marząc o tym, aby go zobaczyć, o szansie, by odmienić los, zdobyć go, albo chociaż powiedzieć mu cześć, lecz mimo iż ciemnowłosych mężczyzn w prostych drelichowych kurtkach było wielu, żaden, rzecz jasna, nie okazał się Clive'em.

Raptem przypomniała sobie, że powinna teraz jeść lunch. Odwróciła się i wślizgnęła do środka najbliższym wejściem, biegała w górę i w dół po metalowych schodach, zgubiła się, ponownie odnalazła drogę przy sklepie wolnołowym, minęła

kafeterię, informację, a oni wciąż siedzieli tak jak wcześniej, ojciec i ten Belg, wciąż rozmawiali, a kelner machnąwszy na nią ręką, zbierał nakrycia ze stołu. Lara usiadła i przeprosiła nieznacznym skinieniem, potem zapadła cisza, podczas której panowie postanowili, że nie, za deser dziękują.

Pierwsza klasa? - pytał konduktora Lambert na peronie w Calais. - *De première classe avec couchette?* - lecz ten wyniośle pokręcił głową i odparł, że w tym pociągu nie ma pierwszej klasy. Chwycił bilety i machnął nimi pogardliwie. Kuszetek też nie ma. Nie dla nich. Przez moment z niedowierzaniem przyglądali się biletom, a potem, by dłużej nie tracić cennego czasu, wsiedli do pociągu i zaczęli szukać dwóch wolnych miejsc.

Nie mogli uwierzyć, ale w całym pociągu nie było dwóch miejsc obok siebie. Niespokojni przechodzili z wagonu do wagonu, zaglądając do przedziałów - ci, którzy zdążyli się rozsiaść, podnosili na nich wrogie oczy. Co to za ludzie? - dziwiła się Lara. Skąd tu się wzięli, jak zdołali tak szybko zająć miejsca? Zaczęła czuć do nich nienawiść, mieli takie zadowolone miny, jak gdyby te miejsca prawnie do nich należały, jak gdyby odziedziczyli je i nie mieli z nią absolutnie nic wspólnego. Lambert wyglądał na pokonanego, gdy puściwszy klamkę, patrzył, jak kolejne ciężkie drzwi zatrząskują mu się przed nosem, a Lara musiała się powstrzymać, by nie wziąć go za rękę.

Może nie powinien był zostawiać Londynu, zacisznego gabinetu i reputacji, która tyle ułatwiała... I właśnie wtedy natknęli się na przedział, w którym biuściasta kobieta z wielką ilością bagażu zajmowała trzy miejsca.

- *Excusez-moi, pouvez-vous enlever vos baggages?* - spytał Lambert pełną galanterii francuszczyzną, a ona bez cienia protestu wstała i zaczęła przekładać torby i kosze.

Lambert stał przy kobiecie, Lara naprzeciwko niego. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą, a Lara otworzyła perriera i upiła spory łyk, potem podała wodę ojcu.

- Dziękuję - powiedział, jak gdyby częstowała go szampanem, ujmując butelkę jak wcześniej, w miejscu, gdzie szyjka była najwęższa.

Skinęli głowami, umacniając ten rytuał, i sprawiło to Larze nie mniejszą przyjemność, niż gdyby trącili się kieliszkami i powiedzieli sobie „na zdrowie”.

Rozbrzmiał gwizd i solidne, ciężkie drzwi zatrzasnęły się głucho. Już opuszczali stację, jechali w głąb Francji, coraz dalej od morza, ku Szwajcarii, Alpom, Włochom i Pizie.

- Znasz trochę włoski? - spytał później Lambert, kiedy połowa przedziału już spała.

- Nie. - Lara zastanawiała się przez moment, a potem spytała niespokojnie: - To ma jakieś znaczenie?

Lambert pochylił się konspiracyjnie.

- Najgorsze, co można powiedzieć Włochowi, gorsze nawet od - zamachał rękami - „twoja matka jest kochanką dwugłowego szympansa” to... - Ściszył głos do szeptu, a Lara rozejrzała się, czy aby nikt ich nie podsłuchuje. - *Porca Madonna*.

- *Porca Madonna* - powtórzyła szeptem Lara, a pani z mnóstwem bagaży gwałtownie otworzyła oczy.

Była trzecia, gdy wsiadali do pociągu. Teraz dochodziła siódma i zdążyli nieco zgłodnieć.

- Poszukamy wagonu restauracyjnego? - zaproponował Lambert.

Lara wyobraziła sobie wieczór spędzony na sączeniu wina, smakowaniu wykwintnych dań, może z przerwą na sorbet albo talerz zupy. Usiądą przy wąskim stoliku nakrytym dla dwojga, będzie lampka i przymarszczone zasłony z długimi frędzlami w kolorze burgunda, i kelner uwijający się wokół nich w białych rękawiczkach. Wiedziała, że to scena z jakiejś książki albo filmu, który kiedyś oglądała. Cieszyła się, że dzisiaj w tej scenie zagra.

Przed opuszczeniem przedziału pieczołowicie ułożyli torby na półce, skinieniem głowy dając znak kobiecie, która zdążyła tymczasem zjeść całą zawartość jednego koszyka, aby broniła ich miejsc bodaj za cenę życia, i wyszli, mając nadzieję, że dobrze ich zrozumią.

W korytarzu, w tym i następnych wagonach, stali ludzie, opierali się o okna,



palili papierosy, jedli, rozmawiali, rozprostowywali nogi.

- Przepraszam, *excusez-moi*. - Przemykali się bokiem, ciesząc się podróżą, ciepłym światłem wieczoru wpadającym ukośnie przez szyby, kołysaniem kół pod podłogą. Było coś dziwnie przyjemnego w sposobie, w jaki co chwila wpadali na ściany, rozkołysani, lecz nigdy na tyle mocno, by zderzenie okazało się bolesne. Jednak cztery czy pięć wagonów dalej Lara wciąż nie czuła zapachu podgrzewanych napędce potraw.

- Przepraszam. - Lambert zaczepił kogoś idącego w przeciwnym kierunku. - *Il y a un restaurant?*

Mężczyzna przekrzywił głowę i zastanawiał się chwilę.

- *Non* - odparł w taki sposób, że niemal było słychać, jak to słowo podskakuje.  
- *Non* - i uśmiechnięty poszedł dalej.

Na początku łatwiej było mu nie wierzyć, więc przepychali się dalej, choć łoskot kół stał się jakby mniej przyjemny, zdawał się przeszywać stopy, wytrącał ich z równowagi, dopóki nie stało się jasne, że mężczyzna miał rację. Nie było wagonu restauracyjnego. Nie było bufetu. Nie było nawet wózka z herbatą. Zawrócili i zaczęli się przedzierać przez tłum, ucząc się podskakiwać, gdy pociągiem zarzuciło, i odpychać palcami od okien i ścian.

W końcu dotarli do przedziału. Odetchnęli z ulgą, widząc, że miejsca, które stały się im bliskie niczym drugi dom, wciąż są puste i opadli na nie ciężko. Lara wzięła perriera i upiła łyk. Woda była ciepła i bez gazu. Podała butelkę Lambertowi.

- Nie, dzięki. - Pokręcił głową.

Zajrzała do torebki. Zostało w niej ostatnie jabłko. Wyjęła je i poczęstowała nim Lamberta. Jednak znowu przecząco pokręcił głową. „Racjonowanie zapasów!” - pomyślała. Lambert zdążył sięgnąć po gazetę i rozłożył ją w taki sposób, iż przed nosem miała wielkie na całą stronę zdjęcie Diany Spencer, którą zaledwie tydzień dzielił od stania się żoną księcia Karola.

Gdy zaczął czytać, Lara podwinęła nogi i przyglądała się fotografii. To przez tę fryzurę tak trudno uznać Dianę za ładną, stwierdziła. Przez te jej włosy, takie



nastroszone i opadające na jedno oko. Diana miała dwadzieścia lat. Trzy lata więcej niż ona. Swoją drogą ciekawe, co powiedzieliby Cathy albo nawet Lambert, gdyby miała wyjść za mężczyznę wkraczającego właśnie w wiek średni. Z drugiej strony Lambert miał czterdzieści jeden lat, kiedy ona się urodziła, a Cathy zaledwie dziewiętnaście, ale to zupełnie co innego. Nie umiała tego wytłumaczyć, lecz Lamberta upływ czasu po prostu nie dotyczył, był zawsze taki sam z tym swoim akcentem ze Starego Świata i erudycją, a jej matka, rodząc ją, udowodniła, że była wyzwolona, nieodpowiedzialna i nieustraszona.

Pociąg jechał coraz wolniej, aż wreszcie się zatrzymał. Zaczynało się ściemniać, lecz Lara zdała sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy dojeżdżali do rzeźńicy oświetlonej stacji. Otwierały się drzwi, ludzie się nawoływali i nagle na peronie pojawił się mężczyzna z wózkiem.

- Patrz. - Wskazała kierunek, przyciskając twarz do szyby, i patrzyli, jak ludzie zbiegają się, wpychają mu pieniądze, sięgają po towar, wracają z olbrzymimi kanapkami, paczkami herbatników, puszkami napojów. - Jak myślisz?

Lambert zaczął szukać w portfelu miejscowej waluty, na którą zawczasu wymienił trochę pieniędzy, lecz gdy jeszcze szperał w nim w najlepsze, dał się słyszeć gwizd, ludzie rozbiegli się i pociąg ruszył.

Następnym razem się uda, obiecała sobie Lara. Jednak na następnej stacji, chociaż stała na schodkach, ściskając w dłoni duży jednofrankowy banknot, za bardzo przerażała ją możliwość, że pociąg ruszy w momencie, gdy ona z niego wysiadzie, i będzie musiała gonić za nim przez cały peron, zupełnie jak Omar Sharif w *Doktorze Żywago*, gdy jechał do małego miasteczka daleko na wschodzie Rosji, nie wiedząc, że jego ukochana, Lara (po której na pamiątkę dostała to imię), też tam mieszka. Doktora Żywago w ostatniej chwili ratuje tłum podróżnych: morze rąk sięga ku niemu zza szeroko otwartych drzwi i wciąga go do środka, podczas gdy ona mogłaby liczyć co najwyżej na dwie ręce - Lamberta, o ile Lambert w ogóle zorientowałby się, że została na peronie.

Około północy, gdy z głodu dostała skurczy żołądka, zdobyła się na odwagę,

by wysiąść z pociągu. Dotarła do wózka z żywnością, wskazała bułkę, wpatrzona w plaster sera i pierzasty liść sałaty, widoczny między dwiema połówkami pieczywa, lecz właśnie wtedy rozbrzmiał gwizd, i choć okazało się, że rusza inny pociąg, tak szybko pobiegła z powrotem do przedziału, że bała się, iż eksplodują jej płuca.

- Może ja spróbuję? - zaproponował Lambert, lecz na myśl o jego nonszalancji, o jego zadumach przy odliczaniu drobnych, zdenerwowała się tak, że aż straciła apetyt.

- Proszę, nie rób tego - powiedziała błagalnie. - To znaczy, ja wcale nie jestem głodna, naprawdę - i przyciskając twarz do okna jak do poduszki, zamknęła oczy i udawała, że śpi.

Pod powiekami wyczarowywała dworcowe perony w Indiach, na których tłoczyli się straganiarze z koszami pierożków samosa, chlebków puri, placków dosa, z workami suszonej ciecierzycy i orzechów. Jeśli nie miało się ochoty wysiadać, wystarczyło wystawić rękę przez okno. Można było nawet zamówić posiłek, nie ruszając się z wygodnego przedziału. Jedzenie dostarczano na następnej stacji. Było podane na tacy z przegródkami napełnionymi ryżem, inne pachnącą soczewicą dhal i warzywnym curry, z małutkimi kubkami jogurtu i sosu chutney.

Potrawy miały swojski smak, niemal identyczny jak te, które serwowano w Samye Ling, centrum tybetańskim w Szkocji, mimo że jogurt w pociągu był rzadszy, a chutney, ilekroć go próbowała, trochę bardziej szczypał ją w język.

Lara miała cztery lata, gdy ona i Cathy osiedliły się w Szkocji. Wcześniej mieszkały niedaleko Lamberta w kamieniczce na końcu Ladbroke Grove. Przeprowadziły się po tym, jak Cathy dostała list od znajomego, który pisał, że odnalazł odpowiedź na najważniejsze pytanie, i namawiał, by jak najszybciej przyjechała i zaczęła zgłębiać buddyzm tybetański pod okiem Jego Świątobliwości, przebywającego w obozie dla uchodźców u stóp Himalajów. Jeśli zdoła tam dotrzeć, będzie mogła czerpać mądrość z jego nauk i znikną wszystkie jej bolączki.

- Jakie bolączki? - pytała Lara, gdy Cathy opowiadała tę historię, jednak Cathy zawsze patrzyła na nią tak, jak gdyby nie zrozumiała tego, co w niej najważniejsze.

- A więc - kontynuowała, gdy ludzie pytali, co sprowadziło ją do tej szkockiej doliny tak gęsto porośniętej choinkami, że zawsze wyglądała tak, jak gdyby zaraz miał zapaść zmierzch. - Nie mogłam jechać do Indii, w każdym razie nie wtedy, więc zamieszkałyśmy tutaj.

Wynajęły dom na szczycie wzgórza, a rok później Lara zaczęła szkołę. Chodziła do tej w miasteczku, tuż za centrum buddyjskim Samye Ling, i wszystkie dzieci przyglądały jej się z taką ciekawością, jak gdyby sama pochodziła z Tybetu. Okrażały ją, szturchały i wachały jej ubrania. Z obrzydzeniem wpatrywały się w jej drugie śniadanie - kanapki z kruszącego się, pieczonego w domu ciemnego chleba, z mnóstwem pierzastej sałaty i grubą warstwą pasty kanapkowej *marmite* - i krzywiły się na widok jej matki, która pieszo pokonywała dwie mile dzielące szkołę od ich domu i czekała przy bramie w kaloszach.

Jednak Lara właściwie się tym nie przejmowała. Matka była szczęśliwsza. Po wielogodzinnych medytacjach czuła się lekka i spokojna, a w większość wolnych dni miały gości. Można ich było zobaczyć z okien na piętrze, jak mozolnie idą drogą wzdłuż strumienia. I raz w roku jeździły autostopem do Londynu. Brały plecaki i wyruszały z wioski w kierunku Lockerbie, a potem czekały na kogoś, kto podwiezie je chociaż do autostrady, gdzie obiecywały sobie dumnie, że dotrą do Londynu przed końcem dnia.

\* \* \*

Gdy Lara się obudziła, było już rano. Zobaczyła nogi ojca, tworzące pomost nad pustą przestrzenią między siedzeniami, czuła jego palce u stóp, przyciśnięte do zewnętrznej strony jej uda, widziała paski bladej skóry tam, gdzie podwinęły mu się nogawki, cienkie czarne włosy, kościsty grzbiet wzdłuż goleni. Przesunęła się bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Lambert poruszył się, jak gdyby miał się zaraz obudzić, więc markując ziewnięcie i udając, że wciąż śpi, odsunęła się nieco dalej, tak by jej nie dotykał. Jednak Lambert dalej spał z głową opartą o okno, oddychając przez niedomknięte usta. Lara znowu zerknęła na jego stopy. Teraz wydawały się takie nieszkodliwe, niemalże bezbronne, gdy rozchyłały się na zewnątrz, korzystając

z miejsca, które powstało, gdy się odsunęła.

Pociąg zazgrzytał i w polu widzenia pojawiła się stacja. Za oknem migały jej tablice, nazwy, których nie mogła odczytać. Bin... Binar...

- Gdzie jesteśmy? - Lambert już nie spał, opuszczał zeszywniałe nogi i szukał stopami butów.

- W Binario. Tak mi się zdaje.

Spojrzeni na siebie. Czyli definitywnie we Włoszech. Jeszcze kilka godzin i będą na miejscu. Aby to uczcić, Lara wyjęła perriera i upiwszy parę kropli, podała wodę Lambertowi, aby to on przechylił butelkę i wypił ostatni łyk. Wyciągnęła jabłko i posługując się sztuczką, której się nauczyła w szkole, przekreśliła je w taki sposób, że pękło na pół. Wolno jadła swoją część, której sok, cierpki i słodki, szczypał wewnątrz jej ust, i z podziwem patrzyła na ojca, który szybko pozbył się ogryzka, wyrzucając go niedbale przez okno, choć zostały na nim co najmniej trzy kęsy. Lara dosłownie pochłonęła swoją połówkę jabłka, ogryzała ją, dopóki nie zostało z niej nic oprócz matowo połyskującego gniazda nasiennego z trzema odsłoniętymi pestkami. Dopiero potem poczuła się głodna, w żołądku jej się przewracało i ścisnęło i z żalem rozmyślała o każdym posiłku, jaki kiedykolwiek zostawiła niedojedzony na talerzu.

Pociąg zbliżał się do następnej stacji. Bin... Binar... Binario. Znowu tutaj? A może była taka zaaferowana jedzeniem jabłka, że tylko jej się zdawało, że ruszają z miejsca. Pochyliła się nad ręką ojca i spojrzała na zegarek. Ósma rano, a na miejscu mają być o drugiej po południu. Wyjrzała na peron. Ani budki, ani nawet wózka z jedzeniem, nawet gdyby odważyła się wysiąść.

Wstała i przeciągnęła się, a potem dla zabicia nudy przespacerowała się przez cały pociąg, zaglądając do przedziałów, starając się nie patrzeć nazbyt łakomym wzrokiem na tych, którzy, jakże zapobiegliwi, rozpakowywali teraz śniadania, napełniali kubki gorącą kawą, oddzierali kawały białego chleba. Już czuła się szczuplejsza, lżejsza, ubrania zrobiły się luźniejsze, po raptem dwóch przepuszczonych posiłkach, i pomyślała o dziecie, którą sobie zrobiła pod koniec

jesiennego semestru: dzień głodówki, trzy dni same owoce, i w nagrodę mała porcja białego sera, który smakował jej jak nic w tym życiu. Dieta okazała się skuteczna. Była zwiewna i piękna na szkolnym przyjęciu bożonarodzeniowym, choć może odrobinę bledsza, ale co z tego, skoro była zbyt zmarznięta, by zdjąć płaszcz, i zbyt tchórzliwa, żeby się odezwać do Clive'a.

Na stacji w Pizie czekała na nich Ginny, kucharka Caroline. Wypatrywała ich z peronu (czyli *binario*, jak zdążyli się w końcu zorientować), a kiedy ich

Lambert wysiadł, a Lara pośpieszyła za nim. Razem wpatrywali się w słodkie, twarde pomarańcze, winogrona i przerośnięte jabłka, skrzynki fig, ostatecznie decydując się na kilo brzoskwiń, mechactych i słodko pachnących.

- Jedzenie - westchnęła Lara i wgrzyła się w pierwszą, pochylając się, by sok mógł ściekać na ziemię. Lambert też sięgnął po owoc i pochłonął go trzema szybkimi kęsami.

- No to chodź. - I przytrzymał Larze drzwi.

Usiadła z tyłu z brązową papierową torbą pełną brzoskwiń na kolanach i zjadła następną, i jeszcze jedną.

Lambert obejrzał się. - Nie jadłbym już zbyt wielu - ostrzegł i z jego miny wywnioskowała, że to mogłoby być niebezpieczne.

- Dobrze. - Złożyła brzozy torby i zagięła je, a potem raz po raz obracała miękki margines papieru, rozmyślając o tym, jakie to dziwne, że właśnie tak brzmiała pierwsza porada udzielona jej kiedykolwiek przez ojca. I choć wiedziała, że trochę przesadza, nie mogła przestać myśleć o pewnej kobiecie, której po uwolnieniu z Auschwitz poczciwy żołnierz dał kawałek kiełbasy, a ona pochłonawszy ją, padła na ziemię i umarła.

Wszędzie, gdzie tylko Lara spojrzała, otaczały ich wzgórza. Duże niebieskawe w oddali oraz mniejsze, uboższe w roślinność, o stokach opadających łagodnie ku poboczom drogi. Wszystkie, obojętnie jak strome, podzielone były na poletka, niektóre obsadzone rzędami drzew oliwnych, i bez wyjątku zwieńczone na szczycie domem lub grupą zabudowań, jak gdyby z konieczności wykorzystywano tu każdą szansę zaczerpnięcia chłodniejszego powietrza. Domy były piękne, barwy ziemi ceglaste, w kolorze ochry lub zgaszonego różu. Zdobiły je winorośle i zielone jak jadeit okiennice, każdy następny okazywał się piękniejszy od poprzedniego. Pierwszych sześć czy siedem Lara wskazywała z okrzykiem zachwytu, a potem widząc, że musiałaby to robić w nieskończoność, poddała się i tylko patrzyła, jak znikają za oknem.

Ginny trzymała na kolanach rozłożoną mapę i czasem zatrzymywała się przed

skrzyżowaniem, by do niej zajrzeć, niemniej jednak wydawała się mieć wręcz zadziwiającą orientację w terenie, spokojną pewność, że zna drogę, więc Lara zamknęła oczy i słuchała, jak opowiada Lambertowi, że chodziła kiedyś na kurs kulinarny w tym regionie i że nie pamięta już, jak wiele razy przyjeżdżała tutaj gotować angielskim rodzinom, spędzającym tu lato.

- Jedni państwo, proszę sobie wyobrazić, ot, małżeństwo ze znajomymi, przywieźli ze sobą masażystę. - Lambert widocznie musiał kiwnąć głową, bowiem paplała dalej. - Pozwolono mi korzystać z jego usług raz w tygodniu, kiedy miałam wolny dzień. - Słysząc było, jak ktoś głośno nabiera tchu. - I to było coś wspaniałego!

Lara nie śmiała otworzyć oczu, na wypadek gdyby miało się okazać, że ramiona ojca drżą od tłumionego śmiechu. Więc tylko wyobraziła sobie Ginny, bujną, złocistą i wyciągniętą na ręczniku, i silne męskie dłonie, ugniatające miękkie plastyczne ciało.

- Gotowała pani u Caroline? - spytał Lambert, a Ginny odparła, że nie, że jeszcze jej nie poznała.

- Ale... - Ściszyła głos. - Słyszałam, że to wyjątkowo dystyngowana dama.

Dystyngowana. W samochodzie zapadła cisza i Lara tak długo siedziała z zamkniętymi oczami, że najwidoczniej przysnęła, kiedy bowiem znowu je otworzyła, płaski odcinek szosy mieli już za sobą, a samochód mozolnie pokonywał kręte drogi na wzgórze.

Ginny usta się nie zamykały. Jej chutney z zielonych pomidorów jest dobrze znany w pewnych kręgach. - Gdyby pan był zainteresowany - mówiła właśnie - mogłabym pana dopisać do mojej listy zamówień.

- O tak. - Lambert zachował się nad wyraz szarmancko. - Byłbym zainteresowany. Dziękuję pani bardzo.

Późnym popołudniem zatrzymali się na ocienionym podjeździe. Powitał ich szmer wody. Ginny wysiadła, przeciągnęła się i poszła otworzyć bagażnik.

- Lamb, skarbie - usłyszała Lara, gdy ojciec gramolił się z auta.



W drzwiach stała wysoka szczupła kobieta.

- Naprawdę przyjechałeś.

Lambert rozłożył ramiona i podszedł, aby ją uściskać. Caroline miała na sobie plisowaną spódnicę, spiętą w talii paskiem, i włożoną do środka kremową bluzkę, a na głowie słomkowy kapelusz. Lambert musiał tylko nieznacznie się schylić, by złożyć pocałunek tuż pod jego rondem.

- Brawo - pochwaliła, odsuwając się w końcu. - Jednak jesteś. - I spojrzała na Larę.

- Dzień dobry. - Lara skinęła uprzejmie. - Dziękuję za zaproszenie.

Czekała, aż Caroline się napatrzy, przenosząc wzrok to na nią, to na ojca, szukając podobieństwa, porównując Lamberta Golda, którego kiedyś знаła, z człowiekiem, który zniemacka pojawił się tutaj z dorosłą córką.

- W końcu mogę cię poznać - powiedziała Caroline.

Spojrzenie kobiety było nie całkiem przyjazne. Sprawilo, że Lara także zaczęła szukać w sobie jakiegoś podobieństwa do ojca. Są choć trochę podobni? Matka zawsze twierdziła, że tak. Zawsze powtarzała, jakie to zabawne, że Lara porusza się zupełnie jak on, w chwilach zdenerwowania wykonuje identyczne oszczędne, trzepotliwe gesty, i robi tak od dziecka, choć wtedy prawie go nie znała.

Ginny zdążyła do tej pory wypakować z samochodu wszystkie swoje bagaże i ustawić je na ścieżce.

Caroline obróciła się ku niej i wyciągnęła bladą szczupłą dłoń.

- Wirginio, niezmiernie mi miło. Dziękuję, że zajęłaś się moimi gośćmi. - Spojrzała na wielką stertę toreb i walizek. - Jeśli jesteś gotowa - kontynuowała - pokażę ci twój pokój.

Ginny nieznacznie wyprostowała plecy, jak gdyby przypomniała sobie, że przyjechała tu do pracy.

- Racja. - Pomachała. - No to pa, pa! - I podreptała za Caroline po schodach i dalej chodnikiem prowadzącym za budynek.

Lara stała na ścieżce, przyglądając się malusieńkim fontanom systemu

nawadniającego, a z domu napływały instrukcje wydawane chłodnym głosem Caroline. Lara oddychała głęboko. Powietrze pachniało tak ładnie, że aż chciało się go napić. Wdychała zapach rozmarynu, lawendy i chłodnych mokrych kamieni, myśląc o ogródku za ich domem, segmentem w starym, niszczącym szeregowcu za stacją Finsbury Park, i o tym, jak splątane gałęzie bzu miały być tarczą przeciwko pełnemu spalin, rozgrzanemu powietrzu napływającemu od głównej drogi. Całe trzy tygodnie! Zaczerpnęła jeszcze jeden haust i weszła za ojcem do budynku.

Dom wyglądał na nowy, w każdym razie od wewnątrz, cały w terakocie, o drzwiach z białego drewna; w pustawych wnętrzach pod ścianami stały kremowe kanapy. Pomyślany jako dom letniskowy, miał małą, niemal pustą kuchnię z ciągiem szafek, oraz wielką, głośno pracującą lodówkę. Jedna ściana salonu była przeszklona w taki sposób, iż tafla szkła odsuwała się, tworząc wyjście na taras, gdzie stał okrągły stół, na którym poniewierała się korespondencja Caroline, arkusze brzoskwiniowego papieru z napisem „La Forestella” nadrukowanym u góry. *Przykro mi o tym pisać, ale nie chciałam, żebyś dowiedziała się o tym z plotek, do których, jak się okazuje, sama masz skłonność...* Rozejrzała się szybko, by się upewnić, czy nikt jej nie obserwuje, i uspokojona znowu opuściła wzrok. *Zalecają słońce i świeże powietrze... ale myślę sobie, a co mi tam, do cholery, równie dobrze mogę dorzucić raz na jakiś czas jednego papierosa...*

Zmusiła się, aby dołączyć do ojca, który stał na tarasie oparty o balustradę. Dom wzniesiono na wzgórzu i choć od frontu nie było tego widać, za budynkiem teren opadał gwałtownie, tworząc stromy ogród pełen paproci, trzciny i kwitnących oleandrów. Przez środek wiła się nierówna brukowana dróżka prowadząca ku płytkiej niecce, gdzie niczym oaza niebieściła się woda w nerkowatym basenie. Lara miała ochotę zrzucić ubranie, zbiec po schodach i wskoczyć do wody, gdy nagle pojawiła się Caroline.

Smukłe, chłodne ręce oparły się o poręcz między nią a ojcem.

- No. - Odetchnęła. - Powiedziałam Ginny, że może korzystać z basenu między ósmą a dziewiątą, żeby nikomu nie przeszkadzać. Ja lubię sobie popływać z

samego rana, przed śniadaniem, ale potem basen jest do waszej dyspozycji. Kapcie się, kiedy tylko macie ochotę.

Lara spojrzała na wodę, taką przejrzystą i kuszącą, turkusowo połyskującą w słońcu.

- Ale, ale... - Caroline odwróciła się. - Pewnie najpierw chcielibyście się odświeżyć.

Gdy Lara wyszła spod prysznic, usłyszała brzęczenie telefonu, potem flegmatyczny, poważny głos Caroline, po którym niemal natychmiast nastąpił wybuch srebrzystego śmiechu. Słońce wciąż grzało mocno, wdzierając się przez otwarte okno, lecz Lara tak bardzo chciała się wykapać, nim popołudnie się ochłodzi, że zaczęła przetrząsać torbę. Gdzie ten kostium, przecież musi tu być? W

jasnoniebieskich kąpielówek. Ramiona miał całe porośnięte meszkiem, nogi komicznie białe, a na czubku głowy - coś, czego Lara nigdy dotąd nie zauważyła - małą łysinę wyraźnie odcinającą się od gęstych szpakowatych włosów.

Nie powinna go obserwować, powiedziała sobie w duchu, jednak widok ojca - rzecz wprost niewyobrażalna - bez ciemnego garnituru, był dla niej takim szokiem, że po prostu nie mogła oderwać od niego wzroku. Skąd, zastanawiała się, wytrzasnął te kąpielówki? Nie wyobrażała sobie, by mógł je kupić, lecz przecież miał je na sobie, obcisłe, neonowoniebieskie kąpielówki Speedo. Aż się skuliła. Przyłapała się na tym, że razi ją widok własnego ojca! Z wysiłkiem oderwała się od okna w chwili, gdy uniósł ramiona i wykonał perfekcyjny skok do basenu. Popatrzyła na swój pokój. Był skromny i zwyczajny. Łóżko, komoda i stolik z lampką. Nie mogła tu siedzieć w nieskończoność, więc owijając się po drodze największym ręcznikiem, jaki zdołała znaleźć, zbiegła po schodach.

Kiedy się pojawiła, Lambert siedział już na leżaku, ociekając wodą. Szybko, zanim zdążył podnieść wzrok, ściągnęła ręcznik i wskoczyła do basenu. Woda zamknęła się wokół niej, obkurczając każdy por jej skóry, stawiając na sztorc każdy, najmniejszy nawet włoszek na jej ciele. Opadała, szukając stopami wyłożonego płytkami dna, nie chcąc się wynurzyć, a woda, już jakby nieco cieplejsza, obejmowała jej ciało, łagodząc napięcie mięśni i dając ulgę zeszywniałym kościom. Otworzyła oczy i popłynęła tuż nad błękitnym dnem, kontemplując przedziwne właściwości swoich nóg, równie użytecznych na lądzie, jak i w wodzie, a kiedy nie była w stanie dłużej wstrzymać oddechu, wystrzeliła nad powierzchnię i leżała z zamkniętymi oczami, rozpościerając ręce i nogi jak rozgwiazda w prażącym słońcu. Promienie bombardowały jej powieki, grzały nos i policzki, paliły białe kopyłki kolan dopóki nie uznała, że ma dość. Przewróciła się na brzuch i dopłynęła do brzegu.

Lambert wciąż odpoczywał na leżaku, teraz z książką w ręku. Czytał i co pewien czas robił notatki na marginesie. Obserwowała go przez pewien czas, a potem odepchnęła się stopami od ściany basenu i rozchlapując wodę, pływała żabką

w tę i z powrotem. Za każdym razem, gdy przepłynęła długość basenu, zatrzymywała się na chwilę, by złapać oddech.

Lambert odłożył książkę.

- Kto cię nauczył pływać?

- Nikt. - Opiła się wody i kasłała kilka minut, zanim mogła mówić dalej. - Po prostu się nauczyłam.

- Hm. - Lambert przyglądał się jej krytycznie.

- Miałyśmy jezioro... - nie dokończyła.

Każdego roku w te nieliczne upalne szkockie dni pachnące malinami i wrzosem szły z matką nad jezioro. Leżało we wgłębieniu u stóp wzgórza, dostatecznie daleko od drogi, aby być niewidoczne, z jednej strony osłonięte choinami, z drugiej otoczone polami pełnymi zajęczych bobków i kretowisk. To było ich jezioro. Tak o nim myślały, mimo że czasem musiały się nim dzielić, najpierw z synami farmerów, później z rodzinami buddystów, którzy zamieszkali w dolinie, aby być bliżej Samye Ling. Przynosili koce i góry słodkich bułeczek domowej roboty, kawałów żółtego sera i zielonych jabłek o śliskiej jak nawoskowanej skórce, i całymi dniami nurkowali, ochlapywali się i nawoływali do wejścia do wody. Jednak nawet w najgorętsze dni woda w jeziorze była taka zimna, że aż paraliżowała, obejmowała głowę lodowatą obręczą, i kiedy się do niej weszło, nie sposób było pływać z gracją, każdy tylko młócił rękami i nogami w szaleńczym wysiłku, by się rozgrzać.

- Robisz to zbyt forsownie - orzekł Lambert, wstał, podszedł do basenu i usiadł na brzegu. Złożył dłonie, spiczaste jak dwa liście, a potem napiął mięśnie i powoli rozłożył ramiona.

Laura powtórzyła ten ruch, omal przy tym nie tonąc, gdyż zapomniała o pracy nóg, a kiedy się wynurzyła, zobaczyła, że ojciec stoi przy niej w wodzie.

- Dłonie złożone, dopiero w ostatniej chwili obróć je i odepchnij wodę.

- Dobrze. - Ułożyła dłonie w odpowiedniej pozycji i zanurzywszy nos pod powierzchnię, machnęła nogami.

- Powoli - zawołał Lambert i widząc, że kiepsko jej idzie, podszedł i wsunął jej rękę pod brzuch.

Lara zamarła. Próbowwała unieść się i odpłynąć od niego, ale wciąż czuła dotyk jego dłoni.

- Nie spinaj się tak - pouczył. - Na razie zapomnij o nogach, zacznijmy od pracy rąk.

Palce jego lewej ręki niemal dotykały cienkiej gumki majtek od kostiumu. Ręce, powtarzała sobie w duchu. Praca rąk.

Lambert niósł ją powoli, idąc obok, zupełnie jak gdyby prowadził konia, instruując ją, kiedy ma złożyć dłonie, kiedy obrócić i jak przyciągnąć do ciała. - A teraz ręce i nogi - zachęcił, a ona, chcąc się oswobodzić, tak energicznie machnęła nogami, że zsunęła się z jego ręki i szybko płynęła dalej.

- Dobrze - pochwalił, gdy zatrzymała się przy ścianie basenu.

Było jasne, że chciał, aby zawróciła i popłynęła w jego kierunku, więc znowu złożyła ręce, zrobiła głęboki wdech i z czystej desperacji popłynęła niczym zawodowa pływaczka, z twarzą do połowy zanurzoną, z każdym ścięgnem w ciele napiętym do granic możliwości.

- Czujesz różnicę? - Podparł się rękami o brzeg basenu i wyszedł z wody.

Uśmiechnęła się do niego, przed oczami mając połyskliwe krople wody.

- Tak - odparła z niemal ekstatyczną ulgą. - Czuję.

Przez cały wczesny wieczór Lara ćwiczyła pływanie żabką, dopóki upał nie zelżał i nie zobaczyła, że na tarasie stoi Caroline, przebrana w plisowane spodnie i z drinkiem w ręku. Pewnie zaraz będzie kolacja, pomyślała, i nagle, nieomal słabnąc z głodu, wyskoczyła z basenu, mokra owinęła się ręcznikiem i pobiegła do swojego pokoju, żeby się przebrać.

Stół był nakryty dla trojga. Przy każdym talerzu leżał podwójny komplet sztućców.

Ginny zrobiła dla nich spaghetti z sosem bazyliowym, aksamitnym od sera i gęstym od orzechów. Gdybym mogła, jadłabym to codziennie do końca życia,

pomyślała Lara; smaki mieszały się, nie tracąc jednak swej odrębności, tak iż charakter każdego z nich pozostawał niezmienny.

Potem był stek, brązowawy po bokach i krwistoczerwony w środku, oraz misa pieprznej sałatki. Lara spojrzała na swój talerz. Powinna była napomknąć, że jest wegetarianką. Była nią już od dwóch lat - od czasu wycieczki do zoo, gdzie widok niedźwiedzia polarnego, który podreptałszy trochę w ósemkę długości wybiegu, niemalże z rozpaczą rzucił się do bajorka ze stojącą wodą, sprawił jej taki ból, że poczuła się zobowiązana do tego, by coś zrobić. Tylko co to dało? Niedawno znowu była w zoo i niedźwiedź wciąż tam był, trochę chudszy i jeszcze bardziej zdesperowany, więc nie mogła udawać, nawet przed sobą, że jej protest zdał się na cokolwiek.

- Wszystko w porządku? - odezwała się Caroline.

Lara zobaczyła, że kobieta ją obserwuje.

- Tak - odparła i czując się jak zdrajczyni, ukroiła kawałek.

W ustach eksplodował jej smak mięsa. Jędrnego i soczystego, przesyconego aromatem ziół. To się nie liczy, pocieszyła się w duchu. To nie grzech zjeść kawałek mięsa we Włoszech. Nieuprzejmie byłoby go nie tknąć, skoro Ginny tak się napracowała, i od razu zaczęła szukać jej wzrokiem, żeby zapewnić, że wszystko jest pyszne. Jednak Ginny nie usiadła z nimi do kolacji. Była w kuchni, zaabsorbowana, przygaszona, a Lara nie była pewna, czy wypada wyrywać się z komplementami.

- To były prawdziwe delicje - powiedziała w końcu Caroline, gdy Ginny przyszła zebrać ze stołu.

Lara poczuła taką ulgę, że może głośno przytaknąć, iż zaczęła energicznie gestykulować i omal nie przewróciła szklanki.

- Dziękuję. - Ginny sięgnęła po jej talerz.

Czując paraliżującą niepewność, Lara zastanawiała się, czy może, jeśli nie wręcz powinna jej pomóc. W końcu, nie mogąc znieść napięcia, wstała, lecz na stole został już tylko srebrny stojak z oliwą i octem. Wzięła go i postawiła na stole w kuchni.



- Nie tu. Tam - mruknęła Ginny, wskazując spizarkę. I chociaż jej ton zdradzał, że nie jest zadowolona, Lara nie miała pojęcia, co zrobiła źle.

Wieczorem Caroline i Lambert rozmawiali do późna. Padały dziesiątki nazwisk, których Lara nigdy nie słyszała, a od czasu do czasu - Lara była tego pewna - Caroline spoglądała na nią z powątpiewaniem, jak gdyby podejrzewała, że dziewczyna wtargnęła tam podstępem, nawet więcej, że może wcale nie być córką Lamberta. Jej Lamba - tak go nazywała, i czasem brzmiało to jak zwykłe zdrobnienie, a czasem tak, jak gdyby naprawdę chciała go nazwać „swoim jagniątkiem”.

- Jak się poznaliście? - spytała Lara, gdy w końcu zdołała dojść do głosu.

Caroline roześmiała się i spojrzała na Lamberta.

- Znamy się od zawsze, prawda, kochanie? Moja matka była kuzynką Anne Holt. Poznaliśmy się jako dzieci. Cóż, może ja nigdy nie byłam prawdziwym dzieckiem - mruknęła do Lamberta - ale twój ojciec, Laro, był zwykłym chłopcem.

- We mnie nie ma nic zwykłego - uśmiechnął się.

Caroline błyszczały oczy, gdy pochyliła się w jego stronę. - Pamiętasz tego koszmarnego Peregrine'a? Cóż, sama nie wiem czemu, ale myślałam o nim któregoś razu i nagle przypomniał mi się wieczór, kiedy nas przyłapał wracających z Paryża - może rok po wojnie - z niewyobrażalną ilością zakupów. Chyba na wszystkich torbach były napisy w rodzaju *Champs-Elysées* albo *Boutique Parisien*, ale bardzo uprzejmie spytał tylko, jak mi się udał tydzień w Wiltshire u matki. - Zaśmiała się. - Myśleliśmy, że się nie wyda, że wymknęliśmy się tuż pod jego nosem. Boże, po twoim wyjeździe rozpętała się potworna awantura.

- Oczywiście, że pamiętam. - Lambert patrzył na nią ciepło. - Zatrzymaliśmy się w hotelu Crillon.

- Tak było - westchnęła. - Gdyby tylko wiedział, jacy wtedy byliśmy niewinni - i oboje umilkli na pewien czas.

Lara pożegnała się i poszła do swojego pokoju. Wyjęła książkę, szkolną lekturę o rewolucji francuskiej, i położyła się do łóżka, jednak zanim zdążyła

przewrócić pierwszą kartkę, poczuła, że się obraca, zapada, wiruje i trwało to dopóty, dopóki książka z hukiem nie upadła na podłogę. Drgnęła i ułamek sekundy później już spała.

Nazajutrz Lara zeszła na dół już po śniadaniu. Nakrycia były sprzątnięte ze stołu.

- Gdzie oni? - spytała Ginny, a ta odparła, że pojechali do Sieny.

- Chcieli ruszyć jak najwcześniej, zanim zacznie się najgorszy upał, ale mają wrócić - tłumaczyła - na lunch. - Ginny już pichciła, siekała warzywa, przygotowywała ciasto, dusiła garnek klementynek na nadzienie.

- Popływałaś w basenie? - Lara zalała mlekiem płatki kukurydziane, Ginny pochwaliła się, że owszem, przepłynęła ze sto długości.

Postawiła miskę na stole i mieszając masę, zaczęła opowiadać o swoim ogrodzie w Cotswolds, o matce, która się upierała, by mieszkać sama w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, o swoim podziwiew dla lady Diany Spencer. Jaka to piękna kobieta. I niewinna.

- Widać, że to dziewczica. - Ginny spojrzała na Larę tak, jak gdyby spodziewała się, że ta zaprzeczy. - Nawet moja matka tak uważa, a ona jest czujna jak jastrząb.

- Na pewno masz rację. - Lara nigdy się nad tym nie zastanawiała, więc zamiast dążyć temat, zaczęła opowiadać o swojej matce, o tym, jakie to z nich dobre przyjaciółki, jak kupiły bilety u taniego przewoźnika i razem pojechały do Indii autokarem, z Londynu do Delhi za jedyne pięćdziesiąt funtów.

- W obie strony? - zaciekała się Ginny, a Lara roześmiała się, gdyż ludzie zawsze o to pytali.

- W jedną. - Chodziło nie tylko o to, że bilety byłyby wtedy kupione w jeszcze korzystniejszej cenie, lecz raczej o to, że kupno biletów w jedną stronę czyniło wizję powrotu niewyobrażalnie mglistą.

Przypomniała sobie walijskich górników siedzących z tyłu autokaru, rozwalonych w fotelach, którzy wsiadając do autokaru, wymienili wszystko, włącznie z dżinsami i kurtkami, które mieli na sobie, na opium i haszysz. Gdy

wysiadali w Delhi, zostały im tylko gatki, bawełniane podkoszulki i plecaki zarzucone na plecy i ważące tyle co powietrze. „Ciekawe, czy po pięciu latach Waliyczycy wciąż tam są, wciąż tułają się półnaczy po ulicach?” - pomyślała.

- Nasz kierowca miał na imię John - opowiadała Lara. - Był dla nas jak ojciec. Zawsze potrafił znaleźć najlepsze miejsce na postój, zawsze blisko targu, i miejsce, gdzie można się było umyć, a kiedy autokar się zepsuł, zawsze umiał go naprawić. Nawet jeśli raz musiał się męczyć trzy dni.

Lara zachowała pamiętnik, w którym rysowała flamastrami motyle i ptaki, namioty i kobiety w sari i gdzie prowadziła powściągliwy opis podróży, chcąc jakoś zrekompensować fakt, że opuszcza szkołę.

- Kiedy dotarliśmy do Delhi, byliśmy tak do „taty” przywiązani, że nikt nie chciał wysiąść z autokaru. Jeszcze długo kręciliśmy się przy nim, wymyślając preteksty, żeby wrócić do niego choć na chwilę, nawet ci górnicy ciągle do niego zaglądali, niby chcąc sprawdzić, czy niczego nie zgubili. I tak przez cały dzień, dopóki kierowca nie był zmuszony nas wygonić.

Larze nagle stanęło przed oczyma wspomnienie matki, bladej, idącej przez miasto, ściskającej ją za ramię, a wokół nich ludzie wyciągali ręce po jałmużnę, krzyczeli, demonstrowali w uśmiechu przebarwione na czerwono zęby. Wdrapały się do rikszy, ta włączyła się do ulicznego ruchu, jednak ilekroć się zatrzymała, na powrót otaczał je tłum, te same chude ręce czepiały się ich ubrań. Cathy była przerażona. Przeraziła się tak bardzo, że zamiast szukać znajomych jej znajomych, u których miały nadzieję się zatrzymać, wynajęła pokój w hotelu. Hotelik był malutki, zbudowany dopiero w połowie, ale za to pokój był czysty, a drzwi zamykało się na klucz. Rano przyniesiono im po tacy z herbatą i bananem. W gruncie rzeczy banany, bezpieczne, bo szczelnie zamknięte w skórce, były jedyną rzeczą, jaką odważyły się jeść.

- Jak wróciłyście? - zatroskała się Ginny. Lara opowiedziała jej więc o zupełnie innym kierowcy, rok później, który zatrzymywał autokar tam, gdzie mu było wygodnie, w bocznych uliczkach i na zapuszczonych podwórkach.

- Jak nic przemyczał narkotyki albo nimi handlował. A jeśli mijaliśmy hammam i ktoś prosił, żeby się zatrzymał, wiesz, bo chcieliśmy się umyć, to tylko wrzeszczał. Prawdę mówiąc, to podróżowało się aż tak źle, że po przyjeździe do Niemiec wysiadłyśmy i dalej pojechałyśmy autostopem.

- Autostopem? - Ginny wyglądała na zaniepokojoną, więc Lara opowiedziała jej o domu w Szkocji i o tym, jak każdego lata jeździły z matką do Londynu i z powrotem.

- Czasami - dodała, podejrzewając, że mija się z prawdą - udawało nam się to szybciej niż pociągiem.

Potem opowiedziała Ginny o kozie, którą kupiły dla mleka, o jakach, które hodowali Tybetańczycy, i o tym, że po przeprowadzce do Londynu Cathy tak bardzo brakowało tamtego życia, że postanowiła kupić pszczoły. Miały kota, lecz Cathy chciała mieć bodaj namiastkę gospodarstwa i tak na płaskim dachu nad łazienką stanęły dwa ule, dające tyle miodu, że starczało prawie na cały rok. Kiedy pszczoły wyroiły się i nad rozwidlonymi gałęziami bzu zawisła wielka brzęcząca kula, przyjeżdżał ktoś z Londyńskiego Stowarzyszenia Pszczelarzy i ubrany w biały strój ochronny z kapeluszem i siatką, strącał je do worka.

Dobrze było tak siedzieć, wśród zapachów jedzenia, słodczy szklistej cebuli i gorzkiego aromatu owocowych skórek. Mogłaby opowiedzieć Ginny o Clivie. I nawet zastanawiała się nad tym, lecz stwierdziła, że jakoś nie ma na to ochoty. W tej swojej drelichowej kurtce wydał jej się nagle zakurzony i bardzo daleki.

Na dworze narastał upał, powietrze gęstniało wraz ze zbliżaniem się południa. Lara przebrała się w kostium i zeszła nad basen. Ćwiczyła pływanie nową, bardziej perfekcyjną żabką, sunąc przez wodę niemal bezszelestnie, a kiedy pokonała tyle długości basenu, aż się znudziła, wyszła z wody i położyła się na ręczniku w pełnym słońcu. Czowała, jak ją łaskocze, zamyka ciepło w jej ciele, a gdy miała dość, przewróciła się na brzuch, by wystawić plecy prażącym niemiłosiernie promieniom.

- Ojej! - odezwała się Caroline, gdy usiedli do lunchu. - Spiekłaś się! - I była to prawda, Lara miała czerwony pasek wzdłuż grzbietu nosa i po smudze różu na

policzkach, tuż pod oczami.

- Gdzie byliście? - spytała, by odwrócić od siebie uwagę. Caroline odparła, że pojechali do Sieny, aby mieć święty spokój.

- Bo wiesz, strasznie się denerwowałam, czy mój koń zostanie dopuszczony do udziału w Palio - wyjaśniła dopiero po dłuższej chwili. - Raz już startował, trzy lata temu, ale potem jakoś nigdy się nie udało.

Lara rozejrzała się.

- Trzymasz tu konia?

- Nie tutaj. - Caroline aż uniosła brwi z rozbawienia. - To koń wyścigowy. Mój mąż miał ich kilka, a ja zatrzymałam jednego, na pamiątkę. To było jego wielkie marzenie - posmutniała - wygrać Palio.

- Palio - wyjaśnił Lambert - to wyścigi konne, które odbywają się w czerwcu, a potem w sierpniu, na głównym rynku Sieny.

- Wyścigi?! To coś znacznie ważniejszego! - wtrąciła Caroline. - To sposób na życie! Największa impreza w okolicy, ludzie przygotowują się do niej przez cały rok. Miejscowi o niczym innym nie myślą. Ciągłe roztrząsają, kto wygrał zeszłoroczną gonitwę i marzą, że tym razem zwycięży ich koń.

- Ta tradycja sięga trzynastego wieku - zabłysnął erudycją Lambert. - To rodzaj zawodów między dzielnicami miasta. Każda *contrada*, a jest ich siedemnaście, ma swój symbol: panterę, ślimaka, wieżę albo muszlę, i własne barwy, a właściciel zwycięskiego konia zostaje na rok obwołany królem Sieny.

- Wszyscy dżokeje pochodzą z Sardynii. - Caroline dostała wypieków. - Objeżdżają rynek na oklep z niewiarygodną prędkością trzykrotnie. Niektórzy spadają, konie łamią nogi, tłum szaleje. To dziewięćdziesiąt sekund czystej adrenaliny, nigdzie indziej tego nie doświadczysz. A kiedy bieg się kończy, czujesz, że naprawdę potrzebujesz drinka.

- Czy to nie jest trochę... - Lara zadrżała. - Okrutne?

Caroline spojrzała na nią gniewnie. - Nie bardziej - fuknęła - niż Grand National. A koń, który wygrywa, cóż, ten koń staje się bohaterem. Wprowadza się

go do katedry, błogosławi i czci po wsze czasy.

- Jeźdźcom też zdarzają się wypadki - dodał Lambert. Lara nie wytrzymała.

- Tak, ale jeźdźców nikt do tego nie zmusza! - Wlepiała wzrok w sałatkę, nie dość szybko jednak, by nie zauważyć, jak Caroline i Lambert wymieniają rozbawione spojrzenia, patrzą na siebie, jak gdyby chcieli powiedzieć: wyrośnie z tego. Jest jeszcze bardzo młoda.

„Nie wyrosnę” - pomyślała, kipiąc z gniewu. Przypomniał jej się album z fotografiami z korridy, zdjęcia wiwatującego, żadnego krwi tłumu, torreadora dźgającego udrezonego, krwawiącego byka szpadą. „Tak się cieszę” - pomyślała - „że jestem wegetarianką” - potem przypomniała sobie stek i ukłuło ją poczucie winy.

- A skoro już o tym mowa, to kiedy odbędzie się Palio? - spytał Lambert, a Caroline wyjaśniła, że już za kilka tygodni, szesnastego sierpnia.

- Lara. - Nachylił się ku niej. - Jesteś ocalona. Bilety mamy zarezerwowane na dzień wcześniej.

- Och, to zmień rezerwację. - Caroline ścisnęła go za rękę.

- Musisz to zobaczyć. Nie możesz wyjechać dzień przed Palio. Ja się tym zajmę. Albo poprosimy Ginny. Całkiem możliwe, że pod koniec tygodnia i tak będzie musiała pojechać do Pizy. To żaden problem, żeby wstąpiła na dworzec i przebukowała wasze bilety.

- Zobaczymy - odparł Lambert, ale Lara nie mogła sobie wyobrazić, że się zgodzi zostać bodaj chwilę dłużej, niż to sobie zaplanował.

Caroline spojrzała na Larę.

- Spróbuj go przekonać.

- Ja? - Larze zbytnio pochlebila ta prośba, by miała się opierać. - Postaram się.

- I pytająco unosząc brwi, zerknęła na wpatrującego się w swój talerz Lamberta.

Po południu ona i Lambert wybrali się na spacer. Zeszli z podjazdu na dróżkę i szli dalej dopóty, dopóki nie dotarli do rozwidlenia, gdzie po namyśle skręcili w lewo. Zanim się obejrzel, zbliżali się już do oliwnego gaju. Ruszyli dalej, potykając



się o kamienie i wznecając biały pył, który osiadał im na butach. Ilekroć przystawali i wyciągając wzrok, szukali na horyzoncie czegoś ciekawego, słyszeli chrzęst żwiru, gdy uciekały przed nimi spłoszone jaszczurki, którym przerwali sjęstę. Przyjemnie było znowu mieć Lamberta tylko dla siebie i iść obok niego w milczeniu, do którego zdążyła przywyknąć i które czasem tylko przerywały jej pytania i jego przemyślane odpowiedzi.

Jak okiem sięgnąć, rosły drzewa oliwne - w rzędach, które gdy patrzyło się na nie z dołu, wydawały się proste jak zęby grzebienia, a gdy się je minęło i oglądało z pewnej odległości, zmieniały się w pozornie przypadkową płataninę linii. Z każdą chwilą słońce prażyło coraz mocniej, Lara czuła kropelki potu na czole.

- Tylko wariaci i Anglicy - odezwał się Lambert - wychodzą z domu w samo południe. - Lara otworzyła usta, by przyznać mu rację, i poczuła, że powietrze jest takie gorące, że aż pali ją w gardle.

- No i co ty na to? - Lambert zerknął w kierunku, z którego przybyli.

- Wracamy? - spytała, idąc coraz wolniej, zatrzymała się, a potem z nowym przyływem energii zawrócili i pośpieszyli w stronę domu, gdzie czekał przyjemny chłód.

Wieczorem Lara położyła się na kremowej sofie i skulona przeglądała jakieś czasopismo, podczas gdy Caroline i Lambert rozmawiali.

- Wciąż spotykasz się z Henrym? - spytała.

- Po co?

- Cóż, kiedyś go lubiłeś. - Caroline wzruszyła ramionami.

- Raz na niego wpadłem - odparł Lambert. - W autobusie.

Lara spojrzała na ojca, nie mogąc sobie wyobrazić, by mógł dobrowolnie wsiąść do autobusu.

- Prawdę mówiąc, całkiem nieźle mu się wiedzie. Zaproponował, żebym pożyczył od niego trochę pieniędzy, a kiedy spytałem, po co miałbym to robić, spojrzał na mnie ze zdziwieniem. „Żebym mógł przez następnych dziesięć lat próbować je odzyskać, rzecz jasna”. Pomyślałem, że to kapitalny żart.



- Po prostu stęsknił się za tobą. - Caroline podwinęła pod siebie szczupłe nogi, ukrywając ciemny siniec, sięgający od kostki w górę.

- Cóż. Być może, ale przypuszczam, że już się z tego wyleczył. To było jakieś piętnaście lat temu.

Przez pewien czas milczeli, a ciszę przerywał jedynie szelest przewracanych kartek.

W hiszpańskim magazynie „iHola!” zamieszczono zdjęcia koronowanych głów z całej Europy, czasem tylko robiąc wyjątek dla jakiegoś kierowcy rajdowego czy hollywoodzkiej gwiazdy. Cały środek był poświęcony spekulacjom na temat sukni ślubnej lady Diany, nie zabrakło nawet fotomontaży z kilkoma propozycjami sukienek, doklejonymi do jej uśmiechniętej twarzy. Wzrok Lary prześlizgiwał się po kolejnych kreacjach: jedna dopasowana, inna z bufiastymi rękawami, następna na cieniutkich ramiączkach, jeszcze inna z wielu warstw satyny i ostatnia, cała z przezroczystych koronek. Każda w innym kolorze - kość słoniowa, kremowy, cytrynowy, różowy i biały jak lukier na torcie - lecz fryzura Diany zawsze taka sama: nastroszona szopa włosów z grzywką nieśmiało zaczesaną na oko i zakrywającą pół twarzy.

- Jesteś okropnie zawiedziona? - Tym razem Caroline zwracała się do Lary. - Że stracisz takie widowisko?

- Widowisko...? - Lara oderwała wzrok od brzoskwiniowej koronki. - Ach, ma pani na myśli ślub?

- Słyszałam, że ludzie już koczują przy trasie, którą ma jechać orszak, ale nie wiem, jak do tego podchodzie wy, młodzi.

- Hm? Cóż... - Jak to uprzejmie wyrazić. - Nie za bardzo się tym interesujemy, przynajmniej gdy chodzi o moich znajomych. - Aby podkreślić prawdziwość swoich słów, zamknęła kolorowy magazyn. - Mnie się to wszystko wydaje dość smutne.

- Naprawdę? - Caroline zmierzyła ją pełnym niedowierzania wzrokiem. - Myślałabym, że to spełnienie marzeń każdej młodej dziewczyny. Poślubić księcia. Mieszkać w pałacu Buckingham. Spotykać się z tymi, którzy mają pieniądze i

władzę, podróżować po świecie.

Dla Lary było najzupełniej jasne, że to nieprawda, że żadna młoda dziewczyna nie byłaby szczęśliwa z Karolem, lecz jedyny argument, jaki znajdowała na poparcie tej tezy, brzmiał tak, iż rzeczony książę miał przedziałek nie taki, jak trzeba, zdecydowanie za blisko skroni. Musiała przygryźć usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Najwyraźniej włosy to jedyne kryterium, przez pryzmat którego ocenia ludzi. Powinna napisać o tym pracę maturalną. Zamiast kuć historię, powinna zacząć zgłębiać psychologiczny aspekt fryzur.

- Po prostu ta historia ze ślubem wydaje mi się potwornie staroświecka - powiedziała w końcu i natychmiast tego pożałowała.

Caroline położyła się na sofie, przypalając papierosa zapalniczką, a Lambert sięgnął po wczorajsze wydanie „Timesa”, kupione za ciężkie pieniądze rano w Sienie. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie, które zelektryzowało cały naród - fotografia Diany stojącej przed przedszkolem, w którym pracowała, w cienkiej sukience, przez którą przeświecało słońce, tak iż widać było zarys jej nóg, zupełnie jakby była naga.

- Jest bardzo przystojna, trzeba to przyznać - Caroline miała zdjęcie niemal przed nosem. Lambert zaciekawiony wyjrzał zza gazety. - A on załapał się nie na tę, na którą chciał. - Caroline wydmuchnęła pierzastą, białą smugę dymu. - W każdym razie wszyscy tak mówią.

- To jej nie wybrała rodzina? - Lambert zmrużył oczy, patrząc na gazetę.

- No tak, ale ludzie uważają, że popełniła błąd. Popchnęła go w niewłaściwym kierunku. Podobała mu się któraś z pozostałych siostr... O którą chodziło, o Jane czy o Sarah? Ciągle je myślę, ale potem gruchnęła nagle wieść: nie, jednak chodzi o tę cichutką, o Dianę.

Lambert wpatrywał się w fotografię z taką uwagą, jak gdyby przedstawiała moment zderzenia pociągów albo zgliszcza po wybuchu bomby. - Nie wygląda mi na cichą. Nie, będzie raczej żywiołowa. Chyba sami nie wiedzą, w co się pakują.

- Kto? Rodzina królewska? To oni zaaranżowali ich ślub? - spytała ze zgrozą

Lara.

Spojrzeni na nią oboje.

- Nie. - W oczach Caroline pojawiły się iskielki. - Wybrała ją dziewczyna

Karola.

Larę tak to zszokowało, że wołała nie wierzyć. Przecież Karol już dawno by się ożenił, gdyby nie to, że nie mógł sobie znaleźć żadnej dziewczyny.

- Ale... skoro... - wyjąkała nerwowo. - Czemu...? To znaczy, skoro ma dziewczynę, to czemu się z nią nie ożeni?

- Ona... - Caroline popatrzyła na Lamberta z taką miną, jak gdyby prawda mogła okazać się zbyt wstrząsająca dla uszu siedemnastoletniej dziewczyny. - Ona jest nieodpowiednia.

Lara sięgnęła po magazyn i z większym zainteresowaniem obejrzała zdjęcia Diany. Nie. Na wszystkich widziała w jej twarzy spokojną pewność siebie, nadzieję w uśmiechu, nawet w sposobie, w jaki włosy opadały jej na twarz, i już wiedziała: Diana nie miała o niczym pojęcia.

Tej nocy Larze przyśniło się, że Karol i jego dziewczyna, czarnoskóra Jamajka, szukają jego spodni w jej pokoju. Chichotali złowieszczo, flirtowali i rzucali lubieżne, wyuzdane uwagi - coś w pół drogi między Rayem Conneym a Makbetem - i przerażona, że zaraz przewrócą się na jej łóżko, musiała się schować pod kołdrą.

Nazajutrz pojechali do Sieny we troje. Caroline miała wizytę u lekarza o dziesiątej. Wskazała kawiarenkę z małym ogródkiem na zewnątrz, i drobnymi kroczkami, ściskając torebkę, odeszła.

Lara chłoneła widok na skraju Piazza del Campo. Stali na średniowiecznym placu, kształtem zbliżonym do półkola, otoczonym przez gęsto stłoczone wysokie kamienne budynki, równie jak on stare, w których cieniu można było odpocząć od palącego słońca.

- To tutaj odbywają się gonitwy? - spytała, odsuwając się od chłodnej ściany.

Piazza, podobnie jak cała Siena, była na wzgórzu. Kształtem przypominała

półksiężyc albo zachodzące słońce, na którym zbiegały się promieniście uliczki zaczynające się u podnóża stoku. Plac był obrzeżony pasem betonu, a na jego drugim końcu ciągnął się rząd kafejek, przed którymi ustawiono stoły i wielkie parasole.

Lara ruszyła po spadzistym placu między ludźmi siedzącymi na gołej ziemi, uważając, by nie wpadło na nią któreś z dzieci zbiegających z rozłożonymi ramionami ku wąskim kamiennym uliczkom. W ciemnoczerwonym ceglanym bruku, dosłownie w każdej spoinie, połyskiwało wielobarwne konfetti i Lara wyobrażała sobie, jak przez całą wiosnę i lato ciemne podwórka rozbrzmiewają odgłosami weselnych przyjęć, a potem wylewa się z nich strumień gości, usiewających bruk małymi okruchami kolorów.

Nad dachami domów, za placem, wznosiła się pasiasta, biało-czarna wieża.

- *Il Duomo* - wyjaśnił Lambert. - To już chyba niedaleko. - I starając się zapamiętać jej lokalizację, skręcili w jedną z uliczek odchodzących od placu.

Wzdłuż wąziutkiej uliczki o wysokich ścianach tworzących zaułki chłodu skupiały się sklepiki jak jaskinie zawsze ukryte przed słońcem. Minęli delikatesy o wystawie ozdobionej najróżniejszymi rodzajami makaronów: świderkami i kolankami, kluskami pasiastymi jak cukierki i uformowanymi w wielobarwne kokardki. W drzwiach stały kosze suszonych owoców, brzoskwiń tak mięsistych, że Larze ręce same się po nie wyciągały, orzechów i najróżniejszych pestek, paczek batoników zrobionych z migdałów i cukru waniliowego, które aż się prosiły, by przed zjedzeniem zmiękczyć je w herbacie. Potem przeszli obok stojaków z torebkami ułożonymi w równie piękną kompozycję oraz apteki o ścianach obwieszonych lustrami w złożonych ramach, z kryształowymi żyrandolami u sufitu i z misternie zdobionymi gablotami, których nie powstydziliby się muzeum.

Zdażyli już stracić z oczu pasiastą wieżę, więc pośpiesznie wspinali się pod górę, dopóki nie trafili na inny plac i nie stwierdzili, że poszli za daleko, a wieża jakimś cudem znajduje się z innej strony. Zawrócili i ruszyli w dół, zaglądając do kamiennych alejek między wysokimi budynkami, gdzie na sznurach suszyła się

bielizna, a pod oknami stały vespy w pastelowych kolorach, aż wyszli na otwarty teren i ujrzeli przed sobą katedrę tak piękną, że wieża nagle wydała im się nic nie znaczącym szczegółem, skromnym dodatkiem niczym ogon u zwierzęcia. Fronton świątyni także był pomalowany w pasy, lecz bledsze, różowo-kremowe, a misternie zdobione wieżyczki i kolumny przywodziły na myśl przebogata dekorację na torcie. Wysoko nad jedynym, okrągłym oknem katedry pysznił się złocony fresk.

- *Il Duomo* - powiedział cicho Lambert, jak gdyby ujrział dawną przyjaciółkę. Po chwili weszli z Larą po schodach do środka.

Wewnątrz panowały całkowite ciemności. Lara musiała złapać ojca za rękę, by ciągle się nie potykać. - Przepraszam - szepnęła, zdając sobie z tego sprawę, i natychmiast go puściła. Stali obok siebie, czekając, aż mrok się rozproszy, dopóki powoli, niczym obraz na negatywie zanurzonemu w wywoływaczu, wnętrzu katedry nie wyłoniło się z nicości.

- O mój Boże!

Dosłownie wszystko - kolumny, łuki, ściany - było pomalowane w białoczarne pasy. Krzyżowo-żebrowe sklepienie skrzyło się od złotych gwiazd. Posadzka była wyłożona mozaiką w kolorach czarnym, czerwonym i białym, tworzących misternie wzory, miejscami ogrodzone sznurkowymi barierkami. Gdziekolwiek spojrzeć, stały kapiące od złocen posągi, rzeźby, głowy kardynałów.

- O mój Boże! - powtórzyła ciszej Lara i roześmiała się, zdając sobie sprawę, że właśnie na taką reakcję obliczony był wystrój katedry.

Ambonę okalała jedna wielka skłębiona masa reliefów, z Jezusem Chrystusem, konającym, przybitym do krzyża, umieszczonym w centralnym punkcie. Obok suki ze szczeniętami uwieszonymi przy sutkach, lwy rozszarpujące długoszyje potwory, węże i skulone postacie, chyba niewolników.

- Tato? - Miała nadzieję na jakieś wyjaśnienie, lecz kiedy się obejrzała, stwierdziła, że Lambert zniknął.

Niespiesznie obchodziła wnętrza katedry, kręcąc się przy grupach turystów wsłuchanych w wykład przewodnika, jednak nawet jeśli akurat trafił się taki, który

oprowadzał anglojęzyczną grupę, przyłapywała się na tym, że jest zbyt podekscytowana i niecierpliwa nowych cudów, by nie pójść dalej. Niepostrzeżenie przeszła z prezbiterium do nawy, w której modlił się jakiś człowiek. Klęczał przed balustradą w miejscu, gdzie - zupełnie jak na zamówienie - padał snop światła z samotnego okna niemal pod sufitem katedry. Mężczyzna wydawał się całkowicie niepomny otoczenia, twarz miał ściągniętą, jego usta poruszały się w niemym błaganiu, w dłoniach ścisnął różaniec. Był zbyt pochłonięty modlitwą, by zauważyć Larę, ona zaś pomyślała, że tak gorliwie można modlić się tylko za kogoś u progu śmierci.

Przed wejściem do nawy posepny mrok katedry rozpraszały płonące świece. Patrząc na ich migotliwe światło, Lara szybko sięgnęła po jedną. Dla kogo ją zapali? - zastanawiała się, trzymając knot nad płomieniem. Dla kogoś - knot zasyczał i zajął się ogniem, więc musiała się pośpieszyć - dla kogoś, kogo kiedyś pokocha.

- Lara? - Aż podskoczyła, czerwieniąc się, jak gdyby dała się przyłapać na hołdowaniu przesadom, ona, córka buddystki i Żyda ateisty, lecz kiedy obróciła się ku Lambertowi, on tylko uśmiechnął się i powiedział łagodnie, że powinni już iść.

Przez moment stali na schodach, znowu oślepieni, a kiedy wzrok przyzwyczał im się do ostrego światła, postali tam jeszcze z minutę, patrząc, jak grupa zakonnic usiłuje zrobić sobie zdjęcie na tle katedry, ignorując trzech chłopaków przerzucających się piłką do rugby, która co chwila odbijała się od bruku pod nieprzewidywalnym kątem, zmuszając je do nerwowego odskakiwania i słania groźnych spojrzeń.

Dochodzili już niemal do Piazza del Campo, gdy Lara zwolniła i zajrzała przez okno wystawowe jednego z butików. Wypełniały go dziesiątki najróżniejszych kostiumów kąpielowych, niektóre powieszono na sznurkach rozpiętych pod sufitem, inne wyeksponowane na bawełnianych torsach bezgłowych manekinów, damskich, dumnie prężących pierś, i męskich, o biodrach obleczonych opiętymi kąpielówkami z lycry.

- Potrzebujesz czegoś? - zagadnął Lambert.



Lara wskazała czarny kostium bikini w brązowe grochy, bardziej nobliwą wersję tego, który pożyczyła od Cathy.

- Może go przymierzysz? - zaproponował Lambert, a potem cierpliwie czekał, gdy rozbierała się w prowizorycznej przymierzalni, niemal do sufitu zastawionej jakimiś pudłami i torebkami, i pośpiesznie wciągała kostium.

Tak. Zasłania, co trzeba. Tylko tyle Lara potrzebowała wiedzieć. I chcąc oszczędzić Lambertowi upokarzającego czekania z głową wśród miseczek i ramiączek od biustonoszy, szybko ściągnęła bikini.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała, gdy Lambert odliczył potrzebną kwotę w lirach, a sklepikarka, która przytrzymała im drzwi, obrzuciła ich pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

Caroline czekała na nich w kawiarni. Piła czarną kawę i paliła długiego cienkiego papierosa.

- Jak było? - Lambert ucałował cień pod rondem jej kapelusza.

Wydmuchnęła smużkę dymu i roześmiała się.

- Jak zwykle. - Jednak mimo to nagle zaczęła wyglądać na wycieńczoną. Lambert przysunął sobie krzesło i usiadł przy niej. Wziął ją za rękę, ale Caroline natychmiast się wyrwała. - Nie cackaj się ze mną - fuknęła. - Naprawdę. Kto jak kto, ale akurat ty? - I pstryknęła palcami na kelnera, żeby zamówić jeszcze dwie kawy. - Myślę sobie, że lunch zjemy po powrocie. Może coś na zimno. - Caroline wyjęła puderniczkę z pudrem w kamieniu i uważnie przejrzała się w lusterku. - A później, rzecz jasna, wybieramy się na kolację.

Lara przyglądała się innym gościom: rozszczebiotanym parkom, rodzinom okupującym po kilka stolików i zajmującym coraz więcej przestrzeni. O czym miałyby rozmawiać ich trójka przez cały wieczór, pomyślała, zastanawiając się, czy dopuściłaby się niewybaczalnego nietaktu, gdyby spytała, czy może zostać w domu.

- Wybieramy się? - Lambert uniósł brwi.

Caroline mocno zaciągnęła się papierosem. - Przecież już ci mówiłam, jesteśmy zaproszeni do Willoughbych. Wiesz, że mieszkają w Ceccomoro, to



niedaleko od nas. Pomyślałam, że Lara będzie miała jakąś rozrywkę.

- Do Andrew Willoughby'ego? - Lambert otworzył usta, jak gdyby zamierzał coś dodać, a potem zamknął je energicznie.

- Och, na litość boską, Lamb. - Caroline zamokła. - Nie bądź takim... To było tak dawno temu, cała ta nieprzyjemna historia. I bez względu na to, co o nim sądzisz, zawsze mogłam na niego liczyć.

Lambert rozglądał się po placu.

- Oczywiście - przytaknął chłodno i przestał się odzywać.

W swoim pokoju, stojąc przed podłużnym lustrem na wewnętrznej stronie drzwi od szafy, Lara przymierzyła nowe bikini. Leżało idealnie - na całe szczęście, bowiem mierząc je w sklepie, zbyt się śpieszyła, by dokładnie to sprawdzić - i po raz pierwszy, odkąd jej ciało zaczęło się zmieniać, odkąd w wieku lat dwunastu odkryła ku swojemu obrzydzeniu, że wokół sutków zaczyna obrzmiewać i uwypuklać się, innymi słowy odkąd zaczęły jej rosnać piersi - małe, nierówne piersi, których wcale mieć nie chciała - czyli od całych pięciu lat nigdy nie wyglądała tak dobrze. Okręciła się dookoła, patrząc na siebie z autentyczną przyjemnością, podziwiając swoje odbicie, takie zgrabniutkie w tym kostiumie w grochy. Skóra na łopatkach między ramiączkami stanika już nie była różowa, lecz brązowa od opalenizny, nogi miała gładkie, brzuch płąściutki. Grzbiet nosa wciąż był trochę zaczerwieniony, za to skóra nad kośćmi policzkowymi także zdążyła już zbrązowieć i zmienić się w konstelację piegów, które rozświeślały jej oczy.

Wzięła ręcznik i olejek do opalania, po czym przemknęła przez cały dom.

- Tylko nie zapomnij się posmarować! - zawołała za nią Caroline, gdy Lara przebiegała przez taras. - Wiem, że teraz czujesz się nieśmiertelna, ale kiedyś, kiedy się obudzisz ze skórą jak krepina...

- Okay. - Lara obejrzała się na Caroline, na jej kremową plisowaną spódnicę, blade nogi, jasny kapelusz nasunięty na czoło. - Dziękuję. - I dalej już poszła, ostrożnie stawiając bosc stopy na rozgrzanych kamiennych schodach.

Warto było rano nie pływać, by teraz odczuwać to radosne wyczekiwanie.

Lara wolno schodziła po płaskich stopniach, brodząc w wodzie, zanurzając się stopniowo, patrząc, jak poziom wody zbliża się do jej nowego kostiumu, jak materiał nasiąkając, ciemnieje, dopóki nie zanurzyła się cała. Płynęła, starając się jak najdłużej wytrzymać pod wodą, obserwując swoje dłonie, składając je w kształt liścia, czując, jak pracują jej mięśnie, ilekroć rozgarnia ramionami wodę. Wynurzyła się na drugim końcu, potrząsając głową i siejąc dziesiątki połyskliwych kropeł, a potem gładko wślizgnęła się pod powierzchnię i mocno odpychając się stopami o ścianę, zaczęła sunąć ku drugiemu brzegowi basenu, czując, jak jej ciało przepelnia błogość, a umysł oczyszcza się ze wszystkich myśli. Kiedy oczy zaczęły ją boleć, przekreśliła się na plecy i pływała dalej, już stateczniej, cicho tnąc wodę ramionami, wymachując nogami na przemian to w górę, to w dół.

W końcu podciągnęła się na rękach i wyszła z wody. Przez jakiś czas siedziała na kamiennym obrzeżu basenu, tak rozgrzanym od słońca, że mokry kostium niemalże skwierczał i wysechł tak szybko, że aż się zdziwiła. Zerknęła w stronę tarasu. Na wypadek gdyby Caroline miała ochotę znowu ją poobserwować, wzięła brązową buteleczkę Ambre Solaire, której zawartość osiągnęła temperaturę wrzenia, i przeniosła się w cień. Posmarowała twarz. Olejek pachniał kokosem, batonikami bounty i rajskimi plażami z reklam. Nakapała po smudze przez środek nóg i jeszcze dwie, biegnące od ramion do dłoni, a kiedy dokładnie wtarła olejek w skórę, chlupnęła nim trochę na łopatkę i sięgnęła dłonią za plecy, zamierzając go rozsmarować.

- Pomóc ci? - To był Lambert.

Obróciła się gwałtownie.

- Nie, nie. Nie trzeba. - Przeraziła się, że Lambert mógłby dotknąć jej skóry. Chwyciła butelkę olejku i wepchnęła ją pod leżak. - I tak zamierzałam poleżeć na plecach - skłamała i uśmiechnęła się, trzymając kciuki, aby nie dopatrzeć się w tym uśmiechu paniki, po czym ułożyła się na ręczniku i zamknęła oczy.

Niewiele później usłyszała głośny plusk. Otworzyła jedno oko i zobaczyła rozchodzące się kręgi na błękitnej tafli wody. Patrzyła, jak ojciec płynie pod

powierzchnią. Przepłynął cały basen, wykonał pod wodą nawrót, zupełnie jak zawodowiec, i zaczerpnąwszy haust powietrza, ruszył w przeciwną stronę. Gdzie nauczył się tak pływać? Kto go nauczył? Nie pojmowała, jak mógł przez tyle lat odmawiać sobie takiej przyjemności.

Przez wszystkie lata jej dzieciństwa praktycznie nie ruszał się z biurka, a jedynym jego zajęciem wymagającym fizycznego wysiłku było dojście do Kensington Gardens i z powrotem. Z jego rozmów z Caroline wynikało, że kiedyś żył inaczej, pełniej. Ale ilekroć przed tą wyprawą do Włoch Lara pytała go, czy nie chciałby gdzieś wyjechać, odpocząć od pracy, zawsze słyszała taką samą odpowiedź. „Za mało czasu” - powtarzał. „Zawsze go za mało”.

Lara wstała i przeciągnęła leżak w głębszy cień. Sięgnęła po olejek i zaczęła rozsmarowywać na nogach kolejną warstwę. Lambert wyskoczył z basenu i owinięty w pasie ręcznikiem, usiadł ciężko na sąsiednim leżaku. Uśmiechnęła się i podsunęła mu brązową buteleczkę, a potem patrzyła zafascynowana - nie mogła się powstrzymać - jak ojciec wylewa na dłoń tyle olejku, że powstała z niego mała kałuża, po czym bez przekonania, ostrożnie poklepuje tą dłonią obrośniętą pierś. - Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy po prostu tu zostali, zamiast iść do kogoś na kolację - wyznała nagle.

- O nie. - Pokręcił głową, jak gdyby jego własne poranne obiekcje już dawno zostały rozwiane i zapomniane. - Musisz iść. Poznać tych wszystkich młodych ludzi. Przypuszczam, że właśnie dlatego Caroline nas umówiła. Martwi się, że będziesz się nudzić.

- Nie będę.

- No cóż, jeśli naprawdę nie chcesz... - Zmarszczył czoło, jak gdyby to była dodatkowa komplikacja, której zupełnie się nie spodziewał.

- Och... - Zaczęła żałować, że w ogóle się odezwała. - To znaczy... mnie to bez różnicy.

Lambert położył się na leżaku i sięgnął po gazetę.

- Ceccomoro to interesująca posiadłość, jak słyszałem. Niegdyś to była

wioska, cóż, może nie tyle wioska, a powiedzmy sioło, ale Willoughby przez całe lata skupował ziemię od kolejnych rodzin, a potem stworzył na szczycie wzgórza swoje prywatne imperium. To nasi najbliżsi sąsiedzi. Willoughby mieszka tam prawie cały czas. Cóż, przynajmniej tyle, ile trzeba mieszkać za granicą, żeby uciec od płacenia podatków. - W jego głosie znowu pojawiła się nutka niesmaku, a potem, po minucie czy dwóch, ziewając, dodał z roztargnieniem. - Znałem jego żonę, dawno, dawno temu.

- Och, tak? Ona też tam będzie?

Lambert parsknął śmiechem.

- Wątpię.

- Czyli Willoughby mieszka sam?

- Mało prawdopodobne. - Kartkował gazetę. - Ale podejrzewam, że niedługo się o tym przekonamy.

Lara wpatrywała się w niebo. W błękitną czaszę nieba. Przejrzyście błękitną jak morze na pocztówkach. Chciała go zapytać o tyle rzeczy: ile dzieci ma Andrew Willoughby, w jakim są wieku, jak daleko od domu Caroline mieszkają ci najbliżsi sąsiedzi? Rozejrzała się, lecz wszędzie widziała tylko szare jak popiół liście drzewek oliwnych oraz wzgórza, wnoszące się nad doliną i gęsto porośnięte sosnami.

- Najtragiczniejsze, jeśli chodzi o lorda Willoughby'ego, jest to... - mówił właśnie Lambert, ni to do niej, ni do siebie - że całkiem dobrze się zapowiadał jako młody człowiek. Był drugim synem lorda Montague i studiował prawo - co jako drugi syn mógł robić - został prawnikiem, ponoć błyskotliwym. Ale potem zmarł jego starszy brat i wszyscy oczekiwali, że rzuci karierę i przejmie rodzinny majątek. On się jednak po prostu do tego nie nadawał. Przepuścił wszystkie pieniądze, a przynajmniej te, do których zdołał się dorwać, a potem zamiast zaszyć się w Yorkshire i zająć rodzinną posiadłość, dzień i noc uganiał się za kobietami.

- Myślałam, że powiedziałaś, że on jest żonaty. To znaczy... że znałaś jego żonę?

- Tak. - Lambert ściągnął brwi. - Tak, cóż, miał żonę. Wciąż ma. Biedna dziewczyna. W każdym razie ostatecznie ojciec postawił na nim krzyżyk, wydziedziczył go, a tytuł i wszystko, co się z tym wiąże, przekazał jego synowi, Kipowi, i tak Kip w wieku lat siedmiu stał się najnowszym lordem Montague. Biedny chłopak. A Andrew Willoughby czmychnął z podkulonym ogonem, porzucił wszystkie swoje obowiązki i zaszył się tutaj.

Lambert wczytywał się w gazetę, jak gdyby się spodziewał, że znajdzie w niej więcej informacji na ten temat, Lara zaś, zapominając o nieposmarowanych plecach, przewróciła się na brzuch i dla rozrywki przyglądała się mrówkom ciągnącym po rozgrzanej terakocie suche źdźbła trawy, większe niż one same.

Przed wieczornym wyjściem Lara przymierzyła wszystkie ubrania, jakie ze sobą przywiozła, i doszła do wniosku, że z każdym jest coś nie tak. Założyła pasiaste różowo-białe spodnie, które kupiła przy Oxford Street, ale zaledwie się przejrzała, pomyślała, że już wie, dlaczego były takie tanie. Kiedy przymierzała je w domu, oglądała się fragment po fragmencie, stojąc na krześle przed wąskim owalnym lustrem wiszącym nad wanną, jednak teraz, gdy mogła obejrzeć się cała w lustrze przykręconym do drzwi szafy, spodnie wcale nie wyglądały tak super. Ściągnęła je i przymierzyła spódnicę. Okazało się jednak, że nie ma bluzki, która by do niej pasowała. Wkrótce wypróbowała wszystkie możliwe kombinacje i ostatecznie zdecydowała się na dzinsy oraz bawełnianą koszulową bluzkę, które miała na sobie przez całą podróż i które, odmienione nie do poznania dzięki praniu i prasowaniu, w magiczny sposób znalazły się na jej łóżku. Założyła sandałki na obcasach i musnęła rzęsy tuszem, stwierdzając z przyjemnością, że dzięki piegom na policzkach białka jej oczu wydają się bielsze, a tęczęwki bardziej niebieskie.

Gdy w końcu poszła na dół, Lambert i Caroline czekali już na tarasie. Zaledwie na nich spojrziała, duma, jaką czuła ze swojego wyglądu, rozwiała się i znikła. Lambert miał na sobie jasny garnitur, a Caroline cienki jak mgiełka szydełkowy sweterek z jedwabiu, w którym wyglądała jak gwiazda filmowa.

- Jedziemy? - Caroline przez moment taksowała ją wzrokiem, po czym poszli

do samochodu.

Milczeli, wsiadając do niego i ruszając w kierunku Ceccomoro. Na dworze zaczynało się robić chłodniej, krzewy i drzewa rzucały na jezdnię coraz dłuższe cienie, sprawiając, iż w budzącym się wieczorze było coś niepokojącego. Caroline siedziała za kierownicą sztywno wyprostowana, lekko opierając na niej niemal przezroczyste dłonie. Na serdecznych palcach skrzyły się spektakularne rozety kamieni. Patrząc na nie, trudno było się nie zastanawiać, kto wsunął te pierścienie na jej smukłe palce. Gładko zjechali ze wzgórza, podjechali pod następne i zatoczywszy szeroki łuk przez pola, skręcili w kredowobiały podjazd, którego początku strzegły dwa kamienne lwy. Samochód toczył się po białym tłuczniu, który chrzęścił i trząskał pod kołami, dopóki Caroline nie skręciła jeszcze raz i nie zwolniła.

- Oto i on.

Z boku, na tle wzgórza chylącego się ku dolinie, stał dom. A właściwie cała osada, skupisko wyłożonych dachówką dachów, ogrodów na łagodnie opadających stokach, niskich murów, rozległych tarasów i budynków gospodarczych. Wyżej ze wzgórza wyrastała kapliczka z wąską dzwonnica, do której wiodły schody wyryte w zielonym zboczu, długie co najmniej na milę.

- Jest bardzo piękny - powiedziała Lara, ponieważ naprawdę tak uważała i ponieważ czuła, że wypada coś powiedzieć.

Lambert tylko pokręcił głową.

- Przecież ci tłumaczyłam. - Caroline oparła mu dłoń na ramieniu. - On jest szczęśliwy, że jest panem tych włości.

Przyśpieszyła, ignorując fakt, iż samochód podskakuje na wybojach. Nogę z gazu zdjęła dopiero wówczas, gdy przejechali między dwoma oleandrami w potężnych donicach, ustawionymi na podobieństwo wartowników po obu stronach podjazdu. Skręciła w podwórko i zaparkowała między mercedesem a dżipem.

- Tędy! - zawołała, wchodząc po schodkach i znikając za kamiennym ogrodzeniem.



Poszli za nią i po chwili stali już na skraju dziedzińca. Zobaczyli długą rabatę różaną, a za nią basen o obrzeżu wyłożonym terakotą, osłonięty z boku wysokim murem, któremu zachodzące słońce nadało kolor miodu. Na środku dziedzińca, zapewne głównego rynku w czasach, gdy Ceccomoro było wioską, stał długi stół nakryty obrusem. Podczas gdy Lara i Lambert podziwiali widoki, zza rogu budynku wyłoniła się grupka kobiet, Włosek w fartuchach i w chustkach na głowie. Niosły naczynia, świece i dzbanki z kwiatami, po czym zaczęły to wszystko ustawiać na stole.

- Cześć!

Obejrzel się i zobaczył dziewczynę w bikini, opartą plecami o kamienny mur przy basenie. Dziewczynę o niewiarygodnej, zmysłowej urodzie. Ciało miała złociście opalone, piersi tak krągłe i pełne, iż skrawek białego materiału, zastępujący biustonosz, ledwie wytrzymał ich ciężar.

- Caroline! - zawołała dziewczyna, a potem wspięła się na palce i wskoczyła do basenu, zakreślając w powietrzu perfekcyjny łuk.

- Kto to? - zdążył spytać Lambert, lecz dziewczyna już wynurzała się z wody. Gdy wyszła z basenu, mokre włosy gładko przylegały do jej głowy, oczy lśniły.

- Powiem im, że już jesteście. - Uśmiechnęła się, złapała ręcznik i wbiegła po schodach do domu.

- Przypomnij mi - odezwał się Lambert, już ostrożniejszym tonem - kim jest ta młoda dama?

Caroline nie śpieszyła się z odpowiedzią. Przypaliła papierosa, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym w nieruchome powietrze.

- Lulu? Och... To żadna z córek Andrew. To mała Pameli.

Lambert miał dziwną minę.

- Rozumiem.

W tej samej chwili wyszła ku nim kobieta w japońskim kimonie.

- Caroline - powiedziała zamiast powitania i popatrzyła krzywo na papierosa w jej ręce. - Miałaś słuchać lekarza!



- Pamela - Caroline puściła tę uwagę mimo uszu - Lamberta już znasz, rzecz jasna, a to jest jego córka Lara, która była taka uprzejma, że zgodziła się dotrzymać towarzystwa nam, starym ludziom. Jest tu od trzech dni i straszliwie się nudzi.

- Wcale się nie nudzę - zaprotestowała Lara. - Naprawdę. - Jednak na dziedzińcu właśnie zaczął się wylewać strumień innych gości i zarówno Caroline, jak i Pamela, obróciły się w ich stronę.

Z domu ciągle wychodził ktoś nowy. Lara kręciła się przy Lambercie, który wyjął paczkę gitane'ów i nerwowo palił papierosa. Ona zaś, czując się jak owad pod mikroskopem, z przesadnym zainteresowaniem rozglądała się po ogrodzie, dotykając aksamitnych płatków, pochylając się, by odetchnąć cytrynowo słodkim zapachem róż.

Aż wreszcie pojawił się sam Andrew Willoughby, niski, z brodą, której kolor przywodził na myśl niejednorodny, pstrokaty piach, i o rzadkich bokobrodach. Niewątpliwie pan tego domu, w kapeluszu i w wyszywanej cekinami kamizelce. Zajął honorowe miejsce przy stole i nawoływał pozostałych, aby także usiedli. Lara pośpiesznie wróciła do Lamberta, stanęła przy nim najbliżej, jak tylko się mogła ośmielić, lecz Andrew już ją wypatrzył, już do niej wołał i machał.

- Lara. Lara Gold. Chodź tu i dosiądź się do nas. Coś ty sobie myślała? Chyba nie chcesz siedzieć ze starcami i słabującymi na umyśle?

Lara zerknęła na ojca, ale akurat był odwrócony plecami, więc nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, niepewnie podeszła do Andrew Willoughby'ego, który zarezerwował dla niej wolne krzesło tuż przy swoim. Zaledwie usiadła, zaczął przedstawiać jej młodych ludzi zajmujących miejsca przy ich końcu stołu.

- Laro, to jest Lulu, córka Pameli, wielka aktorka, którą mamy zaszczyt gościć w naszych skromnych progach przez tych kilka tygodni. - Piękność, która wcześniej kąpała się w basenie, posłała mu olśniewający uśmiech. - A to jest May, moja... Kim ty właściwie jesteś? Moją czwartą córką?

May miała jasne włosy, oliwkową karnację i idealny, lekko zadarty nosek jak u lalki. - Cześć - powiedziała, a Lara zdała sobie sprawę, że gdyby nie sąsiedztwo

Lulu, May samą w sobie także należałoby nazwać piękną.

- A to Piers, jej narzeczony.

Siedzący przy Larze Piers ujął jej dłoń i uścisnął ją z wielką kurtuazją, jak gdyby chciał pokazać się z najlepszej strony, a przy okazji uświadomić przysłemu teściowi, jaki skarb ma niebawem poślubić jego córka.

- No i oczywiście mój syn, Kip. Kip!

Jednak Kip nawet na nich nie spojrzał. Pochylony nad kolanami Lulu, sięgał do naczynia z paluszkami chlebowymi i wyciągając jeden, zdołał jakoś wszystkie przewrócić.

- Przepraszam - powiedział z niewinną miną, gdy jego ręka musnęła dekolt dziewczyny, wyeksponowany dla maksymalnego efektu w kusym topie bez ramiączek.

- Odpieprz się. - Lulu pobłażliwie trzepnęła go po palcach. - Bo dorwę cię po kolacji i zmażę ci ten uśmieszek z twarzy - uśmiechała się szeroko - choćbym miała na niej usiąść, mówię serio.

- No, Laro Gold. - Andrew obrócił się w jej stronę. - Opowiedz nam o sobie.

- Ja... ehem. - Lara poczuła, że się rumieni. - Właściwie to nazywam się Lara Riley. Po matce.

- Ta O'Riley, co świat cały wzrusza? - Andrew nachylił się ku niej i zaśpiewał pełną piersią:

*Tyś jest może O'Riley, ta, co świat cały wzrusza,*

*Jeśli tak, to, O'Riley, ja powiedzieć ci muszę,*

*Niech mnie licho, O'Riley, piękny z ciebie kwiatuszek!*

Gdy skończył, poczuła, że ktoś kopie ją pod stołem.

- Przepraszam. - Kip zerknął na nią z autentyczną skruchą, szukając jej wzroku, a jego twarz na ułamek sekundy spoważniała.

- Nic nie szkodzi. - Lara usiłowała się uśmiechnąć, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, poczuła się, jakby nagle trafił ją piorun. Położyła rękę na sercu. Oddychała z trudem. Zupełnie jak gdyby koła jednorękiego bandyty raptem się zatrzymały i na

wszystkich był ten sam symbol. - Ja... ee... jestem...

- Nie wstydź się - zażądał Andrew. - Już ustaliliśmy, kim jesteś. Powiedz nam coś, czego jeszcze nie wiemy.

- Ile masz lat? - pomogła jej May. Lara odwróciła się od Kipa.

- Siedemnaście.

- A kim chcesz być, kiedy dorośniesz? - Widziała w oczach Andrew iskierki rozbawienia i wiedząc, że to podchwytliwe pytanie, gorączkowo szukała jakiejś dowcipnej, światowej odpowiedzi.

Nic nie przychodziło jej do głowy, więc ostatecznie postanowiła powiedzieć prawdę.

- Chciałabym zajmować się czymś podobnym do tego, co robi moja matka... - Zawahała się, lecz wszyscy wyraźnie czekali na dalszy ciąg, więc mówiła dalej: - Pracuje z dorosłymi półanalfabetami, z ludźmi, którym życie nigdy nie dało szansy, których nie nauczono nawet podstawowych rzeczy, wie pan, co mam na myśli? Ma poparcie samorządu lokalnego i prowadzi specjalne warsztaty dla kobiet, imigrantek, które nagle znalazły się w Wielkiej Brytanii bez żadnych kwalifikacji. Uczy je pisać. I proszę sobie wyobrazić, że w zeszłym roku wydały książkę...

Zapomniała o nieśmiałości. Chciała mu wytłumaczyć, uzmysłowić wszystkim, którzy siedzieli przy stole, jaka to niesamowita sprawa. Patrząc, jak te same kobiety, które niedawno dukały i stawiały pierwsze koślawe litery, wertują indeks książki, szukając swoich nazwisk. - To zbiorek wierszy i opowiadań o tym, jak żyły, skąd pochodzą, ile wycierpiały, na jakie potworności musiały się napatrzeć. Można go kupić w naszej księgarni. Dotąd sprzedano już sześćdziesiąt pięć egzemplarzy.

Umilkła, rozglądając się wokół stołu. Popatrzyła na Piersa, którego twarz przybrała kolor dojrzewającego owocu morwy, na May, która robiła z serwetki coś w rodzaju rzeźby, i na Kipa, który rozkruszał paluszek chlebowy i usypywał kopczyk z okruchów. Lulu odepchnęła krzesło od stołu i bezgłośnie poruszając ustami, przekazywała jakąś informację dziewczynie siedzącej naprzeciwko Lary.

Tylko Andrew Willoughby na nią patrzył.

- Widzę, że trafił się nam gość obdarzony świadomością społeczną - stwierdził. - Z czego zdajesz maturę? A może gardzisz naszym elitarnym systemem edukacji?

- Nie. To znaczy... Z angielskiego, z historii i...

- Z historii...? To wszystko tłumaczy. Zamiłowanie do historii to jak znak: „uwaga, niebezpieczeństwo!” - Spojrzał ponad stołem na Lamberta. - W nasze grono wdarł się początkujący bolszewik w spódnicy. Słyszycie? Miejcie się na baczności - zwrócił się do reszty. - Uważajcie, żeby was nie zinfiltrowała, nie zaraziła swoimi ideami.

W tym samym momencie przy Lulu usiadł ogorzały blondyn.

- Na tamtym końcu nuda aż piszczy - oznajmił. - A u was skąd takie poruszenie? Co tu macie?

- Komunistkę - odparł Andrew. - Komunistkę o niebieskich oczach i nosie spalonym od słońca. Wyjątkowo niebezpieczną. Strzeż się.

- Roland - przedstawił się blondyn, podając jej rękę.

Kiedy ją uścisnęła, zapewniając, że nie jest komunistką, pogłaskał ją kciukiem po nadgarstku. Speszona pośpiesznie zabrała dłoń, a Roland wybuchnął śmiechem. Kip najprawdopodobniej zauważył tę sztuczkę, bowiem też się zaśmiał.

Ku uldze Lary Andrew zajął się teraz osobą Lulu i filmem, do którego wygrała casting i w którym miała ponoć zagrać scenę erotyczną. Zaczął się z nią przekomarzać.

- Nie przypominam sobie, żebym wyraził na to pisemną zgodę - oznajmił. - Jak ci jankesi śmia tu przylatywać i wykorzystywać nasze najpiękniejsze dziewczyny!

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować - odparła Lulu.

- Po pierwsze, nie jesteś moim ojcem, żebym musiała cię prosić o pozwolenie, a po drugie, nie będzie żadnych scen erotycznych. Raz się pocałuję i po krzyku.

- Nieprawda - upierał się Andrew, a Lara nie miała pojęcia, której części jej odpowiedzi ten sprzeciw ma właściwie dotyczyć.

Potem wniesiono jedzenie, więc zyskała pretekst, aby wyłączyć się z rozmowy. Usiłowała dojść do tego, jak dobrać się do krewetek, zedrzeć śliski pancerzyk i zeskrobać brejowate skupisko jajeczek.

Czasem tylko podnosiła wzrok znad talerza i nieodmiennie przekonywała się, że Roland wciąż się w nią wpatruje.

- Tak to się robi, towarzyszeko Laro - oznajmił, wpychając do ust korpus krewetki, ssał go przez chwilę, a potem mlaszcząc głośno, puścił do niej oko.

Przy głównym daniu Roland opowiadał o wodospadzie, o którym kiedyś słyszał.

- *La cascata dell'amore*, Wodospad Miłości. Woda spływa do głębokiego jeziora, do którego można skakać ze skał. Będzie super, jeśli pojedziemy tam wszyscy razem - dodał z przesadną serdecznością, wciąż patrząc na Larę. - Oczywiście oprócz mojej grubej żony. Ona może zostać. - Lara aż wstrzymała oddech i rozglądała się, oczekując jakiejś reakcji, lecz uszczypliwy komentarz przeszedł bez echa. Dopiero po jakimś czasie, kiedy do Rolanda podeszła wysoka kobieta w zaawansowanej ciąży i zaczęła szeptać mu coś do ucha, Lara zdała sobie sprawę, że w zamyśle miał to być żart.

Goście zaczęli wstawać od stołu, przesiadać się, przesuwać krzesła. Andrew przeciągnął się i ewidentnie mając dość towarzystwa młodzieży, przeniósł się na drugi koniec stołu, gdzie natychmiast gruchnęły śmiechy, jak gdyby tylko czekał, by opowiedzieć dorosłym jakiś genialny dowcip. Lara poczuła, że atmosfera wyraźnie się rozluźniła, i po raz pierwszy tonem zwykłej rozmowy May zapytała ją, gdzie mieszka.

- W Finsbury Park.

- Tam gdzie „Tęcza”? - Nawet Kip zwrócił na nią uwagę, wpatrywali się w nią wszyscy, zaskoczeni, pełni podziwu i zdumieni, jak gdyby powiedziała, że mieszka nie w pobliżu londyńskiego Rainbow Theatre, a na Marsie.

- Chodzisz tam na koncerty? - spytał Kip.

- Byłam raz, kiedy występował Peter Tosh. - Nie wspomniała, że z matką. - A

ty?

- Mało brakowało, a też bym się wybrał. Chciałem zobaczyć Tosha, ale akurat byłem w internacie.

- Facet jest naprawdę dobry - dodała Lara, przypominając sobie, jak wysoki ciemnoskóry muzyk, gwiazda reggae, tańczył na scenie. Sposób, w jaki Kip na nią patrzył, dodał jej pewności siebie. - To jak, macie jeszcze jakieś rodzeństwo? Braci, siostry? - Wszystko, byle nie musiała opowiadać o sobie. - Czy poznałam już całą waszą rodzinę?

- Jest nas trochę - odparła May i wyjaśniła, że oprócz Kipa są same dziewczyny: Tabitha, ta ciężarna, jeszcze jedna, starsza, Antonia, która siedziała z dorosłymi. - No i jeszcze Katharine, ale ona jest w Stanach, oraz Fifi, która... nie jest zdrowa.

- A na końcu rodzynek, czyli ja. - Kip zawiesił wzrok na siostrze.

- Tak, ty. - May szturchnęła go w ramię. - Biedna mama. Papa nie dał jej spokoju, dopóki nie urodziła mu następcy.

- Ona też tu jest? - spytała Lara i dopiero wtedy przypomniała sobie, co mówił Lambert: że matki tych wszystkich dziewczyn i Kipa, którego przystojna twarz rozpraszała ją tak bardzo, iż wolała na nią nie patrzeć, raczej tu nie zobaczy.

- Ciii... - May ścisnęła jej ramię. - Mamy nigdy tu nie było. Ojciec nie pozwalał jej przyjeżdżać. A gdybyś ją kiedykolwiek spotkała, pod żadnym pozorem nie wspominaj przy niej o Pameli.

- Oczywiście - przytaknęła bezmyślnie Lara i skinęła głową, jak gdyby było najzupełniej oczywiste, iż w najbliższym czasie będzie gawędzić z lady Willoughby.

Później, gdy dorośli i starsze dziewczęta siedzieli przy kawie i grappie, podanej w malutkich kryształowych kieliszkach, Lara z May, Piersem, Lulu i Kipem oblegali obrzeże basenu, machając stopami w wodzie, popijając zimne piwo, paląc marlboro i strzepując popiół na różaną rabatę.

Lulu opowiadała o swojej karierze. O ile to w ogóle możliwe, wyglądała jeszcze piękniej niż wcześniej w bikini. Skąpy top odsłaniał nieskazitelną, opaloną



skórę, tak równomiernie złocistą na szyi i dekolcie, że dziewczyna wyglądała zupełnie tak, jak gdyby trzymała przy ciele miedzianą płytkę, od której odbija się słońce. Złote były jej chłodne piękne ramiona i nogi odsłonięte od kolan w dół. Opowiadała o sobie, a nikt nawet nie próbował jej przerwać. Była gościem honorowym, wschodzącą gwiazdą, która przez krótką chwilę zaszczyca ich swoim towarzystwem, zanim pewnego dnia nie obudzi się sławna. Opowiadała o Los Angeles, o ludziach, których poznała, o filmie, w którym dostała rolę, o zajęciach, na które chodziła, i powtarzała, co mówiono o jej talencie. Co pewien czas muskała dłonią udo Kipa, przeciągając się i prężąc, lecz ku zaskoczeniu Lary Kip ani razu nie zareagował na tę ewidentną prowokację.

Kip siedział między Lulu a Larą, która czuła napięte mięśnie jego barku, ciepło jego uda przy swoim. Raz, kiedy Lulu znowu się o niego otarła, obrócił się w stronę Lary i przyłapał ją na tym, jak się w niego wpatruje. Musiała zakasłać, aby nie było słychać, jak nerwowo przełyka ślinę.

- Ej, Kip - odezwał się Piers bez krzty rozbawienia w głosie - co zamierzasz teraz zrobić, skoro już zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby spektakularnie zawalić egzaminy?

Kip poruszył się niespokojnie.

- To samo, co do tej pory. Nic. - Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- A co z twoją grą na gitarze? - spytała zachęcająco May.

- Jeśli będziesz dalej ćwiczył...?

- A ty? Może pogadajmy o twoich planach? - spytał oskarżycielskim tonem.

- Wychodzę za męża, przecież wiesz. - Zerknęła na Piersa. - Nawet sobie nie wyobrażasz, ile mamy rzeczy do załatwienia.

- Cóż, może pójde w twoje ślady. - Wzruszył ramionami. - Może się ożenię.

Lara miała właśnie znowu zakasłać, gdy ktoś podkradł się do niej od tyłu i nagle wepchnął ją do basenu. Wpadła do wody bokiem, koślawo, z ustami otwartymi do krzyku, tak iż zanurzając się, opła się wody i nie miała siły, żeby się odbić od dna.



Dławiła się, szamotała, a potem nagle, jak gdyby woda sama chciała ją wypchnąć, zaczęła powoli dryfować ku górze.

- Ty bydlaku - wykrztusiła, gdy wreszcie wynurzyła się na powierzchnię, i potoczyła wzrokiem po roześmianych twarzach. - Ty bydlaku!

Zawiesiła spojrzenie na Rolandzie, który wepchnął się między Lulu a Kipa, i szczyrzył zęby jeszcze radośniej niż pozostali. Rzuciła w niego rozmiękłym niedopałkiem papierosa, który wciąż ścisnęła w palcach, a potem widząc, że nikt nie spodziewał się takiego wybuchu złości, spróbowała się uśmiechnąć i podплыnęła do brzegu. Wyszła z wody i odwrócona do pozostałych plecami, zaczęła wyzymać na sobie ubranie.

- Jestem cała mokra - jęknęła, by zyskać na czasie, wyciskając wodę z koszuli, która stała się przezroczysta i przylgnęła do ciała, opinając się na piersiach, oblepiając ciemne punkty sutków.

Stała tak, odwrócona plecami do pozostałych, ogarnięta zgrozą, nie zamierzając dawać Rolandowi przyjemności oglądania jej od przodu, dopóki May się nad nią nie zlitowała i nie przyniosła ręcznika.

- Wszystko w porządku? - spytała i widząc, że Lara drży, zaproponowała, że pożyczycy jej coś ze swoich rzeczy, żeby mogła się przebrać.

- Dzięki. - Lara starała się, aby chociaż jej głos nie drżał, i okrywając się ręcznikiem, podreptała za May w stronę domu.

- Dlaczego on mi to zrobił? - spytała bezradnie, ale May roześmiała się tylko.

- Och, on już taki jest. Nie bierz tego do siebie. To nie jest nic osobistego.

Szły, zostawiając mokre ślady stóp na ścieżce obrzeżonej lawendą, a potem na stopniach starych kamiennych schodów.

- W tym budynku mieszkała kiedyś szesnastoosobowa rodzina - wyjaśniła May, gdy weszły do wysokiego holu. Otworzyła jedne z szeregu drzwi i wskazała ręką masywne drewniane łóżko, wypełniające niemal całe wnętrze pokoju. - Tutaj śpię.

Pod ścianą stały dwie szafy z ciemnego drewna, pękające w szwach od ogromnej ilości ubrań i z wybrzuszanymi się szufladami. Na ciasno upchanych wieszakach wisiały czyste, uprasowane białe ubrania. May wysunęła dolną szufladę, ta opadła niemal do samej podłogi. Dziewczyna poszperała chwilę i wyciągnęła bladoniebieską tunikę oraz parę butów. Lara wzięła je z wdzięcznością i przebrała się, energicznie ściągając mokre ciuchy i poprawiając ręcznik na ramionach.

- Idziemy - ponagliła ją May i po chwili ruszyły wąskim korytarzem. Minęły łazienkę, do której May wrzuciła mokre rzeczy Lary, i zeszły po kilku stopniach. Gdy przechodziły obok półotwartych drzwi do jakiegoś pokoju, Lara zajrzała do środka. Podłoga była usiana naczyniami i książkami, na łóżku walały się ciuchy, czasopisma i podarte puste paczki po marlboro.

- Wiesz co, poczekaj chwilę - odezwała się May. Wbiegła do środka, zgarnęła z łóżka popielaty kardigan i rzuciła go Larze.

- Kip nie będzie się gniewał.

Sweter był miękki jak jedwab i pognieciony, lecz zmarszczki wygładziły się, zaledwie Lara założyła go na siebie. Podwinęła rękawy i patrzyła, jak dzianina opada na jej uda.

- Dzięki - mruknęła. Gdy podniosła wzrok, May jej się przyglądała. - Co?

- Nic. - Zupełnie jak gdyby przyszła jej do głowy jakaś niepokojąca myśl, którą natychmiast uznała za niedorzeczną.

- Po prostu kogoś mi przypominasz. - Wciąż marszcząc czoło, wrzuciła do łazienki mokry ręcznik, a potem wyprowadziła Larę z domu.

Przy basenie już nikogo nie było, wszyscy wrócili do stołu i po raz kolejny zamieniwszy się miejscami, siedzieli przy zapalonych świecach. Talerz czekoladek wędrował z rąk do rąk, dopóki nie trafił do Kipa, który zdążył zająć miejsce ojca i siedząc z nogami opartymi o rant stołu, wiercił się niecierpliwie. Podał talerz dalej, najpierw jednak zgarnął tyle czekoladek, ile tylko zmieściło mu się w dłoniach.

- Strasznie cię przepraszam. - Do Lary dosiadła się żona Rolanda, Tabitha. -

Słyszałam, że tego mojego okropnego męża znowu trzymają się głupie kawały. Swoją drogą - uśmiechnęła się ze słodyczą - w tym stroju wyglądasz wprost zjawiskowo.

Spośród trzech sióstr Kipa, które Lara miała okazję poznać, Tabitha była do niego najbardziej podobna. Miała ciemne włosy, opadające na twarz miękko jak jedwab, szerokie usta i niesamowite błękitne oczy, niezwykle przejrzyste; niebieski odcień miały nawet białka. Była ubrana w bawełnianą sukienkę, zebraną pod biustem i opływającą wielki brzuch, który tak rzucał się w oczy, że udawanie, iż się go nie dostrzega, wydawało się Larze grubym nietaktem.

- Kiedy dziecko się urodzi? - spytała Lara, a Tabitha ujęła jej dłoń i przyciągnęła do swojego brzucha. Był twardy i gorący, lecz zaskakująco przyjemnie było go dotykać i minęła chwila, nim Lara z ociąganiem zabrała rękę.

- Pod koniec lata, za sześć tygodni. - Tabitha zerknęła na męża siedzącego przy Caroline. Mówił coś, oczy miał przymknięte i było widać, że wprost wychodzi ze skóry, aby zwrócić na siebie jej uwagę.

Lara wypatrzyła wolne krzesło obok Lamberta. Podeszła zdecydowanym krokiem, zanim ktoś zdążył ją wyprzedzić, i usiadła ciężko.

- Cześć. - Popatrzył na nią ze zdziwieniem, jak gdyby się zmieniła, a on nie potrafił określić, na czym ta zmiana polega. Zaledwie Caroline zobaczyła ich razem, wstała i bezceremonialnie przerywając Rolandowi w pół zdania, spytała, czy mogą już jechać.

- Tak - odparli zgodnie i nie chcąc robić zamieszania, dyskretnie pożegnali się z Pamelą i powoli ruszyli w stronę samochodu. Caroline, której twarz w świetle księżycy wydawała się kredowobiała, potknęła się o stopień, a wtedy Lambert wziął ją pod rękę i podtrzymując, przeprowadził przez przejście w murze.

- Może ja poprowadzę? - spytał, gdy dotarli do samochodu, ale Caroline tylko się rozzłościła.

- Czuję się doskonale.

Już w swoim pokoju spowita miękkim kaszmiem Lara przejrzała się w

lustrze. Przyciągnęła sweter do nosa i powąchała. Pachniał papierosami, chlorem, wilgotnymi kamieniami i ziemią. Odetchnęła głębiej, przyciskając do twarzy rękawy, i wciąż dygocząc po nieoczekiwanej kąpieli w basenie, wpełzła w swetrze pod cienką kołdrę.

Obudziła się nad ranem. Serce boleśnie tłukło jej się w piersi, w żyłach krążył strach po koszmarnym śnie, którego nie mogła sobie przypomnieć. Po prostu jest mi za gorąco, pomyślała, sama w to nie wierząc i ściągając sweter, podeszła do okna odetchnąć świeżym powietrzem.

W pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi - zbyt pochłonięta strachami ze swego snu - jednak kiedy wychyliła się za okno, wyraźnie usłyszała muzykę niosącą się od wzgórz. Cygańską muzykę, zawodzącą i niebezpieczną. Szerzej otworzyła okno. Przypomniało jej się lato, które spędziła u dziadków w Dublinie. Zabrali ją na ceilidh, żeby się nauczyła tradycyjnych celtyckich tańców i posłuchała muzyki na żywo. Wróciła zakochana w dźwiękach akordeonu i ślubowała nauczyć się na nim grać, kiedy dorośnie.

Gdy tak patrzyła, w oddali zamigotało światło - pochodni albo latarki, trudno było powiedzieć. Kilkakrotnie na przemian rozbłyskiwało i gasło, a potem znowu nastąpiła ciemność. I chociaż Lara czekała jeszcze pół godziny, wdychając zapach nocy, słuchając muzyki, która wciąż napływała z oddali, wzgórze pozostały czarne i nieruchome.

W końcu wróciła do łóżka. Przymknęła powieki i westchnęła, rozpamiętując moment, gdy Kip spojrzał jej w oczy. I znowu to poczuła, zaskoczenie i radość, elektryzujący dreszcz jak na widok starego znajomego, choć wiedziała, że nigdy wcześniej nie mogła Kipa widzieć.

Nazajutrz wszyscy domownicy byli dziwnie przygaszeni. Caroline była słaba, zbyt zmęczona nawet, by zacząć dzień od porannej kąpieli w basenie, a Lambert nie mógł znaleźć sobie miejsca, postanowił więc trochę popracować. Usiadł przy stole na tarasie, obciążył notatki przyciskiem do papieru, a potem zaczął pisać, krzywiąc się i wzdychając. Co chwila zrywał się od stołu, jak gdyby chciał sięgnąć po jakąś

książkę, a potem przypominając sobie, gdzie jest, kręcił głową i opadał na krzesło.

Lara leżała w cieniu i czytała. Było za gorąco na pływanie, poza tym bolała ją głowa. Po pewnym czasie Ginny zawołała ich na lunch. Podała w kuchni, tak aby Lambert nie musiał przenosić notatek. Posiłek, który przygotowała, przypominał jedzenie dla niemowlaków - mięciutkie ravioli nadziewane bladym żółtym serem, łagodna sałatka i tłusty, papkowaty szpinak. Na deser była cytrynowa tarta, od której słodko-gorzkiego smaku aż szczypało w ustach, a zaledwie przestawało szczytać, marzyło się o następnej porcji.

Po lunchu Lara wróciła do łóżka. Przez całe popołudnie to czytała, to marzyła, wpatrując się w prostokąt nieba za oknem i nie mogąc się doczekać chwili, kiedy upał zelżeje. Musiała przysnąć, nawet jeśli tylko na chwilę, bowiem aż drgnęła, gdy zbudził ją pisk opon, zgrzyt hamulców i odgłosy rozmowy z zewnątrz. Zerwała się z łóżka i przyglądając ubranie, zbiegła na dół sprawdzić, kto przyjechał.

- Przekażę jej - mówiła Ginny, stojąc w progu, tak iż Lara nie mogła zobaczyć, kto stoi za drzwiami. Szybko przepchnęła się obok niej.

- Cześć.

Zobaczyła May z dużą papierową torbą. Za nią stał dziup, którego widziała wczoraj w Ceccomoro. Teraz brezentowy dach był opuszczony. W kabinie siedział samotny Piers, podczas gdy Roland z Kipem wysiedli i oparli o kamienny mur wokół ogrodu, palili papierosy.

- Przywieźliśmy twoje ciuchy - wyjaśniła May, a Kip kopnął jakiś kamyk, który przeturlał się przez placik przed domem.

Lara zajrzała do torby i zobaczyła swoje wczorajsze ubrania, uprane, uprasowane i starannie złożone.

- Wielkie dzięki.

Zerknęła na zamknięte okiennice sypialni Caroline. Nie wiedziała, czy może zaprosić May i resztę do środka. Spojrzała na Ginny, ale ta tylko kiwała głową i uśmiechała się. Nie miała pomysłu, co mogłaby jeszcze powiedzieć, więc tylko patrzyła, jak trzyosobowa grupka wsiada do samochodu.

- Och! - Coś sobie przypomniała. - A ja wciąż... - Jednak dziup już zawracał i jej głos utonął w pisku opon. - Pa! - zawołała i z nagłym zapalem pomachała im na pożegnanie, a Kip uśmiechnął się do niej i pstryknął wypalonego do połowy papierosa za okno.

- Wciąż mam rzeczy May - wyjaśniła na użytek Ginny i czując, że nie ma nic do dodania, poszła za nią do kuchni.

Ginny podała jej szklanekę soku gruszkowego. Lara piła małymi łydkami, czując, jak gęsty, lodowaty płyn spływa powoli do jej żołądka.

- Nie martw się - Ginny uśmiechnęła się łagodnie - oddasz przy następnej okazji. - Chwilę później pokraśniała, cała jej twarz zmarszczyła się od niepohamowanego uśmiechu, a głos sięgnął jeszcze wyższych tonów: - Czyli to był syn lorda Willoughby'ego, tak? Na szczęście wdał się w matkę.

- Tak. - Lara szybko dopiła resztkę soku, a Ginny nagle roześmiała się i zmierzwiła jej włosy. - Mam nadzieję, że jest ci wiadomo, że ten chłopak to najlepsza partia w mieście, nawet gdyby nie był zabójczo przystojny.

Lara miała ochotę coś odburknąć, ale milczała. Zdała sobie sprawę, że aż dotąd miała cichą nadzieję, że nikt oprócz niej nie zauważy, jaki Kip jest przystojny.

Ginny zaczęła trzeć żółty ser; jej silne, zręczne palce zmieniały parmezan w chmurę drobnych wiórków. - Lady Lara Willoughby. - Głos miała zdławiony od śmiechu. - Czyż to nie pięknie brzmi? - Lara zaczerwieniła się z wściekłości i kazała jej być cicho.

Po raz pierwszy Lara zakochała się w drodze do Indii. Obiekt jej westchnień miał na imię Sam i był dryblasowatym blondynem o szerokim uśmiechu i białych zębach. Zwróciła na niego uwagę jeszcze w Tottenham, zanim podróż na dobre się rozpoczęła. Tłum ludzi kręcił się wokół autokaru, wszyscy nerwowo upychali torby i plecaki w luku bagażowym, zgłaszali się do kierowcy, żeby odhaczył ich nazwiska na liście i wybierali miejsca, na których mieli siedzieć przez najbliższych sześć tygodni. W autokarze były pięćdziesiąt dwa fotele, tyle ile tygodni w roku. Już po kilku dniach każdy czuł się w swoim jak w domu.



- Cześć. - Sam uśmiechnął się do Lary i do Cathy, gdy wsiadały do autokaru zaledwie godzinę po planowym odjeździe, a kiedy wybrały dwa fotele po lewej stronie, mniej więcej jedną trzecią od końca, wślizgnął się na wolne miejsce za nimi.

- Cześć. - Gdy Cathy odwzajemniła uśmiech, pochylił się w ich stronę i zaczął opowiadać, że ma siostrę, która jest w podobnym wieku jak Lara, i że kategorycznie zabronił jej dorastać, dopóki nie wróci do domu.

„Czyli do kiedy?” - zastanawiała się Lara, ale wstydziła się zapytać. Czuła się onieśmiewiona.

Godzinę później, kiedy mozolnie przebijali się przez ulice Londynu, Sam spytał, czy nie miałyby ochoty zagrać w karty. - Dobrze - odparła i patrzyła, jak je tasuje, podziwiając sposób, w jaki przewracał na drugą stronę całą kolumnę kart, w jaki zginał połówki tali i mieszał karty ze sobą, aż furczały. Grali w jakąś dziwną odmianę remika, co chwila zmieniając reguły i dodając nowe. Potem trochę pograli w oszukańca, a na koniec w wojnę, do której karty trzeba było rozłożyć trochę jak do pasjansa, więc przykucnęli w przejściu między fotelami, rzucali karty na podłogę i wrzeszczeli, ilekroć ktoś próbował przejść.

Autokary linii Budget Bus były słynne. Czasem nazywano je „magicznymi autobusami”, ale przeważnie określali je tak ludzie, którzy nigdy nimi nie podróżowali. Podobnie było z Larą i Cathy, gdy w Szkocji czekały, aż Lara skończy ostatni rok podstawówki. Po około dziesięciu dniach podróży zdała sobie sprawę, że naprawdę wyobrażała sobie, że to będzie magiczny, latający autokar, który rozłoży skrzydła i wzbije się ponad szczyty gór, a u schyłku dnia, zmęczony lotem, osiadzie przy jakimś jeziorze na odpoczynek. W rzeczywistości autokar wolno przedzierał się przez Europę, potem przez Turcję do Iranu. Zepsuł się w Afganistanie i jeszcze raz, kiedy pokonywali Chajber; skrzynia biegów nie wytrzymała na krótkim płaskim odcinku. Niewiele później jakiś chłopczyk rzucił kamieniem w tylną szybę i tysiące ostrych okruchów posypało się na nagie ramiona górników, pozostawiając drobne ranki na ich skórze i tak już zaczerwienionej od słońca.

Lara i Cathy zawarły jeszcze jedną znajomość: zapoznały się z bladą,



rudowłosą kobietą imieniem Jennifer. Wieczorami całą czwórką wypuszczali się do miasteczek, w których zatrzymywał się autokar. Kupowali na targach owoce, paczki herbatników i okrągłe placki z pszennej mąki, a im dalej na wschód jechali, tym bardziej zwracali na siebie uwagę miejscowych. Mężczyźni w turbanach i długich bawełnianych szatach, którzy wyglądali jak przeniesieni żywcem z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, łazili za nimi krok w krok i gapili się na Cathy ubraną w džinsy z włosami ukrytymi pod chustką, na Jennifer o skórze tak jasnej, że aż niebieskawej, lecz przede wszystkim na Larę, która splotła ciemne włosy w dwa warkoczyki, związane na końcach różowymi i pomarańczowymi gumkami.

- Jesteś w odpowiednim wieku do małżeństwa - oznajmił Sam. - Przynajmniej w tej kulturze. - I nie raz, i nie dwa ktoś proponował za nią pieniądze czy nawet wielbłądy.

- Pilnuj się nas - ostrzegła Cathy, a Lara szybko odszukała dłoń Sama.

Było tuż po dwunastej. Lambert stał z naręczem papierów w ramionach i przyglądał się z dezaprobatą, jak dwóch robotników przenosi na drugi koniec tarasu stół, przy którym dotąd pracował.

- Nie! W tę stronę, o, tutaj! - Odziana w obszerny, szalenie profesjonalnie wyglądający fartuch Ginny dyrygowała nimi piskliwie, wymachując rękami nad zlewem i przy okazji chlapiąc wodą na podłogę.

- Chyba pójdę na górę popracować - odezwał się Lambert.

- Och, na litość boską - zachnęła się Caroline. - Nie możesz choć raz zapomnieć o pracy? Kiedy ostatnio byłeś na urlopie?

- Sęk w tym - wyjaśnił Lambert - że nie robię się młodszy. A to stulecie, jak zapewne zauważyłaś, jest dość długie.

- Tak - przyznała Caroline zgaszonym tonem. - Rozumiem. - I patrząc na niego łagodniej, pocałowała go w czoło.

Lara patrzyła, jak ojciec wchodzi po schodach. A gdyby naprawdę nie zdążył wszystkiego spisać? Co stałoby się z jego książką, gdyby zmarł przed jej ukończeniem? Jest tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy, a on dobiega

sześćdziesiątki. Do końca wieku zostało dziewiętnaście lat, więcej niż ona jest na tym świecie, więc miałby wtedy - wzdrygnęła się na samą myśl - siedemdziesiąt siedem lat.

- Pracuj, pracuj! - zawołała za nim Caroline. - Tylko nie zapomnij: będą o pierwszej.

Lara nie śmiała spytać, kto przyjdzie o pierwszej - bała się zawodu. Na tarasie stały już trzy stoły, które Ginny nakrywała grubymi białymi płóciennymi obrusami.

- Mogę pomóc? - spytała, a Ginny odparła, że może odliczyć szesnaście noży, widelców i widelczyków. I szesnaście łyżek.

Lara zaczęła liczyć. Oznaczało to, że oprócz nich będzie trzynaścioro gości. Jeśli to mają być goście z Ceccomoro, to oznaczałoby trzy córki Willoughbych, Antonię, Tabithę i May. Do tego dochodzą Kip, Roland oraz Piers. Pamela i Lulu, no i oczywiście Andrew, ale to wciąż o cztery osoby za mało. Może przyprowadzą własnych gości, a może chodzi o całkiem innych trzynaście osób.

Rozłożyła sztuce i dyskretnie się wymknęła. Resztę popołudnia spędziła w basenie, pływając w tę i z powrotem, dopóki nie poczuła się szczupłą, silna i głodna jak wilk, ale i spokojniejsza. Ubrała się, ale nie zdjęła bikini na wypadek, gdyby Rolandowi znowu zebrało się na dowcipy, i stwierdziwszy, że pora wciąż jest wczesna, wróciła do kuchni.

- Pewnie jesteś ciekawa, przy kim będziesz siedzieć? - Ginny szturchnęła ją lekko, podając jej wazon z kwiatami i instruując, aby zakryła nim zmarszczkę na obrusie. - Caroline już postanowiła, jak rozsadzi gości, więc pozostaje nam tylko trzymać za ciebie kciuki.

Caroline przed każdym nakryciem ustawiała białą karteczkę wyjętą z malutkiego wiklinowego koszyka.

- Jak się dzisiaj mamy? - spytała, gdy Lara podreptała za nią wzdłuż stołu, z wielkim zadowoleniem czytając nazwiska osób, które tak bardzo chciała zobaczyć.

- Och, bardzo dobrze, dziękuję. - Zawahała się. Czy wypada spytać o zdrowie kogoś, kto jest chory? Czy to uprzejmie, zwłaszcza gdy ta osoba udaje, że nic jej nie

jest? - A kto to jest Isabelle? - spytała.

- Isabelle? - Caroline zrobiła zdziwioną minę, jak gdyby dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez przypadek ustawiła kartkę z tym imieniem przy tej z imieniem Lamberta. - Hm... - zrobiła taki ruch, jak gdyby chciała przełożyć kartki, a potem machnęła ręką i wróciła do domu.

Lara niespokojnie krążyła wokół Ginny, obserwując, jak kucharka miesza dressing do sałatki, zręcznie wygarnia awokado ze skórki, kroi je w plastry i układa między jasnymi krążkami mozzarelli, plasterkami pomidora i zielonymi gałązkami bazylii.

- Zmykaj - mruknęła Ginny, gdy rozdzwonił się dzwonek u drzwi. - Najpierw umyj ręce! - I zagoniła Larę do łazienki akurat w chwili, gdy Caroline poszła otworzyć.

- Podróż była koszmarna? - mówiła Caroline. - Moje biedactwa. Tak się cieszę, że mimo wszystko przyjechaliście. - Potem jakieś szuranie i tupot stóp, jak gdyby ktoś szybko przebiegł przez pokój.

Lara wytarła ręce i spojrzała w lustro.

- Witam - powiedziała dla próby. - Dziękuję, czuję się świetnie. - I przechylała głowę to w tę, to w tamtą stronę, uśmiechając się tak, aby uśmiechały się nie tylko jej usta, ale i oczy.

Kiedy wyszła z łazienki, Caroline przedstawiła ją jakiejś kobiecie - Isabelle oraz jej mężowi, który miał na imię Hugh. Przyjechali z dwójką dzieci, które biegły właśnie w stronę basenu, z dziewczyną wyglądającą na jakieś dwanaście lat oraz siedmio- czy ośmioletnim chłopczykiem, żywym jak młody psiak.

- Lepiej do nich pójde - odezwała się niespokojnie kobieta, odgarniając z oczu pasma jasnych włosów, po czym prawie pobiegła do ogrodu. - Allegra, złap go!

Lara uścisnęła dłoń Hugh, wielkiego, niedźwiedziowatego mężczyzny o zaskakująco gęstych włosach, dziwnie wyglądających przy zniszczonej twarzy.

- Miło mi cię poznać. - Pochylił się nad nią i szepnął jej do ucha: - Wprost przemiło.

Wyszli na taras i patrzyli zza poręczy, jak Isabelle miota się przy basenie, rozpaczliwie usiłując powstrzymać syna przed rzuceniem się do wody.

- Nie, Hamish - powtarzała coraz głośniejszym głosem, kiedy szarpał się i wyrywał. - Nie. Przestań! Nie!!

- Och, po prostu mu pozwól - burknął Hugh.

Caroline zrobiła głęboki wdech i krzyknęła:

- Dajże mu popływać, do stołu siadamy najwcześniej za godzinę!

Isabelle spojrzała na nich, unosząc ku niebu ręce, jak gdyby chciała powiedzieć: „Dzięki! Piękne dzięki! Wszyscy przeciwko mnie!” - Jej syn wyszczerzył zęby, pokazał język i wskoczył do wody. Allegra, która kuciała przy drugim końcu basenu, pochylona tak nisko, że zamiatała wodę włosami, wstała i powoli ściągając letnią sukienkę, spod której wyłaniał się srebrny kostium kąpielowy, ostrożnie sprawdzała temperaturę wody palcem u nogi.

- Masz rodzeństwo? - zagadnął Larę Hugh, gdy patrzyli na dwójkę jego pociech, jedno pływające uroczyście, drugie wyczyniające w basenie dzikie harce.

- Nie, jestem jedynaczką. - I jak zawsze, nie była pewna, czy powinna czuć wdzięczność wobec losu, czy raczej smutek.

- Lara jest córką Lamberta - wyjaśniła Caroline, podając Hugh whisky w pękatej szklance.

Zastygł z ręką w powietrzu.

- Myślałem, że... Nie wiedziałem. - Zmarszczył czoło.

Właśnie wtedy z wielkim hałasem przyjechały dwa samochody Willoughbych. Jak burza wpadli do domu, ucałowali Caroline na powitanie, grzecznie dali przedstawić się Hugh, choć niektórzy najwyraźniej już go znali, i czekali niecierpliwie, aż dostaną swoje drinki.

- A to jest Ginny - dodała Lara, gdy kucharka przyniosła misę serowych paluszków prosto z piekarnika. Goście powitali ją z przesadną serdecznością. Roland nawet pocałował ją w rękę, ale Ginny najwyraźniej nie miała mu tego za złe. Zarumieniła się, zachichotała i pobiegła do kuchni po więcej wina, które chłodziło

się w lodówce.

W końcu Isabelle weszła po kamiennych schodach, ciągnąc za sobą opierającego się Hamisha z włosami posklejnymi od wody i sterczącymi na wszystkie strony świata. Za nią sennym krokiem podążała jej córka, już w sukience.

- Dzięki. - Isabelle popatrzyła na męża ze złością, jak gdyby chciała powiedzieć: „tobie to dobrze”.

Sączący już drugą whisky Hugh uniósł brwi.

- Hej - odparł, patrząc na nią wzrokiem, który zdawał się mówić: „a cóż ja takiego zrobiłem?”.

Caroline zaczęła rozsadzać gości. Lara zauważyła, że młodzież przemieszała z dorosłymi w taki sposób, aby wszyscy odczuwali możliwie największy dyskomfort, niemniej jednak całkiem sprytnie umieściła Hamisha przy Kipie, który natychmiast rozpoczął grę w kamień, nożyce, papier, obiecując okrutną „pokrzywkę” temu, kto przegra trzy razy z rzędu. Hamish aż pisnął z zachwytu, gdy pierwszy raz doświadczył upragnionej tortury, a Isabelle, uśmiechając się z miną męczennicy, przyjęła duży kieliszek wina i ciężko opadła na krzesło.

- Macie udany urlop? - zagadnęła ją Pamela.

Isabelle odgarnęła włosy, tak aby nie wchodziły jej do oczu.

- No cóż - mruknęła i westchnęła ciężko.

W tym momencie pojawił się Lambert. Garnitur miał wygnieciony, jak gdyby w nim spał, palce prawej dłoni uwalane atramentem.

- Najmocniej przepraszam - powiedział ścisłym, pełnym skruchy tonem. - Straciłem rachubę cza... - Siedzący przy stole podnieśli na niego wzrok i umilkli. Pod prawym okiem miał plamę atramentu, jak gdyby nie tyle pracował nad tekstem, ile raczej próbował wytrzeć nim sobie twarz.

- Przyszedłeś w samą porę - zawołała z wdziękiem Caroline i wskazała mu wolne miejsce przy Isabelle.

Lambert usiadł. Dolał Isabelle odrobinę wina, sobie nalał wody, a potem pochylił się w jej stronę i szepnął coś cicho, tak aby nikt nie mógł tego usłyszeć.

- Przezabawne. - Po jej twarzy przemknął uśmiech, a potem kobieta przysunęła się do niego i także ściszyła głos.

Oczy miała nawet ładne, orzechowe, za to jej włosy były mysiego koloru, jaki większość kobiet bez wahania przefarbowałaby na blond. Dłonie, które bez końca składały serwetę w harmonijkę, miała zaskakująco zniszczone, skórę na palcach wskazujących suchą i popękana, paznokcie krótkie i obcięte w kwadrat. Mimo to wydawała się niebywale efektowna, zupełnie jak gdyby właśnie o takich dłoniach, tylko nakremowanych i po manikiurze - oraz o całej reszcie - marzyła każda kobieta.

- Więc... ehem.

Ktoś chrząknął i Lara zdała sobie sprawę, że nie ona jedna obserwuje Lamberta i Isabelle.

- Pan też jest na urlopie? - zwróciła się do Hugh.

Hugh przełknął ślinę.

- Mamy dom letniskowy niedaleko stąd, może z godzinę drogi. Przyjeżdżamy tu latem i na Wielkanoc, a jeśli pogoda jest ładna, to i czasami jesienią. Issy bardzo na to nalega. Gdyby mogła postawić na swoim, to mieszkałaby tu przez okrągły rok.

Nie mogli się powstrzymać: oboje znowu spojrzeli w kierunku Lamberta i Isabelle. Choć minęła zaledwie chwila, wydawało się, że twarz żony Hugh uległa przeobrażeniu. Zmarszczki jej się wygładziły, oczy nabrały blasku, nawet we włosach pojawiły się małe złote refleksy.

- Tato? - Lara czuła się w obowiązku, by przynajmniej spróbować uwolnić Hugh od katuszy, jakie musiał przechodzić. - Tato? - powtórzyła, lecz Lambert, nieprzyzwyczajony, by ktokolwiek nazywał go ojcem, nawet nie podniósł na nią wzroku.

Szczęśliwie akurat w tym momencie Ginny przyniosła dwa olbrzymie półmiski z sałatką.

- Pozwól, że ci pomogę. - Hugh skwapliwie chwycił półmisek i przechylił go tak mocno, iż Lara pośpiesznie musiała nałożyć sobie porcję sałatki, aby ta nie wylądowała na obrusie w kałuży oliwy z oliwek. - Może chleba? - Częstował



wszystkich dookoła, a potem uparcie podsuwał koszyk z pieczywem żonie, choć już za pierwszym razem podziękowała powściągliwym gestem, ledwie rzuciwszy na niego okiem.

- Nie, dziękuję - odezwał się Lambert, gdy Hugh w dalszym ciągu potrząsał koszykiem, i ściszywszy głos, wrócił do przerwanej rozmowy.

Lara spojrzała ponad stołem: Kip nałożył sobie taką górę chleba, jak gdyby nie jadł od tygodnia, a naśladujący go wiernie Hamish ułożył na talerzu identyczny stos pieczywa.

- Nie - powtórzył posepnie Hugh, a w jego głosie pojawiła się nutka hysterii. Pochylając się nad kolanami co najmniej dwóch osób, w tym Lary, wziął z koszyka jedną kromkę. - Przepraszam - mruknął i jak gdyby chcąc w ten sposób przeprosić tych, których omal nie zmiądzzył, zaproponował im dolewkę wina. - Śmiało - namawiał, gdy Lara pokręciła przecząco głową i podziękowała. Wyglądał tak żałośnie, że zmieniła zdanie, mimo iż po pierwszym wypitym za szybko kieliszku zdążyło zakręcić jej się w głowie.

Zanim wszyscy uporali się z głównym daniem, wypła tyle, że mogła całkiem wesoło plotkować z Tabithą siedzącą po jej drugiej stronie. Wypytywała, jak to jest, kiedy jest się w ciąży, kiedy się czuje, jak dziecko się porusza, kopie. Skąd Tabitha będzie wiedziała, że to już? Boi się? Musiała ugryźć się w język, by nie spytać, jak wytrzyma z takim typem jak Roland, który nagle pojawił się między nimi i przykucnął między krzesłami, spocony, z papierosem w dłoni.

- Ktoś ma ochotę popływać? - spytał, a Tabitha przegarnęła mu włosy.

- Utopisz się, jeśli teraz wejdiesz do basenu, mój ty wielki głuptasie.

- Wielki? Ja? A przeglądałaś się ostatnio w lustrze? - Oczy mu się zwięzły i dmuchnął jej w twarz dymem.

Tabitha się roześmiała.

- Idź z nim popływać, Laro, bo inaczej będzie marudził.

Nie chcąc być nieuprzejma, Lara niechętnie podążyła za nim po kamiennych schodach. Raz się obejrzała, pewna, że ściągają na siebie pełne dezaprobaty





że nie tak to wcześniej wyglądało, że nie dlatego odłączyli od reszty gości. Jednak Kip na nią nie patrzył. Rozebrał się szybko, rzucając ubranie na ziemię, i wskoczył na bombę do basenu tam, gdzie woda była najgłębsza. Hamish usiłował zrobić to samo, ale uderzył o wodę brzuchem i przez chwilę miotał się dziko, zanim zdołał złapać oddech.

Chwilę później pojawiła się Allegra, bezszelestna i bosa. Zsunęła z ramion niebieską sukienkę i usiadła obok Lary, ostrożnie zanurzając stopy i smukłe łydki, po czym z nieprzeniknioną miną polewała się wodą, tworząc na skórze skomplikowane wzory ze ściekających kropeł. Obie w milczeniu patrzyły, jak Kip i Roland ścigają się i siłują, podczas gdy Hamish, który jak szczeniak pływał między jednym a drugim, błagał, żeby zrobili z dłoni siodełko i podrzucili go do góry. Lara zaczęła naśladować Allegrę - nabierała wody w dłonie, ochlapując twarz chłodnymi kroplami, polewała rozgrzaną głowę. Słońce prażyło niemiłosiernie, niebo było zgęstniałym błękitem. Jednak zamiast wejść do basenu, Allegra chłodziła się coraz większymi ilościami wody. Polewała nią kostium, szyję i swoje długie włosy, by nie opadały jej na twarz. Lara po raz pierwszy mogła się jej dokładnie przyjrzeć, jej szerokim ustom i wysokiemu czołu, delikatnej karnacji. Była wysoka, szczupła i smukła jak żrebak. Pewnie tysiące razy słyszała, że wyrośnie na prawdziwą piękność.

Powoli całe przyjęcie przeniosło się nad basen. Goście nieśli filiżanki z kawą i miniaturowe kieliszki z likierem, jedynie Hugh trzymał butelkę czerwonego wina. Dorośli usadowili się w cieniu, Andrew Willoughby sięgnął po najnowszy „Timesa” i pogrążył się w lekturze.

- Kto wpadnie do Ceccomoro na wspólne oglądanie jutrzejszego ślubu? - spytał po chwili, a kiedy nikt mu nie odpowiedział, pozwolił, by gazeta sfrunęła na ziemię. - Jak sobie chcecie - mruknął i zamknął oczy.

- Ja przyjadę. - Allegra uniosła rękę, lecz Isabelle tylko pokręciła głową, nie ruszając się ze swojego leżaka.

Lambert podniósł z ziemi porzuconego „Timesa”.

- Angielskie gazety. - Przysunął druk pod sam nos. - Człowiek niemal przestaje żałować, że wyjechał z kraju. Jedyna niezawodna przyjemność w życiu.

Andrew, który wciąż leżał z zamkniętymi oczami, mruknął cierpko:

- Zależy, czy o tobie piszą czy nie.

- Tak - przyznał Lambert półgłosem. - I co piszą.

Przyjęcie przeciągnęło się do wczesnego wieczoru, jednak powoli, sennie wszyscy w końcu pożegnali się i poszli.

- Zobaczymy się jutro? - spytała May, żegnając się z Larą. - Przyjedź

Lara obejrzała się na Caroline.

- Bardzo bym chciała. O ile będę miała jak do was dojechać.

- Cóż, gdyby był jakiś...

dopijał czarną kawę, podczas gdy jego żona przyglądała się temu, stojąc przy samochodzie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Mówiłam, że ja poprowadzę - oznajmiła, ale udał, że jej nie słyszy i uśmiechając się blado, raz do Caroline, raz do Lary, raz nawet do Lamberta, wgramolił się do samochodu.

Gdy zostali sami, wrócili do domu, na powrót czystego i schludnego, jak gdyby przyjęcie w ogóle się nie odbyło. Lara usiadła na kremowej sofie i po raz kolejny przeglądając pismo „HOLA!”, słuchała, jak Caroline z Lambertem obgadują gości.

- Przykro mi, że nie mogłeś się uwolnić od tej nieszczęsnej Isabelle Whittard. Swego czasu była naprawdę śliczna i zajmująca, ale odkąd wyszła za mąż, zrobiła się z niej okropna nudziara.

Lambert wyglądał na rozbawionego.

- Dziwne - stwierdził. - Kiedyś wydawała mi się dość pospolita. Teraz widzę, że się myliłem.

Caroline uniosła brwi.

- Cóż, za to jej mąż wygląda jak kłębek nerwów. Nic dziwnego, że biedak próbuje topić smutki w kieliszku. Ale ta ich mała jest naprawdę ładniutka.

Lara oderwała wzrok od czasopisma i zerknęła na ojca, który przekrzywił głowę, jak gdyby nie był o tym przekonany. I dobrze, pomyślała, jednak nie mogła wymazać z pamięci obrazu Allegry, jej pełnych ust, spływających na ramiona włosów barwy miodu i błyszczących oczu, gdy patrzyła, jak Kip szaleje w wodzie.

- A Andrew Willoughby... - Caroline się przeciągnęła.

- O tak - przyznał Lambert. - Zawsze był z niego gnojek. - I po jego twarzy przemknął cień.

Lara zabrała magazyn do pokoju i leżąc w łóżku, wpatrywała się w portret lady Diany, zajmujący niemalże całą okładkę. Obraz, który niedawno odsłonięto w Narodowej Galerii Portretów, przedstawiał „pierwszą kobietę w rodzinie królewskiej” - jeśli wierzyć opisowi - „którą kiedykolwiek uwieczniono w

spodniach". Autor portretu, jak następnie wyczytała, liczył się z koniecznością ucieczki, albowiem już kiedyś, gdy namalował portret księżniczki Małgorzaty, który się nie spodobał, był zmuszony ukrywać się przez trzy tygodnie. Czy jego obraz nie spodobał się szerokiej publiczności, czy tej ukoronowanej, tego akurat autor artykułu nie precyzował.

W magazynie Lara znalazła również zdjęcie Karola i Diany na garden party, pozujących pod parasolami w ulewnym deszczu, poniżej przytoczono wypowiedź Diany, że deszcz wcale jej nie przeszkadza, byle tylko nie padało w środę. W dniu jej ślubu nie może padać. Po prostu nie może. Lara podeszła do okna i spojrzała na nocne niebo. Znowu było słyhać muzykę, lecz tym razem w powietrzu niosły się dźwięki walca. Gdy tak patrzyła, w dali rozbłysło światło. „Ktoś daje znaki?” - zastanawiała się, gdy po minucie czy dwóch światółko zgasło, by po chwili znowu zamigotać. Szerzej otworzyła okno i wychyliła się.

Nie tylko Lara zakochała się podczas podróży do Indii. Nauczycielka z Birmingham oszalała na punkcie dmuchacza szkła z Kentu i jeszcze zanim się przeprawili przez Kanał La Manche, zakochana para spytała sąsiadów, czy nie mieliby nic przeciwko zamianie miejsc, tak aby oni mogli siedzieć obok siebie. Już przed pierwszym noclegiem w wojskowych namiotach z demobilu, będących na wyposażeniu autokaru, gdy reszta siedziała przy ognisku i grzecznie czekała na kolację, wymknęli się gdzieś, a kiedy wrócili, oboje mieli maślany wzrok i ledwie stali na nogach. Prawie nie tknęli jedzenia, a przez cały następny dzień tulili się do siebie w autokarze, głaskali, całowali i szeptali sobie coś do ucha.

- Och, na litość boską - irytowała się Cathy, lecz Lara, ilekroć nadarzyła się okazja, wlepiła w nich wzrok.

Tamtego wieczoru, kiedy wszyscy czekali na kolację, nagle usłyszeli jakiś huk, a potem głucho łomotanie dobiegające z autokaru.

- Co to? - W pierwszej chwili grupa była zaniepokojona, lecz wkrótce stało się jasne, że to nauczycielka i dmuchacz szkła kochają się w bagażniku. Trudno było udawać, że nie słyszy się skrzypienia podwozia i dziwnego, niezemskiego pogłosu

ich jęków. Trwało to tak długo, że w końcu ktoś nastroił gitarę i wszyscy zaczęli głośno śpiewać. W ciągu tygodnia para zaczęła spędzać w bagażniku całe noce, jednak za dnia nikt o tym nie wspominał.

- Ale dzisiaj cicho, aż dziwnie - żartowali Lara i Sam, gdy akurat z bagażnika nie dobiegał żaden dźwięk, po czym wyruszyli na wieczorne zwiedzanie miasteczek, niezmiennie kierując się w stronę targu, by kupić kolorowe włóczki, którymi Lara zaczęła ozdabiać ubrania znajomych z autokaru. Haftowała kwiaty, liście, dzieci trzymające się za ręce, a inni pasażerowie dawali jej w zamian coca-colę, figurki i medaliki ze steatyty.

Następnego dnia Kip po nią nie przyszedł. W gruncie rzeczy Lara zbyt na to nie liczyła, lecz mimo to wstała bladym świtem i przez całe rano siedziała w pokoju, nasłuchując i czekając na cichy chrzęst żwiru pod jego butami. Ostatecznie, tuż przed jedenastą, poszła na dół, gdzie Lambert pracował nad książką, a Caroline pisała jakiś list, i spytała, czy ktoś jeszcze nie wybrałby się do Ceccomoro obejrzeć ślub.

- Moja droga. - Caroline wyglądała na rozbawioną. - Sądziłam, że kompletnie cię to nie interesuje.

Lara zawahała się, przypominając sobie, że dzień czy dwa temu istotnie wcale jej to nie obchodziło.

- No tak, ale w pewnym sensie obiecałam, że przyjdę. - Zarumieniła się, a Caroline uśmiechnęła się przeciągle i poszła do kuchni spytać Ginny, która ściągała cienką, pomarszczoną skórkę z grillowanych strąków papryki, czy nie podwiozłaby Lary do Willoughbych.

Ginny zgodziła się zachwycona, że nadarza się okazja, by porozmawiać o ślubie lady Diany. Pośpiesznie wdrapała się do citroena, zapominając o zatrzaśnięciu drzwi po swojej stronie, potem wrzuciła wsteczny i chciała ruszyć, ale silnik jej zgasł.

- Jak w bajce - westchnęła, a Lara zauważyła, że Ginny jest bliska łez.

Przez całą drogę, gdy mijały kamienne lwy i jechały kredowym podjazdem,

Ginny opowiadała jej o swoim podziwieniu dla lady Di. Lara milczała, zaciskając usta, by nie wyznać, że sama ma wobec przyszłej księżnej mieszane uczucia, i żałując, że nie może zabrać Ginny za sobą do Ceccomoro. Jednak wtedy Caroline nie dostałaby w porę swojego lunchu, no i co powiedziałyby klan Willoughbych, gdyby na wspólne oglądanie ślubu zaprosiła kucharkę?

- Wiesz co? - paplała Ginny. - Mało brakowało, a nie przyjąłabym tej posady. Chciałam tam być, przed katedrą świętego Pawła, ale wierz mi, nie stać mnie na to, żeby machnąć ręką na cały miesiąc pracy. - Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Ale pojechałabym tam, gdybym mogła. Dla niej. - Wzruszona pociągnęła nosem, pomachała Larze i zaczęła zawracać.

W sali telewizyjnej panował półmrok, kamienna podłoga była przysłonięta dywanami, na których ułożono ozdobne poduszki zdjęte z sofy, tak aby mogło usiąść więcej osób. Gdy Lara popchnęła drzwi i weszła do środka, wszyscy wlepili w nią wzrok, niektórzy uśmiechnięci, inni zdziwieni, jeszcze inni z minami, jak gdyby nigdy jej nie widzieli, a jeśli nawet, to nie spodziewali się zobaczyć nigdy więcej. Ostrożnie stapała wśród ułożonych wygodnie domowników i gości, szukając wolnego miejsca, dopóki nie wypatrzyła wolnej poduszki przed oparciem sofy. Dopiero gdy usiadła, zdała sobie sprawę, że opiera się ramieniem o nogę Andrew Willoughby'ego, a jej najbliższym sąsiadem na podłodze jest Kip. Spojrzał na nią i skinął z ledwie widocznym uśmiechem, a potem obrócił się i zerknął w stronę drzwi. W progu stała Lulu i wpatrywała się w miejsce, które właśnie zajęła Lara.

- Och. - Lara zaczęła gramolić się z podłogi. - Przepraszam. - Jednak pozostali syknęli tylko, żeby się uciszyła, a Lulu wzruszyła ramionami i szturchnęła nogą Rolanda, żeby się posunął, po czym usiadła na poręczu fotela.

Lara niczego nie straciła. Między Włochami a Wielką Brytanią była godzinna różnica czasu, więc książę i przyszła księżna nie weszli nawet do katedry. W Londynie była piękna pogoda. „Chwała Bogu” - pomyślała, śmiejąc się z samej siebie, że tak bardzo to przeżywa. Sam widok Londynu, pałacu Buckingham i katedry świętego Pawła, przyprawił ją o nostalgię i przyłapała się na tym, że tęskni



za matką i wpatruje się w telewizor z taką nadzieją, jak gdyby mogła wypatrzeć w tłumie dobrze znane rysy. Mimo iż było to mało prawdopodobne, prześlizgiwała się wzrokiem po twarzach wiwatujących, machających flagami ludzi, rozpromienionych i pełnych patriotycznej dumy, z niemal histeryczną radością przeżywających ten wielki dzień.

- Jego Wysokość Karol Filip Artur Jerzy - czyjś głos uciał ryk tłumu - ksiązę Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, ksiązę Walii i hrabia Chester, ksiązę Kornwalii, ksiązę Rothesay, hrabia Crick i baron Renfrew, lord Wysp i Wielki Steward Szkocji, w katedrze świętego Pawła poślubi... lady Dianę Frances Spencer.

Lara pomyślała, jak skromnie brzmi to „lady Diana” przy tytułach jej przyszłego męża. Nie mogliby dodać jej jednego czy dwóch tylko na dzisiaj? Baronowa Przedszkoli, Ikona Trendów Fryzjerskich dalekiego Knightsbridge oraz World's End, hrabina Sloane Square, Pierwsza Dama Prasy Niedzielnej. Księżna Czystych i Pełnych Nadziei, Ukochana Zwłaszcza przez Ginny.

W tej samej chwili ukazał się królewski powóz. Nadjeżdżał nim ksiązę Karol, natychmiast rozpoznawalny, choć kamera pokazywała go od góry, dzięki nietypowemu kształtowi głowy, którego nie zdołała ukryć wojskowa czapka. Lara założyłaby się, że na tę okazję zrobił sobie przedziałek jeszcze bliżej ucha. Ale gdzie Diana? Przecież to na nią czekają tłumy. Spóźni się? Trochę chyba powinna. Trzy minuty. Czy to zwyczajowe spóźnienie, po którym zaczną się szmery niepokoju? Karol już w katedrze, podobnie jak królowa i królowa matka, każda od stóp do głów odziana w jeden kolor, tak iż z daleka wyglądają jak dwie jednobarwne bryły. Już czekają ksiązę Filip, księżniczka Anna, ksiązę Andrzej i Edward.

Kamera przesuwają się po tłumie. Oto i ona, w innym powozie, z woalką na twarzy, a obok niej ojciec, który przy takiej ilości bieli wydaje się jeszcze bardziej czerwony niż zwykle.

- Jako wywodzący się z gminu - wyjaśnia komentator - nie mają prawa do wojskowej eskorty i musi im wystarczyć towarzystwo policji konnej. - Jednak tłum

nie obchodziły mundury eskorty Spencerów. - Jeszcze bardziej niż samą Dianę ludzie pragnęli zobaczyć jej ślubną suknię. Powóz zaczął się zatrzymywać. Zaraz będą ją mogli obejrzeć. Było słychać, jak wszyscy w pokoju wstrzymują oddech, gdy Diana szykowała się do wyjścia z powozu. Oto i suknia w całej krasie. A raczej w całej ohydzie. Koszmarek, o jakim nie śniło się nawet redaktorom „iHola!”. Lara rozejrzała się szybko, ale wszyscy wpatrywali się jak urzeczeni w baśniową przemianę nieśmiałej, zahukanej dziewczyny w prawdziwą księżną. Diana ruszyła przed siebie, nie oglądając się na upiornie długi tren, z którym musiały się męczyć druhny, szarpały się z nim jak z opornym białym prześcieradłem. Majestatycznie sunęła po schodach katedry, a potem znikła w jej wnętrzu, wlokąc za sobą tren, lecz po chwili i on zniknął z oczu gapiów.

- Ja pierdziele - odezwała się Tabitha gdzieś z sofy. - Niech mi ktoś pomoże wstać. Muszę siku.

Roland nie ruszył się z miejsca, lecz kiedy jego żona wstała i ostrożnie, chwiejnym krokiem przechodziła nad nogami brata i sióstr, odprowadził ją wzrokiem, dopóki nie doszła do drzwi.

- Piers - syknął, a kiedy Piers się obejrzał, Roland mrugnął do niego porozumiewawczo. - Teraz twoja kolej.

Piers znowu wlepił wzrok w ekran telewizora, na którym Karol i Diana stali ramie w ramie, Karol z rumieńcami, rozpromieniony, Diana ukryta w swoim białym całunie.

- Tak - mruknął Piers, nie dając się wciągnąć w rozmowę, i uściśnął rękę May.

Gdy rozpoczęła się ceremonia zaślubin, znowu zapadła cisza i nikt nie odezwał się słowem dopóty, dopóki Diany nie poproszono o powtórzenie wszystkich tytułów Karola, a jej oczywiście udało się coś pomylić.

- Neeeeeeee! - wrzasnęli zgodnie i zaczęły się docinki pod jej adresem, chichoty i szyderstwa, jednak w głębi duszy wszyscy czuli ulgę, iż zrobiła coś, co rozładowało atmosferę. Zanim wszyscy na powrót ucichli, Karol i Diana byli już małżeństwem.

- Cóż. - Andrew Willoughby ziewnął i przeciągnął się. - No to ma facet przechlapane. - Kiedy Pamela wstawała, uszczypnął ją w tyłek i oznajmił, że jak na jedno lato ma serdecznie dość Wielkiej Brytanii i w tym roku nie chce o niej słyszeć ani słowa więcej.

Wszyscy kolejno wstawali i wychodzili na dwór. Lara nie była pewna, jak powinna się zachować, nie mając oficjalnego pozwolenia, aby zostać, więc podążyła za innymi gośćmi w stronę parkingu i stanęła w bramie, wyglądając przez nią, jak gdyby rzeczywiście miała samochód. Potem obejrzała się w stronę budynku, bo przyszło jej do głowy, że powinna wrócić i przynajmniej pożegnać się albo podziękować, gdy w drzwiach stanął Kip i zawołał do niej: - Lepiej zostań na lunch, bo inaczej wyjdzie głupio.

- Okay - zgodziła się, a Kip widząc jej pytające spojrzenie, podszedł bliżej i szepnął: - Pomyśli, że wszyscy jej nienawidzą.

- Kto?

- Pamela. Pani P. No wiesz, my rzeczywiście jej nienawidzimy, ale dzisiaj jest za gorąco, żeby się z nią użerać.

Stali wpatrzeni w wiejską drogę, patrząc ponad ciemnymi kępami drzew, ponad zakurzonymi kamiennymi murami, które okalały pola, ponad stromym zboczem, opadającym, a potem znów wznoszącym się ku wzgórzom.

- Gdzie ten skrót? - spytała. - To znaczy, gdybym chciała wrócić do domu pieszo.

- Ach, ten. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Mówisz o seksownej ścieżce? - A potem nieoczekiwanie zaczerwienił się i jak gdyby zapomniał, że o coś go pytała, oddalił się w kierunku basenu.

Po południu wszyscy byli jacyś bez humoru. Zupełnie jak gdyby widok Wielkiej Brytanii ich onieśmielił, przypomniał, że to tylko wakacje, że w rzeczywistości są całkiem inni niż tutaj.

Lara leżała na kamiennym tarasie, tak gorącym, iż parzył jej skórę, i jednym uchem słuchała monotonnego szmeru rozmów. Piers wypytał wszystkich, jakie

miejsce by wybrali, gdyby planowali podróż poślubną, a w odpowiedzi wymieniano Szkocję, pływający pałac w Indiach, Egipt, Bali i Devon. Karol i Diana mieli spędzić trzy dni u rodziny lorda Mountbatten, który zginął przed dwoma laty w zamachu bombowym przeprowadzonym przez IRA, a następnie, jak gdyby po to, aby wymazać to wspomnienie, wybierali się na dwutygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym.

- Gdybyście przylecieli do Los Angeles, moglibyście mnie odwiedzić - powiedziała sennie Lulu, a Andrew, który czytał gazetę wyciągnięty na leżaku, zapytał ją, kiedy zamierza ich opuścić.

- Kochanie! - Pamela wyglądała na urażoną. - Przecież już ci mówiłam. Lulu ma jutro samolot, a ja odwożę ją na lotnisko. Więc przez cały dzień będę poza domem.

Andrew nasunął kapelusz głębiej na twarz i mruknął coś pod nosem. Wyglądał na zmęczonego, nos miał zaczerwieniony i złaziła mu z niego skóra, za to jego chude łydki wystające z nogawek krótkich spodni były komicznie białe.

- No cóż - westchnął - to kto mnie rozweseli, kiedy jej nie będzie? - Rozdrażniony trzepnął gazetą, a potem zatrzymał wzrok na Larze i oczy mu zabłyśły. - Panno Riley, liczę na panią. Pani zadba, żeby nam się nie nudziło.

- Ja? - Lara uśmiechnęła się z cichą nadzieją, że źle go zrozumiała, że ma na myśli kogoś zupełnie innego, jednak Andrew patrzył na nią wyczekująco, jak gdyby chciał, aby ot tak, z marszu, rzuciła jakąś błyskotliwą uwagę. - Postaram się - odparła, ponieważ miała wrażenie, że wypada coś powiedzieć, a kiedy Andrew Willoughby, najwyraźniej usatysfakcjonowany, powrócił do lektury, zaczęła szukać w pamięci chociaż jednego zabawnego zdarzenia, o którym mogłaby opowiedzieć.

- Lara? - Ktoś szturchnął ją stopą.

- Tak? - Usiadła i mrużąc oczy, patrzyła pod słońce.

- I co ty na to? - To była May z płowymi włosami związanymi w kitkę na czubku głowy. - Kolacja w Sienie, żeby uczcić ostatni wieczór Lulu?

Wszyscy patrzyli na nią z wyczekiwaniem - wszyscy oprócz Lulu, która

czytała gazetę, leżąc na brzuchu z nogą odwiedzioną pod takim kątem, aby kolaniem dotykać ręcznika Kipa.

- Okay.

- Dobra. - May spojrzała na nią i oczy jej zabłyśły. - Ty, ja i Piers, Lulu, Roland, Kip. To już szóstka. Tabsy, dasz się wyciągnąć?

Tabitha zerknęła na męża.

- Mogłabym z wami pójść na kolację, ale jeśli potem chcecie poszaleć... - Ziewnęła. - Ja teraz padam koło dziesiątej.

- Oj, Tabs - jęknął Roland - nie psuj nam zabawy. Jeśli się uprzesz, będziemy musieli jechać dwoma samochodami.

Usta jej zadrżały.

- Dobrze. Zresztą mnie tam wszystko jedno. - Jednak Lara zauważyła, że niewiele później Tabitha zebrała swoje rzeczy i na tyle pogodnie, na ile się dało, podreptała do domu.

Po drodze zahaczyli o dom Caroline; samochód zatrzymał się na podjeździe, wznecając fontannę żwiru.

- Wróciłaś! - Lambert stał w drzwiach taki zadowolony, że aż objął Larę ramieniem. - Zaczynałem się zastanawiać... jak długo może trwać ślub?

- Ona tylko wpadła się przebrać. - Roland wysunął się o krok. - Wybieramy się

- Och. - Lambertowi opadły ramiona.

Puścił Larę.

- To ostatni wieczór Lulu - wyjaśniła. - Peę

od niej nie zależało.

- Pośpiesz się! - krzyknął z samochodu Piers. - Jeżeli chcesz się przebrać... - I nie patrząc na Lamberta, wbiegła po schodach.

Nagle zdała sobie sprawę, że to pierwszy raz, kiedy się rozstają, odkąd tydzień temu przenocowała w jego mieszkaniu. Pośpiesznie zdzierając z siebie ubranie i modląc się o to, aby w szafie cudem pojawiła się jakaś wystrzałowa kreacja, której wcale ze sobą nie zabierała, przez chwilę zastanawiała się, czy nie zostać. Mogłaby ułożyć się na jednej z jasnych sof i słuchać, jak Lambert i Caroline wspominają stare dzieje, lecz wiedziała, że nie oprze się pokusie wieczornego wypadu na miasto, jazdy samochodem i jedzenia pizzy po zmroku.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła Kipa, który wepchnął ręce do kieszeni i szurając butami, chodził powoli w tę i z powrotem po żwirowym podjeździe; przy białym kołnierzyku koszuli jego kark miał odcień zgaszonego brązu. Szybko wciągnęła dzinsy, wsunęła stopy w sandaalki na wysokich obcasach, i rzuciwszy pobieżne spojrzenie na swoje zaczerwienione policzki, pośpiesznie maznęła powieki eye-linerem, przygryzła usta, aby napłynęła do nich krew, i pobiegła na dół.

Pozostali zdążyli przejść do salonu i usiąść, gdzie popadnie. Teraz wiercili się niecierpliwie, rozmawiając z Caroline, która siedziała ze stopami opartymi o stertę poduszek, od pasa w dół owinięta moherowym szalem, tak lekkim, że zdawał się niemal nie dotykać jej skóry. Lambert stał przy niej z rękami wciśniętymi do kieszeni i pochyloną głową.

- Jestem gotowa - odezwała się Lara, a młodzi jak na komendę odwrócili się i doskoczyli do drzwi.

- Pa, tato. - Nachyliła się w jego stronę i poczuła, jak Lambert delikatnie muska ustami jej włosy.

- Pa.

To było coś nowego, być tą, której gdzieś się śpieszy, gdy to Lambert zawsze miał za dużo zajęć i zbyt mało czasu. Kiedy spotykali się w Londynie, wystarczały dwa kwadransy, by zaczął robić się niespokojny, i wiedziała, że chętnie wróciliby do

pracy albo już jest spóźniony na dawno obiecywanego drinka z wydawcą lub na spotkanie z researcherem, który właśnie dokopał się w archiwach do dokumentu takiej wagi i doniosłości, że nie można było czekać z nim ani chwili. Raz zostawił ją samą na mieście i popędził na przyjęcie w ambasadzie francuskiej - ambasador był ponoć szczególnym wielbicielem jego twórczości - a ona musiała samotnie zejść do podziemia Londynu i wrócić metrem do Finsbury Park.

- Pa, nie wrócę późno - dodała, wiedząc równie dobrze jak on, że to kłamstwo. Mimo iż Lambert próbował dodać jej otuchy uśmiechem, nie była w stanie na niego spojrzeć z szybko odjeżdżającego dżipa.

Siena nocą była pełna magii. Mury z piaskowca nabrały miękkości i upodobniły się do plastrów miodu, Piazza del Campo jarzyła się od świateł. Wszędzie spacerowały eleganckie pary, mężczyźni i kobiety o lśniących włosach, w wyjściowych kreacjach nieskazitelnie czystych i perfekcyjnie wyprasowanych, jak gdyby nad ich wyglądem napracowała się cała armia włoskich matek, by młodzi wieczorem mogli wybrać się na miasto w pełnej gali. Resztę stanowili turyści, zachwyceni włoskimi zwyczajami, wystrojeni w najlepsze ciuchy. Młodzi oblegali stoliki na zewnątrz, obserwując przechadzające się po placu pary, starsi porozsiadali się po kawiarenkach i sączyli czarną kawę albo piwo podawane w wysokich, wąskich szklankach.

Kelner zsunął dwa stoliki i zadbał, aby znalazło się sześć krzeseł.

- Ktoś zna włoski? - spytała Lara.

Kip zaśmiał się.

- Więcej fritki, więcej piwo.

- Ja się uczę - wtrąciła May, więc wszyscy pokazali jej, jaką chcą pizzę, i słuchali, jak składa zamówienie, co chwila przerywając jej okrzykami: - Nie zapomnij: więcej fritki, więcej piwo!

Lara usiadła przodem do restauracji, a tyłem do placu, na krześle, które przekrzywiało się lekko, tak iż woląla oprzeć się łokciami o blat stołu. Lulu, Roland i Kip siedzieli naprzeciwko niej, odchyleni do tyłu, z rękami skrzyżowanymi na



piersi, i komentowali aparycję przechodniów.

- Ja pieprzę! - ucieszył się złośliwie Roland. - Spójrzcie na to! - A Lara wbrew sobie podążyła za jego wzrokiem i obejrzała się przez ramię.

Dziewczyna, na którą patrzył, miała duży nos i niskie czoło. Ubrana była w potwornie obcisłą, dopasowaną w tali białą bluzkę, która eksponowała każdy szew jej stanika; widać było nawet kształt zapięcia wrzynającego się jej w plecy. Obok niej siedł facet w koszulce bez rękawów, z torsem jak u byka.

- Może się posiłujemy, co? - zaśmiał się z niego Piers, a Roland zaczął prężyć muskuły.

Nagle May zerwała się z krzesła jak oparzona.

- Kip! Jeśli koniecznie musisz kogoś obmacywać pod stołem, to wybierz kogoś innego!

- Nikogo nie obmacuję - wymamrotał. - Chryste, ja tylko przesunąłem nogi.

- Lara? - May nie zamierzała odpuścić. - Mam wrażenie, że to do ciebie się przymierzał. - I zrobiła do niej maślane oczy.

- Odwal się! - Kip rzucił w siostrę kromką chleba, a potem jego noga rzeczywiście otarła się o nogę Lary.

Lara znieruchomiała ze wzrokiem wbitym w obrus. Odważyła się spojrzeć na Kipa dopiero wtedy, gdy pojawił się kelner z pizzami i przy stole zrobiło się zamieszanie. Miała wrażenie, że Kip uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Kiedy wychodzili z restauracji, wszyscy byli pijani. Przez jakiś czas stali na placu i leniwie wyklócali się o to, czy taką samą frajdą jak wybrać się do klubu nie byłoby usiąść tam, gdzie stoją, i patrzeć na przechodniów.

- Nie. - Lulu i May były nieugięte. - Nie możemy sobie darować „Fioletowej Kotki”! - I z okrzykami: „No, ruszcie się!” zaczęły iść w kierunku biało-czarnej iglicy.

Podążali labiryntem uliczek i zaułków, zwalniając, gdy trzeba było iść pod górkę, i na wyścigi zbiegając w dół. Tylko Lara miała buty na obcasie, które co chwila niemiłosiernie zgrzytały o bruk albo utykały w spoinach, a gdy je wyrywała,

wydzierały z nich strużki brązowej ziemi. Po dwudziestu minutach znowu znaleźli się na głównym placu.

- Na miłość boską. - Roland był cały mokry, włosy mu pociemniały od potu. Pozostali popatrzyli na niego i aż zgięli się w pół ze śmiechu.

- Po prostu tu zostańmy - zaproponował Kip, lecz May zatrzymywała kolejnych przechodniów.

- *Per favore*. - Uśmiechała się najbardziej słodko, jak potrafiła. - *Dov'è il Purple Pussicat?*

Odpowiadały jej obojętne spojrzenia, poparte wzruszeniem ramion, lecz w końcu zatrzymał się przy nich jakiś mężczyzna w kraciatej kurtce i błyszczących półbutach koloru oberżyny i widząc, że wszyscy wpatrują się w niego z wprost idiotyczną nadzieją, dał znak ręką, żeby za nim poszli.

Gdyby nie on, nigdy nie trafiliby do klubu. „Fioletowa kotka” była ukryta za łukowatym przejściem w murze, a jej obecność zdradzał jedynie mały blady neon.

- *Molto, molto genitale!* - May chwyciła go za ręce, a on odskoczył jak oparzony i oddalił się szybko, nie oglądając się za siebie.

- O, mój Boże! - Na twarzy May malowała się zgroza. - Chciałam mu podziękować, powiedzieć, że jest bardzo miły, *molto gentile*... Ale chyba rąbnęłam, że ma wielkie genitalia!

Pozostali musieli oprzeć się o ścianę, parszając i dławiąc się ze śmiechu, kaszłąc i chrypiąc, czując, że zaraz im pękną płuca, a potem Piers wykrztusił:

- A nie mówiłem, że nauka włoskiego może być niebezpieczna?!

Wciąż się śmiejąc, popchnęli ciężkie drzwi i zbiegli po schodach wyłożonych czerwonym dywanem do holu, z którego - za grube miliony lirów - wpuszczono ich do klubu. Całe wnętrze było wyściełane grubym welurem. Wszystko - ściany, podłogi, a nawet spodnia strona kontuaru, przy którym zamawiało się drinki - oklejono grubym, mięsistym materiałem, który wydawał się aż tłusty w dotyku. Za barem jarzyły się rurki i spirale fioletowych świetlówek słabo oświetlających rzędy drinków, lecz reszta klubu tonęła w ciemnościach. Widać było jedynie niewyraźne

zarysy stolików i mały prostokąt parkietu, podświetlony reflektorami osadzonymi w podłodze.

Roland wziął Lulu pod rękę.

- Zatańcz ze mną! - poprosił przymilnym tonem, a ona obejrzała się na Kipa i wzruszywszy ramionami, przeszła za Rolandem na drugi koniec sali, kołysząc biodrami jak odaliska. Po chwili można było zobaczyć dwie ciemnie idealnie zgrabne sylwetki szalejące na parkiecie, choć akurat leciała wolna piosenka.

May wymknęła się do toalety, Piers zaproponował, że pójdzie po drinki, tak więc Kip i Lara zostali sami.

- Może tutaj? - spytała Lara, siadając na welurowej ławie i przesuwając się, by zrobić mu miejsce. Przez pewien czas milczeli, dopóki Lara nie zauważyła, że są podobnie ubrani. - Zobacz - ucieszyła się - wyglądamy jak bliźnięta.

Kip spojrzał na swoje ciuchy, a potem na Larę - na jej nogi w ciemnoniebieskich dżinsach, na brzuch i piersi pod białą podkoszulką, nim w końcu zatrzymał wzrok na jej twarzy. Po raz pierwszy poczuła, że skupia na sobie jego niepodzielną uwagę, przyciąga spojrzenie oczu o dużych czarnych źrenicach i błękitnych krążkach tęczówek, ocienione rzęsami długimi jak u dziewczyny, równie długimi jak jej własne, i połyskliwie czarnymi na tle twarzy ledwie muśniętej słońcem. Ta lekka opalenizna była znamieniem luksusu, jakim jest pewność, że na opalanie ma się calutkie lato.

- Daj mi swój but - zażartował - Założę go, ty założysz mój, i już nikt nas od siebie nie odróżni. - Przysunął się i czubkiem buta dotknął jej stopy.

Lara poczuła, jak gdyby między nimi zaiskrzyło.

- Nie - zaśmiała się - jeszcze mi go rozepchasz. - Jednak on wciąż próbował ściągnąć jej sandałek stopą.

Broniła się przed tym, w efekcie nieomal oplatając go nogą, dopóki nie objął jej ramieniem i nie przycisnął do ławy. Siedzieli zasapani, twarz przy twarzy, usta Kipa zaledwie kilka centymetrów od jej ucha. Czowała jego oddech, świeży i słodkawy od piwa.

- Ej, wy, przestańcie. - Piers z hukiem postawił na stole małe kieliszki z przezroczystego szkła. - Bo zaraz zainteresują się wami bramkarze i wyda się, że jesteście niepełnoletni.

Odskoczyli od siebie. Przy okazji Kip omal nie stracił łokciem kieliszka.

- Mam osiemnaście lat - syknął - więc się, do cholery, zamknij.

Lara uniosła kieliszek do ust.

- Co to? - Ostrożnie upiła łyk bezbarwnego płynu i poczuła, że pali ją w gardle.

- Grappa - wyjaśnił Piers. - To się sączy, a nie żłopie jak oranżadę.

Usta jej zdrętwiały, a oczy zaczęły łzawić, ale poczuła przypływ odwagi i przesuwała dłoń po ławie, dopóki nie odnalazła ręki Kipa. Przerazająco długo czekała na jakąś reakcję, lecz w końcu jego palce podpełzły bliżej i delikatnie uścisnęły jej dłoń. Serce się w niej rozspiewało, a na ustach wykwitł taki uśmiech, że gdyby naprzeciwko niej siedział ktokolwiek inny, a nie akurat Piers, natychmiast zacząłby się dopytywać, co się takiego stało. Lara i Kip wciąż siedzieli nieruchomo, nie patrząc na siebie, dotykając się pod stołem, przekazując sobie wiadomości rozpalonymi palcami, tocząc prywatną, zaszyfrowaną rozmowę.

- Lepiej byście się trochę poruszali, wy dwoje. - To był Roland, zziąjany, z czołem błyszczącym od potu. A potem May wróciła z łazienki, świeżo uczesana, z oczami rozświetlonymi poprawionym makijażem. Lara nieznacznie przysunęła się do Kipa, by zasłonić ich splecione dłonie.

- Muszę na chwilę klapnąć. - Lulu miała wygniecione ubranie, ale twarz jej jaśniała od tańca i wody, którą się ochlapała, zanim wróciła do stolika. - Zróbcie mi miejsce! - zażądała kategorycznie i wepchnęła się między Larę a Kipa.

Lara nawet go zza niej nie widziała. Czasem tylko za ramieniem Lulu mignął jej jakiś cień. Więc sączyła grappę, czując w sobie jej ciepło, i z roztargnieniem słuchała rozmowy, która wciąż obracała się wokół ludzi i spraw, o których nie miała zielonego pojęcia, a po pewnym czasie przerodziła się w zwykłą gadaninę o niczym. W końcu nawet Roland musiał przyznać, że lepiej będzie wyjść, zanim od tej

duchoty po prostu pomdleją.

Warto było posiedzieć godzinę czy dwie w „Fioletowej Kotce”, by w pełni docenić moment, gdy wrócili na świeże powietrze. Noc była cudownie rześka i chłodna, a oni szli przez ciemne miasto pod gwiazdami, które wyglądały jak drobiny brokatu rozsypane na czarnym tle.

- Tędy, dzieci. - Roland prowadził ich jak stado owiec, nagle poważniejąc, wchodząc w rolę dorosłego, a Lara przyśpieszyła kroku, usiłując dogonić pozostałych, ślizgając się i stukając obcasami o bruk. - Szybciej, szybciej - zawołał do niej, oglądając się przez ramię.

Gdy wchodzili pod górę krętą, wąską uliczką między budynkami, Lara usłyszała muzykę. Wiolonczele i skrzypce, niskie tony fletu. Podniosła wzrok. Muzyka napływała z budynku po jej lewej stronie. Nad wysokimi łukowatymi drzwiami wisiała tabliczka z napisem: *Accademia Musicale*.

- Ej, posłuchajcie! - Zrobiła wdech, żeby coś dodać, lecz kiedy się obejrzała, reszta grupy zniknęła właśnie za zakretem. Mimo to Lara nie była w stanie ruszyć się z miejsca, muzyka była taka piękna, że musiała jej posłuchać choć przez chwilę. Podeszła do drzwi akademii i pozwalając, by dźwięki opływały ją całą, wyobrażała sobie, jak dyrygent unosi ramiona, wypina pierś i niecierpliwie daje znak, by muzycy grali głośniej. Rozłożyła ręce i odchyliła głowę.

- Co ty wyrabiasz? - Kip aż uniósł brwi.

- Musisz to zobaczyć. - Połowa podwórka była osłonięta sufitem ozdobionym freskiem: bładoniebieskie niebo z chmurami, na których odpoczywały cherubinki. W donicach stały drzewka oliwne, których liście od spodu lśniły srebrzyście, a nieco dalej, między budynkami, wisiał w powietrzu idealnie okrągły księżyc. Z pokoju na piętrze wciąż napływała smutna, liryczna muzyka. Kip zbliżył się do Lary i chwycił ją za ramiona, a ona pomyślała: „O mój Boże!”, pewna, że zaraz ją pocałuje. W tym czarodziejskim miejscu. Nabrała powietrza do płuc i wstrzymała oddech.

- Żenada. - Kip zmarszczył czoło. - Jak w ckliwym musicalu.

- Tak. - Lara zaniósła się piskliwym, wymuszonym śmiechem i patrzyła, jak

Kip odwraca się i wychodzi z podwórka.

- Pośpiesz się - zawołał. - Bo pojedą bez nas.

- Już. - Lara zdjęła sandaalki. - Już idę. - I pobiegła za nim uliczkami, które to wznosiły się łagodnie, to równie łagodnie opadały. Do samochodu dotarli równocześnie i przystanęli, z trudem łapiąc oddech.

Lulu przesunęła się, by Kip mógł usiąść obok niej na kanapie, a zaledwie wcisnął się do samochodu, oparła głowę na jego ramieniu i zaczęła go głaskać po udzie.

- Och, na litość boską, Lulu - wymamrotała May. - Zostawże go wreszcie w spokoju. Nie wiesz, że prawo zabrania małżeństw między przyrodnim rodzeństwem?

- Nie chrzań! Najpierw musieliby nim być - zawołał Roland, który siedział z przodu. - Zresztą nie każdy ma obsesję na punkcie małżeństwa. Twój ojciec jakoś nie żeni się z każdą, z którą idzie do łóżka. Nie chce się ożenić nawet ze staruszką Pamelą.

- Może dlatego, że on już jest żonaty! - syknęła May. - Z moją matką!

Lulu przełożyła długą smukłą nogę przez kolana Kipa i przysunęła usta do jego ucha. - Ożeń się ze mną, lordzie Willoughby - zamruczała jak kotka.

- Trzymajcie mnie! - May przewróciła oczami, lecz wszyscy pozostali, włącznie z Larą, zaczęli się śmiać.

Lara obudziła się z poczuciem, że stawy ma z blachy, a każde wolne miejsce w jej ciele wypełnia papierosowy dym. Powoli, boleśnie wstała z łóżka i zerkając na skrawek nieba, widoczny za przymkniętymi do połowy okiennicami, stwierdziła, że przez noc zdążyło się zachmurzyć. Sweter Kipa wciąż leżał na krześle. Założyła go i zeszła na dół, chcąc posiedzieć przy Ginny, kiedy ta będzie robiła śniadanie, ale okazało się, że Ginny nie ma, podobnie jak śniadania, po którym nie zostało nawet wspomnienie. Nalała sobie szklankę soku i wyszła na taras, gdzie zastała pracującego w natchnieniu ojca. Gryzmolił coś pośpiesznie, skrobiąc stalówką po papierze, wertując książki, wyrzucając z siebie kolejne zdania w takim tempie, że



zdawały się wypływać z wiecznego pióra, pozbawione przecinków, linijka po linijce.

Lara przysunęła sobie krzesło i uważając, by szklanka soku nie znalazła się w pobliżu którejś z zapisanych kartek, czekała, aż Lambert na nią spojrzy. Czekala tak przez jakiś czas, Pokasłując cicho i szurając nogami, po czym wróciła do kuchni. Zjadła jedną figę, rozglądając się wstydlawie, zanim wgryzła się w wilgotny śliski mięsz, pełny drobnych pestek, i aż westchnęła. Figa smakowała tak, jak pachniała, po prostu cudownie. Lara wróciła na taras i otarłszy się niby przypadkiem o ramię Lamberta, spytała, co słycać.

- Pomyślałem, że możemy się wybrać do Florencji. - Podniósł wzrok, jak gdyby od samego rana czekał, aby jej to zaproponować.

- Do Florencji? - Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogliby się gdzieś stąd ruszyć. Wyobrażała sobie, że dojazd do domu Caroline wyczerpał cały zapal ojca do podróżowania.

- Tylko na kilka dni. Aż wstyd byłoby nie zobaczyć pałacu Pittich. Możemy przed południem wsiąść do pociągu w Sienie, to do Florencji dotrzemy jakoś w porze lunchu. We Florencji jest Harry's Bar. Może też byśmy wpadli.

W Londynie też był Harry's Bar, lecz dopiero teraz dotarło do Lary, że wbrew nazwie może to być włoski lokal. Serwowali tam takie danie, rodzaj cieniutkiego spaghetti z sosem serowo-śmietanowym, którego raz - mimo iż wiedziała, że to się dla niej źle skończy - pochłoneła tyle, że po powrocie do domu zwymiotowała.

- Byłeś tam kiedyś? Mam na myśli Florencję.

- Tak. - Lambert przeciągnął się z taką miną, jak gdyby to było najzupełniej oczywiste. - Raz spędziłem tam całe lato, kiedy podróżowałem po Włoszech. Mieszkałem w uroczym hoteliku niedaleko Ponte Vecchio, ale Caroline mówiła, że już go nie ma.

- Całe lato...

Chciała spytać, gdzie jeszcze był, kiedy i z kim, i czemu przestał podróżować, lecz on, jakby czytał w jej myślach, sięgnął po wieczne pióro i zaczął czytać to, co



zdążył dziś napisać, w takim skupieniu przyglądając się każdemu słowu, jak gdyby dopiero teraz zaczynał rozumieć ich sens.

Lara wyobrażała sobie, że po powrocie z Indii opowie Lambertowi ze szczegółami o wszystkim, czego tam doświadczyła. O pielgrzymce do świątyni w Bodhgaya, gdzie Budda doznał oświecenia. O tym, jak w Delhi wsiadły z Cathy do pociągu, po zaledwie jednej nocy spędzonej w hotelu, szczęśliwe, że znowu są w drodze, siedzą bezpiecznie w przedziale i patrzą, jak za oknem zmieniają się wiejskie krajobrazy, ciesząc się, że nareszcie wysiadły z tamtego autokaru i zarazem za nim tęskniąc. Przenocowały w małym, ciasnym pokoju, w którym oprócz dwóch ław zastępujących łóżka, stał drewniany stół oraz krzesło, na którym Lara, uosobienie sumienności, usiadła wieczorem, aby zrobić kolejny wpis w pamiętniku. Rano złapały riksę i ruszyły do świątyni.

Świątynia była piękna, ze złotym Buddą przed wejściem. W środku, na ścianach, widniały malowidła ilustrujące jego życie. Lara zdziwiła się, że Budda naprawdę istniał. Wcześniej sądziła, że był bogiem jak Kriszna czy Sziwa, lecz w Bodhgaya dowiedziała się, że urodził się jako książę pięć wieków przed Chrystusem, czy raczej wyłonił się z boku matki w pięknym przypałacowym ogrodzie.

- Rodzice tak bardzo go kochali, że nie chcieli, by poznał, co to smutek - opowiadała Cathy, gdy patrzyły na malowidła - więc trzymali go w pałacu, dbali, by nie brakowało mu rozrywek, podawali mu najsmakowitsze potrawy i najśłodsze napoje, otaczali najlepszymi przyjaciółmi, dopóki nie skończył lat dwudziestu.

Wówczas Budda stał się niespokojny. Owszem, pałac był piękny. Ogrody wonne i pełne ptactwa, lecz on pragnął zobaczyć świat za pałacowymi murami. Rodzice błagali go, by nigdy nie przekraczał bram pałacu, lecz nie chcieli go więzić. Ostatecznie stanęło na tym, że może opuszczać pałac, lecz tylko w towarzystwie świty. Lara patrzyła na malowidło: postacie w pasiastych jedwabnych sari, słonie i baldachimy, służący z wachlarzami z liści bananowca.

Zaledwie opuścił pałac, zobaczył starca. Co mu się stało? - był wstrząśnięty.

Wy tłumaczono mu, że takie jest życie. Ludzie się starzeją. Ich skóra marszczy się, plecy stają się pochyłe. Potem Budda zobaczył chorego. Wezbrał w nim gniew. Jak tak może być? To takie jest życie? Gdy orszak ruszył dalej, na skraju gościńca zobaczył tragi ze zmarłym, otoczonym przez lamentujących żałobników. Jaki jest sens życia, spytał Budda, skoro tyle w nim cierpienia? Wrócił do pałacu i przez długi czas siedział pogrążony w myślach.

Budda miał już wtedy żonę i dziecko, lecz mimo to postanowił odejść z pałacu, niczego ze sobą nie zabierając. Przez wiele miesięcy mieszkał w lesie razem z grupą ascetów. Jedli tyle, co nic, za to dużo rozmyślali; w świątyni było wiele malowideł ukazujących Buddę w łachmanach, wychudłego, zmienionego nie do poznania.

Któregoś dnia opuścił lasy. Szedł przed siebie, dopóki nie dotarł do Bodhgaya, i zatrzymał się, aby odpocząć. Jadł i pił, aż odzyskał siły, usiadł pod pięknym drzewem figowym i siedział tam całe trzy dni i trzy noce, medytując nad istotą cierpienia, a kiedy wstał świt, nagle wszystko zrozumiał. Doznał oświecenia. Nie mając nikogo, z kim mógłby się nim podzielić, dotknął ziemi, wzywając ją na świadka.

Na kolejnej ze ścian widniał duży obraz Buddy przesiewającego ziemię między palcami, na jego twarzy był widoczny spokój. W ogrodzie przy świątyni, w miejscu, którego dotknęła dłoń Buddy, wnosi się pomnik - siedziały na nim gołębie. Cathy wątpiła, czy drzewo rosnące nieopodal mogło być tym samym, pod którym siedział Budda ponad dwa tysiące lat temu. Mimo to usiadły pod figowcem i tam zjadły drugie śniadanie.

- Wielu ludzi przychodziło do Buddy - mówiła Cathy.

- „Prosimy, nauczaj nas”, błagali, ale Budda odpowiadał: „To zbyt bliskie. To zbyt proste. Zbyt niewiarygodne, by tego nauczać”. Ale w końcu zgodził się i wyłożył im cztery szlachetne prawdy. Cierpienie. Przyczyny cierpienia. Droga cierpienia. Kres cierpienia.

Lara i Cathy spędziły w świątyni cały dzień. Rzuciły okruchy papugom i

pawiom paradującym po ogrodach, a wychodząc kupiły od kobiety przy bramie dwie bransoletki i małą wyrzeźbioną w kamieniu podobiznę Buddy.

- Czy kiedykolwiek wrócił, by zobaczyć swoje dziecko? - spytała Lara. - No wiesz, Budda, już po tym, jak doznał oświecenia.

- Hm. - Cathy zastanawiała się przez chwilę, lecz musiała szczerze przyznać, że tego nie wie.

Lara próbowała opowiadać Lambertowi o swoich podróżach, a raz nawet pokusiła się o pokaz tańca, którego nauczyła się w Bangalurze - nogi zgięte w kolanach, kolana na zewnątrz, stopy uderzające płasko o podłogę, dłonie wykonujące koliste ruchy w nadgarstkach, szyja wyciągnięta, oczy, które zdają się wykonywać swój własny taniec - jednak nie na miejscu i nieskromne wydawało się mówienie o pałacach i świątyniach, o jaskrawych kolorach i dźwięcznych dzwonek, o wielbłądach i wieloosobowych rowerach, podczas gdy Lambert każdy dzień, każdy tydzień i każdy rok swojego życia spędzał w ciasnym mieszkaniu przy Kensington.

- Tato? - Poklepała go po ramieniu, a gdy oderwał wzrok od notatek, spytała: - A kiedy chcesz jechać?

- Słucham? - Lambert, zagubiony w meandrach czasu, powoli wracał do teraźniejszości. - Ach tak - przypomniał sobie. - Do Florencji. Jutro. Porannym pociągiem. - I marszcząc czoło, z wielką determinacją wrócił do pracy.

Lara przespacerowała się nad basen i usiadła na jego brzegu, mocząc stopy w chłodnej wodzie, czując, jak miękki wełniany sweter Kipa nagrzewa się od słońca, które wreszcie wyjrzało zza chmur. Skronie jej pulsowały, najpierw ledwie wyczuwalnie, lecz po chwili tak boleśnie, że poszła do kuchni poszukać czegoś przeciwbólowego. Nic nie znalazła, więc wróciła do ogrodu i zapukała do pokoju Ginny, ale nikt nie odpowiedział. Poszła sprawdzić, co z samochodem Ginny, ale ten też zniknął. Samochodu Caroline także nie było, więc jedyną osobą, jaką mogła spytać o aspirynę, był Lambert. Widząc jednak sposób, w jaki pochylał się nad kartką, jego usztywnione plecy, trudno było się nie zorientować, że nie życzy sobie,

by mu przeszkadzano. Ostatecznie przebrała się w bikini i poszła popływać. Woda była tak zimna, że sprawiała jej ból, który zdawał się wędrować od stóp przez całe ciało, by eksplodować pod czaszką.

Czy Kip będzie za mną tęsknił? - pytała samą siebie, zapadając się w spokojnym błękanie. Czy chociaż zauważy, że wyjechałam? A potem na samą myśl o tym, jak w klubie uścisnął jej rękę, uśmiechnęła się tak szeroko, że woda omal nie naląła jej się do ust. Wynurzyła się, zapominając o bólu głowy, sięgnęła po sweter i patrzyła, jak krople wody zlewają się i perlą niczym rtęć. Potem wtuliła w niego twarz i czuła zapach Kipa, uwięziony w splotach wełny.

I nagle na tarasie zobaczyła Ginny, wychyloną za balustradę i przyciskającą palec do ust na znak, że Lambert wciąż pracuje, a potem przywołującą ją gestem. Lara wciągnęła sweter na kostium i pobiegła do kuchni, gdzie Ginny krzątała się w najlepsze: rozpakowywała zakupy, układała brzoskwinie w misie, płukała wsypane do durszlaka nektaryniki.

- Jak było? - spytała z twarzą rozpromienioną i pełną wyczekiwania. - Chcę wiedzieć wszystko, ze szczegółami. - Postawiła na kuchence garnek z wodą. - Opowiadaj, jaką miała sukienkę.

- Och... A, tak.

Miała wrażenie, że ślub był wieki temu. Aby wynagrodzić Ginny, iż niemal o nim zapomniała, drobiazgowo opisała cały spektakl: Dianę wysiadającą z powozu, wchodzącą po schodach do wnętrza katedry, jej idiotycznie długi tren podtrzymywany przez druhny. Ginny słuchała, nie odrywając się od pracy. Wrzuciła do wrzátka pomidory, odczekała chwilę, a kiedy skórka zaczęła marszczyć się i pękać, wyjęła je z wody i obrała. Posiekała cały pęczek bazylii, który wypełnił kuchnię słodkawym zapachem, w miarę przyjemnym, chociaż nieco kojarzył się z kocimi sikami.

Lara opisała Ginny wnętrze katedry, świece i kwiaty, kapelusze, twarze, muzykę, pogłos w świątyni. Mówiąc szczerze, podała więcej szczegółów, niż zdołała rzeczywiście zapamiętać. Ginny przysunęła misę z mąką, wbiła do niej jaja,

rozmieszała z wodą i szczyptą soli, a kiedy już zagniotła ciasto, rozwałkowała je na cienki prostokąt. Następnie karbowanym metalowym radełkiem pocięła je na kwadraty i słuchając Lary, nakładała na środek każdego łyżkę zmielonej ricotty, a potem zlepiła brzegi posmarowane wcześniej rozmaconym jajkiem i dociskała je kciukiem. Lara powtarzała z pamięci słowa przysięgi, zacinając się, zupełnie jak Diana, na tytułach Karola. Ginny zbladła i spojrzała na nią ostro, by pokazać, że wcale jej to nie bawi.

- Był taki poważny - tłumaczyła Lara, broniąc i siebie, i Diany. - Arcybiskup ani razu się nie uśmiechnął.

- Tak. - Ginny pokiwała głową. - Ale małżeństwo to poważna sprawa.

Gdy Karol i Diana usiedli w swoim złotym powozie, nareszcie sami, obowiązkowo machając wielotysięcznemu tłumowi, Ginny miała przed sobą stos ravioli i garnuszek bulgoczącego sosu pomidorowego.

- I to już wszystko - oznajmiła Lara, gdy Ginny wrzucała po jednym pierożku do szerokiego garnka, a potem obie patrzyły, jak z garnka bucha para, a pierożek opada na dno, pęcznieje i w końcu wypływa.

Caroline wróciła do domu z kwiatami i gazetą. Na pierwszej stronie było zdjęcie deszczu fajerwerków z pokazu w nocy poprzedzającej ślub. Ginny spoglądała na nie tęsknie, lecz Lambert, uprzątnąwszy ze stołu swoje papiery, pośpiesznie rozłożył gazetę i zaczął szukać stron z nekrologami. Potem powoli przekładał kolejne kartki, a gdy doszedł do pierwszej strony, odłożył gazetę, a Ginny mogła wreszcie podać do stołu. Oprócz ravioli był półmisek zimnych mięs i sałatka, a na deser brzoskwinie, tak pięknie ułożone w zielonej misie, że aż szkoda było je ruszać.

- Jeśli w Harry s Bar karmią tak dobrze jak tutaj... - Lambert zawiesił głos i spojrzał na Ginny, która właśnie stawiała na stole tacę z miętową herbata, a Ginny zarumieniła się i pobiegła do kuchni po małe ciasteczka, takie akurat na jeden kęs.

- Byłabym zapomniała. - Caroline wyjęła z torebki kopertę i przesunęła ją po

blacie w stronę Lamberta. - Wasze bilety na jutro. Pociąg odjeżdża o dziesiątej trzydzieści dwie.

- Bardzo ci dziękuję. - Lambert delikatnie dotknął jej ręki, Lara zaś dopiero teraz zrozumiała, że niejedna kobieta dużo by dała, by choć przez chwilę tak na nią spojrzeć. - Nie możemy się doczekać, prawda, Laro?

- Och, jedna sprawa, Laro. - Caroline obróciła się w jej stronę. - Nie wiem, o której wróciłaś - na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty - ale zapomniałaś zgasić światło na ganku.

- Och. - Lara skamieniała ze zgrozy. - Bardzo przepraszam. - I nagle zaczęła się cieszyć na myśl o wyjeździe, najchętniej ruszyłaby zaraz, już teraz.

Ich hotel we Florencji zajmował dwa ostatnie piętra starej kamienicy. Wyglądał elegancko z tymi wszystkimi szezlongami, dywanami i obrazami, z jadalnią obwieszoną lustrami, w których odbijały się bladozielone obrusy i serwety, idealnie dobrane odcieniem pod ciemniejszą zielen ścian.

Mężczyzna w śliwkowej liberii zaprowadził ich do dwóch sąsiednich pokoi, między którymi było przejście. Klucz tkwił w zamku po stronie Lamberta, jak zauważyła Lara, gdy oglądali jego pokój, podziwiając szerokie łóżko, łazienkę wyłożoną nierównymi grubymi kaflami w takie wzory, jak gdyby cukiernik ozdobił je gęstym białym lukrem. Pokój Lary wyglądałby identycznie, gdyby nie mniejsze łóżko i fotel, długi i niski, taki, w którym aż chce się usiąść, ale z którego trudno potem wstać. Łazienka była dokładnie taka sama, ale Larze wydawała się piękniejsza, bo miała być tylko dla niej. Najchętniej od razu napuściłaby sobie wody na kąpiel, wycisnęła do niej zawartość małych buteleczek i przez godzinę wylegiwała się w wannie, a potem owinęła białym ręcznikiem, wielkim jak prześcieradło. Jednak Lambert już zerkał na zegarek.

- Powinniśmy ruszać - oznajmił, dyskretnie wręczając bagażowemu napiwek.

Mężczyzna skłonił się, wycofał z pokoju i zamknął drzwi.

- Chcesz się przebrać? - Lambert krytycznie przyglądał się jej sukience w kwiatki i sandałkom o zdartych obcasach, a potem, jak gdyby nagle zmienił zdanie



na temat jej stroju, pokręcił głową. - Zresztą wcale nie musisz. W tym ci bardzo dobrze.

- Na pewno? - Zajrzała do łazienki i przeczesła palcami włosy.

- Tak - odparł stanowczo i znowu zerknął na zegarek.

- *Signor Gold!* - Szef sali na widok Lamberta szeroko rozłożył ramiona. -

Proszę tędy. Pana przyjaciółka - ściszył głos do szeptu - już czeka.

Lara roześmiała się i spojrzała na ojca, ciekawa, jak zareaguje na tę pomyłkę, lecz Lambert szedł już w głąb Harry's Bar, pośpiesznie przeciskając się między stolikami i kierując do tego, przy którym na poły zasłonięta olbrzymim, nieomal wylewającym się z wazonu bukietem kwiatów, siedziała jakaś kobieta. Miała jasnobrązowe włosy i orzechowe oczy, w ręku trzymała kieliszek szampana. Gdy podeszli, uniosła go do ust i upiła łyk, jak gdyby chciała dodać sobie odwagi, zanim wstanie.

- Isabelle. - Lambert objął ją ramieniem i na moment przyciągnął do siebie.

- Dzień dobry. - Lara ukradkiem rozglądała się za Hugh, Hamishem czy Allegrą, doskonale wiedząc, że ich tu nie ma. Zrobiło jej się głupio i szybko pocałowała Isabelle w oba policzki, po czym usiedli przy stoliku.

Lambert i Isabelle robili, co mogli, by nie czuła się niezręcznie. Zabawiali ją, pomogli jej złożyć zamówienie, namawiali, aby koniecznie spróbowała belliniego - koktajlu z soku brzoskwiniowego z szampanem - dopytywali się, co chciałyby zobaczyć we Florencji, jednak dla całej trójki było jasne, iż pomimo ich wysiłków, równie dobrze mogliby być na tym lunchu sami. Lara chcąc sprawić im przyjemność, uprzejmie kiwała głową, okazjonalnie dodawała coś od siebie i śmiała się z ich żartów, jednak w końcu pozwoliła, by zajęli się sobą, i całą uwagę skupiła na posiłku. Wypiła swój koktajl, zamówiła drugi, zjadła wszystko, co miała na talerzu, do ostatniego kęsa, marszcząc czoło z wysiłku, bo porcja była ogromna. Z tego wszystkiego zapomniała nawet, że obiecała Ginny, iż po powrocie z Florencji powie jej, gdzie można lepiej zjeść, u niej czy w Harry's Bar.

- Do kiedy masz czas? - Lambert pochylił się ku Isabelle.



- Do jutra wieczorem - odparła konspiracyjnym tonem.

Uśmiechnęli się do siebie, a ich twarze promieniały niczym latarnie. Lara zauważyła także, że ojciec wsunął rękę pod stół i oparł ją na odsłoniętym udzie Isabelle.

- Koniecznie skuś się na pudding - namawiali ją pobłażliwie, jak gdyby była ich córką. Lara zaś, choć oni podziękowali za deser, poprosiła w końcu o sorbet marmoladowy i wmuszała w siebie kolejne łyżki, czując, jak drętwieje od ust w dół.

- Laro?

- Tak? - Zacisnęła usta na lodowatej łyżeczce.

- Uffizi czy pałac Pittich? Bo nie możemy się zdecydować.

- A może obejrzymy *Dawida*? - odezwał się Lambert. - Wiedziałaś, że *Dawid* Michała Anioła jest właśnie tutaj, we Florencji?

Nie, pomyślała żałośnie Lara, ja nic nie wiem, lecz zrobiła mądrą minę i kiwnęła głową na znak, iż owszem, bardzo chciałaby go zobaczyć.

Na dworze można było zemdleć z gorąca. Zamiast ostrego, oślepiającego słońca Sieny powitało ich ciężkie, parne powietrze, które natychmiast odzierało z sił i sprawiało, że człowiek najchętniej by się położył. Ruszyli brzegiem rzeki Arno, zaglądając do kuszących przyjemnym chłodem butików, przepychając się przez strumienie turystów, opędzając się od natrętnych owadów. Lambert zapalił papierosa i próbował odstraszyć je dymem, w końcu jednak musieli się poddać. Wstąpili do jakiegoś hotelu i zamówili taksówkę. *Galleria dell'Accademia* okazała się skromnym białym budynkiem. Szli długim korytarzem, patrząc na stojące po obu stronach niedokończone przez Michała Anioła rzeźby niewolników, wyglądające jak żywe postacie usiłujące wyrwać się z brył marmuru. Szli tak, dopóki nie zobaczyli Dawida, który wydawał się czekać, by go podziwiano. Czeka tak, wyjaśnił Lambert, od tysiąc pięćset czwartego roku.

Stali, potracani przez innych zwiedzających, słuchając komentarzy we wszystkich możliwych językach, i wpatrywali się w posąg. Dawid miał doskonale

ciało i taki wyraz twarzy, jak gdyby nie mógł się nadziwić, iż odważył się przeciwstawić olbrzymowi. „Tylko czemu ma takie małe genitalia?” - zastanawiała się Lara. Zerknęła na Isabelle, na Lamberta, na tłum Francuzów, Niemców i Japończyków, usiłujących przepchnąć się bliżej rzeźby, przekonana, że wszyscy także musieli to zauważyć. To nie tak, że miała w tej materii olbrzymie doświadczenie, ale nawet dziecko by zobaczyło... A potem jak na komendę ona i Isabelle ziewnęły, dokładnie w tym samym momencie.

- Gdzie teraz? - spytał Lambert, gdy wyszli z galerii. - Do katedry mamy niedaleko. Ewentualnie moglibyśmy cofnąć się w stronę rzeki i sprawdzić, jak długa jest kolejka do Uffizi.

- Dobrze - powiedziała Lara, a po chwili Lambert, który, była pewna, pogardzał nią i Isabelle za tamto ziewnięcie, sam ziewnął rozdzierająco.

Stali w wąskiej uliczce. Żar lał się z nieba, powietrze było takie gęste od wilgoci, że aż trudno było oddychać.

- Jasne, jeśli chcecie iść... - odezwała się Lara, opierając się plecami o kamienną ścianę, szukając odrobiny chłodu. Z ulgą przyjęła ich decyzję: wracają do hotelu.

W windzie milczeli. Odsunęli się od siebie najdalej, jak tylko się dało, i wyglądali jak troje obcych ludzi, jadących każdy do swojego pokoju. Przestali udawać, że się nie znają, dopiero gdy byli już w wyciszonym dywanami holu na swoim piętrze. Lara obróciła klucz w zamku, a potem, nie mogąc się oprzeć, spojrzała na Lamberta w chwili, gdy podał ramię Isabelle i razem znikli za drzwiami jego pokoju.

Lara leżała w wannie pełnej piany i rozmyślała o tym, o ileż przyjemniejsze byłoby życie, gdyby tak wprowadzić popołudniową sjęstę. Czy po południu można w ogóle zrobić coś wartego wzmianki? Przypomniała sobie college i ciągnącą się w nieskończoność przerwę na lunch, pod koniec której wszyscy marzyli tylko, żeby jak najszybciej wrócić do domu. I dopiero wtedy uświadomiła sobie, że zupełnie przestała myśleć o Clivie. Zamknęła oczy i usiłowała przywołać jego obraz z chwili,

gdy stał oparty o ścianę i garbiąc się, by osłonić przed wiatrem płomień zapalniczki, usiłował przypalić własnoręcznie skręconego papierosa.

Zamiast kontrastowego biało-czarnego obrazu zobaczyła jedynie jego wyblakłą, zszarzałą wersję. Jeszcze tydzień, a i ona zniknie. Nie ruszyła się z wanny, dopóki woda całkiem nie wystygła, a piana nie opadła, pozostawiając na ściankach śliską obwódkę z olejku. Niebieską. Kip chyba już zauważył, że wyjechała? Ciekawe, co w ogóle o niej myśli? Przyjemnie było wierzyć, że Kip może jakimś cudem uważać ją za fajną dziewczynę, wyluzowaną. W każdym razie Sorrel, jej najlepsza przyjaciółka, na pewno byłaby z niej dumna. „Im bardziej ci się facet podoba” - poradziła jej kiedyś - „tym mniej to okazuj!”

W końcu Lara wyszła z wanny i stanęła naga przed lustrem. Była taka opalona, że ślad po bikini zdawał się świecić. Okręcała się to w jedną, to w drugą stronę, skrupulatnie oglądając się pod każdym możliwym kątem, a potem z radością, jakiej nigdy dotąd nie doświadczała, zdała sobie sprawę, że to pierwszy raz, odkąd weszła w fazę dojrzewania, kiedy na jej ciele nie ma ani jednej krostki. Pochyliła głowę i owinęła włosy ręcznikiem, posmarowała się trzema rodzajami balsamów i wymasowała stopy. Przyjrzała się krytycznie suchej skórze na łokciach, pomalowała paznokcie u stóp różowym lakierem i położyła się do łóżka.

I wtedy ich usłyszała. Niewyraźny szmer i jakieś szepty - nic takiego, co ostentacyjnie podsuwałoby wyobraźni określone obrazy - jednak na tyle wyraźne, by przypomnieć jej, że oni są tam razem. Jej ojciec i Isabelle - razem, za zamkniętymi drzwiami. Szybko włączyła telewizor i zwiększyła głośność, a gdy załala ją powódź brzmiącego lekko i optymistycznie włoskiego, wślizgnęła się pod letnią kołdrę, cienką jak prześcieradło.

- Jesteś gotowa?

Lambert przebrał się w jasny lniany garnitur, dostatecznie elegancki, by spokojnie mógł się wybrać w nim na kolację. Isabelle wciskała guzik windy, a jej włosy, których końce wciąż były mokre, wdzięcznie kładły się na kołnierzyku sukienki.

- Tak - odparła Lara i wsunęła stopy w buty.

Tym razem nie mieli ż

miasto wyglądało dzisiaj tak, jak wygląda. Co chwila przechodzili obok jakiejś restauracji, zatrzymywali się przed wejściem i studiowali menu, czytając je półgłosem, a potem bez słowa ruszali dalej. Lara nie miała pojęcia, czego właściwie szukają, dopóki jej nie zobaczyła, choć częściowo zasłaniał ją kamienny mur - restauracji na wodzie, wymarzonego miejsca, aby zjeść kolację. Cała skąpana była w złotym świetle, ze środka napływały smakowite zapachy, ciche śmiechy, szcęk sztuców. Ledwie rzuciwszy okiem na menu wywieszane przy wejściu, Lambert, Isabelle i Lara jak zaczarowani ruszyli w stronę wejścia, chcąc choć na chwilę stać się częścią kołyszącego się na wodzie złocistego galeonu. Weszli po schodkach i po chwili byli już w restauracji.

Zaledwie zobaczyli przystawki, zrozumieli, że dali się nabrać.

- To knajpa dla turystów! - Isabelle była bardzo zawiedziona. - Szykują wszystko w poniedziałek, a przez resztę tygodnia tylko podgrzewają jedzenie.

I zapewne miała rację, bowiem potrawy były bez smaku, sałata przywędnięta, a porcyjki mizerne. Może czuliby się mniej rozczarowani, gdyby takie „specjały” zaserwowano im w Anglii, gdzie wszyscy są przyzwyczajeni do kanapek, które smakują, nie przymierzając, jak stara gąbka, ale tutaj, we Włoszech, wydawało się to niemal świętokradztwem. Danie główne okazało się nie lepsze, tłuste i na poły wystygłe, i ledwie je tknąwszy, poprosili o rachunek.

Zapłacił Lambert. Położył pieniądze na talerzyku, a kiedy Lara i Isabelle wstawały od stolika, spojrzał na nie i oczy mu nagle zabłyśły.

- *Porca Madonna!* - rzucił dostatecznie głośno, aby usłyszała go cała sala, i przewracając kieliszek wina, gorączkowo rzucił się w stronę wyjścia, krzycząc: - W nogi!

Wybiegli po schodkach na ulicę i pędzili dalej. Dopiero gdy przebiegli pół ulicy, musieli się zatrzymać i ślaniając się ze śmiechu, oprzeć o kamienny mur ciągnący się wzdłuż brzegu rzeki. W końcu ruszyli w stronę hotelu, wdychając rozpalone nieruchome powietrze, czując, jak z każdą milą kolacja coraz mniej ciąży im w żołądkach, jak przestają czuć w ustach smak wina i czerstwego chleba, i co

pewien czas wybuchając śmiechem. Figiel Lamberta zdawał się ich jednoczyć, sprawiał, że czuli się występnymi i odważnymi. W hotelu nie udawali, że się nie znają, nie bawili się we wzajemne unikanie się wzrokiem. Wsiedli do windy i stojąc ramie przy ramieniu, wjechali na ostatnie piętro.

- To chyba ta wczorajsza kolacja - powiedział przy śniadaniu przepraszającym tonem Lambert. - Nie miałabyś mi za złe, gdybym puścił cię na miasto samą, żebyś trochę sobie pozwiedzała? Sądzę, że powinienem z nią zostać. Na wszelki wypadek...

- Oczywiście. - Przykro było jej myśleć, że Lambert może kłamać, i wołała przerwać mu jak najszybciej. - Nie ma sprawy.

Wyruszyła krótko po śniadaniu, wyposażona w mapę, na której recepcjonista zaznaczył ich hotel czerwonym flamastrem. Bez problemu trafiła nad rzekę i zaczęła iść w kierunku Ponte Vecchio oraz mieszczącego się niedaleko mostu pałacu Pittich. Pałac okazał się nie skromnym, małym budyneczkiem, jaki sobie wyobrażała, lecz olbrzymim, imponującym gmachem z szarego kamienia. Kupiła bilet i po szerokich schodach weszła do sali pełnej rzeźb z białego marmuru. Posągi wyobrażające mężczyzn, wszystkie, co do jednego, miały utracone członki. Ciekawe czemu? Przyglądając im się z bliska, zastanawiała się, kiedy i jak je straciły. Nawet rozglądała się za kimś, kogo mogłaby o to zapytać, ale wszyscy jak urzeczeni wpatrywali się w obrazy wiszące na ścianach, w portrety i martwe natury, w posępne i ekstatyczne sceny starotestamentowego okrucieństwa i śmierci.

Zwiedzała kolejne sale, przyłapując się na tym, iż piękne sufity, całe w złoceniach i sztukaterii, ściany oklejone tapetą składającą się w misterny, skomplikowany wzór, lśniące posadzki, odciągają jej uwagę od głównej ekspozycji. W królewskich komnatach wpatrywała się w bezcenne dywany, kryształowe żyrandole i łoża z baldachimami, tak oszołomiona ich przepychem, że na obrazy zaledwie rzuciła okiem.

Kiedy znowu znalazła się na zewnątrz, marzyła tylko o tym, żeby położyć się spać. Usiadła na jednej z ławek stojących na dziedzińcu i patrzyła na kamienną

posadzkę, szczęśliwa, że wreszcie może dać odpocząć oczom. Po pewnym czasie przy ławce pojawiły się dwa koty i zaczęły wpatrywać się w nią błagalnie.

- Sio mi stąd! Uciekajcie! - Nie była w stanie wykrzesać z siebie ani grama litości, wzruszyć się widokiem brudnej sierści i pokaleczonych uszu, dopóki nie pomyślała o swojej kotce, o Berry, o jej sprężystym chodzie i oślepiającej bieli futerka na piersi.

- Przepraszam - wyszeptała skruszona i zastanawiając się, kiedy się stała taka nieczuła, pobiegła do najbliższej kawiarenki po paczkę herbatników i mleko. Postawiła przed kotami spodeczek i patrzyła, jak zachłannie chlepczą mleko.

W głębi dziedzińca stała fontanna, gdzie w zarośniętej nenufarami wodzie dokazywały kamienne cherubinki. Dno było usiane bilonem, kolekcją życzeń co najmniej z roku. Lara także wrzuciła monetę. Obracając się, patrzyła, jak zakreśla łuk w powietrzu i z pluskiem wpada do wody, i w odpowiednim momencie - zanim moneta dotknęła dna - wypowiedziała w myśli życzenie: niech jej życie wreszcie się rozpocznie. Czy to zbyt wiele? Jest zbyt chciwa, obejmując życzeniem całe swoje życie? Czy to dziwne, że chce być szczęśliwa? Dość się napatrzyła na ludzką rozpacz, choroby i nędzę, na okna o wybitych szybach, na pijanych ludzi na ulicach, by wiedzieć, że życie potrafi różnie się potoczyć. A potem pomyślała o matce, która własnymi rękami stworzyła dla nich dwóch ich własną, jasną przestrzeń, ściany w całym domu malując na biało, a starą, poplamioną lodówkę - na błękitno. Poczowała ból w sercu, tak wielki, że musiała usiąść. Siedząc na ławce, zastanawiała się, za kim właściwie tak tęskni. Za matką, uznała w końcu, mimo iż imię Kipa było na wyciągnięcie ręki, gotowe do wrzucenia do fontanny w postaci kolejnej monety. Kip. Pozwoliła sobie o nim pomyśleć, lecz zabrakło jej odwagi, by wypowiedzieć drugie życzenie.

Potem długo włóczyła się po mieście, spacerowała ulicami. Kupiła kawałek pizzy i jedząc, patrzyła na grupkę rówieśników, którzy wygłupiali się, pozując do zdjęć. Zachowywali się jak dzieci. Jak zdołali nimi pozostać - zastanawiała się - skoro ona już tak dawno wydorosła?



Zastukała do pokoju Lamberta.

- Wróciłam - powiedziała, zbliżając twarz do błyszczących od lakieru grubych drewnianych drzwi, lecz nikt jej nie odpowiedział.

Lara przysypiała, gdy Lambert zajrzał do jej pokoju.

- Jesteś gotowa? Musimy zaraz ruszać.

Za nim w głębi korytarza stała Isabelle.

- I jak, już trochę lepiej? - zagadnęła ją Lara.

Isabelle rzeczywiście wyglądała dość blado.

Pojechali razem na dworzec. Na peronie Lara rozglądała się niewidzącym wzrokiem, ostentacyjnie omijając Isabelle i Lamberta, i czekała, aż się pożegnają. Okazało się, że niepotrzebnie z takim zapałem symulowała chwilowy atak ślepoty, gdyż skończyło się na przelotnym pocałunku w oba policzki i uniesieniu dłoni w pożegnalnym geście, gdy pociąg zaczął powoli wytaczać się ze stacji.

- Pa, Laro! - zawołała Isabelle. Lara określiła się na pięcie, by zdążyć jej pomachać, zanim pociąg się oddali, a Isabelle zniknie im z oczu.

Ich pociąg odjeżdżał dopiero za pół godziny, więc aby przez całą drogę nie umierać z głodu, tak jak poprzednim razem, nakupili tyle jedzenia, że starczyłoby na cały tydzień. Mieli *panini*, chipsy, torby z brązowego papieru, aż pękające od owoców, gazet i słodczy. W przedziale usiedli naprzeciwko siebie i jechali, przeglądając kolorowe czasopisma o błyszczących, uperfumowanych kartkach, objadając się, pijąc tyle wody mineralnej, ile tylko chcieli. Kiedy po godzinie Lambert zsunął buty i oparł stopy na drugim siedzeniu, Lara nie odsunęła się, nawet nie drgnęła.

Ginny i Caroline czekały na nich na dworcu w Sienie. Lara zauważyła je, zaledwie wysiadła z pociągu.

- Brawo - odezwała się Caroline, gdy podeszli. - Jednak wróciliście. - I z rozbawieniem spojrzała na Lamberta.

Ginny nie zdołała się opanować. Dosłownie porwała Larę w objęcia i wyściskała.

- Jak było? - spytała.

Opowiadanie o cudach Florencji sprawiło Larze jeszcze większą przyjemność, niż wcześniejsze ich oglądanie.

- Koniecznie powinnaś tam pojechać - dodała na koniec.

Jednak Ginny zaczęła nerwowo mamrotać coś o swojej matce i jakichś pomidorach, tak iż dla Lary stało się jasne, że Ginny już dawno postanowiła, że kiedy skończy się lato, wróci prosto do swojego Cotswolds.

- A właśnie - przypomniała sobie Caroline, gdy wsiadali do samochodu. - Muszę wiedzieć, czy zostajecie na Palio czy nie? Bilety są praktycznie nie do zdobycia, ale gdybyście chcieli zostać...

- Chcemy - odparł bez wahania Lambert.

- Laro? - Caroline spojrzała na nią surowo. - Zgadzasz się?

- Tak - z zapalem pokiwała głową. Wyobrażała sobie stukot kopyt w morderczym wyścigu, rozwrzeszczany tłum, lecz przede wszystkim to, co jeszcze może się zdarzyć w ciągu tych kilku zyskanych dni.

- Cóż. - Caroline uśmiechała się. - Nie wiem, kto sprawił, że zmieniliście zdanie, ale bardzo się z tego cieszę. - I zawiozła ich do domu, gdzie czekał błogi chłód.

Sweter Kipa, wyprasowany, wyprany i złożony w kostkę, leżał w szafie między jej ubraniami. Lara wyjęła go i powąchała, lecz czuła tylko zapach płatków mydlanych i powietrze. Jutro go odniosę, pomyślała i nagle zobaczyła, że w otwartych drzwiach stoi Lambert.

- Nie powinnaś spytać ma... - zakasłał, jak gdyby jego gardło odzwyczaило się od wypowiedzania tego słowa - matki, czy możesz zostać? Albo przynajmniej ją o tym poinformować?

- Tak. - Zdała sobie sprawę, że wciąż ściska sweter Kipa i speszona, założyła go pośpiesznie. - Najlepiej od razu to zrobię.

Zeszli skorzystać z aparatu, który stał na biurku Caroline. Lambert odpowiedział jej, jaki jest kierunkowy do Londynu, a potem nieśpiesznie wyszedł

na taras i zapalił papierosa, podczas gdy Lara wybrała numer do domu i czekała, słuchając znajomego sygnału w słuchawce. Wyobrażała sobie, jak telefon na zielonym stoliku w holu dzwoni i dzwoni, echo rozchodzi się po schodach, aż wreszcie dociera do kuchni, gdzie siedzi jej matka i czyta gazetę, pilnując, żeby w garnku nie przypalił się ryż albo zupa.

- Mamo? To ja.

Cathy jęknęła, jak gdyby usłyszenie w słuchawce głosu córki sprawiło jej ból.

- Lara?

- Co u ciebie? - Lara chciała się z nią trochę podroczyć, doskonale wiedząc, że Cathy będzie zbytnio zaniepokojona nieoczekiwanym telefonem, by odpowiedzieć, że wszystko jest w porządku.

- Coś się stało?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że zostanę tu trochę dłużej. - Słyszała, jak oddech matki uspokaja się. - Tylko o pięć dni, ale wolałam cię uprzedzić, że nie wracam pod koniec przyszłego tygodnia.

- No dobrze... - matka zastanawiała się nad czymś. - Naprawdę chcesz zostać?

- Tak. Chcę obejrzeć wyścigi konne. Palio. Wszyscy mówią, że trzeba normalnie zwariować, żeby wyjechać przed taką imprezą. - Lara wiedziała, że mówi z egzaltacją, za którą Cathy nigdy nie przepadała.

W słuchawce zapadła cisza.

- Cóż... - odezwała się po chwili Cathy. - Baw się dobrze.

- Tak. - Znowu pauza, zupełnie jak na amerykańskich filmach tuż zanim para aktorów wyzna sobie miłość. - No to pa. Do zobaczenia niedługo. Pa. - I nie mając sobie nic więcej do powiedzenia, równocześnie odłożyły słuchawki.

Lara wiedziała, że matka uważa telefon za niebezpieczny wynalazek. Można sięgnąć po słuchawkę, wybrać numer i dać się porwać rozmowie, a dużo, dużo później zniechęta znaleźć rachunek na taką kwotę, że tylko iść z torbami. Podobnie było z elektrycznym grzejnikiem, który stał w holu. Używały go tylko w najgorszą zimę, kiedy szyby od środka zaczynały zachodzić szronem. Cathy włączała go, lecz

zaledwie hol z podłogą z gołych desek i małym dywanikiem zaczął tajać, traciła odwagę i natychmiast go wyłączała. Lara czasem mierzyła grzejnik nieufnym wzrokiem i patrząc na migającą kontrolkę, czując, jak pulsuje, wyrzucając z siebie ciepłe powietrze, wyobrażała sobie nad nim płonące banknoty, marszczące się i opadające na podłogę.

- Och, byłabym zapomniała. - Była pora śniadania. Caroline wsypywała kolejną łyżeczkę cukru do mocnej czarnej kawy. - Szukała cię twoja paczka z Ceccomoro.

- Tak? - Lara z uwagą wpatrywała się w jabłko, które cięła w poprzeczne plasterki, tak aby gniazdo nasienne przybrało kształt gwiazdki. - Kiedy?

- Wczoraj. Albo przedwczoraj. Niech się zastanowię. - Zamknęła oczy, jak gdyby miała machnąć różdżką i wyczarować dokładną datę. - Gdzieś się wybierali i chcieli spytać, czy się z nimi nie przejedziesz. - Caroline uśmiechnęła się, sięgając po miękką białą bułkę. - Ale powiedziałam, że cię nie ma.

- Ja, hm... Zastanawiałam się, czy można dojść do Ceccomoro na piechotę. Mam... coś, co powinnam im zwrócić.

- Och, nie martw się. I tak się tam wybieram, muszę pomówić z Andrew. Daj mi to coś, to przy okazji im podrzucę.

Lara przygryzła usta.

- Dzięki. - Czuła, jak uchodzi z niej nadzieja. - To tylko sweter, zaraz go przyniosę. Nie jestem pewna, ale chyba należy do Kipa.

- Ale chyba jest stąd jakaś droga? - Lambert podniósł wzrok znad gazety; na pierwszej stronie wiadomości o ślubie Karola i Diany zastąpił nagłówek obwieszczający koniec kolejnego strajku głodowego irlandzkich robotników. - Jakaś ścieżka, którą można by dojść do Ceccomoro? Może dobrze by było, gdyby Lara trochę się przeszła, zanim zrobi się najgorszy upał.

- Nie mam zielonego pojęcia. Chyba nie? - Caroline przeniosła wzrok na Larę. - Ale podwiozę cię, jeśli koniecznie chcesz się tam dostać.

Godzinę później zmierzały do Ceccomoro. Caroline siedziała za kierownicą.

Gdy mijały jakieś drzewa, po jej twarzy przesuwały się drobne cienie, by zniknąć w momencie, kiedy znowu wyjechały na otwartą przestrzeń, gdzie żar lał się z nieba na pola słoneczników i kukurydzy. W pełnym słońcu skóra Caroline wydawała się dziwnie blada.

- Podobało ci się we Florencji? - spytała, a Lara odpowiedziała aż nazbyt szybko:

- O tak!

- Na pewno się umordowaliście, cały dzień na nogach, to bieganie od galerii do galerii, to zwiedzanie... - urwała, ale Lara była pewna, po prostu to wiedziała, że Caroline jest najzwyczajniej ciekawa.

- Tak - odparła ostrożniej. - No i było strasznie gorąco.

- Za gorąco na zwiedzanie, to miałaś na myśli?

- Nie. - Wczoraj przy kolacji Lara opowiadała jej o Florencji, o kolejce przed Uffizi, o spokojnym pięknie *Dawida*, a Lambert co chwila wtrącał jakiś komentarz, jak gdyby przez cały czas byli razem, non stop.

- Nie, po prostu gorąco. Powietrze było aż lepkie od wilgoci. Człowiek od razu czuł się zmęczony.

- Pogoda akurat na sjęstę... - stwierdziła półgłosem Caroline.

Lara przypomniała sobie luksusową, białą łazienkę i od razu poczuła się bardziej zrelaksowana.

- To prawda, aż nie chciało się wyjść z hotelu.

Caroline oderwała wzrok od jezdni i spojrzała na jej twarz. I choć trwało to zaledwie sekundę, Lara była pewna, że w jakiś sposób się wygadała, choć nie miała pojęcia jak.

W milczeniu skręciły ku obrzeżu doliny, zwalniając na widok wrośniętej w zbocze grupy domów, kiedyś wioski, teraz posiadłości Ceccomoro.

- Jeszcze niedawno mieszkali tam wieśniacy - odezwała się Caroline. - Starzy ludzie, którzy urodzili się w tej wiosce i nigdy, ani razu nie opuścili tych wzgórz. Wyobrażasz to sobie? Nie byli nawet w Sienie.

Caroline skręciła w wąską, białą dróżkę, minęła kamienne lwy i zatrzymała się na podwórzu. Lara ścisnęła w dłoniach sweter Kipa, jak gdyby był jej biletem wstępu. Zauważyła, że dziup nie stoi na podjeździe, a chwilę później, gdy szła za Caroline, mogła stwierdzić, że w basenie też nikogo nie ma, podobnie jak w ogrodzie różanym.

Przez chwilę stały w chłodnym kamiennym holu rezydencji, potem weszły po schodach do przebogatego pomieszczenia, ozdobionego ściennymi malowidłami, na których romboidalne wzory przeplatały się z motywami winorośli i kwiatów. Zupełnie jak gdyby na nie czekał, stał tam Andrew Willoughby, ubrany po domowemu, w kapciach, ale i w krawatce. Pod pachą trzymał plik dokumentów.

- Moja droga! - Przycisnął usta do porcelanowego policzka Caroline. - Jak zawsze punktualna. A kogóż tu mamy? - Obrócił się w stronę Lary i uniósł brwi. - Młoda asystentka?

W jego ustach słowo „asystentka” niosło taki ładunek erotyzmu, że Lara speszyła się i wlepiła wzrok w swoje buty.

- Poczekam w ogrodzie - wymamrotała i wciąż ściskając sweter Kipa, wymknęła się na zewnątrz.

Potem spacerowała po ogrodzie, podnosiła z ziemi opadłe płatki róż i przypominała sobie, jak będąc dzieckiem, posypywała je cukrem i zostawiała na noc na parapecie z nadzieją, że rano zostanie kandyzowane płatki róż. Wciąż czuła w ustach ich dziwnie mdły, nieco spleśniały słodki smak i wciąż pamiętała, że nigdy nie wyglądały tak jak na zdjęciu w książce.

Za ogrodem była brama, a za bramą ścieżka wiodąca w dół, a potem znikająca między wzgórzami. Przy ścieżce stał posąg z szeroko rozpostartymi ramionami i Lara, nie mogąc się oprzeć, ostrożnie wyszła za bramę. Znalazła się w innym ogrodzie, z rosnącymi gdzieś samotnymi drzewami, w powietrzu aż gęstym od zapachu sosen, żołądzi i pyłu, który znaczył ślad po wyschłych strumieniach. Najpierw szła powoli, nie wiedząc, czy ma prawo tu być, lecz im dłuższa okazywała się dróżka, stopniowo przyśpieszała kroku, dopóki nie zaczęła biec. Może to jest ta

ścieżka do Ceccomoro? Albo jakieś jej odgałęzienie, pomyślała, wchodząc w zarośla, i osłoniwszy oczy ręką, zaczęła się rozglądać za czymś znajomym, polem, wzgórzem albo asfaltową drogą.

Niczego takiego nie zauważyła, za to potknęła się o coś, co leżało w trawie, i omal się nie przewróciła. W pierwszej chwili pomyślała, że to zwykły kamień, lecz kiedy się pochyliła, dostrzegła parę białych kamiennych piersi. Samych piersi, bez reszty ciała, pięknie wyrzeźbionych, doskonałych w swoim kształcie, o sutkach odrobinę różniących się od siebie, zupełnie jak jej własne. Obejrzała się w kierunku, z którego przyszła, i zauważyła inne obłe kształty wzdłuż ścieżki. Cofała się i skrupulatnie oglądała kolejne rzeźby: piersi, pośladki i penis, którego autorstwa nie powstydziliby się nawet Michał Anioł.

Kiedy obejrzała wszystkie, słońce było niemal dokładnie nad jej głową, a wyschnięta trawa wzdłuż ścieżki trzaskała i szeleściła pod jej stopami. Kręciło jej się w głowie, szczypały ją podrapane kostki, sweter, który wciąż ścisnęła kurczowo, był wilgotny od potu. Nie patrząc na ostatnią figurkę, przedstawiającą skurczony członek spoczywający na parze kamiennych jąder jak na poduszce, popchnęła bramę i powoli, skrajem ogrodu, wróciła do cienia pod ścianą rezydencji. Spojrzała na basen, taki chłodny i zapraszający. Energicznie zrzuciła sandały i siadając na brzegu, wsunęła stopy do wody.

- Och. To ty.

Na drugim brzegu stała Pamela i przyglądała się jej. Była ubrana w różowo-czarne kimono, którego rękawy zwieszały się niemal do ziemi, a włosy miała zwinięte w kok. Wyglądała pięknie jak zwykle, ale twarz miała spuchniętą i mokrą od łez. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i odwracając się, szybko wydmuchała nos.

- Wszystko w porządku? - spytała i znowu pociągnęła nosem. - Czemu siedzisz tu sama?

- Nic mi nie jest. Ja tylko... - Lara zawahała się, a potem z ulgą, że ma jakiś pretekst, aby tu być, wyskoczyła z wody i łapiąc sweter Kipa, podeszła do Pameli. Podając jej kardigan, wyjaśniła: - Pożyczyłam go całe wieki temu, pomyślałam, że



lepiej go odniosę. To chyba Kipa.

- Rozumiem. - Pamela przytuliła sweter do piersi. - Ale oni wszyscy gdzieś pojechali.

- A tak, wiem, to nic nie szkodzi. Najchętniej wróciłabym do domu pieszo, ale Caroline nie była w stanie mi powiedzieć, którądy powinnam iść.

Pamela powiodła wzrokiem po okolicznych polach. Oczy miała zaczerwienione, tusz do rzęs rozmazał jej się na policzkach.

- Chcesz wiedzieć, którądy w razie czego uciekać? - Zaśmiała się sucho i szczerzej okrywając się kimonem, poprowadziła Larę za podwórko. - Pokażę ci. - Szła pierwsza, a jej odsłonięte, opalone na brązowo nogi były niemal tak samo piękne jak nogi jej córki, Lulu. Ramiona i rozjaśnione od słońca włosy miały wręcz identyczne.

- Tędy... - zatrzymała się i wskazała kierunek. - Idź w stronę tamtego pola, potem jego skrajem aż do rogu, gdzie zobaczysz ścieżkę między rzędami kukurydzy. Nie zbaczaj z niej, to po jakichś dwudziestu minutach wyjdiesz prosto na asfaltówkę za waszym domem. - Musiała zauważyć niespokojną minę Lary, bowiem uśmiechnęła się ciepło.

- Na pewno się nie zgubisz. Tylko pamiętaj: uważaj na dziki!

- Okay. - Lara odwzajemniła uśmiech z nadzieją, że z tymi dzikami to był tylko żart. A potem, raczej by przekonać samą siebie niż Pamelę, dodała: - Poradzę sobie.

Dopiero kiedy była na środku pola, przypomniała sobie o Caroline. Odwróciła się, by poprosić Pamelę, aby ta przekazała jej wiadomość, ale Pamela już zniknęła. Przez pewien czas stała niezdecydowana, oglądając się w kierunku Ceccomoro, patrząc ku białym ścianom domów, czerwonym schodkom i dachom, szarym okiennicom i widocznej w dole niebieskiej plamie basenu, który zdawał się wciskać w zbocze wzgórza, obrzeżony lawendą, kwitnącą tak obficie, iż niemal czuła jej zapach. A potem usłyszała krzyk w oddali, a zaraz po nim głośny plusk. To oni? Czy gdyby Kip i reszta wrócili, to najpierw nie usłyszałyby samochodu? I wiedząc,

że jest już za późno, aby zawrócić, poszła dalej.

Nie sposób było zabłądzić, tak jak mówiła Pamela. Koniec pola był wyraźnie odgraniczony, a potem zaczynało się całe morze kukurydzy. Widok bujnej soczystej zieleni przypomniiał Larze, że chociaż od dawna chciało jej się pić, nie poprosiła Pameli nawet o szklankę wody. Przyśpieszyła, marząc tylko o tym, by jak najszybciej wrócić do domu Caroline, który teraz wydawał jej się bliski jak własny. W końcu wypatrzyła przed sobą jakąś ścieżkę. Ruszyła nią, gratulując sobie zaradności i orientacji w terenie, jednak po kilku minutach, jak gdyby za karę za jej zarozumiałość, wyrosła przed nią druga ścieżka, odchodząca pod kątem od tej, którą teraz szła. I oczywiście nie było przy niej drogowskazu.

I co teraz ze mną będzie? Aby się nad tym nie zastanawiać, wybrała jedną na chybił trafił i pośpieszyła przez kukurydzę sięgającą jej do pasa. Jasna pylista ścieżka stawała się coraz węższa, gęstwina liści coraz bardziej zwarta, Lara miała coraz więcej skaleczeń na przedramionach i łydkach, oczy piekły ją od kurzu, jaki wzbijał się z szeleszczących liści. Mimo iż wydawało się niemożliwe, aby to była właściwa droga do domu, brnęła nią dalej, dopóki, jak gdyby po to, by raz na zawsze rozwiązać jej wątpliwości, ścieżka raptownie się nie urwała. Lara stała w samym środku morza kukurydzy. Nie ruszała się. Gardło miała wyschnięte na wiór, w głowie huczało jej z upału, skóra na czubku głowy z każdą chwilą szczypała ją coraz bardziej. W końcu, z ociąganiem, odwróciła się i ruszyła z powrotem między rzędami przygiętych roślin, dopóki, zaskakująco szybko, nie dotarła do rozwidlenia ścieżek. Nie ufała sobie na tyle, by bodaj spojrzeć w stronę Ceccomoro z jego basenem i stołem nakrytym do lunchu, i z desperacją podążyła drugą ścieżką.

Tu kukurydza była niższa, a liście, gładkie i śliskie jak skórka banana, zdawały się pieszczotliwie gładzić jej poranione ręce. Dróżka wznosiła się i opadła, skręcała i rozszerzała się, prowadząc do niewielkiego lasku, gdzie drzewa chyliły się ku sobie, tworząc tunel cienia. Lara zatrzymała się tam, chłonąc chłodne powietrze, przyciskając obolałe ciało do pnia barwy granitu, czekając, aż wrzenie pod jej czaszką uciszy się i całkiem ustanie. To już nie może być daleko. Zerknęła na

ciemny początek ścieżki opadającej ku rdzawoczerwonemu korytu wyschniętego strumienia i stwierdziła z rozpaczą, że od ścieżki odchodzi następna, węższa, za to mniej kręta, a na jej końcu widać plamę ostrego słońca.

Wróciła pod drzewo. W gardle tak jej zaschło, że z trudem przełykała ślinę, i nagle rozpacz rozbłysła w niej niczym flara. Zostanie tu na zawsze, blakając się po lesie, dopóki nie pożrą jej dziki. Roześmiała się i osunęła po szorstkim pniu na ziemię. Najgorsza była myśl, jak łatwo byłoby zawrócić. Gdyby pobiegła, za dziesięć minut albo i mniej byłaby już w Ceccomoro, wskakiwała do basenu, piła duszkiem wielką szklanekę lodowatego soku. Jednak nawet wyobrażając to sobie, wiedziała, że o odwrocie nie może być mowy, dopóki jakiś dzik nie odgryzie jej co najmniej jednej ręki.

- Na litość boską - powiedziała głośno i zaczęła ostrożnie schodzić do suchego koryta, czując, jak ziemia kruszy się pod jej stopami. Akurat wyciągnęła rękę, by przytrzymać się jakiegoś korzenia, gdy nagle usłyszała hałas: szelest trawy i trzask łamanych gałęzi. Oblał ją zimny pot, serce zaczęło jej walić tak mocno, że niemal słyszała jego bicie.

- Czyj to był pomysł? - Męski głos, niski i burkliwy. A potem rozdrażniony dziewczęcy: - Twój!

- No cóż, albo należy jej się złoty medal za sprint, albo naprawdę porwali ją komuniści. - Dopiero teraz rozpoznała głos Kipa.

- Nawet tak nie żartuj. - Drugi głos należał do May. - Mogli omyłkowo wziąć ją za kogoś ważnego.

Lara spojrzała na swoje nogi. Po jednej ściekała długa strużka krwi od miejsca, gdzie ostry liść dość głęboko przeciął jej skórę. Ręce miała szare od kurzu, a gdy dotykała głowy, skórę miała aż szorstką. Przełknęła ślinę i zachciało jej się płakać.

- Wracajmy. - May była już całkiem blisko. - Bo pani P. normalnie nas zamorduje.

Lara wstrzymała oddech, gdy ją mijali, rozgarniając rękami wysoką trawę,

najpierw Kip w swoich znoszonych mokasynach, z brązowymi kostkami nękającymi w nogawkach dżinsów, a potem jego siostra, ubrana w szorty koloru khaki i japonki.

Lara nie śmiała głębiej odetchnąć, dopóki nie znikli jej z oczu, a potem błyskawicznie wgramoliła się na drugi brzeg i nie zatrzymując się, pobiegła ścieżką, którą przyszedli tutaj Kip i May, dopóki nie zobaczyła asfaltówki. Wybiegła na nią i poczuła taką ulgę, że zakręciło jej się w głowie. W pierwszej chwili nie była pewna, w którą stronę iść. Gdzie ten dom? W lewo czy w prawo, w górę czy w dół? Nagle przemknął obok niej samochód, w którym siedziało trzech mężczyzn - aż się za nią obejrzel, spojrzeli na jej podartą letnią sukienkę i nieludzko zakurzone nogi w sandałkach, i już wiedziała, gdzie jest i jak trafić do domu. Biegła, zwolniwszy dopiero przed drzwiami, wślizgnęła się do środka i popędziła po schodach prosto do swojego pokoju. Wytrzymała do chwili, gdy za zamkniętymi drzwiami łazienki, bezpieczna, stała pod prysznicem. Dopiero wtedy pozwoliła sobie na to, by przez chwilę, króciutko, poszlochać.

- Ominął cię nader przyjemny lunch. - Caroline mierzyła ją wzrokiem, popijając herbatę. - I towarzystwo tych biednego potomstwa Willoughby'ego, które znowu przyszło cię szukać. Lambert na chwilę podniósł wzrok.

- Ja tylko chciałam znaleźć tę ścieżkę do domu... - tłumaczyła się z przygnębieniem Lara, widząc pełną dezaprobaty minę Caroline.

- Sądzę, że uprzejmość wymaga - kontynuowała Caroline - żebyś zadzwoniła do nich i uspokoiła ich, że nic ci się nie stało.

Zapisała na kartce numer, a kiedy Lara go wybrała, taktownie wycofała się na taras, na którym, ukryty w cieniu, pracował Lambert.

Im dłużej telefon dzwonił, tym swobodniej Lara oddychała. Kto przesiadywałby w domu w takie piękne popołudnie? I zerkając, czy Caroline aby na pewno zauważyła tę próbę, chciała już odłożyć słuchawkę.

- *Pronto?*

Za długo zwlekała. Chrząknęła.

- Dzień dobry. Mówi... Lara.

- Lara. - Powtórzył przeciągle męski głos i natychmiast rozpoznała Rolanda. - Zastanawialiśmy się, gdzie się zapodziałaś, ale skoro już się znalazłaś, to pytamy: chcesz czy nie chcesz wybrać się z nami na mały wypad?

Lara zawahała się, oglądając się na ojca, pamiętała, jaki dyskomfort czuła, gdy wychodziła gdzieś bez niego.

- Wybieramy się nad Wodospad Miłości. No wiesz. - Ze sztucznym włoskich akcentem dodał: - *La cascata dell'amore*. Teraz łatwo ci obiecać, że z nami pojedziesz, ale ładnie to tak, naobiecować różnych rzeczy, a potem zniknąć bez słowa, jak ostatnim razem?

- Ja... My pojechaliśmy do Florencji!

- Lara... - Śmiał się. - To był żart.

- Ale mówiąc poważnie. - Ściszyła głos. - Czy mój ojciec też nie mógłby pojechać? Bo...

Śmiech Rolanda przerodził się w głośnie parsknięcie.

- Jasne, bierz, kogo chcesz. Matkę, siostrę. Bierz choćby i kucharkę! - Aż się zakrztusił, jak gdyby sam pomysł był przekomiczny, i śmiejąc się, odłożył słuchawkę.

Nazajutrz o dziesiątej Lara i Lambert byli już gotowi do drogi, z ręcznikami zwiniętymi w ciasny rulon, między którymi uprzednio ułożyli na płask swoje stroje kąpielowe. Ginny przygotowała dla nich całą torbę wiktuałów, kanapek z wielkich pająk chleba, grubo przełożonych szynką i rozpływającą się mozzarellą, zlepionych oliwą z oliwek, oraz wiklinowy kosz z pięcioma czy sześcioma rodzajami owoców. Caroline przywiozła ze Sieny gazetę, „Timesa”, którego właśnie przeglądał Lambert, oparty o framugę drzwi.

- No, to bawcie się dobrze! - zawołała za nimi Caroline, gdy pierwszy z dwóch samochodów zatrzymał się na podjeździe.

Piers wygramolił się z dżipa i widząc Lamberta, powitał go kurtuazyjnym skinieniem głowy, po czym otworzył drzwi po stronie pasażera i podał mu ramię, jak gdyby Lambert był starcem niezdolnym wsiąść o własnych siłach.

- Lara! - zawołał z drugiego auta Roland, świecąc nagim torsem zza kierownicy. - Wskakuj na tył, zaraz ich przegonimy.

Lara spojrzała na Lamberta, aby wiedział, że ona godzi się na to z braku innego wyjścia i wrzuciwszy torbę i ręcznik na kanapę, przelazła nad bocznymi drzwiami.

- Cześć. - Z przodu siedział Kip. Obejrzał się i ich spojrzenia się spotkały. Wydawało jej się, że topnieje. Płonęła i jednocześnie rozpuszczała się jak wosk.

- Cześć - wymamrotała i tak zakręciło jej się w głowie, że musiała na chwilę zamknąć oczy.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Tabitha, która też siedziała z tyłu. Miała na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę o przymarszczonych rękawach i dość głębokim, owalnym dekolcie, nieco odwracającym uwagę od jej nóg, które w ostatnim tygodniu zaczęły puchnąć, łydki zrobiły się masywne, na skórze uwidoczniły się żyłki, a kostki po prostu znikły.

- Tak. - Lara uszczypnęła się w wewnętrzną stronę kolana, tak aby nikt tego nie zauważył. - Na kilka dni pojechaliśmy do Florencji, to wszystko.

Tabitha była zbyt zmęczona, żeby dłużej się tym zajmować. Głowa sama jej się odchyliła, dłoń spoczęła na wypukłym brzuchu.

- Gotowi? - zawołał Roland i ruszył z rykiem silnika.

- Ostrożnie - wyszeptała Tabitha, ale chyba nikt jej nie usłyszał.

Nie minęło dużo czasu, nim wyprzedzili drugi samochód. Jego kierowca prowadził znacznie spokojniej, wioząc z przodu Lamberta i z tyłu dwie dziewczyny, których Lara nie rozpoznała. Złowiła spojrzenie ojca, gdy wymijali ich w pędzie, i widząc jego przerażenie, zmusiła się do tego, by pomachać mu wesoło. Niewiele później skręcili w nieutwardzoną drogę, lecz zamiast zwolnić, Roland przycisnął pedał gazu, a samochód zaczął podskakiwać i niebezpiecznie kołysać się na wybojach.

- Ej, wolniej! - krzyknęła odruchowo May, gdy jej ciężarną siostrę podrzuciło



niemal pod sam dach, a Antonia siedząca po jej drugiej stronie spytała Tabithę, przekrzykując hałas, czy nie uważa, że z przodu byłoby jej wygodniej.

Tabitha tylko pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. - Jednak na czole wystąpiły jej drobne kropelki potu.

Wjeżdżali i zjeżdżali ze wzgórz, pędzili serpentynami, wpadając jedno na drugie, ponuro trzymając się metalowych rur i brezentu, jak gdyby od tego zależało ich życie. Przez otwarty tył wpadało pełne pyłu powietrze. Kierowcy innych samochodów, mijanych o grubość lakieru, trąbili na nich wściekle, a Roland, który wolał opacznie rozumieć pełne pretensji tony, odpowiadał radosnymi uderzeniami w klakson. Kiedy zatrzymali się w zagajniku, gdzie stało już kilka innych samochodów, Lara była taka wściekła, że ledwie mogła ustać na nogach. Miała ochotę podbiec do Rolanda, rozkwasić mu gębę pięściami, zademonstrować oburzenie wobec jego zachowania, ale wiedziała, że najmniejszy przejaw emocji zostanie powitany wybuchem wesołości i zachwytem.

- Udało się! - Roland przeciągnął się, wciągając brzuch i wypychając pierś. - Wodospad *L'Amore!*

Z mokrymi od potu włosami przyklejonymi do czaszki, wyprostował się i rozłożył ramiona. Stał tak, prężąc mięśnie odrobinę za długo, jak gdyby napawał się siłą swojego ciała, pławił się w złocistej chwale bycia sobą, doceniając, jakim jest farciarzem, że jest, że po prostu żyje. Pozostali nie mogli się powstrzymać: patrzyli na niego, cała piątka, na lwa, przywódcę stada, a po chwili Tabitha - aby pokazać, że takie demonstracje nie robią na niej wrażenia, że już wszystko widziała, lecz mimo to skrycie uśmiechała się z dumą - wzięła koszyk i zaczęła ostrożnie schodzić ku wodzie, której ryk nagle wypełnił uszy Lary i nie mogła pojąć, dlaczego od razu go nie usłyszała.

Wodospad wyglądał zjawiskowo. Woda spadała z wysokości spienioną kaskadą i szybko nabierając przejrzystości i zielonego koloru, spływała do niecki, która była obrzeżona płaskimi, rozgrzanymi od słońca skałami, jak gdyby natura stworzyła to miejsce wyłącznie dla zabawy. W jeziorzku kapali się jacyś ludzie,



pozwalając, by kotłująca się woda odpychała ich coraz dalej, a potem przywierali do głazów, by nie dać się porwać nurtowi.

Tabitha rozkładała koc w cieniu drzewa o zwieszających się ku ziemi gałęziach. Lara rozwinęła ręcznik tuż obok i patrzyła, jak May, smukła i brązowiotka w kostiumie błękitnym jak grzbiet zimorodka, powoli wchodzi do rzeki. Lara rozejrzała się za pozostałymi i zobaczyła Rolanda, tuż za nim Kipa, a za Kipem Antonię, wspinających się po skałach na samą górę. Skały były olbrzymie, pełne rozpadlin i wgłębień, idealnych, by oprzeć stopę, jednak już na pierwszy rzut oka było widać, że łatwej drogi na dół po prostu nie ma.

W końcu ci troje dotarli na szczyt, obrócili się i jedno za drugim stąpali po oślizłych kamieniach, dopóki nie znaleźli się na samym końcu skalnej półki bezpośrednio nad miejscem, gdzie woda z hukiem wpadała do jeziora. Roland uniósł ramiona, wydał okrzyk wojenny, aż tu nagle, zamiast skoczyć, zepchnął Kipa ze skały. Lara zacisnęła pięści, krew się w niej zagotowała, lecz leżąc obok Tabitha śmiała się w najlepsze.

Kip spadał, krztusząc się pianą, z podkulonymi rękami i nogami, by nie zahaczyć o skały. Larze zdało się, że widzi jego usta, otwarte do wrzasku, lecz oto już uderzył w wodę i zniknął. Nie mogła znieść tego wyczekiwania. Niczego nie pragnęła bardziej, jak tego, by móc odwrócić wzrok, lecz nie śmiała tego zrobić, dopóki nie wypłynie cały i zdrowy. I wreszcie się doczekała. Wynurzył się tryumfalnie, wzniesając fontannę wody, z mokrymi włosami i błyszczącymi oczami.

- Teraz wasza kolej, wy podstępne szuje! - krzyknął do Rolanda i Antonii, wciąż stojących na kamiennej półce. Przewrócił się na plecy i kilkoma wymachami nóg zbliżył się do brzegu jeziora.

Lara pośpiesznie założyła kostium, nerwowo ściągnęła sukienkę i pobiegła w jego stronę. Chwała Bogu, chciała powiedzieć, że nic ci się nie stało, ale nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Więc tylko uśmiechnęła się i wślizgnęła do wody, a potem, odpływając od kamieni, zamknęła oczy, by nie oślepiało jej słońce, i czekała, aż Kip jej dotknie. Niemal czuła, jak obejmuje ją pod wodą, jak prowadzą kolejną

potajemną rozmowę bez słów, lecz to nie Kip ją chwycił, lecz jakiś nieznajomy. Był krepy i silny. Ściągną jego ramion boleśnie wrzynały się w jej ciało. Usiłowała się wyrwać i odpłynąć dalej, lecz kiedy jeszcze próbowała strząsnąć z siebie jego ręce, poczuła, jak coś wsysa wodę wokół niej, a potem nastoletni chłopak uderzył o powierzchnię z taką siłą, iż woda wyrwała ją z rąk nieznajomego i pociągnęła w kierunku dna. Kiedy się wynurzyła, mężczyzna spojrział na nią i pokręcił głową.

- *Stupida* - usłyszała i wciąż się dławiąc, podziękowała mu.

- *Molto genitale* - powiedziała bezgłośnie.

Od tamtej pory Lara trzymała się blisko skał, kąpiąc się na płycznach, odpoczywając przy głazach. Przy brzegu woda była tak przejrzysta, że było widać całe ławice małych srebrzystych rybek tuż pod powierzchnią i większe, brązowawe, przepływające tak blisko - była tego pewna - że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by którejś dotknąć i jak w tej sztuczce z hipnotyzowaniem łososi, łaskotać ją po brzuchu, dopóki nie zastygnie w bezruchu. Usiadła na kamieniu do połowy zanurzonym w wodzie i patrzyła, jak Roland skacze ze skały, na jego idealnie wyprostowane nogi i złotą opalenizną połyskującą w słońcu, a potem, po długim, pełnym napięcia wyczekiwaniu, z wodospadu skoczyła Antonia, przeraźliwie krzycząc. Kiedy wypłynęła, oczy jej lśniły. Wyszła z wody i rzucając przekorne spojrzenie Rolandowi i Kipowi, którzy nagradzali się za swój wyczyn papierosami i słodkim lenistwem, ponownie wdrapała się na wodospad i po mrozącym krew w żyłach wyczekiwaniu, zupełnie jak za pierwszy razem, znowu rzuciła się do wody.

Zanim pojawił się Lambert, Lara zdążyła zapomnieć, że on też jechał nad wodospad. Zapomniała o drugim aucie, o Piersie za kierownicą, rozsądnie zwalniającym przed zakrętem w kształcie litery „s”. Lambert niósł kosz z owocami i długą złożoną parasolkę. Tuż za nim szły dwie identycznie wyglądające dziewczyny. Podreptały nieśmiało po skałach i usiadły obok Tabithy. Lara wyszła z wody.

- Hej - powiedziała, dotykając ramienia ojca, a on odwrócił się i przedstawił ją dziewczynom.

- Laro, to jest Nettle, a to Willow. Ich matka jest znajomą Pameli. Przyjedzie za kilka dni.

- Willow i Nettle - poprawiły i spojrzały na Larę, która w ich zmieszaniu, w ich kościstych przygarbionych plecach widziała piętno wieloletniego pobytu z szkole z internatem; no i te imiona: „Wierzba” i „Pokrzywa”.

I właśnie wtedy Roland rzucił się do wody, skoczył niebezpiecznie blisko wodospadu, obejmując nogi zgięte w kolanach i spadając jak meteor.

- Mój Boże! - jęknęły dziewczyny i obserwowały z podziwem, jak chwiejnie wychodzi z wody.

- Wy spróbujcie. - Ochlapał je wodą, lecz one wciąż siedziały skulone z kolanami podciągniętymi pod samą brodę, z brzuchami zapadniętymi jak u charta.

Lambert usiadł przy May.

- No. - W jego tonie brzmiało skrepowanie. - Na jakie wykłady chodzisz na uniwerku?

- Och - odparła May, która czuła się równie niezręcznie. - Szkoda mi czasu na uniwersytet. Byłam w Paryżu na kursie kulinarnym Cordon Bleu, a na wiosnę... prawdę mówiąc, to wychodzę za mąż.

- Rozumiem. - Lambert chrząknął. - Oczywiście, już sobie przypominam. Tak jest.

Lara leżała w słońcu, podczytując gazetę i równocześnie obserwując, jak Kip skacze z wodospadu; miał taką gładką skórę i rozczulająco nieskoordynowane ruchy. Co pewien czas docierał do niej głos Lamberta. Opowiadał May historię Sieny, o wojnie, którą przez wiele lat, dawno temu, prowadziła z Florencją.

Opisywał bitwy między dwoma miastami oraz słabość polityki w dobie renesansu, która ostatecznie pozwoliła Francuzom wdrzeć się szturmem i przejąć władzę.

- Wciąż oddają cześć podczas Palio, o czym z pewnością wiesz, miastom, które udzielały im schronienia, gdy byli na wygnaniu. To niespotykane, nieprawdą? Całe miasto na wygnaniu, a potem - dodał, smutniejąc - powracające do domu.

May półgłosem przyznała mu rację.

- To takie ciekawe - zapewniła z odrobiną nazbyt widocznym entuzjazmem. -

Nie wiedziałam o tym.

W końcu Lambert wstał, postanowiwszy się wykapać, a zaledwie wślizgnął się do wody, May przeniosła się z ręcznikiem i ułożyła obok Piersa.

- Przyszło mi coś do głowy - powiedziała. - Może oprócz wina i szampana powinniśmy podać na weselu cydr. No wiesz, dla tych twoich okropnych koleżków rugbyistów.

- Mhmm, co tylko chcesz - mruknął Piers sennie i wziął ją za rękę.

- No, dziewczyny, powiedzcie mi coś. - Roland przykucnął przy bliźniaczkach. - Co u was nowego w to lato? Wasza matka wciąż występuje w tym cholernym, beznadziejnym sztuczynie?

- Tak - przyznały z wahaniem.

Roland położył się przy nich, plecami do żony, i podparł przedramieniem tak, aby zademonstrować napięty biceps.

- No to o co biega z tymi plotkami i skandalem? Śmiało. Powiedzcie mi coś, o czym jeszcze nie wiem.

- Nie ma o czym mówić. - Wierciły się jak na szpilkach.

- Nic nie ma.

Tabitha ignorowała męża. Wyjęła magazyn i przytrzymując go, by nie zsunął się z jej wielkiego brzucha, przeglądała pełne przepychu kolorowe strony.

Kiedy Lambert wyłonił się z wody, nie było już dla niego miejsca. Stał przez chwilę, niepewny, co zrobić, zerkając na Antonię i Kipa, którzy na szczycie klifu namawiali się nawzajem na coraz niebezpieczniejsze skoki. Popatrzył na Piersa i May, trzymających się za ręce na kocu, dyskutujących o weselu, kłócących się w przesympatyczny sposób o to, jakie imiona powinny nosić dzieci, których mieli nadzieję się doczekać.

- Tutaj - zawołała Lara, poklepując ręcznik rozłożony na ziemi, a Lambert dosiadł się do niej skwapliwie.

Teraz jej kolej. Będzie musiała go zabawiać, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Rozejrzała się niespokojnie. Jak oni mogą udawać, że go nie zauważają? Plotkować i chichotać zamiast skorzystać z okazji, by z nim porozmawiać, z takim mądrym człowiekiem. Jednak chociaż miała do nich pretensję, sama była nie lepsza. Lambert otworzył butelkę soku morelowego i częstował wszystkich dookoła, ale nikt nie chciał się napić.

- No to... - Pomógł jej jeden z nagłówków w gazecie. - Co będzie z tymi strajkującymi? Będą głodować, aż wszyscy umrą?

- Kiedyś czytała w „Timesie” o terrorystach, którzy ostrzelali trumnę dwudziestopięcioletniego mężczyzny, zmarłego w siedemdziesiątej drugiej dobie strajku głodowego. Łzy współczucia znowu napłynęły jej do oczu, serce było gniewem. - Nikt nawet nie kiwnie palcem? - Miała wrażenie, że słyszy jęk Rolanda, ale nawet nie spojrzała w jego stronę.

Lambert zmrużył oczy, jak gdyby nagle dostrzegł w niej coś nowego.

- Strajk wiele zmieni - odparł - ale nic przy świadkach. - I wytłumaczył jej, jak ważne jest to, aby rząd nigdy nie dał się przyłapać na negocjowaniu ze strajkującymi, nawet jeśli rokowania to jedyny sposób, aby poprawić sytuację. Opowiedział jej, jak zaczęły się „kłopoty”, krwawe konflikty między Irlandczykami a Brytyjczykami, trwające od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, o narodzinach Irlandzkiej Armii Republikańskiej, o polityce prowadzonej przez torysów, Lara słuchała z wielką uwagą, lecz mimo to niespostrzeżenie odpłynęła myślami i patrzyła, jak Kip siłuje się z siostrą na klifie.

- Czy to coś wyjaśnia? - spytał Lambert, zmuszając ją do oderwania uwagi od Kipa, dzięki czemu zdążyła zobaczyć potężne ziewnięcie Rolanda.

- Tak. - Z zapalem pokiwała głową. - Myślę, że dużo.

Lambert znowu wrócił do lektury, a Lara czytała, patrząc mu przez ramię, o małym chłopczyku, który zaginał w dniu królewskiego wesela. Był wtedy ubrany w ciemne spodniki i koszulkę w poprzeczne biało-niebieskie pasy. Ostatnie widziały go niania i jego młodsza siostrzyczka, kiedy kupował słodycze w sklepiku przy

Kensington High Street, zanim pobiegł przed nimi do domu. Tydzień, pomyślała Lara. Cały tydzień, odkąd zaginał, pomyślała patrząc na zdjęcia, na których inny chłopiec o imieniu Sunil, w identycznej pasiastej koszulce, kupuje dokładnie takie same słodycze.

W końcu przysłała pora na lunch. Rodzeństwo Willoughbych urządziło sobie prawdziwą ucztę. Lara popchnęła kosz z owocami na środek i odwinęła kanapki, wyglądające skromnie, niemal nędznie, przy tacy z kawałkami kurczaka, warzywami z grilla, sałatkami i ciastem, które May i Tabitha wyładowały z samochodu. Mimo to, jedząc, poczuła ulgę. Wspólny posiłek jednoczy ludzi, jest czymś, w czym wszyscy mogą uczestniczyć. Nawet Kip i Antonia wyleźli z wody i stanęli, zziębnięci i piękni, przy skraju obrusa.

- Zagrajmy w coś - zaproponował Piers i zgodnie postanowiono, że każdy kolejno musi się przyznać, czego nigdy nie robił.

- Nigdy nie uprawiałem seksu z kozą - zaczął Roland z pełnymi ustami, ale nie zdobył ani jednego punktu, bo pozostali także tego nie robili.

- Punkty dostajesz tylko wtedy - ofuknęła go May - kiedy nie robiłeś czegoś, co robiła cała reszta. Musiałbyś być jedyną osobą, która oparła się kozim wdziękom.

- Nigdy nie uprawiałam seksu... - zaczęła z zadowoleniem Antonia. - Z mężczyzną!

Jednak zdobyła mizerną liczbę punktów, bowiem Roland, Kip, Piers, Lambert, Willow oraz Nettle od razu podnieśli ręce, skandując:

- My też nie!

- Piers... - May szturchnęła go. - Bądź szczery. A w szkole?

- A to się liczy? - spytał i oczy mu się rozszerzyły, kiedy zapewniono go, że jak najbardziej.

Roland uśmiechnął się szeroko i też opuścił rękę.

- To nie byli mężczyźni, tylko chłopcy.

Larze waliło serce. Czy ta jedna noc też się liczy? Ten jeden raz, kiedy wszystko robiła nie tak, ciągle przepraszała i zaciskała kurczowo powieki, podczas

gdy pewien chłopak z Turnpike Lane usiłował się z nią kochać? Tak, uznała. To na pewno się liczy. I zaczęła się cieszyć, że wtedy się nie wycofała.

- Lara! - krzyczeli pozostali z kręgu. - Twoja kolej!

- No dobrze. Ja nigdy... - Co mogłaby powiedzieć? - Nigdy nie miałam grzywki. - Na sekundę zapadła cisza, a wszyscy patrzyli na nią osłupiali. - To znaczy, zawsze czeszę się z przedziałkiem. Myślałam, czy nie zrobić sobie grzywki... ale...

- Dobra, dobra, ty sieroto. - Jęki, śmiechy i kolejka Tabithy.

- Nigdy nie widziałam dzika.

- Ani ja. Ani ja. - Prawie nikt nie widział. Gra trwała.

- Nigdy nie brałem kokainy - oznajmił tryumfalnie Piers, jak gdyby zawsze wiedział, że jego narkotykowa abstynencja kiedyś się przyda. I miał rację. Ręki nie uniósł nikt oprócz Lamberta. Nawet Nettle i Willow.

- Nigdy nie widziałam matki nagiej. - To była May i przez chwilę wydawała się smutna.

- Ja widziałem - wtrącił posepnie Kip.

- Bo byłeś rozpieszczony. Byłeś jej maleństwem. Tylko ciebie kochała!

- Żałuj, że nie było cię przy tym. Wcale nie było aż tak super.

- Okay, przestańcie się kłócić. - Antonia westchnęła. - Kip, twoja kolej.

Kip zastanawiał się przez minutę, potem podniósł wzrok.

- Nigdy nie byłem zakochany. - Zrobił



opadała niepewnie, ale po wymierzonym przez kogoś klapsie więcej już się nie podniosła. I wtedy, powoli, spoza nieruchomego kręgu, Lambert podniósł rękę.

Lambert i Kip popatrzyli na siebie.

- Cholera. - Kip pokręcił głową.

Lambert uśmiechnął się ze smutkiem.

- Dobrze powiedziane. Cholera.

- Wygrywa Lara - orzekł Roland, wstał i przeciągnął się.

Było późne popołudnie, gdy dotarli do domu.

- Jak było? - Caroline podniosła wzrok znad listu, który właśnie pisała.

- Dobrze. - Lara uśmiechnęła się z przymusem. Nagle poczuła się zmęczona, skórę miała wysuszoną i szorstką od słońca.

- Interesująco. - W białej koszuli i wyglansowanych półbutach Lambert znowu wyglądał jak Lambert. Rozsiadł się na sofie, jak gdyby przed chwilą przeprowadził jakiś eksperyment, o którym szczęśliwie można więcej nie myśleć.

Tak szybko, jak tylko uprzejmość na to pozwalała, Lara poszła się położyć. Jak on mógł, zapytywała samą siebie, twierdzić, że nigdy nie był zakochany? I nie wiedziała, kto napawa ją większym rozgoryczeniem - ojciec czy Kip.

Jedynie Ginny zauważyła, że coś jest nie w porządku. - Czyżby lekki udar słoneczny? I przygotowała dla Lary lemoniadę z wody z lodem z dodatkiem soku z cytryny. Potem ukroiła dwa plasterki ogórka i poradziła, żeby położyła je na powiekach.

- Możliwe - przytaknęła Lara z nadzieją, że wszystkiemu winne jest słońce, lecz było jej ciężko na sercu i rozpaczliwie smutno.

Poleżała nad basenem, trochę popływała, posiedziała w pokoju i nawet napisała kilka słów do matki na widokówce kupionej przed ponad tygodniem. *Tutaj jest super. Zaczęła stawiać większe litery. Świetnie się bawię. Pływam, obżeram się i opalam. Betty już urodziła swoje kocięta? Mam nadzieję, że wszystkie są zdrowe.* Wyobrażała sobie, jak matka to czyta, obracając kartkę, by obejrzeć zdjęcie na drugiej stronie - Palio, konie pędzące po placu, o kończynach tak delikatnych i

kruchych, że wystarczy jeden upadek, by się złamały. Widziała nieomal, jak matka znowu obraca widokówkę w palcach i marszczy czoło, rozczarowana brakiem informacji, i zanim zdążyłoby ją podkusić, aby coś dopisać, nagryzmoliła rząddek buziaków i podpisała się imieniem.

Po lunchu Lara wybrała się na spacer.

- Uważaj - ostrzegł ją Lambert, ale nie poprosiła go, żeby z nią poszedł, a on też tego nie proponował.

Powoli szła wzdłuż drogi, pokonała zakręt i stanęła przed wylotem ścieżki prowadzącej do Ceccomoro. Przypomniała sobie smutną twarz Pameli i ruszyła dalej asfaltową drogą. Dzień był upalny. Tylko wściekle psy i Anglicy, przypomniała sobie słowa Lamberta, żałując, że wyruszyła sama. Gdy przemknął obok niej rozpędzony samochód, osłoniła dłonią oczy. Od jezdni bił żar, lśniące srebrzyście rozpalone powietrze uderzało o liści drzewek oliwnych, przygrzewało boleśnie jej odsłonięte palce u stóp. Wiedziała, że powinna zawrócić, lecz oto zobaczyła przy jezdni asfaltową zatoczkę, gdzie w chłodzie pod drzewami stał jakiś samochód.

Dotarła do zatoczki i usiadła w cieniu drzew na kikucie czegoś, co kiedyś było słupkiem bramy. Powietrze pachniało przepięknie. Sosną, wyschniętą ziemią i gorącym asfaltem jezdni. Lara łapczywie spijała ten zapach. Było cicho, jeśli nie liczyć donośnego cykania świerszczy, do którego jednak zdążyła tak przywyknąć, że musiała nasłuchiwać, by w ogóle je usłyszeć. A potem zobaczyła biały samochód, wolno wyjeżdżający z za zakrętu. Siedziało w nim dwoje ludzi zajętych rozmową. Samochód stał tuż za Larą, wciąż na włączonym silniku, wyrzucając rurą wydechową gorące spaliny, a głowy w kabinie zbliżyły się do siebie i pocałowały. Lara widziała zarys dwóch osób na tle przyciemnianej przedniej szyby, długie kosmyki jakiejś kobiety i głowę mężczyzny, na poły łąsą, na poły kędzierzawą. No proszę, pomyślała, nawet oni są zakochani, a potem drzwi po stronie pasażera otworzyły się i z samochodu wysiadł Andrew Willoughby.

- *Au revoir* - powiedział. - Oby wkrótce. - W ostatnim słowie już brzmiała

tęsknota.

- Nie bawi mnie to - przytaknęła kobieta, a Andrew się roześmiał.

Lara obejrzała się w porę, aby zobaczyć, jak się całują. Andrew pochylony ku wnętrzu samochodu, kobieta z parawanem jasnobrązowych włosów zasłaniającym twarz.

- *Arrivederci*. - Andrew wyprostował się. - To pa, pa. - I samochód z piskiem opon zjechał na przeciwny pas i odjechał.

Lara znowu odwróciła wzrok, ale zbyt późno.

- Czy mnie oczy nie mylą? Nasza młoda komunistka? - zawołał Andrew, poprawiając ubranie. - Czekaj, aż zjawi się przystojny rewolucjonista i porwie ją do swojej chatki na wzgórzach? - Wyciągnął z kieszeni jakieś klucze. - Ale mówiąc poważnie, mój skarbie, jeśli chciałaś się spotkać ze swoją paczką, to poszłaś w niewłaściwym kierunku. - Otworzył samochód.

- Wsiadaj - mruknął. - Śmiało, podwiozę cię.

Lara posłusznie wsiadła. Obicie fotela było gorące i lepkie, mimo cienia w samochodzie było tak jasno, że musiała zmrużyć oczy, by spojrzeć na kierowcę.

- Cóż. - Andrew prowadził powoli, jedną ręką opierając na kierownicy. - Dobrze się bawisz? - Zerknął na jej odsłonięte uda, wciśnięte w rozpaloną skórzaną tapicerkę. - Są takie, jakie sobie wyobrażałaś? Włochy?

- Tak - odparła. - O, tak.

- To dobrze. - Mówił tonem łaskawcy, gospodarza całych Włoch, jak gdyby mógł wszystko zmienić pod jej gust, gdyby coś jej się nie podobało. - Słyszałem, że byłaś we Florencji. Z drogim papą.

- Tak. - Dopiero wtedy zauważyła, że minęli zakręt do domu Caroline i jadą drogą do Ceccomoro. - O nie! - jęknęła. - Ja... wszyscy będą się o mnie martwić, jeśli nie wrócę. Mówiłam tylko, że idę na spacer, zresztą wczoraj wszystkich widziałam, więc...

- Sądysz, że będą rozczarowani, widząc cię ponownie? - Zaśmiał się. - Nie masz pojęcia, jak wielu atrakcji potrzebuje moja rodzina.

- No właśnie - podchwyciła. - Prawdopodobnie woleliby kogoś nowego.

Andrew popatrzył na nią.

- To prawda. - Oczy mu się zwęziły. - Ale nie ma nikogo innego. - Uśmiechnął się, jak gdyby chciał złagodzić wydźwięk tych słów. - Więc głowa do góry.

Będziesz im musiała wystarczyć ty. - Lekko klepnął ją w udo i przeprowadził samochód między kamiennymi lwami, po kredowym podjeździe, by wreszcie zaparkować na podwórku. - Zadzwoń do Caroline i powiem jej, że nigdzie cię nie puścimy. Do wieczora.

Dopiero później, gdy stała w chłodnym gabinecie pełnym gobelinów i miękkich dywaników, czekając, aż Andrew wybierze numer, miała czas, by zastanowić się, po co właściwie Andrew zostawia samochód w zatoczce i odjeżdża cudzym? I kim była tamta kobieta? Lara zmarszczyła czoło z nieprzyjemnym uczuciem, że było w niej coś znajomego, w tej jej burzy jasnobrązowych włosów łapiących światło, gdy kobieta wychyliła się z auta, by zamknąć drzwi.

Przy basenie Lara nie zastała nikogo. W ogrodzie też nie.

- Tak - rzucił w słuchawkę Andrew, zanim wyszła na dwór. - Ktoś ją podrzucił do domu. - A później, z poczuciem spełnionego obowiązku, zniknął gdzieś, pozostawiając ją samą, wsłuchaną w cichnący odgłos jego kroków.

Potem powoli spacerowała pajęczyną wąskich uliczek między domami. Zaglądała w okna i nasłuchiwała, lecz nie zobaczyła nikogo, nie usłyszała szmeru głosów. W końcu wróciła na główny dziedziniec. Pod wielkim parasolem stał stół z mnóstwem krzeseł. Nieco dalej, trochę pod górkę, w starym kamiennym budynku, tak zacienionym, że naprawdę chłodnym, urządzono kuchnię. Lara zajrzała do środka. Dwa stoły, masywny piec, wysoka biała lodówka, ale wszędzie panował porządek i cisza, jak gdyby to miejsce od dawna było opuszczone, blaty były puste, podłoga zamieciona. Lara przeszła po niej na palcach i zatrzymała się w jadalni.

Potem poszła jakimś korytarzem i stwierdziła ze zdziwieniem, że znowu znalazła się w głównej części domu. Zwiedziła sypialnię z pomalowanym na biało łóżkiem, pokój reprezentacyjny z drewnianym stołem i czymś w guście

gigantycznego tronu z ciemnego drewna. Następne pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć dwóch szafek pomalowanych na blady kolor oraz starej maszyny do szycia stojącej na blacie wbudowanym w specjalny stelaż z pedałem.

Jeszcze dalej zobaczyła znajome drzwi do sali telewizyjnej. Popchnęła je i znalazła się w niemal całkowitych ciemnościach. Mogłaby tu posiedzieć, pomyślała, i wrócić do domu na piechotę, kiedy na dworze już się ochłodzi. Pozwoliła, by drzwi zatrzęsnęły się za jej plecami i aż podskoczyła, widząc, że w rogu porusza się jakaś postać. Był to mężczyzna, jak Lara zdążyła zauważyć, siedzący z nogami przerzuconymi przez poręcz fotela.

- Mam dość tego słońca. Nie mogłoby schować się za chmurą, chociaż raz? -  
Głos należał do Kipa.

Podeszła bliżej. Kip miał na sobie dżinsy i ciemną koszulę, do tego półbuty i kurtkę.

- Zaklinam deszcz - wyjaśnił, widząc jej zdziwioną minę. - Pomyślałem, że może wreszcie spadnie, jeśli się tak wystroję.

Lara usiadła w jednym z foteli. Chciało jej się śmiać, lecz Kip powiedział to całkiem poważnym tonem.

- Nie tęsknisz? - spytała w końcu, przerzucając nogi przez poręcz.

- Za czym?

- Za... - Chciała powiedzieć „za domem”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

- Szkoły na pewno nie będzie mi brakowało. Jeśli to miałaś na myśli.

- Za Anglią?

Kip poruszył się w fotelu.

- Ty tęsknisz za Finsbury Park? Za „Tęczą”...?

- Nie. - Zaśmiała się. - Ale może bym zatęskniła, gdybym była dostatecznie długo poza domem.

Siedzieli w milczeniu.

- Przypuszczam, że tęskniłabym za matką - powiedziała w końcu Lara.

Usiłowała przywołać jej obraz, ale z niewiadomego powodu widziała tylko słodki pyszczek swojej kotki.

Kip przełożył inaczej nogę i przez chwilę ich stopy się dotykały. Każdy nerw w jej ciele zareagował na tę nieoczekiwaną bliskość i aż przełknęła ślinę tak głośno, że Kip też to usłyszał.

- No to co będziesz robił? - spytała. - To znaczy, naprawdę tak marnie ci poszło na egzaminach?

- Starzy mnie wysyłają.

- Gdzie?

- Najpierw mówili, że gdzie tylko chcę. Ale kiedy zaproponowałem Las Vegas, powiedzieli, że chodziło im o dowolne miejsce... w Afryce.

- Och. - Larze zrobiło się słabo: on wyjeżdża. Z drugiej strony poczuła też pewną ulgę. W Afryce będzie bezpieczny. Daleko nie tylko od niej, ale od wszystkich. Od Lulu, od swoich sióstr i od sióstr swoich koleżków. - Długo cię nie będzie?

- Rok czy coś koło tego. Żeby wybić mi z głowy pchanie się w kłopoty. Ukształtować charakter. Dać mi szansę doświadczenia czegoś jedyne w swoim rodzaju.

- Trochę jak roczna przerwa przed pójściem na uniwersytet?

- Aha, ale bez uniwersytetu.

Roześmiali się oboje, a potem Kip zmarszczył czoło i wpatrzył się w podłogę.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytała niemal szeptem.

- Za miesiąc czy dwa. Nie jestem pewny.

Postawił stopy na podłodze i podniósł się z fotela. Wydawało się, że nie za bardzo wie, co zrobić, bowiem przez chwilę stał tylko i dalej marszczył brwi, jak gdyby zapomniał, po co właściwie wstawał. Lara wyciągnęła do niego rękę. Chwycił ją i jak gdyby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, pomógł jej wstać. Wyprostowała się, a on, nie puszczając jej ręki, wsunął ją pod kurtkę. Poczowała ciepło jego ciała przez bawełnianą koszulę i gładkość jedwabnej podszewki. Kip objął ją

ramieniem.

- To nie jest zbyt ckliwe? - spytała.

- Nie wiem. - Jego usta były bardzo blisko. - Ale myślę, że jest okay.

Obrócili się i rozejrzeli po pokoju. Niedaleko stała sofa z kapą do połowy ściągniętą na ziemię oraz popielniczka pełna niedopałków.

- Jesteśmy bezpieczni... nikt nie gra na skrzypcach... księżyc nie świeci... - pochylił się i pocałował ją.

Usta miał chłodne, oddech świeży jak lato, a kiedy przyciągnął ją do siebie, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Jesteś taki... - zaczęła.

- Jaki? - wymruczał.

Powiodła dłońmi po jego białej koszuli.

- Miły. - I ucałowała jego uśmiechnięte usta. - Powinieneś powiedzieć, że ja też jestem miła - zaśmiała się, ale on znowu ją pocałował, i jeszcze raz, dopóki oboje nie poczuli się jak pijani i wciąż objęci, osunęli się na podłogę.

Kip zsunął buty i zaczął majstrować przy guzikach jej bluzki, jednak ona objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie. Chciała poczuć jego ciężar, jego ciepłe uda, sprzączkę paska wrzynającą się w jej skórę.

- Zmiażdżę cię - ostrzegł, ale prawda była taka, że ona chciała być zmiażdżona.

Kiedy zabrzmiał dzwonek wzywający na kolację, Lara miała twarz obolałą od pocałunków, pogniecione ubranie i potargane włosy.

- Mój Boże, która to godzina? - Usiadła. Zupełnie straciła poczucie czasu.

Kip rozglądał się za butami. Znalazł kurtkę, częściowo wsuniętą pod fotel, i poprawił poluzowaną sprzączkę przy pasku; zanim przerwali, wsunął rękę Lary za rozporek, dopóki go nie dotknęła, rozpierającego materiał bokserek, lecz nie posunęli się dalej. Zrobienie czegokolwiek więcej wymagałoby rozmowy. Prezerwatywy, przekręcenia klucza w drzwiach. Łatwiej było tylko się całować.

Kip pstryknął włącznik światła.



- Oj. - Lara zasłoniła oczy. Odwróciła się i zapięła bluzkę, poprawiła włosy i usiadła przodem do Kipa. - Jak wyglądam?

Kip przechylił głowę.

- Nieźle - odparł, podając jej rękę i wyprowadził ją z pokoju.

Lara usiadła przy stole i przycisnęła do twarzy chłodną szklanekę. Andrew Willoughby siedział między bliźniaczkami i zabawiał bliższą połowę stołu, poddając je dokładnemu przesłuchaniu. Pytał właśnie, którą koleżankę ze szkoły najbardziej podziwiają.

- To była ta sama dziewczyna? Ta, w której się durzyłyście? No, śmiało, mnie możecie powiedzieć. Czy to nie tak jest z bliźniaczkami? - Urwał, by sprawdzić, która bardziej się zaczerwieniła, ale nie sposób było tego stwierdzić.

Lara ukryła się za ich rozpaczą i obserwowała pełna ulgi, jak co pewien czas rzucają błagalne spojrzenia w kierunku Pameli, która siedziała na drugim końcu stołu, piękna i uśmiechnięta, z twarzą złocistą od słońca i makijażu.

Sprzątnięto po głównym daniu i wniesiono deser, lody. Przy pierwszej okazji Nettle i Willow wymknęły się od stołu, a ich odejście uwolniło resztę towarzystwa. Gdy zamieniano się miejscami, dolewano do kawy alkoholu, Lara, May i Tabitha usiadły przy basenie, mocząc stopy w wodzie i zapalając papierosy. Nie paliła tylko Tabitha, za to chciwie zaciągała się smużkami dymu.

Po chwili leniwym, niespiesznym krokiem podszedł do nich Kip. Kiedy Lara spojrzała na niego, chwycił ją za rękę.

- Chodź ze mną - poprosił, a jego siostry patrzyły milcząco, jak Lara niezdarnie wychodzi z wody. - Wy też - zwrócił się do nich, uśmiechając się pod nosem. - Chodźcie. Roland ma genialny pomysł.

May zerwała się na równe nogi, ale Tabitha nawet nie drgnęła.

- Chyba zdołam oprzeć się ciekawości. - Ziewnęła i błyskawicznie wyjęła May papierosa spomiędzy palców.

We dwie podążyły za Kipem przez ciemny ogród, skrzyły za głównym budynkiem i przez parking doszły do dawnej stajni, zaadaptowanej tak, aby

pomieściła dodatkowe sypialnie dla . gości. W oknach paliły się światła, a kiedy zastukali do drzwi, otworzył im Roland i przytknął palec do ust. Wyszedł ze stodoły i ostentacyjnie wspinając się na palce, zaczął się skradać wzdłuż ściany budynku. Dotarł do drzwi na drugim końcu i głośno zapukał.

- Madame żądała rozrywki. - Roland skłonił się Nettle, która wyjrzała ze środka, po czym popchnął drzwi.

Bliźniaczki były w piżamach z materiału w drobne gałązki obsypane bladoniebieskimi kwiatkami, ozdobionych dziewczęcymi białymi kołnierzykami. Obie wyglądały na przerażone widokiem gości, a Nettle, zupełnie jak gdyby była naga, skrzyżowała ręce na piersi.

- Zgasić światła! - rozkazał Roland, Willow zaś zaczęła nerwowo chichotać. Roland zgarnął kilka kartek i zaczął gryzmolić na nich litery alfabetu. - Przynieś szklankę - polecił Piersowi, który właśnie stanął w drzwiach. Kiedy wszyscy usiedli po turecku na podłodze, Roland położył kartkę z alfabetem, a na jej środku postawił szklankę. - Niech się rozpocznie seans.

Na początku wydawało się, że jest za ciemno, by cokolwiek zobaczyć, ale okna były odsłonięte, a księżyc świecił jasno, więc po chwili pokój ożył smugami światła i cienia. Wszyscy wyciągnęli ręce i dotknęli szklanki.

- To nie ja - zapewnił Roland, gdy po kolejnej minucie szklanka zaczęła się poruszać.

- Ktoś musi ją popychać - mruknął Kip i wszyscy zaczęli zerkać na siebie podejrzliwie.

Lara jeszcze lżej niż do tej pory opierała palce na szklance, lecz mimo to ta wciąż odsuwała się od niej, raz bardzo wolno, raz szybciej, wędrując od litery do litery. P. Z. H. B.

- Kupy się nie trzyma - burknęła May.

- Ciii. - Roland przesunął się. - Może chce się najpierw rozgrzać. - Przetawił szklankę na środek. - Musicie się skoncentrować. Przekażcie mu swoją moc.

- Zamknij się, ty idioto - warknął Piers, lecz mimo to oparł czubek dłoni na

szklance.

Powoli zaczęła się przesuwac. M. U. Znieruchomiała na chwile, potem, jak gdyby z niepewnością, znowu ruszyła, bardzo powoli, w kierunku litery „T”.

- „Mut”? - zdziwiła się Willow. - Może „but”?

Uśmiechnęła się, szukając wzrokiem spojrzenia siostry, jednak szklanka natychmiast przyśpieszyła, zatoczyła koło wokół liter i znowu zatrzymała się przy „T”.

- Mutt - Zanim Nettle skończyła mówić, szklanka przesunęła się do litery „I”.

- *Mutti*? - Piers westchnął. - Co to znaczy?

- To mogłoby być po niemiecku - zasugerowała May. - Gdyby to był niemiecki seans, duch mógłby mówić „mamo”.

- *Donner und Blitzen*. Nawiedził nas niemiecki duch. - Roland sięgnął po szklankę i dmuchnął do środka. - Poprosimy po angielsku - oznajmił takim kategorycznym tonem, że nawet Nettle i Willow się roześmiały.

I znowu czekali z wyciągniętymi rękami, wpatrzeni w drżące palce lekko oparte o denko szklanki. Zorientuję się kto to, kiedy przycisnie szklankę, pomyślała Lara, ślubując sobie nie odrywać oczu od szklanki, ale po chwili nie oparła się pokusie, by rozejrzeć się ukradkiem po twarzach osób siedzących w kręgu, próbując określić, kto popycha naczynie. Ona nie popychała. Tylko co do tego miała pewność. Potem znowu usłyszała szelest i zobaczyła, że szklanka się porusza, sunie w poprzek kartki, unosząc ze sobą ich palce i niektóre z nich gubiąc, zanim zatrzymała się przy literze „S”. Znieruchomiała tam na kilka sekund, a potem, już wolniej, przejechała ku „I”. Lara poczuła, że skóra jej cierpnie, w pomieszczeniu zrobiło się tak cicho, że aż dzwoniło jej w uszach. „D”, szklanka wyraźnie zbliżała się do litery „D” i od razu, nie zatrzymując się, przesunęła ku „V”.

- Sid V... Sid Vicious! - krzyknął Kip i w tym samym momencie okno otworzyło się z hukiem. Na podłogę spadł wazon i rozbił się w drobny mak.

Wszyscy wrzasnęli - w każdym razie na pewno wrzeszczały dziewczyny, tak głośno, że nie sposób było orzec, czy Kip, Piers albo Roland wydali z siebie jakiś

dźwięk. May włączyła światło i zaledwie zalała ich powódź jasności, krzyki zmieniły się w śmiech.

- Jeszcze raz - padła propozycja, lecz nikt nie kwapił się zgasić światła ani oprzeć rąk na szklance.

Było po północy, gdy Lara dotarła do domu Caroline. Roland ją odwiózł, Kip też się przejechał, wcisnąwszy się obok niej na przednie siedzenie dżipa. Miała zamknięte oczy, kiedy z rykiem pędzili przez ciemną noc, jednak czuła się taka szczęśliwa, że nie miała nawet za złe Rolandowi, że igra sobie z ich życiem. Światło na ganku było włączone.

- Do jutra - zawołał Kip, a ona nie pytając gdzie i kiedy, wpadła do domu.

Schody tonęły w ciemnościach, jednak wciąż była zbyt oszołomiona krzykami, śmiechami i miłością, aby odczuwać lęk. Leżąc w łóżku, wyobrażała sobie, jak Kip przygniata ją swoim ciężarem, dopóki nie zabraknie jej tchu. Przewracała się z boku na bok, aż wreszcie, by się uspokoić, sięgnęła dłonią między uda. „Musisz ćwiczyć na wypadek, gdybyś kiedykolwiek poznała kogoś, kto naprawdę ci się spodoba”.

Pomyślała o Sorrel i jej teorii na temat dziewictwa, i o tym, jak w końcu, mając niemal szesnaście lat, spędziła noc z kolegą chłopaka Sorrel, w tamtej klitce przy Turnpike Lane, tak brudnej, że była święcie przekonana, że złapie jakąś nieuleczalną chorobę w chwili, gdy położy się na jego łóżku. Obmacywał ją i dźgał, jak jej się zdawało, całymi godzinami, a kiedy skończył, przewrócił się na plecy i zapalił papierosa.

- No - odezwał się po niezręcznej ciszy. - To ile miałaś orgazmów?

Lara była taka zażenowana, że aż trudno było jej mówić.

- Nie wiem - wymamrotała, wciąż zaciskając powieki. - Nie pamiętam.

Kiedy wstał niewiele później i znowu wbił się w swoje bokserki koloru musztardy, uświadomiła sobie, że przebrnęła przez cały akt, ani razu nie widząc jego wacka. Wacka! Czy tak go wtedy nazywała? Z drugiej strony jak można go nazwać? „Fiut” i „kutas” wydawały jej się mgliście pornograficzne, „chujek” zbyt bliskie

obelgi, a ona nie zamierzała go obrażać. Z kolei „penis” to nie angielskie słowo. Obce i równie brzydkie jak „wagina”, a poza tym zupełnie nie na miejscu. Ona i jej matka wołały ją nazywać „myszką”, ale to było tak dawno temu... Lara od długiego czasu nie używała żadnego określenia.

Kiedyś wyczytała w jakimś czasopiśmie, że każda dziewczyna powinna stanąć nago przed lustrem i dokładnie się obejrzeć. Uda, piersi, waginę. Unieść nogę i zajrzeć do środka. A jeszcze lepiej odwrócić się plecami do lustra, pochylić i wtedy zerknąć. „Poznajcie się i polubcie”, taki był tytuł artykułu. A czasopismo jak nic amerykańskie. Jednak w całym domu nie miały dużego lustra, a nie sposób było stanąć na rancie wanny i nie stracić równowagi.

Lara włączyła światło. Przecież w szafie jest lustro. Niepewnie, nawet trochę się czerwieniąc, zdjęła nocną koszulę i pochyliła się. Tyle tam tego, że aż nieprzyzwoicie. Pęknięte pasmo włosów i ciała, różowy labirynt prowadzący do małego guziczka na środku, a po obu stronach dwa małe wahadélka podobne do migdałków. Czy to piękne? Czy jesteś piękna? - spytała, przypomniawszy sobie, że w artykule kazali nie tylko poznać się, ale i polubić. Czy w ogóle cokolwiek może

przydrożnej zatoczce, a potem w nagłym przeblysku uświadamiając sobie swoją pomyłkę, nie rozumiejąc, jak mogła pomylić włosy Isabelle z włosami tamtej kobiety, usiadła przy dorosłych i opowiedziała im aż nazbyt pośpiesznie i nie czekając na jakikolwiek objaw zainteresowania z ich strony, jak przebiegał wczorajszy seans, moment po momencie.

- Przeróżające - podsumowała Isabelle, patrząc na nią życzliwie z płonącymi policzkami, ale Lambert nie odezwał się słowem.

- To prawda, tato? - spytała go Lara. - Że po niemiecku to znaczy tyle co „mama”?

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jak gdyby nie miał zielonego pojęcia, dlaczego jego zdaniem powinien to wiedzieć.

- Tak - odparł w końcu. - *Mutti*. - Kiedy on wypowiadał to słowo, brzmiało zupełnie inaczej. Łagodnie jak pieszczota.

- Chyba pójdę na śniadanie. - Lara przełknęła ślinę i wymknęła się na palcach.

Nalała sobie szklanekę soku brzoskwiniowego i ukroiła kromkę chleba, tak świeżego, że pod nożem rozpląszczył się jak naleśnik. Zajrzała do lodówki, czując ssanie w żołądku. Wyjęła żółty ser i patrząc na pozlepiane plasterki szynki prosciutto, szybko złapała pierwszy z wierzchu i od razu wepchnęła do ust. Wstała wodę na herbatę i już z pełną filiżanką wyszła na zewnątrz i usiadła na drugim końcu tarasu, plecami do tamtych dwojga. Nie obejrzała się ani razu, chociaż miała na to wielką ochotę. Klóca się? Żuła najciszej, jak umiała, nasłuchując, spodziewając się podniesionych głosów, na poły przekonana, że Isabelle zaraz wybiegnie stąd z płaczem, lecz nagle usłyszała Caroline.

- Znowu zostawiłaś włączone światło na ganku. - Jej głos ociekał jadem, twarz była blada jak płótno. - A może byłoby dla ciebie dogodniej, gdybyś całą noc spędziła poza domem?

Lara omal się nie udławiła.

- Mogłaś sama je zgasić - wyjąkała. - Proszę, gaś je, zanim się położysz.

Jednak Caroline już odchodziła, sztywno wyprostowana jakby połknęła kij, by

po chwili zniknąć za rogiem domu.

Lara wycofała się do kuchni, gdzie dokroiła sobie jeszcze jedną kromkę chleba i nałożyła na nią łyżką grubą warstwę dżemu z borówki amerykańskiej. Kiedy niosła ją na taras i zajrzała niechętny przez okno, zobaczyła ojca i Isabelle przy regale z książkami, stojących tak blisko, że ich nosy niemal się dotykały. Szybko usiadła przy stole i zdawszy sobie sprawę, że już nie ma ani jednego miejsca, dokąd mogłaby bezpiecznie pójść, zajęła się krzyżówką w gazecie sprzed trzech dni. Wpatrywała się w opisy haseł, dopóki nie uratowała jej Ginny wracająca z miejscowego targu z torbami pełnymi jedzenia.

Lara wyciągnęła się na leżaku i myślała o tamtym chłopaku z Turnpike Lane. Najbardziej żałowała tego, że nawet mu się nie przyjrzała. Sorrel widziała nagich mężczyzn. I to wielu. Opisywała ich „sprzęt”, jak to nazywała, jako gruby, cienki, zakrzywiony, a raz nawet kwadratowy. Kwadratowy? Tak, jak słowo daje. Krótki i grubaśny. Po prostu okropny, wyglądał jak jakieś pudełko. Zaczęło się któregoś razu, kiedy były razem z Larą. Czekają na stacji metra przy Edgware Road. Chwilę wcześniej Lara wrzuciła pieniądze do automatu i choć już wiedziała, że automat jest popsuty, szarpała za metalową szufladkę, usiłując dobrać się do tabliczki czekolady, za którą zapłaciła. Ty bublu, syknęła uderzając pięścią o bok automatu, gdy podbiegła do niej Sorrel; oczy miała okrągłe, a na policzkach wypieki.

- Był cały na wierzchu, wielgaśny i czerwony. - Wskazała mężczyznę idącego chwiejnym krokiem wzdłuż peronu.

- Ale co? - spytała Lara, choć właściwie nie musiała pytać.

- Jego interes! - wyszeptała Sorrel i potrząsnęła rękami, jak gdyby przed chwilą go dotknęła. - Blee...

- Czy nie powinniśmy komuś o tym powiedzieć? - Lara rozejrzała się, ale akurat przyjechał ich pociąg i wsiadły.

- Ty to masz szczęście! - Sorrel obróciła się w jej stronę. - Tobie nie pokazał.

Jednak zaledwie znalazły się w domu Sorrel, matka przyjaciółki tak jej współczuła i tak ją pocieszała, że Lara miała poczucie, że to ona jest bardziej stratna.



Gdyby chociaż go zobaczyła, pomyślała. Gdyby to przed nią się obnażył... Raptem dotarło do niej, że mógł to zrobić, ale była zbyt zajęta bębnieniem w automat, żeby cokolwiek zauważyć.

- Mnie też to kiedyś spotkało, no prawie... - chciała się pochwalić, ale wolała nie łamać obietnicy złożonej młodemu tybetańskiemu mnichowi.

To było jeszcze w Indiach, kiedy wracali z kina. Film opowiadał o parze kochanków należących do innych kast, którzy mogli spotykać się tylko w tajemnicy. Usiłowali się całować po bramach, przez okna, dziury w ścianach, a raz nawet przez kraty, gdy mężczyznę niewinnie wtrącono do więzienia za cudze zbrodnie.

Widownia szalała. Oby się chociaż objęli. Oby im się udało! Jednak film trzymał widzów w napięciu niemal do samego końca, kiedy okazywało się, że mężczyzna także należy do wysokiej kasty i para została sobie zaślubiona wśród tańców i kobiet w sari gorejących czerwienią.

W drodze powrotnej mnich, który mieszkał w obozie dla uchodźców w Purawali, gdzie Cathy i Lara składały wizytę Jego Świątobliwości, powiedział, że chciałby jej coś pokazać. Zatrzymali się na osłoniętej ścieżce.

- Mogę? - spytał, tak poważnie i uprzejmie, że nie miała serca odmówić.

- Tak - odparła, a kiedy uroczyście przysięgła, że nikt się o tym nie dowie, mnich powoli uniósł pomarańczowe szaty, pod którymi zobaczyła wydęte bokserki uszyte z amerykańskiej flagi.

Kip pojawił się dopiero późnym popołudniem, kiedy Isabelle już nie było, a Caroline robiła sobie sjęstę.

- Wejdz - zawołał Lambert, gdy Kip i Lara szeptali w holu, więc na palcach weszli do salonu i skrepowani stanęli pod ścianą.

- No, to jak się masz? - spytał go Lambert.

Kip zrobił pauzę, jak gdyby na poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem.

- Bardzo dobrze.

- Długo się nie widzieliśmy. Co u twojej matki?

Kip spojrzał na swoje buty, zniszczone i odrapane, lecz jego odpowiedź

zabrzmiała pogodnie i przyjacielsko.

- Wszystko w porządku - powiedział.

- Kiedy ją zobaczysz - Lambert uśmiechnął się - koniecznie przekaż jej moje pozdrowienia.

Kip wolno pokiwał głową.

- Okay. Ale nie powiem jej, że pana tu widziałem.

Lambert uniósł brwi.

- Nie powinna wiedzieć - obejrzał się za siebie - o tym miejscu.

- Rozumiem - odparł Lambert, a potem spojrzeli na siebie z Kipem i uśmiechnęli się jak mężczyzna do mężczyzny.

Lara postukiwała butem. Chciała tylko stąd wyjść.

- No. - Lambert wciąż na niego patrzył, leniwie opartego o ścianę. - Co dalej? Słyszałem, że skończyła szkołę?

- Wyjeżdża do Kenii - wtrąciła Lara. Musiała pokazać, że wie o jego planach. Że on jest jej.

Lambert zrobił wielkie oczy. Rozumiem, wydawał się mówić. Rozumiem, a Lara poprzysięgła sobie, że nie powie ani słowa więcej.

- Tak. Będę gdzieś pracował, przy koniach, na jakiejś farmie.

Lambert kiwał głową, jak gdyby zastanawiał się, czy to pochwała. - Czemu nie? - powiedział w końcu. - Interesuje cię praca na farmie?

- Nie. - Kip zmarszczył czoło.

- Konie?

- Nie za bardzo. - Ich spojrzenia znowu się spotkały i obaj znowu się uśmiechnęli.

- Lubię go - odezwał się Kip, kiedy wyszli na dwór, a Lara wzięła go za rękę. Była ciepła, gładka i - jak uświadomiła sobie z drżącym sercem - już dobrze jej znana.

- Znasz go? - Tylko to przyszło jej do głowy. - Znaczący, mojego ojca. Widziałeś go wcześniej?

Kip zastanawiał się.

- Tak. To znaczy widywałem go, kiedy byłem dużo młodszy. Wpadał z wizytą, zanim wyjechałem do szkoły.

- A ile wtedy miałeś lat?

- Siedem.

Lara obróciła się w jego stronę, zanim zdążyłby się uśmiechnąć.

- To tak mało - stwierdziła, wyobrażając sobie samą siebie w wieku siedmiu lat, wciąż przytuloną do ciała śpiącej matki, jej bawełnianą nocną koszulę, tajemniczy zapach jej włosów.

- Aha, ale bez szkoły przygotowawczej nie można się dostać do Eton.

- A ty musisz się dostać do Eton?

- Na to wygląda.

- To straszne. Po prostu koszmar.

- Nie jest aż tak źle. W każdym razie po pierwszym semestrze, kiedy już nie zasypia się, płacząc w poduszkę.

- Nie!

- Jasne, że nie. Tylko beznadziejne mięczaki sikają w łóżka i popłakują pod kołdrą do Bożego Narodzenia.

Lara patrzyła na podjazd.

- Gdzie samochód? - Jednak Kip poprowadził ją w stronę drogi.

- Przyszedłem na piechotę. - Pociągnął ją za sobą. - Seksiastą ścieżką. - Musiała prawie biec, żeby nie zostać w tyle.

- To ta z tymi wszystkimi... rzeźbami?

- Nie! - zaprzeczył Kip. - Tamto to zboczenie, taki chory żarcik mojego drogiego papy. Ta ścieżka jest naprawdę... - Teraz śmiał się otwarcie. - Naprawdę seksiasta.

Zaledwie znaleźli się w lesie, w tajemniczej gęstwinie zarośli, Kip złapał ją i przyparł do drzewa.

- Widzisz?

Kora wrzynała jej się w skórę przez cienki materiał sukienki, jakiś patyk czy gałązka boleśnie wbiła jej się w łydkę.

- Au! - krzyknęła. - Chryste. Odsuń się!

- Przepraszam. - Puścił ją i stał zasłaniając ręką usta, patrząc, jak masuje obolałą skórę. - Nic ci się nie stało? - s.1 Tc ( ) Tj Tc (m) Tj- .2332 Tc (a) Tj .11 32-

To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, pomyślała i poczuła, że ciało jej płonie z niecierpliwości. Obiecuję. Jednak obiecywała coś samej sobie. Ruszyli przez zarośla, ramię w ramię, zwracając się do siebie twarzami, gdy ścieżka stawała się jeszcze węższa, tak aby móc trzymać się za ręce. Przeciskali się pod niskimi gałęziami drzew, przedzierali przez jeżyny, a potem przeszli przez pole kukurydzy o miękkich liściach.

- Patrz. - Kip wdrapał się na niski murek, a kiedy Lara wgramoliła się za nim, zobaczyła całe pole słoneczników. Kwiaty wszystkich, bez wyjątku, były zwrócone w ich stronę.

Stali tam przez pewien czas, patrząc na pola między dwoma rzędami wzgórz porośniętych lasem. Przed nimi z pompy tryskał strumień wody i łapiąc słońce, mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Szli dalej, dopóki nie zobaczyli rezydencji. Czerwieni stłoczonych dachów, szarości starych kamiennych schodów i uliczek, a ponad nimi, na wzgórzu, połyskującej bieli kapliczki z dzwonnica, której dzwon wybijał właśnie pełną godzinę.

- Powinniśmy się tam wdrapać - odezwała się Lara, przypominając sobie posąg, do którego nigdy nie dotarła.

Kip przegarnął włosy palcami i ziewnął.

- Jestem za leniwy - odrzekł i pocałował ją krótko, odszedł, zanim zdążyła odwzajemnić pocałunek.

Przy kolacji Andrew Willoughby mówił o królowej.

- Wcale nie jest taka nieatrakcyjna - tłumaczył młodzieży zgromadzonej przy jednym końcu stołu - i nawet ma poczucie humoru. - Opowiedział, jak został jej przedstawiony podczas jakiejś uroczystości w parlamencie i że był taki stremowany, iż zapomniał języka w gębie.

- Czy mógłbym prosić o pewną radę? - zwrócił się do niej w końcu. - Jestem zaproszony na lunch z naszymi wielce czcigodnymi parlamentarzystami i nie wiem, jak odmówić.

- Nie może pan odmówić - odparła. - To nie zaproszenie, to rozkaz.

- To co mogę zrobić, żeby nie iść? - Andrew ściszył głos.

- Rano obudzić się z wysoką gorączką - rzuciła i poszła powitać kolejnego gościa.

Antonia opowiedziała o przyjęciu w ambasadzie. Wśród zaproszonych byli królowa i książę Karol, a kiedy przybyli, wszyscy goście mieli ustawić się w szpaler.

- Staliśmy bliżej królowej, a kiedy zatrzymała się przed ojcem, powiedział: „Antonio, znasz królową?”.

- „Nie”, odpowiedziałam, „mniemam, że nie zostałyśmy sobie przedstawione”, i dostałam koszmarnej głupawki. „Mniemam, że nie zostałyśmy sobie przedstawione” - powtórzyła i wszyscy przy stole wybuchli śmiechem.

Lara, w której repertuarze anegdotek nie było ani jednej dotyczącej rodziny królewskiej, siedziała cicho jak mysz pod miotłą.

Lara obudziła się ze snu, w którym ktoś włożył jej kawałek czekolady - delikatnie umieścił go w pustym wejściu do jej łona, gdzie spoczywał spokojnie przez wiele tygodni. Mówiłaś, że nie jesteś dziewicą, oskarżył ją Kip, a ona uświadomiła sobie, że zapomniała poznać jego imię. Wstała i poszła do łazienki, żeby zobaczyć, czy ma. że ją ma.

- Tak! - obudziła się.

kąpielówki Speedo. - Ale ty nie musisz, jeśli nie masz o...

Odsunął się od niej ledwie zauważalnie.

- Pomyślałem, że się wybiorę - uciął i w milczeniu nalał bladej herbaty do dwóch filiżanek.

\* \* \*

Pierwszy pojawił się samochód Andrew, o wpół do jedenastej. Andrew za kierownicą, u jego boku Pamela, a z tyłu matka bliźniaczek Elizabeth Butler, prosto z Londynu, królewska w swoim pomarańczowym kapeluszu i pasujących bursztynowych koralach. Lara kręciła się przy drzwiach auta.

- Raz, dwa - zawołał do niej Andrew. - Wskakuj. Musimy dogonić resztę. - Lara posłusznie wślizgnęła się na kanapę i za ledwie usiadła przy natartej olejkami i uperfumowanej Elizabeth, samochód pomknął dalej.

Lambert siedział z drugiej strony, przy oknie, ledwie widoczny zza szerokiego ronda pomarańczowego kapelusza. Przy pierwszej okazji Lara pochyliła się do przodu i uśmiechnęła do niego, wdzięczna, że mimo wszystko postanowił jechać, on zaś odpowiedział jej tym samym, zupełnie jak gdyby wszystko rozumiał.

Andrew Willoughby jechał szybko, równie szybko jak Roland, lecz w przeciwieństwie do niego nie wychodził ze skóry, by wszystkich zaszokować albo zgoła pozabijać. Lara oparła się o okno i nadstawiła twarz, rozkoszując się słońcem i pędem powietrza. Plamki słońca tańczyły na jej skórze, powietrze wdzierało się w nozdrza, usta i uszy.

Gdy dotarli na miejsce, pozostali już tam byli. Stworzyli małe królestwo, którego granice wyznaczały ręczniki i koce, butelki z wodą, misy owoców, paczki papierosów, gazety i zapalniczki. Podzielili się na mniejsze grupy: bliźniaczki skulone na swoich ręcznikach, Tabitha, May i Piers, leżący jedno przy drugim, plotkujący i palący na spółkę papierosa, oraz Antonia w czarnym jednoczęściowym kostiumie opinającym jej silne ciało, namawiająca Rolanda i Kipa na małe zapasy, wpychająca najpierw jednego, potem drugiego do wody. Następną, jednoosobową,



stanowiła Allegra, zerkająca zza kaskady włosów. Nagle z wody krzyknął do niej jakiś chłopczyk. Piszczął i miotał się, a potem, zupełnie jak gdyby wyniosła go fala, wyfrunął ponad powierzchnię, by po chwili bokiem plasnąć o wodę. Dopiero wtedy Lara zobaczyła, że to Hamish i domyśliła się, że wcześniej musiał siedzieć na barkach ojca, który teraz stał w wodzie.

- Hugh! - zawołał Andrew. - Brawo! - A Lara poczuła, jak jej ojciec zastyga w bezruchu, gdy ubrana w białą sukienkę Isabelle spogląda w jego stronę.

- Jak miło cię zobaczyć - ruszył w jej stronę, a gdy zeszła po kamieniach, uśmiechnął się do niej niepewnie.

Lara nie patrzyła Kipowi w oczy. Rozłożyła ręcznik na ciepłym kamieniu i patrzyła, jak wygłupia się w wodzie, rzuca się na brzuch, nurkuje, ochlapuje innych i przekomarza się z nimi. Z włosami gładko przylegającymi do głowy wyglądał jak foka. Wstydliwie rozebrała się, zażenowana na myśl, iż on może ją obserwować i równocześnie bojąc się, że może tego nie robić. Kiedy odważyła się podnieść wzrok, wchodził po kamiennych schodkach z siostrą, uczepioną jego nadgarstka.

- No, to co u ciebie słyszeć? - odezwał się Piers, gdy oderwała wzrok od pleców Kipa.

- Doskonale - odparła, po czym z wymuszoną uprzejmością, dodała: - A u ciebie?

- Znakomicie.

Zapadło milczenie i aby powstrzymać się od zerkania na Kipa, Lara całą swoją uwagę skupiła na Piersie.

- No to... hm... - O co mogłaby go spytać? - No to... jak się z May poznaliście? Spojrzał na nią tak, jak gdyby nie za bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

- Cóż... May... Cóż, sam nie wiem. - Zastanawiał się chwilę. Nie. Potrząsnął głową, zirytowany. - Zawsze była w pobliżu.

Larę zatkało. Jak może nie pamiętać dnia, kiedy się poznali? Jednak po chwili zrozumiała, co Piers próbował jej powiedzieć: że May od zawsze należała do jego paczki. Od zawsze była w pobliżu, zupełnie jak teraz córka Isabelle. Poszukała

wzrokiem Allegry i przyłapała ją na zerkanii w kierunku górnego zbiornika i odgarnianiu włosów z twarzy, aby zdążyć się uśmiechnąć do skaczącego Kipa. Lara obróciła się w stronę Piersa, lecz zobaczyła jego plecy, gdy pochylony zerkał ponad ramieniem May na czasopismo, które przeglądała.

- Sztuczne, od razu widać - Tabitha wpatrywała się w sterczące piersi jakiejś gwiazdy. - A jej nos jeszcze miesiąc temu wyglądał całkiem inaczej, słowo daję.

May chciała przewrócić kartkę, ale Piers przytrzymał jej rękę i jeszcze raz spojrzął na zdjęcie.

- Hm. Całkiem niezły. - Kontemplował nos aktorki, jego krągły koniuszek, podobny do małego guzika, idealne pochylenie grzbietu. - Ale gdzie mu do twojego.

- Zamknij się - May próbowała tak energicznie przewrócić kartkę, że aż ją oderwała.

Tabitha rozejrzała się i złowiła spojrzenie Lary.

- Miała nos jak klamka od zakrystii - wyjaśniła teatralnym szeptem. - Biedna dziewczyna, wyglądała tak, że z miejsca dostałaby rolę Shylocka i nawet nie potrzebowałaby charakteryzacji.

Lara odruchowo zakryła dłonią nos... z małym garbem na środku, tuż przed nieco zadartym końcem.

- Poważnie? - Tylko tyle była w stanie powiedzieć, gdyż na samą myśl, jak to musiało boleć, kręciło jej się w głowie. - Zrobiłaś sobie nos? - spytała, usiłując sobie wyobrazić May bez jej idealnej twarzy angielskiej róży.

- Była bardzo dzielna - odezwał się Piers. - A bolało jak cholera. Wiedziałaś, że wałą cię po twarzy młotkiem? - I objął May ramieniem, jak gdyby uważał za osobisty afront, że jego narzeczona musiała przechodzić takie męczarnie.

Przez pewien czas Lara leżała na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do ręcznika, czując, jak słońce grzeje ją w plecy. Słyszała głosy osób z poszczególnych grup, jedyny w swoim rodzaju tembr głosu Andrew Willoughby'ego, hałaśliwy śmiech Elizabeth i dziwnie cichy, nieprzekonujący chichot Pamelii. Okazjonalnie słyszała, jak Hugh się z kogoś podśmiewa, a jeszcze rzadziej rozbrzmiewał poważny głos

ojca, lecz jego wypowiedzi, zwykle przyjmowane z zachwytem, były zbywane monosylabami lub kompletnie ignorowane. Cisza, która zapadała po jego ostatnim słowie, sprawiała, że aż bolało ją serce.

Raz, kiedy Andrew przerwał mu beczelnie, gdy rozmowa zeszła na temat Boswella i jego rozlicznych zachorowań na rzeźączkę, Lara podparła się łokciem i zerknęła w jego stronę. Lambert nawet jej nie zauważył. Siedział na skraju koca, odrobinę za pozostałymi, z wyciągniętą ręką, tak aby, niby przypadkiem, mogła otrzeć się o ramię Isabelle. Isabelle wyglądała na skrepowaną, pilnie wsłuchiwała się we wszystko, co akurat mówiono, i czasem zanosila się tym swoim niskim śmiechem, jak gdyby fakt, że wreszcie może się czymś zająć, przynosił jej ulgę.

Powoli, znacznie wolniej niż młodzież, dorośli rozbierali się do kostiumów. Andrew był rozebrany do pasa, Elizabeth zdjęła spódnice i smarowała olejkim swoje długie nogi. Pamela miała na sobie jednoczęściowy kostium, malinowy w poprzeczne czarne paski, i dobrane pod kolor espadryle. Hugh, którego twarz wyglądała jak pognieciona, rozpiął koszulę, demonstrując fałdki ciepłego ciała i krzaczaste siwe włosy na piersi. Jedynie Lambert i Isabelle niczego nie zdjęli. Isabelle wyglądała, jak gdyby było jej chłodno w białej bawełnianej sukience, a Lambert był niczym wyspa oficjalności na morzu luzu, wciąż w koszuli i spodniach oraz błyszczących czarnych półbutach. Miał nawet skarpetki, te same żebrowane skarpety z domieszką jedwabiu, które dotykały jej uda, gdy obudziła się w pociągu.

- O mój Boże! Masakra - jęknęła Tabitha. - Tak to wygląda, kiedy chirurg plastyczny spaprze sprawę! - Lara przewróciła się na bok i popatrzyła na zajmujące całą stronę zdjęcie jakiejś kobiety o brwiach uniesionych w wyrazie permanentnego zdziwienia i zapadniętym nosie.

W końcu zarządzono lunch i Kip, siny z zimna i mokry, rzucił się na koc przy Larze. Roland stanął z drugiej strony i otrząsał się z wody, starając się ochlapać wszystkie osoby płci żeńskiej zgromadzone przy obrusie, w tym Larę, która ku swojej zgrozie pisnęła przenikliwie.

- A cóż to za mąż tu stoi? - Andrew spojrzał pod słońce.

- To ja, twój zięć. - Roland wycierał włosy, mięśnie ud miał naprężone, proste czarne kąpielówki schły na nim szybko, przyklepione do wypukłości nad kroczem. - Ojciec twojego pierwszego wnuka, który niebawem się urodzi. - Wyjrzał spod fałd miękkiego białego ręcznika i błysnął zębami w uśmiechu.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś prosił mnie o pozwolenie - mruknął gniewnie Andrew i zaczął ponaglać wszystkich, żeby się częstowali.

Wszystko wyglądało smakowicie. Karczochy i szerokie strąki zielonej fasoli, talerze prosciutto, szparagi posypane wiórkami parmezanu, siekane pomidory z mozzarellą i bazylią, grube trójkąty omleta podpieczonego ze szpinakiem, żółtym serem i ziołami. Lara nałożyła sobie na talerz górę jedzenia, zastanawiając się, jakim cudem wylegiwanie się na skale i oddawanie się nieróbstwu może tak bardzo zaostrzyć apetyt, po czym zerknęła na Kipa, który wcinał żarłocznie jak wygłodniały chart.

- Powiedzcie mi coś. - Elizabeth odezwała się pierwsza. - To strasznie niebezpieczne, taki skok z wodospadu? - Pytanie było skierowane ogólnie do wszystkich, którzy odważyli się na taki wyczyn, lecz wyraźnie zerknęła na Rolanda.

- Ależ skąd - zapewnił Roland z pełnymi ustami i mlaszcząc, wciągnął wystający plasterk mozzarelli. - To wielka frajda. Może pani się pokusi o próbę?

- Nie mogłabym - zaprotestowała. - Jestem o wiele za stara, poza tym... - popatrzyła na swoją pomarańczową bluzkę, wiążaną na szyi, i na mocno opalony dekolt z widocznym rowkiem między piersiami - wszystko by mi powypadało.

- Pamelu, mój skarbie. - Roland zmrużył oczy. - A ty co powiesz?

Pamela pokręciła głową.

- Odmówię - odparła oficjalnie, ale mimo to było oczywiste, że sprawił jej tym pytaniem przyjemność.

Hugh sięgnął po butelkę wina.

- Jesteśmy starzy i tchórzliwi - oznajmił, nalewając do kubka czerwone wino. - Lepiej zostawcie nas w spokoju.

Lara zobaczyła, jak ojciec spogląda w kierunku klifu. Gdy poruszył się

niespokojnie, w żołądku ścisnęło jej się ze strachu.

- Ja spróbuję. - Jego oczy nabrały stalowego błysku i Lara musiała się powstrzymać, by nie krzyknąć.

Zrobiło się cicho. Wszyscy czekali, aż Roland odwiedzie go od tego pomysłu.

- Załatwione. - Roland wyszczerzył zęby. - Ale założę się o piątką, że zabraknie ci odwagi.

Lambert uniósł brwi.

- Przekonamy się - odparł i powiódł dłonią po odsłoniętym ramieniu Isabelle.

- Na litość boską, człowieku, poczekaj, aż żarcie ułoży ci się w żołądku. -

Roland nadział na widelec czerwony rulonik prosciutto i wyciągnął się na plecach.

Pozostała część lunchu przebiegła w przygaszonej atmosferze. Lara jadła z przymusem, żałując, że tyle sobie nałożyła. Co będzie, rozmyślała, jeśli ojciec dotrze na skraj klifu, a potem wpadnie w panikę i trzeba mu będzie pomóc zejść? Spojrzała na siedzącą naprzeciw niej Isabelle, spojrzeniem prosząc ją, aby się wtrąciła, ale Isabelle była zbyt zaabsorbowana namawianiem Hamisha, żeby coś zjadł, jakakolwiek jarzynkę, obiecując zlizać dressing z fasoli, byle tylko się zgodził spróbować.

Pozostali jeszcze nie zaspokoili głodu. We Włoszech pora lunchu dopiero się zaczynała, całe rodziny i grupki młodych ludzi siadały, zupełnie jak oni, wokół ustawionych na środku wiktuałów. Jednak w przeciwieństwie do włoskich rodzin, świadomych, że po posiłku należy odpocząć, Hamish, Allegra, Kip oraz Antonia wskoczyli do wody, zaledwie napchali brzuchy.

- Hamish! - krzyknęła Isabelle. - Odczekaj przynajmniej pięć minut. - Jednak mówiła coraz ciszej, wiedząc, że zrobi dokładnie to co oni.

Larze zdało się, że wyczuwa dezaprobatę w szeptach kobiet w kwiecistych sukienkach przypominających krojem fartuchy i w półprzymkniętych powiekach mężczyzn szykujących się do drzemki. Mężczyzn o krótkich nogach i okrągłych, napiętych brzuchach. Mężczyzn w wieku Lamberta.

Lara spojrzała na ojca i stwierdziła, że zdążył się rozebrać. Stał w tych swoich

wściekle niebieskich kąpielówkach i gapił się w wodę. Nogi miał chude i blade, ale klatka piersiowa, kark i ramiona wyglądały na mocne. Może jednak nie stchórzy, pomyślała Lara i rozmyślnie odwróciła wzrok od różowiotkwej łysinki na czubku jego głowy.

- No dobra! - Roland wstał i przeciągając się, poklepał się po brzuchu. - Daj znać, kiedy będziesz gotowy.

Lambert już się od nich oddalał, wspinał się po stromych skałach, ostrożnie szukając oparcia dla stóp.

Roland mrugnął do pozostałych.

- Rośnie nam nowy mistrz - rzucił i pogramolił się za Lambertem.

Wszyscy obserwowali ich w ciszy. Na litość boską, miała ochotę krzyknąć Lara, odczepcie się od niego, ale sama także nie potrafiła oderwać wzroku od wspinającego się Lamberta. Ledwie zauważyła, że Kip staje tuż obok niej, nie czuła iskrzenia, które zwykle między nimi się pojawiało.

Oto i jest na samej górze, zarys sylwetki na tle nieba. Chwilę później stanął za nim Roland. Ten idiota, pomyślała z duszą na ramieniu, naprawdę byłby zdolny do tego, żeby zepchnąć Lamberta z klifu.

- Stary głupiec - mruknął Andrew Willoughby. - No skacz!

Lambert zaczął stapać po niestabilnych kamieniach na krawędzi wodospadu, balansując ramionami, by nie stracić równowagi. Zatrzymał się na środku, zupełnie jak wcześniejsi skoczkowie. I czekał. Lara była przekonana, że widzi, jak ojciec mierzy ją wzrokiem, zdawało się jej także, że słyszy, jak Roland coś woła, usiłując przekrzyczeć ryk wody, lecz Lambert nawet się nie obejrzał.

- Zaraz skoczy - odezwał się Kip, zapomniany, choć stał tak blisko.

I miał rację. Lambert pochylił się, mięśnie mu się napięły, a po chwili już leciał w dół, spadał niesiony rozbryzgami piany, walcząc z rwącą wodą, a wszyscy, o ile Lara była w stanie się zorientować, wiwatowali na jego cześć. Jednak leciał jakoś inaczej. Kip, Roland, a nawet Antonia wybijali się mocno nogami, stali zamiast dawać się porwać wodzie, Lambert zaś, teraz wyraźnie to widziała, spadał



zbyt blisko skalnej ściany.

- O w dupę! - jęknęła Antonia, lecz w tym w samym momencie Lambert uderzył w wodę i zniknął.

Roland śmignął z klifu szybko jak błyskawica. Wszedł w wodę, wynurzył się na sekundę, a potem znowu się w nią zapadł i podczas gdy cała reszta grupy stała jak sparaliżowana na skale, wynurzył się, ciągnąc za sobą Lamberta. Lara zbiegła nad linię wody.

- Tato! - zawołała. - Tato?

Roland obejmował go ramieniem.

- Dawaj go tutaj. - Isabelle już biegła z ręcznikiem.

- Ależ nic mi się nie stało. - Lambert utykał. Spróbował strząsnąć z siebie rękę Rolanda, lecz zaledwie jego stopa dotknęła ziemi, skrzywił się z bólu i omal nie runął jak długi. - Czuję, jak trzasnął - powiedział, odwrócił się i zwymiotował. Na boku stopy było widać długą, białą ranę, która zaczynała właśnie wypełniać się krwią, mały palec wisiał na strzępku skóry. - Nic mi nie jest - powtórzył, dochodząc do siebie. I machnął ręką, opędzał się od Elizabeth, która wciskała mu kieliszek wina. - Po prostu nie... - wykonał dłonią niejasny gest, jak gdyby coś mierzył - nie skoczyłem czysto.

- Ale mało brakowało... - Isabelle przypadła do niego, delikatnie osuszając krew serwetką. - Na początku skok wyglądał fantastycznie.

Lambert pochylił się, by mogła objąć go ramieniem.

- Tak... Uczucie było fantastyczne. Trochę tak, jakby się leciało i płynęło jednocześnie.

Usiadł ciężko na ręczniku, a Lara, która siedziała niedaleko, zobaczyła, jaki jest blady na twarzy.

- Nic mu się nie stało? - szepnęła do Isabelle, kiedy zamknął oczy. Chciała go dotknąć, oprzeć mu rękę na czole, ale nie śmiała. - Tato - szepnęła więc. - Może ci coś podać? - Jednak ojciec tylko poruszył ustami w bezgłośnym „nie”.

- On ma dreszcze - odezwała się Pamela i z ulgą, że mogą jakoś pomóc,



kobiety strząsnęły okruszki z dużego miękkiego pledu i owinęły nim Lamberta.

- Tato? - szeptała gorączkowo Lara, lecz odpowiedział jej tylko bladym uśmiechem.

- Twardziel z niego - stwierdził drażliwym tonem Andrew. - Jest w szoku. Dajcie mu spokój. Niech odpocznie.

- Nie ma takiego głupca jak stary głupiec, he? - mruknął Hugh, ceremonialnie odkorkowując następną butelkę wina; korek pyknął cicho.

Lambert siedział oparty o skałę, z nogą nieco uniesioną i spoczywającą na zwiniętych ręcznikach. Stopa zaczynała mu puchnąć, ciało wokół palców siniało. Lara widziała, że ilekroć próbował poruszyć nogą, przełykał ślinę, z wysiłkiem usiłując zapanować nad bólem. A gdyby skończyło się inaczej? Gdyby uderzył o coś głową, skręcił sobie kark? Lara czuła, że cała się trzęsie i za każdym razem, gdy na niego patrzyła, wydawał jej się coraz bledszy. Pierwszy raz dotarło do niej - i idiotyzmem wydało jej się, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy - że niemal nic o nim nie wie. Pogodziła się z jego rezerwą i powstrzymywała od zadawania nawet najbardziej naturalnych pytań. Masz rodzeństwo? Co się stało z twoimi rodzicami? Czemu nigdy się nie zakochałeś? Pytała o to wszystko, prowadząc z nim milczącą rozmowę, lecz on, rzecz jasna, nie odpowiadał. Czemu była taka posłuszna? Czemu ślepo trzymała się reguł, które chciał jej narzucić? Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, ale on tylko drgnął.

- Chyba powinniśmy zabrać go do domu - odezwała się Lara, zwracając się wyłącznie do Isabelle. I nie czekając na reakcję pozostałych, zaczęła zbierać rzeczy swoje i ojca.

- Odwiozę was - zgodziła się szybko Isabelle. Andrew wpatrywał się w nie zimnym wzrokiem, gdy dźwignęły go z ziemi, podtrzymując jedna z jednej, druga z drugiej strony, i pomogły mu dojść do białego samochodu.

- Jak było? - Caroline wyszła przed dom i uniosła brwi na widok obcego auta.

- Lambert trochę się zranił - zawołała Isabelle, chcąc ją uprzedzić.

- Nic mi nie jest - krzyknął, zamasyżuje otwierając drzwi i zupełnie jak gdyby

chciał to udowodnić, zaczął kuśtykać, wciąż owinięty kocem, choć łydkę miał umazaną krwią, a jeszcze więcej zaschło mu na stopie.

- Jeden inwalida w tym domu to za mało? O to chodzi? - Caroline pokręciła głową i wycofała się do holu, żeby zadzwonić po lekarza.

- Nie trzeba - upierał się Lambert, ale w drzwiach pokazała się Ginny i widząc, że jest ranny, zaczęła przeraźliwie pisać.

- O nie, o nie - powtarzała cienkim mysim głosem, sterując nim tak, że usiadł w fotelu.

- Co się, na miły Bóg, stało? - Caroline już wróciła.

- Cóż. To wszystko przez... - Lara chciała zrzucić winę na Rolanda.

- Zwykły pech. - Ojciec przerwał jej szorstko. - I moją głupotę. - Aż się skulił.

- Za słabo się wybiłem. Od razu to poczułem. Mój palec. Po prostu się oderwał. Tak mi głupio. Przepraszam.

- Mój drogi... - Głos Caroline koił. - Lekarz zaraz tu będzie.

- Naprawdę nic mi się nie stało. - Podniósł na nią wzrok.

- To tylko palec.

- Tak - przyznała. - Oczywiście.

- W końcu nie jestem piłkarzem. Ani dżokejem. Wciąż mogę pisać.

- Jak sądzisz... - Caroline nachyliła się nad nim. - W przyszłym tygodniu będziesz już w formie, na Palio?

- Oczywiście. Już teraz czuję się całkiem nieźle. - Lambert sięgnął po gazetę. - Przypomnij mi, na którym koniu startuję?

- Tato! - Lara roześmiała się, żałując, że już za późno, by mogła dotknąć jego ręki.

Isabelle postanowiła poczekać, aż lekarz go zbada.

- Podejrzewam - odezwała się Caroline - że w Ceccomoro wszyscy czekają na jakieś wiadomości.

- Tak. - Isabelle zaczęła zbierać swoje rzeczy. - Lepiej już sobie...

- Tak. - Caroline otworzyła drzwi. - I koniecznie pozdrów ode mnie Hugh,

pewnie zachodzi w głowę, gdzie się podziewasz. - Uśmiechnęła się do niej zimno.

Lekarz zalecił, aby Lambert przez kilka tygodni starał się trzymać stopę uniesioną, a później już zawsze bardzo uważał, żeby o nic nią nie uderzyć. - Palec nigdy do końca się nie zagoi - przetłumaczyła jego słowa Caroline. - Wystarczy mocniej go trącić, a może najzwyczajniej się oderwać.

- Ci Włosi - podsumował go Lambert. - Zawsze lubili melodramatyzować. Kilka tygodni. - Potrząsnął głową. - Jutro będzie lepiej.

Kolację zjedli w salonie, z serwetkami rozłożonymi na kolanach, podczas gdy Ginny zaglądała do nich co chwilę, by się upewnić, czy wszystko jest w porządku.

- Ktoś jest przed domem - oznajmiła, wchodząc z tacą, na której stała miska jagód i dzbanek gorącej polewy z białej czekolady. - Nikt nie pukał, ale widać cień... Ktoś się tam kręci.

W tym samym momencie zza drzwi wyjrzał Kip.

- Chciałem tylko powiedzieć... Mam nadzieję, że pan Gold czuje się lepiej.

- Dziękuję. - Lambert popatrzył na niego. - Jesteś bardzo uprzejmy.

- Może napijesz się drinka? - zaproponowała Caroline, a kiedy Kip usiadł, obserwowali go wszyscy troje, jego szerokie usta i ciemnoniebieskie oczy, jego nieśmiałość i pewność siebie oraz dziwne, zaskakująco swobodne zachowanie. Został i wypił jeszcze jednego drinka, a potem jeszcze jednego, Lambert zaś przez cały czas przyglądał mu się jak interesującemu zwierzęciu, mierzył go wzrokiem w takim skupieniu, że Lara także mogła go obserwować, nie bojąc się, że zostanie na tym przyłapana.

Aż wreszcie Caroline ziewnęła.

- Jak wrócisz do domu? - spytała, a dobrze wychowany Kip wstał szybko.

- Przejdę się. To nic. Ale chodzi o to... - Spojrzał prosto na Larę. - Lara obiecała, że dzisiaj wpadnie do Ceccomoro i zostanie na noc. Wszystko już przygotowane.

Lara z zaskoczenia nie mogła złapać tchu.

- No cóż. - Caroline uśmiechnęła się, by pokazać, że żadna prośba Kipa nie

spotka się z odmową. - Laro. Lepiej idź na górę po swoje rzeczy.

Lara popatrzyła na ojca.

- Nie jestem pewna... - Ale serce biło jej jak oszalałe i nic nie zdołaloby jej zatrzymać. Skoczyłaby z okna, gdyby musiała, albo ześlizgnęła się na dół jak Roszpunka po linie splecionej z własnych włosów.

Lambert przechylił głowę na bok.

- Skoro wszystko już przygotowane...

pk

July 07, 2012 (Tue) 10:25 AM EDT (GMT-4) [D] [C] [S] [P] [B] [T] [G] [O] [D] [F] [C] [X] [M] [E] [G] [A] [R] [E]

cudem się poluzowała i wbijała jej w bok.

- Nie mamy... Ja nie mam... - Próbowała grać na zwłokę, ale tak mocno przyciskał się do jej ciała, przytulony twarzą do jej szyi. - To niebezpieczne.

Kip przestał i popatrzył na nią.

- Nawet gdybyśmy mieli dziecko - powiedział - mnie by to nie przeszkadzało.

Larze kręciło się w głowie. Nie wierzę ci. Wiedziała, że to kłamstwo, lecz równocześnie było to takie podniecające. Gdyby miała z nim dziecko, już zawsze byłaby z nim związana. Z nim i z tym wszystkim. Z Ceccomoro, ogrodami różanymi i statuetkami, i z jakimś olbrzymim zimnym domem gdzieś w Yorkshire z całą posiadłością, zagrodami dla bydła i farmami.

- To nic. - Ciągnął za jej bieliznę, spychając cienkie bawełniane majtki w jedną stronę.

Stanała na palcach i pomagając mu, plecami płasko oparła się o pień i uniosła jedną nogę. Oboje oddychali ciężko i w skupieniu marszczyli brwi. Nigdy tego nie zrobimy. Nogi jej się trzęsły. I nagle, zupełnie jak gdyby tak musiało się po prostu stać, był już w niej. Otworzyła oczy i przez moment stali niemal nieruchomo, patrząc tylko na siebie. A jednak to zrobili, zostali w tej pozycji, poruszając się łagodnie, ocierając się wężowo o pień.

- Gotowa? - spytał bez tchu. Nie wiedząc, co miał na myśli, kiwnęła głową w chwili, gdy zaczął się w nią wbijać tak mocno i zaciekle, że przestała myśleć o nim, o sobie, i czując tylko ciepło jego ciała i jego desperację, przywarła do niego, podążając za nicią swojego pożądania, cienką jak kolorowa jedwabna przedza, dopóki w niej nie urósł, nie obrzmiał i z potężnym dreszczem nie znieruchomiał.

Lara przyglądała sukienkę i ze zdumieniem przypomniała sobie, że wciąż ma na sobie majtki, opuszczone do połowy. Kip odwrócił się i zapiąwszy na guziki rozporek, poprawił pasek, koszulę zostawił wypuszczoną. Lara zdała sobie sprawę, że to jej drugi raz, a ona wciąż nie widziała prawdziwego penisa. Czy kiedyś jakiegoś zobaczy, czy przejdzie przez życie ze szczelnie zamkniętymi oczami?

- Wszystko w porządku? - Kip wyglądał na beztróskiego i nieco

zakłopotanego.

- Tak - odparła, lecz czuła, że jej uda oblepia coś mokrego, od czego szczypała ją skóra, kiedy szła. - Masz może...? - Chciała poprosić o chusteczkę, ale przypomniała sobie o torbie z rzeczami.

- Zawsze jesteś tak dobrze przygotowana? - spytał, a ona zgarnęła z ziemi garść suchych liści i obsypała go nimi.

Szli trzymając się za ręce. Było bardzo ciemno i teraz, gdy nic nie rozpraszało ich myśli, każdy szelest przypominał im o tym, że w tych lasach wciąż są dziki.

- Co to? - Przystanąła. Usłyszała cygańską muzykę napływającą od wzgórz. - Posłuchaj. - Pociągnęła go za rękę.

- To ci komuniści. - Muzyka to nasilała się, to cichła. - Widocznie coś świętują. Może znowu kogoś porwali. - Uścisnął jej palce.

- Oni naprawdę porywają ludzi?ej- Tc (i) Tj . Tc ( ) Tj- .12 Tc (ko) Tj.5.12 Tf

przemknąć obok, jednak kiedy byli na wysokości stołu, Roland obejrzał się gwałtownie i zobaczył ich.

- Chodźcie się napić. - Złapał ją za rękę, więc chcąc nie chcąc, podeszła do stołu, a za nią Kip, usiadła na zimnym drewnianym krześle i przyjęła szklaneczkę wina.

- Najbardziej, chociaż nie jestem z tego dumy, pociągają mnie takie kobiety...  
- perorował Andrew Willoughby. - Takie kobiety, których będą mi zazdrościć znajomi. Naprawdę atrakcyjne o uderzającej urodzie. Po prostu zjawiskowe. Jak Pamela, oczywiście. - Rozejrzał się, jednak ona, o ile przed chwilą rzeczywiście tam była, zdążyła gdzieś pójść. - Wydawał się zdeprimowany, zupełnie jak gdyby zmarnował taki świetny komplement. - Dziewczyna jak dynamit. - Teraz wpatrywał się w Isabelle, a ta spojrzała na niego chłodno.

- A ja wolę te subtelne. - Roland objął Larę ramieniem i niby żartobliwie, złapał ją za prawą pierś.

Syknęła, ale jej protest zagłuszył Hugh.

- Gówno prawda. - Miał trudności ze skupieniem wzroku. - Niby jak Tabitha? W niej nie ma krzty subtelności. Jest najpiękniejsza ze wszystkich pięknych dziewczyn, jakie znam.

- Nie myślałem akurat o niej - mruknął Roland, na co Andrew skłonił mu się, jak gdyby to był komplement pod jego adresem. - Dzięki. Ona jest naprawdę śliczna, to prawda.

Kip się nie odzywał.

- Powiem wam, jaki typ najbardziej mnie kręci. - Antonia upiła duży łyk wina.  
- Ktoś, kto nie podoba się nikomu oprócz mnie. Osoba, którą ja jedna odkryłam.

- Aha. Stara i brzydka - stwierdził Roland, a Antonia ułożyła usta w dzióbek. - Mmm, takie lubię najbardziej.

- Ale jakoś nigdy mnie tym swoim osobom nie przedstawiasz. Hm. Ciekawe czemu? - dopytywał się Andrew.

Antonia odwróciła się do niego plecami.



Lara marzyła tylko, żeby ten wieczór wreszcie się skończył. Chciała spać, z Kipem, czy bez Kipa. Położyć się w chłodnej pościeli i zamknąć ten dzień. Przesunęła dłoń po ławie i dotknęła jego dłoni. Przesunął się nieznacznie, by wiedziała, że to poczuł, ale na nią nie spojrzał.

- Rzecz w tym, że... - mowa Hugh stawała się coraz bardziej bełkotliwa, powieki opadały mu jak u psa. - Nie to ładne, co ładne, ale co ładne, ale co się ładnemu podoba... - Wszystko zaczęło mu się plątać. - Pewność siebie! - Usiłował ratować swoją teorię. - To ona trzyma nas przy życiu. - Pokonany, oparł głowę na stole i chociaż wszyscy się roześmieli, już jej nie podniósł, a po chwili jego donośne chrapanie ostatecznie dowiodło, że przysnął.

Odtąd rozmowa toczyła się bez jego udziału. Roland i Antonia wyklócali się przez stół, tymczasem Andrew pod osłoną ciemności cichaczem zbliżył się do Isabelle i pochylił, żeby pogłaskać psa.

- Nie możesz wracać samochodem. - Ściszył głos. - To nie do pomyslenia.

Lara wstała. Pociągnęła Kipa za rękę.

- Gdzie mam spać?

- Pokażę ci. - Minęli dom, potem basen i podążyli skrajem ogrodu, obok niskiego dachu, pod którym wisiał hamak, i weszli po kamiennych schodkach. Kip popchnął ciężkie drewniane drzwi, poprowadził ją po wyłożonym terakotą holu, kolejnymi schodami, tym razem drewnianymi, na piętro, gdzie otworzył kolejne drzwi, prowadzące do skromnego pokoiku o bielonych ścianach. Było w nim łóżko nakryte białą bawełnianą kapą i pojedyncze okno o otwartych okiennicach z widokiem za rozgwieżdżone niebo.

- Tutaj możesz się przespać - powiedział i słysząc kroki na dole schodów, szybko pocałował ją w usta. - Wrócę później. Łazienka jest na korytarzu. - Słyszała, jak szybko zbiega na dół, pogwizdując.

Lara przebrała się w nocną koszulę i wyszła na korytarz. Zobaczyła cały szereg drzwi. Za pierwszymi była kolejna sypialnia, pusta, za następnymi pusty pokój, jeśli nie liczyć jednej witryny z książkami. Trzecie prowadziły do łazienki

skapanej w świetle księżyca, tak iż Larze nie chciało się nawet włączać światła. Nabrała wody w dłoń i przycisnęła je do twarzy. Czuła się ledwie żywa ze zmęczenia, ziemista, wyschnięta i pusta, jednak kiedy spojrzała w lustro, widziała tylko jasnobrażowe piegi na tle opalenizny. Umyła zęby, wypłukała usta i wypłuka wodę. Chciała się obrócić, gdy nagle usłyszała jakiś głos. Zatrzymała się z dłonią opartą na klamce.

- Moim zdaniem coś sobie ubrdałeś. - To była Isabelle, śmiała się.
- Ja się nigdy nie mylę. Nie traktuj mnie jak głupca - odpowiedział mężczyzna.
- Andrew. Nie mogłabym. Nic nie robię.

Lara cicho domknęła drzwi czubkiem stopy.

- Byłaś z nim. Byłaś z nim wtedy w Londynie i kiedy dzwoniłem w zeszłym tygodniu.

- Nie. - Lara niemal widziała, jak Isabelle potrząsa głową.
- I wiem, dlaczego on to robi - upierał się Andrew.
- Dlaczego?
- Więc się przyznajesz?
- Nie. Po prostu jestem ciekawa, to wszystko.

- Chcesz mi wmówić, że sama tego nie wiesz? - Andrew Willoughby zaniósł się suchym śmiechem. - Cholera, zajęło mi to całe lata. Dekadę bezowocnego pieprzenia się. I ciągle tylko córki. Aż raptem pojawia się ten fiut i moja żona od razu rodzi syna.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?
- Czy to nie oczywiste?
- Nie.

Lara zajrzała do wanny. Na dnie była żółta plama, w miejscu, na które kapiała woda, przeżerając emalię, warstwami zieloną, warstwami brązową.

- Czyli... - w głosie Isabelle brzmiała czujność. - Dlatego za mną latasz? Z zemsty?

- Bynajmniej. - Słyszała jego chrapliwy oddech. - Uganiem się za tobą, bo nie

mogę ci się oprzeć. Bo jesteś boska. Bo twój mąż śpi i o niczym się nie dowie.

Zresztą... - dodał przebiegłym tonem. - Mówiłaś, że nigdy z nim nie spałaś.

- No i widzisz. Nigdy z nim nie spałam - powtórzyła Isabelle kojąco, a potem Lara usłyszała, jak obijają się o ściany i chwiejnie idą korytarzem. Później jeszcze rozległ się szcęk otwieranych drzwi, gardłowy śmiech i w końcu zapadła cisza.

Lara na palcach przemknęła przez korytarz i wślizgnęła się do sypialni. Wdrapała się na łóżko, które było wąskie i wysokie, i przyciskając twarz do poduszki, próbowała zasnąć. Gdzie on jest? Chciała, żeby Kip był przy niej. Chciała poczuć, jak dociska ją swoim ciężarem. - „Dekada bezowocnego pieprzenia się”. Poczula przyływ smutku, całą studnię smutku, rozchodzącego się po jej ciele razem z krwią, i przypomniała sobie, jak matka mówiła, że Lambert nie zamierzał mieć dzieci. Dlatego, powiedziała jej, jesteś taka wyjątkowa. „Dzięki tobie zrozumiał coś ważnego”. Matka uroniła kilka cichych łez, kiedy Lara mówiła jej o zaproszeniu do Włoch. - Widzisz? - powiedziała. - Teraz cieszy się, że cię ma.

Lara poruszyła się w łóżku. Kip? Usiadła, ale nie, to tylko zatrzeszczały okiennice. Znowu się położyła i wepchnęła palce między nogi. Wciąż była mokra, mokra i lepka jak od kleju. Ciekawe, zastanawiała się, czy to można by jakoś wykorzystać, do klejenia kopert albo wygładzania brwi? Podniosła palce, by obejrzeć je w świetle księżyca.

I wtedy usłyszała kroki na schodach. Pośpiesznie wytarła się do sucha nocną koszulą i obciągając jej rąbek, zamknęła oczy. Serce tłukło jej się w piersi i z wysiłkiem próbowała uspokoić przyśpieszony oddech. Kroki zbliżały się, na chwilę ucichły, a potem klamka zaczęła się obracać. Chciała zerwać się z łóżka, rzucić się Kipowi w ramiona, ale oczywiście miała się zachowywać, jak gdyby kompletnie jej nie obchodził. Dalej więc leżała nieruchomo i udawała, że śpi.

Na chwilę znowu zapadła cisza, a potem usłyszała szelest, jak gdyby ktoś wysuwał stopy z butów, szcęk metalowej sprzączki, gdy spodnie opadły na podłogę. I już pochylał się nad nią. Serce waliło jej jak oszalałe, kąciki ust już układały się do uśmiechu i poczuła chłodne powietrze, które przyprawiło ją o gęsią

skórkę, gdy uniósł koldrę i wślizgnął się obok niej.

- Cześć - głos miał ochryply i dziwnie zmieniony, ręka, która ją objęła, była ciężka, pachniała wodą po goleniu i olejkiem do opalania. Na nadgarstku miał zegarek na grubej metalowej bransolecie, która przyszczypała jej skórę.

Lara otworzyła oczy. Poczowała, jak żołądek jej się ściska i podchodzi do gardła.

- Co ty tu robisz? - Nie odwróciła się.

Nie chciała, by jego twarz znalazła się jeszcze bliżej.

- Roland, mówię ci. Wynoś się stąd!

- Nie cieszysz się na mój widok? - spytał cicho. - Twój kochaś padł jak kłoda.

Mężczyzna powinien umieć pić. Więc pomyślałem sobie: biedna towarzyszka Lara, samiuteńka czeka i czeka... - Po jej skórze zaczęły pełznąć palce: „idzie raczek nieboraczek...”

- Spałam. - Chciała się wyrwać i usiąść na łóżku. - Idź sobie.

- Nie wierzę, żebyś była taka niemila. - Teraz ją głaskał, wodził dłonią wzdłuż jej nogi. Próbowwała go z siebie skopać.

- Masz stąd wyjść! - I nagle przypomniała sobie, że w którymś z pokoiów na tym samym piętrze są Andrew i Isabelle. Gdyby ją usłyszeli, domyśliliby się, że i ona ich słyszała.

- Myślę sobie, że nie jesteś taka święta... - mruczał Roland, przysuwając się do niej, a kiedy zaprotestowała:

- Wypraszam sobie! - Odchylił głowę i roześmiał się.

- Ja tylko powiedziałem, że mam wrażenie, że jesteś trochę spięta, to wszystko. Poczekaj. - Znowu czuła na sobie jego ręce. - Zrobię ci masaż.

Lara leżała wpatrzona w drzwi.

- Dzięki, nie trzeba. - Mogłaby rzucić się do ucieczki. Zbiec po schodach, spróbować odszukać pokój Kipa albo choćby May. Tylko co jeśli wpadnie do pokoju Tabithy albo Hugh, jak się wtedy wytłumaczy?

- Mały masażyk. Tylko ramiona - nalegał Roland, więc odwróciła się do niego plecami.

Ręce Rolanda były dziwnie nieporadne. Ugniatały jej mięśnie i ślizgały się na bawełnianej koszuli.

- Nie możesz tego zdjąć? - spytał. - Tylko przeszkadza.

Oczy zaczęły ją szczypać od łez.

- Proszę - powiedziała - po prostu sobie idź.

Współczująco otoczył ją ramieniem i pocałował w skroń.

- Nie jestem taki zły - szepnął. - Spodoba ci się. - Pogładził jej włosy. - Jak wielu innym.

- Nie spodoba mi się - odparła. - Nie chcę tego.

Żałowała, że nie nauczyła się dzudo albo karate, żeby teraz podskoczyć na łóżku i nie tracąc równowagi, jednym kopnięciem, bezszelestnie, posłać go na podłogę. A on wciąż ją obejmował, mruczał, nucił coś cicho. Głaskał ją po włosach, po uszach, i przez moment poczuła się bezpieczna.

- No dobrze, no to po prostu się prześpijmy - powiedział w końcu, układając się przy niej.

Leżeli na łyżeczkę, on za nią, oddychając wolno, Lara ze wszystkimi zmysłami w stanie pogotowia na wypadek, gdyby próbował przesunąć rękę, która opierała się ciężko o jej żebra, zaledwie kilka centymetrów od jej piersi. Czowała się jak małż, zamknięty w swojej skorupie, zgięta niemal wpół, jednak im bardziej się kuliła, tym bardziej była narażona od tyłu - i miała rację, dłoń Rolanda już pełzła po jej podciągniętych kolanach, sunęła przy obrzeżu nocnej koszuli, a potem w górę, po odsłoniętym udzie.

Złapała go za rękę.

- Nie. - Ułożyła jego ramię jak wcześniej i wyprostowała je, tak aby dłoń oparła się na prześcieradle, gdzie miała ją na widoku. - Na litość boską - fuknęła, a jej ton poirytowanej przedszkolanki serdecznie go rozbawił.

- Jaka surowa - szepnął i przez chwilę była pewna, że chwyci ją i obróci przodem do siebie, lecz dalej leżał nieruchomo.

Nie ruszał się tak długo, że stopniowo, powoli, zaczęła się uspokajać.

Przygniatał ją udem. Było ciężkie jak kłoda. Czowała ciepło jego pachwiny pod rozciągniętym, bawełnianym materiałem bokserek. A potem, niby przez sen i tak powoli, że właściwie nie było powodu podnosić alarmu, przesuwał dłoń, delikatnie ugniatając jej udo. Uczucie było przyjemne. Kojące. Gdyby tylko to była ręka Kipa. A potem dłoń ześlizgnęła się i oparła na jej brzuchu. Lara wstrzymała oddech. Czy to możliwe, żeby naprawdę spał?

Przez jakiś czas leżał bez ruchu, a potem, powoluteńku, zaczął ją pieścić, zakreślając na jej skórze leniwe kółka. Czowała się jak głaskane kocię albo małe dziecko, ale też, gdy pozwalała sobie na myślenie, wzbierała w niej odraza. Już niedługo, powtarzała sobie w duchu. Niedługo zaśnie i będzie mogła się wymknąć. Jednak w tej samej chwili jego dłoń przesunęła się wyżej i musnęła jej sutek. Wbrew sobie poczuła, że przeszywa ją ukłucie gorąca. Przełknęła ślinę i przewróciła się na brzuch, przyciskając piersi do materaca, ale on przesunął się razem z nią, jego kolano nagle znalazło się między jej nogami i była jak przyszpilona. Lara starała się oddychać miarowo, lecz umysł miała jak odrętwiąły. Będzie udawała, że śpię, pomyślała, i kiedy najmniej będzie się tego spodziewał, zepchnę go z siebie. Dla próby napała udem na jego nogę, ale ta nawet nie drgnęła, była jak z kamienia.

- Mmm - zamruczał śliniąc się. - Jak miło. A jeśli martwisz się o moją ślubną, solidarność jajników i takie tam, to niepotrzebnie. Nie będzie miała pretensji. Ulży jej. Chociaż raz będzie miała mnie z głowy. - Zaczął się śmiać, a Lara poczuła na karku kropelki jego śliny.

- Nic jej nie powiem - obiecała. - Tylko wracaj już do swojego pokoju. - I po raz kolejny usiłowała zsunąć go z siebie.

- A o czym tu mówić? - Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek. - No, pocałuj mnie chociaż.

- Nie!

- Nie bądź taka. - Przesuwał się nad nią, szorując jej policzek ostrym zarostem, a wtedy przypomniała sobie, jak ktoś kiedyś mówił, że prostytutki są gotowe zrobić wszystko, dosłownie wszystko, oprócz całowania. On wciąż był nad nią. Zdołała



uwolnić drugą rękę, jednak za ledwie to zrobiła, chwycił ją i unieruchomił. - I co teraz zrobisz, mój mały bolszewiku? - Teraz nad nią klęczał i jedyne, co mogłaby zrobić, aby się podnieść, to rzucić się do tyłu, prosto na jego uda.

- Jesteś żaloszny - syknęła, próbując wyrwać rękę z jego uścisku. - Au.

Skóra ją szczypała, ale szarpnęła się jeszcze raz, a on bez żadnego ostrzeżenia brutalnie popchnął ją w stronę wezglowia i zaczął wpychać się w nią na siłę. Musiał wcześniej zsunąć bokserki wolną ręką, bowiem jego kutas - to jedyne właściwe słowo - był twardy i suchy i uparcie wciskał się w jej wnętrze. Szorstko rozsunał jej nogi jeszcze szerzej i stęknąwszy, już w niej był, załawiony, głośno łapiąc oddech, wzdychając, zmuszając ją, by oparła się o ścianę.

Lara zamknęła oczy. Chciała z wymiotować. Chciała obrócić twarz i ugryźć go, i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że aż do tej chwili myślała, że to jakiś kawał. Jednak nie krzyczała. Nie mogła. Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział. Więc tylko starała się jak najmniej poruszać i czekała, aż to się skończy. Czuła jego gorące ciało, wstrząsane dreszczami, przytłaczające ją i ciężkie, czuła, jak cały pręży się i sztywnieje. Zamknęła przed nim swój umysł i przywołała z pamięci obraz zachodu słońca nad błotnistą rzeką, ferii ciepłych kolorów. A potem było już po wszystkim. Znieruchomiał. Z głową opartą o jej kark. I już puszczał jej rękę.

Usłyszała, jak przełknął ślinę.

- Przepraszam - mruknął.

Nie obejrzała się. Gdyby to zrobiła, nigdy więcej nie mogłaby znieść jego widoku. Zsunęła się na łóżko i zwróciwszy twarz ku oknu, przykryła się kapą tak szczelnie, jak tylko się dało.

- Nie było tak źle, prawda? - Roland schylił się i wyciągnął z dzinsów paczkę papierosów. - Mogę? - spytał, ale nie odpowiedziała.

W całkowitej ciszy przypalił papierosa, zaciągnął się i wydmuchnął dym.

- Nie byłaś dziewicą? - W jego głosie drżała niepewność.

- Nie. - Powiedzenie prawdy przyniosło jej ulgę.

- Więc o co tyle hałasu? Chyba że... - parsknął śmiechem. - Budzę w tobie



odrażę? Nie - podjął po trzech puszczonech bez pośpiechu kółeczkach z dymu. - Chyba że oszczędzałaś się dla Kipa.

Łzy napłynęły jej do oczy.

- Tak ci się podoba? - Roland pochylił się i spojrzał na jej twarz. - Ten mały gnojek naprawdę ci się podoba. - Pokręcił głową, jak gdyby zdumiewała go jej głupota. - Tobie i światu. Lepiej go ostrzeżę. - Jednak zamiast iść do Kipa, wepchnął się na łóżko i opierając rękę na jej biodrze, dalej palił papierosa.

Lara wpatrywała się w niebo za oknem. Już nie było atramentowe, wstawał brzask i wyraźnie zaczynał szarzeć. Leżała nieruchomo - bo co mogła zrobić? - i otuliła się koszulą. Gwiazdy zniknęły, a z ogrodu dobiegały pierwsze ptasie trele. Nigdy nie zasnę, pomyślała, czując piach pod powiekami, zgrzana i zawstydzona. Niemniej jednak wyciszała się powoli, aż w końcu, uspokojona rytmicznym pochrapywaniem Rolanda i zbyt zmęczona, by bodaj sekundę dłużej napinać wszystkie mięśnie, skapitulowała i wtuliła się w ciepło jego ciała.

Gdy się obudziła, była sama. Leżała bez ruchu z nadzieją, że zdoła sobie wmówić, że ostatnia noc była tylko snem, lecz ból ramion, szczypanie między nogami i pojedyncze, głębokie zadrapanie na nadgarstku przypominały, że to rzeczywistość.

Ubrała się najciszej, jak potrafiła. Która może być godzina? W domu było cicho, w ogrodzie pusto, lecz słońce stało już wysoko i w pokoju zrobiło się ciepło.

Otworzyła drzwi i rozejrzała się. Ani żywej duszy. Pobiegła, nawet nie zerkając na rząd białych drewnianych drzwi, bez wyjątku zamkniętych. - Halo? - odezwała się, zanim przekreśliła klamkę i zajrzała do łazienki, ale nikogo w niej nie było. Przez długą minutę wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, zdumiona, że nie widać żadnej zmiany, a potem ochlapowała twarz wodą, raz po raz, dopóki zapach Rolanda nie zniknął.

- Chwała Bogu, wróciłaś - powiedziała od progu zamiast powitania Ginny i ściszym głosem opowiadała: - Twój ojciec dostał gorączki. Wołał cię. W każdym razie uznałyśmy, że chodzi mu o ciebie. - Zawróciła w kierunku salonu, niosąc

szklanke wody, a Lara pośpieszyła za nią.

Lambert wyglądał dziwnie, zupełnie jak gdyby zmałał. Leżał na sofie opatulony kocem, blady, z włosami posklejanymi od potu.

- O, jesteś. - Wyciągnął do niej rękę.

- Tato. - Lara przyklękła przy nim. - Jak się czujesz?

- Bywało gorzej. - Uśmiechnął się do niej, a ona poczuła ukłucie bólu na myśl, że jednak mu na niej zależy.

- Zostanę tu z tobą.

- Nie. - Próbował usiąść. - Naprawdę nic mi nie jest.

- Ciii. - Położyła mu dłoń na ramieniu, by znowu się położył.

I wtedy zobaczyła jego stopę. Była spuchnięta, czarno-zielona od sińca, który rozlał się ku kostce rzeką kolorów. Kto by się spodziewał, że złamanie takiej maleńkiej kości może wywołać taki protest ciała?

- Doktor się do nas wybiera - odezwała się Ginny. Ustawiła na podłodze miskę z parującą wodą, w której pływały listki rozmarynu i lawendy. - Gdyby tylko trochę pomógł pan w tym stopę - powiedziała - dużo lepiej by się goiła. Lambert się nie poruszył. Ginny zmoczyła kawałek flaneli i owinęła nią jego stopę. Gdy raz przelotnie musnęła złamany palec, Lambert aż się skulił.

Lara usiadła przy nim w niskim fotelu. Co zajmującego mogłaby mu powiedzieć? Nic nie przychodziło jej do głowy, więc z torby z rzeczami wyjęła książkę i zaczęła mu czytać *Grona gniewu*.

- Wróciłaś, jak widzę. - Caroline zeszła na dół po drzemce i przez chwilę z autentycznym zainteresowaniem przyglądała się Larze. - Czy to nie paskudny pech? - Uśmiechnęła się do Lamberta. - Ale miejmy nadzieję, że za dzień czy dwa...

Caroline była spowita wieloma warstwami organzy, kremowej, jasnożółtej i liliowej, a kapelusz miała przewiązany przepiękną jedwabną wstążką, dobraną pod kolor. Nadgarstki i kostki miała takie wąskie, że aż było widać wystające kości jak u nowo narodzonego zwierzątka.

- Cudownie pachniesz - powiedział półgłosem Lambert, kiedy pochyliła się,

by cmoknąć go w policzek.

- Cóż, jadę do Sieny. Dzisiaj wwożą ziemię na Campo. Przywożą ją ze wsi i wysypują na placu. Antonio zawsze mi powtarzał, kiedy byłem chora albo nie w humorze, „Nie martw się, niedługo przewiożą *terre* - ziemię - na Piazza. To znak, że Palio zbliża się wielkimi krokami”. - Jeszcze raz pochyliła się nad Lambertem, i jak gdyby to było zupełnie naturalne, zaczęła go głaskać po głowie. - Nie martw się - szepnęła z miękkim włoskim akcentem. - Niedługo przywiożą ziemię na Piazza.

Lara zerknęła ukradkiem na ojca, ciekawa, czy nie uważa, że Caroline postradała zmysły. Zachowywała się jak pijana. Albo jak rodowita Włoszka.

- Pójdę na plac i dotknę ziemi - oznajmiła rozpromieniona i ignorując ich rozbawione miny, wyszła z salonu.

Lambert zamknął oczy.

- Już pora na moje lekarstwo? - spytał, starając się, aby lekko to zabrzmiało, lecz na czole nagle zaczęły mu się perlić krople potu.

- Przeciwbólowe? - Ginny stała w salonie. - Byłoby idealnie, gdyby pan... Nie, chyba już pora. - Wycisnęła z folii dwie kapsułki i podała mu je ze szklanką wody.

Zaledwie zaczęły działać, twarz mu się wypogodziła, pięści rozluźniły. Kiedy obrócił się w stronę Lary, miał półprzymknięte oczy. - Miło spędziłaś wieczór - spytał, jak gdyby dopiero teraz zauważył, że wróciła - w Ceccomoro? - A ona pokiwała głową, bardzo szybko.

Wkrótce Lambert zasnął. Lara posiedziała przy nim jeszcze trochę. Przyglądanie się komuś bez jego pozwolenia wydawało jej się nie w porządku, lecz mimo to, gdy tylko Ginny nie było w salonie, wpatrywała się w ojca. Miał małe uszy - nigdy dotąd nie zwróciła na to uwagi - i płasko przylegające do głowy. Bez płatków. To coś znaczy, pomyślała, przynajmniej zdaniem Chińczyków, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Skóra prześwitująca przez krótki zarost była ładna i gładka, jak upudrowana. Na czole miał sieć poprzecznych zmarszczek, dwie głębsze biegingy od kąćków nosa do kąćków ust. Oczy głęboko osadzone, rzęsy wyblakłe z wiekiem, ale brwi uniesione, jak gdyby coś go intrygowało, choć spał. Nos okazał

się duży, znacznie większy, niż kiedy jego twarz zdradzała ożywienie, i miał taki sam garbek i taką samą krzywiznę jak jej własny, tyle że w powiększeniu, mniej więcej podwójnym. Leciutko pogłaskała go po dłoni, jego powieki poruszyły się, ale nie odemknęły.

- Już wszystko dobrze - szepnęła i pomyślała o ich wspólnym rytuale z perrierem, o tym, jak dzielili się ostatnimi łykami wody bez gazu.

- Ciii - szeptała, choć wcale się nie odzywał, a kiedy nie była w stanie wymyślić ani jednego powodu, by wciąż przy nim siedzieć, powoli poszła do swojego pokoju.

- Lara? - Na schodach dogonił ją szept Ginny. - Laro! - Jednak nie ufała sobie i nie chcąc rozplakać się w obecności Ginny, wpadła do łazienki i szybko puściła wodę z prysznicą, zagłuszając jej głos.

Przez długi czas stała pod strumieniem wody. Umyła się, a dokładniej mówiąc, wyszorowała metodycznie i rzeczowo, jak gdyby to nie było jej ciało, lecz stare krzesło. Umyła włosy szamponem, masując skórę głowy, drapiąc ją paznokciami, potem splukała pianę i wycisnęła wodę z włosów, szarpiąc za ich końce, czując, że palce aż ją świerzbią, żeby zrobić komuś krzywdę i nawet wiedziała komu. Rolandowi. Wystarczyło, by pomyślała jego imię, a miała ochotę się podrapać, aż do krwi, i w akcie beznadziejnego odwetu nasikała do brodzika, patrząc, jak żółty strumyk spływa po jej nogach i blednie, mieszając się z wodą u jej stóp. Nie miała pojęcia czemu, ale od razu poczuła się lepiej. Wyszła z kabiny i owinęła się ręcznikiem. Nie, oznajmiła milcząco lustru, przed którym zwykle przystawała na chwilę, by podziwiać swoje odbicie, i położyła się do łóżka.

Obudził ją piskliwy głos Ginny.

- Ona jeszcze śpi. Przespała całe rano. - Jakies mamrotanie, potem znowu Ginny. - Pan Gold? On też śpi. Nie jest zdrowy. Ale proszę wejść i poczekać. - Lara wstrzymała oddech. - Och, no wchodźże. Może zrobić ci coś zimnego do picia? Lara na pewno niedługo wstanie.

Głos Ginny brzmiał donośniej niż zwykle, odbijał się echem po domu, jak

sobie wyobrażała, po to, by dotarł do jej uszu, jednak niewiele później usłyszała chrzęst żwiru na podjeździe i na czworakach podeszła do okna w porę, by zobaczyć oddalającego się Kipa. Miał na sobie ciemne dżinsy i fioletowo-białą pasiastą koszulę. Mimo odległości od razu zobaczyła, że miał przygarbione ramiona. Lara uklękła na podłodze i przyciskając nos do parapetu, patrzyła, jak odchodzi. Serce jej pękało, ale nie mogła go zawołać, dopóki nie będzie pewna, że zdoła ukryć swój sekret, tak głęboko pogrzebać go w sobie, by niczego nie było po niej widać.

Wpełzła pod kołdrę. Chciała znowu odpłynąć, zatracić się w snach, ale chociaż starała się z całych sił, nie mogła zasnąć. Z oci

Trzepnęła dłonią oleander, tupnęła, by przestraszyć jaszczurkę, która śmignęła w zarośla, i wciąż kipiąc ze złości, nie fatygując się nawet do domu po bikini, naga wskoczyła do basenu. Woda wdarła się między jej nogi, uderzyła o pachy, zaszczypała w podniebienie. Zmusiła się, by opaść na dno, i otworzyła oczy, by zobaczyć ten inny świat, maluteńkie bąbelki powietrza wzbijające się od jej ust, spiczastość swoich dłoni. Czowała się zwinna i silna. Machnęła nogami i nie chcąc się wynurzyć, obracała się wokół własnej osi, choć kręciło jej się w głowie, dopóki woda sama jej nie wyniosła. Płuca jej pękały, gdy wystrzeliła nad powierzchnię. Nikogo nie było w pobliżu. Położyła się na plecach, tnąc wodę, ukazując swoją nagość niebu, odbijając się przy nawrocie stopami o ścianę basenu, dopóki nie poczuła, że każde ścięgno w jej ciele jest mocne.

- Lara? - To Ginny wołała ją z tarasu. - Lunch. - Lara była jej taka wdzięczna, że omal nie poślizgnęła się, biegnąc nago po ubranie porzucone na leżaku.

Cały następny dzień Caroline także spędziła poza domem, czuwając nad swoim koniem, który, jak miała nadzieję, wystartuje w Palio. Lambert zaś głównie spał.

- To te środki przeciwbólowe - orzekła Ginny, z każdym dniem pewniejsza siebie. - I szok. Odpoczynek dobrze mu robi.

Lara usiadła przy nim z książką, lecz w gruncie rzeczy znowu go obserwowała. Im dłużej patrzyła, tym więcej zauważała. Żyłki na jego dłoniach, białość równo przyciętych paznokci, kępę włosów widoczną pod rozpiętą bluzą od piżamy. Spał z głową przechyloną na bok i zdała sobie sprawę, że właśnie to najsilniej jej się z nim kojarzy. Widok jego brody z profilu, tak swojski, jak gdyby oglądała go przez całe swoje życie. Przesiedziała przy nim całe popołudnie. W kuchni panowała cisza, dom zdawał się milczeć i jedynym hałasem, jaki można było usłyszeć oprócz miarowego oddechu ojca, było gorączkowe cykanie świerszczy.

W końcu Ginny przyszła przygotować kolację. Lara usiadła na taborecie i zamiast ojcu, przyglądała się jej. Wszystko, co robiła Ginny, wyglądało na takie proste, przekrajanie gruszek, usuwanie gniazda nasiennego, układanie owoców w

naczyniu ze stopionym masłem, posypywanie ich cukrem. Dorzuciła strąk wanilii i wsunęła naczynie do piekarnika, po czym podwinąwszy rękawy, zabrała się za gniocchi. Utlukła ugotowane wcześniej ziemniaki do konsystencji puree, zagniotła je z mąką, masłem, solą, pieprzem i jajkami. Uformowała ciasto w wałeczek, długi i cienki jak dżdżownica, a potem pocięła go nożem, brutalnie, na wiele małych dżdżowniczek. W każdej robiła dołek palcem, tak iż nabierały kształtu półksiężyca, znowu eleganckie, a potem odstawiła je na bok i zajęła się sosem.

Jak wróć do domu, pomyślała Lara, olśnię matkę tym daniem. A potem z pogardą wspomniała wodnisty sos pomidorowy, jaki robiły w domu do spaghetti, z pieczarkami i cebulą wciąż widocznymi pośród grudek mielonego mięsa z puszki.

- Trzeba go odparować - pouczyła ją Ginny, a potem obserwowały, jak sos bulgocze, gęstniejąc i upodabniając się do syropu. Prawda była taka, że Lara i Cathy zawsze za bardzo się śpieszyły i były zbyt głodne, aby na długo zostawić cokolwiek na małym ogniu.

Poza tym w Finsbury Park tak trudno było pamiętać o Włoszech. W niemal wszystkich sklepikach sprzedawano żywność z Karaibów. Jamy i pataty aż wylewały się na ulicę. Melony, papaje i całe multum korzeni, bulw, a także żebrowane, kłujące owoce w kształcie gwiazdy, których nawet nie umiała nazwać. Były również cypryjskie sklepiki, gdzie można było kupić białe bochny chleba posypane sezamem, kubelki humusu i taramasalaty, białe kostki fety i czarne oliwki w occie, którymi się opychały, kiedy nie chciało im się gotować. Chleb był uformowany w taki sposób, aby kawałki łatwo się odrywały. Nagle, obserwując Ginny, która tak zręcznie łączyła składniki, poczuła ukłucie tęsknoty za tamtymi błyskawicznymi piknikami.

Jeśli Kip jutro przyjdzie z wizytą, postanowiła wtedy, spotkam się z nim. Będę się zachowywała jak gdyby nigdy nic. I pocieszoną tą decyzją, przez resztę wieczoru słuchała Caroline, która wróciła do domu z taką nadzieją, że jej koń wystartuje w Palio, że aż dostała wypieków. Opowiadała o ludziach i miejscach, o zwierzętach i leciwych ciotkach, o których Lara nigdy nie słyszała.



- Tak - powtarzał Lambert, gdy czekała na odpowiedź. - Jasne, że pamiętam. - I przez cały czas uśmiechał się z sympatią.

Następnego dnia Kip się nie pokazał. Lara siedziała przy basenie, przeczytała wczorajszą gazetę pożyczoną od ojca, poczytała swoje podręczniki, nawet z roztargnieniem zajrzała do powieści. Może ona powinna się wybrać do Kipa? Oficjalnie teraz to jej kolej udać się z wizytą. Jednak nie mogła się na to zdobyć. Kilka razy podchodziła do frontowych drzwi domu i zerknęła na drogę, a potem przerażona, że wpadnie na niego, zdyszanego po szaleńczym biegu seksowną ścieżką, wycofywała się pośpiesznie i układała w nonszalanckiej pozie w cieniu.

Tylko Ginny zauważyła, że coś jest nie w porządku. - Posprzeczałaś się z przyjaciółmi? - spytała i zaskoczona gwałtownością, z jaką Lara zaprzeczyła, więcej nie poruszyła tego tematu. Lambert wciąż był przykuty do sofy.

- Mogłabyś...? - Próbował wstać.

- Oczywiście.

Pochyliła się, a on opierając się o jej ramię, powolutku pokuśtykał w kierunku łazienki. Tylko raz potracił stopą metalowy stojak lampy i zawył z bólu. Pot wystąpił mu na czole i musiał się chwilę uspokajać. Lara czekała przed drzwiami, nucąc głośno, żeby zagłuszyć odgłosy fizjologii, a kiedy wyszedł, pomogła mu wrócić na sofę i usiąść.

- *Porca Madonna* - powiedział, ale Lara widziała, jakim wysiłkiem okupił błądy uśmiech.

Później usłyszała, jak rozmawiał przez telefon.

- Nie, naprawdę, nie potrzebuję gości. Ani trochę. - Próbował kogoś zbyć. - To nie ma z tobą nic wspólnego. Nie wygłupiaj się, po prostu wolałbym spokojnie dojść do siebie. - Pauza, a potem z większą irytacją. - Och, na litość boską, naprawdę, czy ja muszę wszystko tłumaczyć... Dziękuję - powiedział w końcu. - Cieszę się, że się rozumiemy. To bardzo miło z twojej strony. - I odłożył słuchawkę.

Przyszyty palec zrobił się całkiem czarny i zdeformowany. Sterczał spuchnięty na środku potężnego sińca przechodzącego na obrzeżach w fiolet, potem w zieleni i

wreszcie w jakiś jaśniejszy kolor, żółć.

- Ale naprawdę czuję się lepiej - zapewnił Lambert i na dowód tego zjadł kilka crostini i trochę sałaty. - Miewam przedziwne sny, kiedy przez cały dzień wyleguję się na tej sofie - zaczął, a potem jak gdyby przypominając sobie, że sny są interesujące wyłącznie dla tego, komu się śniły, przygryzł usta.

- Na przykład jakie? - zachęciła go Lara. - Co ci się śni?

Jednak w tym samym momencie wróciła Caroline, prosto ze stajni. Lambert podniósł na nią wzrok.

- Kupiłaś mi gazetę? - spytał, zapominając o wszystkim innym, a Caroline wyjęła ją zza pleców.

Caroline i Lambert siedzieli razem i przeglądali nekrologi.

- Hrabia Donoughmore zmarł w wieku lat siedemdziesięciu dwóch. Czy to szacowny wiek?

Lambert wzruszył ramionami.

- Kiedyś uważałem, że tak, ale teraz nie jestem tego taki pewny.

- *Hrabią Donoughmore* - czytała na głos Caroline - *który zmarł w Republice Irlandii, opinia publiczna zainteresowała się przed siedmioma laty, kiedy to on i jego małżonka, hrabina, zostali porwani z własnego domu w Clonmel w hrabstwie Tipperary...*

- A tak. - Lambert skinął głową. - Już pamiętam. Czy to nie było dziwne? Czytaj dalej.

- *Uważa się, że porywacze szukali wpływowych zakładników w związku ze sprawą sióstr Price uczestniczących wówczas w strajku głodowym, a nie zapominajmy, że trzydzieści lat wcześniej hrabia Donoughmore był członkiem parlamentu z ramienia partii konserwatywnej. Jednak po swoim uwolnieniu - strajkujący już wcześniej ustąpili - zauważył, że nie ma wpływu na rząd, który jego zdaniem „miał gdzieś” życie jego i jego żony.*

Lambert zaśmiał się.

- I na pewno miał rację.

- Dwóch synów, jedna córka... - Caroline odłożyła gazetę. - To co zwykle.

Noc była piękna. Siedzieli w salonie przy otwartych drzwiach na taras, mało się odzywając, słuchając muzyki - starych płyt pełnych piosenek o potoczystych, rymowanych refrenach. Caroline paliła, poświęcając papierosowi całą swoją uwagę, a Lambert, niezdolny oprzeć się pokusie, sięgnął po gazetę i przeczytał ją, każde słowo na każdej stronie, tak skrupulatnie, jak ktoś chcący do czysta wylizać miszkę. Lara wpatrywała się w noc. Co teraz robi Kip? Odważyła się pomyśleć i musiała przycisnąć rękę do piersi, żeby się uspokoić.

- Z samego rana - Caroline przeciągnęła się - na placu odbędzie się próbna gonitwa. Koni jest dwadzieścia, a zostanie dziesięć. - Zadrzała, albo tak się przynajmniej Larze wydało. - Ale w tym roku mam dobre przeczucia co do tego konia. Czuję, że zostaniemy wybrani. - Wstając spojrzała na Larę. - Ruszam skoro świt. Jeśli cię to interesuje, serdecznie zapraszam.

- Nie - odparła Lara aż nazbyt szybko. - To znaczy, obiecałam... - Popatrzyła na ojca. - Uważam po prostu, że powinnam być przy tacie, to wszystko.

Caroline kiwnęła głową.

- Cóż, życcie mi szczęścia - powiedziała. - Im nawet nie chodzi o najlepsze konie, tylko najbardziej do siebie podobne.

- Powodzenia - odparli zgodnie, a Caroline lekkim krokiem wyszła z salonu.

Lara obudziła się w środku nocy. Leżała nieruchomo, krew tętniła jej w żyłach, w ustach jej zaschło. Czyżby coś słyszała? Stuk kamyka o szybę? Wołanie? Proszę, oby to był Kip. Czowała się chora z tęsknoty. Wygramoliła się spod kołdry, ale zobaczyła tylko żwirowy podjazd, dwa samochody, cienie krzewów, ciemne liście drzew dalej od domu.

Podeszła do drugiego okna, otwartego, za którym srebrzył się księżyc, i wychyliła się. Znowu to światło, migoczące na wzgórzach, a potem strzępy muzyki. Ciekawe, jak długo się tam idzie, zastanawiała się, ile trwa odnalezienie ścieżki prowadzącej do tego całonocnego przyjęcia, gdzie ludzie pasjonujący się polityką tańczą pod gwiazdami.

A potem usłyszała jakiś dźwięk i zrozumiała, co ją obudziło. Dobiegające z dołu schodów szuranie jakiegoś mebla. Bardzo cicho podeszła do podestu. Znowu panowała cisza, ale zaledwie stanęła na pierwszym stopniu, znowu to usłyszała, taki odgłos, jak gdyby ktoś przesunął krzesło. Zbiegła na dół, zajrzała do holu, a potem go zobaczyła, ojca przy kuchennym stole, obłożonego papierami, ze stopą opartą pod kątem o krzesło. Stała w progu i patrzyła. Głowę podparł jedną ręką, w drugiej ścisnął długopis i wpatrywał się w przestrzeń. Ciekawe, jak długo będzie tak siedział, pomyślała, jednak nie mogąc znieść napięcia, zakasłała cicho i ruszyła w jego stronę.

Lambert podniósł na nią wzrok.

- Nie możesz zasnąć? - spytał, podbierając jej kwestię, a ona usiadła.

- Co robisz?

- Och, pomyślałem, że lepiej podgonię z robotą. - Posłał jej słaby uśmiech, a potem nagle, zupełnie jak gdyby wypatrył jakieś słowo czy frazę, które mu się nie spodobało, przestał się uśmiechać. - Rzecz w tym, że... - nie patrzył na nią - przez całe życie usiłowałem się odizolować, odepchnąć wszystkich od siebie, żeby móc pracować... a teraz... - zawahał się - czuję się taki... Właśnie coś do mnie dotarło. Udało mi się. Zostałem całkiem sam.

Lara chciała go dotknąć, ale nie śmiała. Wiem, mogłaby powiedzieć, ale nie wiedziała. Więc tylko skinęła głową.

- Jak twoja książka? Trochę się rozpromienił.

- Jakoś idzie.

Lara podeszła do lodówki. Nalała do dwóch szklanek soku brzoskwiniowego i wróciła z nimi do stołu. - Dziękuję. - Lambert podziękował jeszcze skinieniem, a potem siedzieli przy stole, sącząc gęsty sok, co pewien czas zerkając na siebie, podczas gdy Lambert pisał, a Lara wpatrywała się w czerń nocy.

Jakieś pół godziny później ziewnęła. - Będziesz pracował całą noc? - spytała, a on odłożył pióro i przeciągnął się.

- Nie, trochę się prześpię. - Nie próbując wesprzeć się na jej ramieniu,

pokuśtykał do salonu i położył się na sofie.

- No to dobranoc - powiedziała, ale obrócił się twarzą do ściany.

\* \* \*

Rano Lara była jeszcze w nocnej koszuli, kiedy Caroline wpadła do jej pokoju.

- Zostaliśmy wybrani. Nasz koń! Będzie biegł! - Miała na sobie nieskazitelną szyfonową kreację o idealnie przyprasowanych plisach. Jej policzki oblewał szkarłatny rumieniec.

- To cudownie. - Ginny cięła sałatę na lunch; liście uginały się sprężysto, a tuż za ostrzem noża rozwijały w luźne spiralki.

- Kto na nim pojedzie? - spytała Lara. - Która *contrada*?

- Il Nicchio. Muszla. Po wyborze koni każdy dostaje numer, a potem do każdego numeru zostaje przypisana *contrada*.

- Il Nicchio - powtórzyła Lara. - Można się zakładać?

- Nie ma żadnych zakładów. No, w każdym razie oficjalnie. - I Caroline wytłumaczyła, dlaczego sprawa jest dość zagmatwana. - To dżokeje stawiają pieniądze, i tylko tuż przed rozpoczęciem gonitwy, kiedy konie są już ustawione, choć oczywiście każdy z każdej *contrada* próbuje przekupić kogo tylko się da, żeby tylko dali im wygrać, przeszkadzali ich wrogom i przychylnie traktowali przyjaciół. To szalenie skomplikowane i trudne do rozgryzienia, ponieważ oficjalnie, i dla wielu rodowitych sieneńczyków, cała rzecz po prostu nie ma miejsca. - Caroline odwróciła się i zajrzała do salonu. - A Lambert?

- Tu jestem - zawołał słabo. - Właśnie sprawdzałem, jak stoją moje inwestycje. Zastanawiam się, jaką sumkę muszę przetransferować do kufrów Il Nicchio, żebyś miała swój wielki dzień.

- Lamberciu - powiedziała czule i podeszła do niego. - Mój najdroższy. Już przyniosłeś mi szczęście.

Caroline opuściła ich wcześniej rano, by obejrzeć próbną gonitwę. Teraz, gdy konie były już wybrane, musiały przyzwyczaić się do biegu wokół placu. Do huku działka startowego, do ryku tłumów. Miało się odbyć sześć takich próbnych gonitw,

rano i wieczorem, przez cztery kolejne dni, i Caroline zamierzała obejrzeć ich jak najczęściej.

- Czuję się o niebo lepiej - śmiała się. - Nie wiem, co jest ze mną nie w porządku. Dobrze się czuję. - Pomachała i już jej nie było.

Do późnego popołudnia Lara tak się wynudziła, że wycofała się ze swojej obietnicy, że nigdy nie opuści Lamberta, i wybrała się na spacer.

- Wrócę niedługo - powiedziała, lecz nie była pewna, czy ją usłyszał czy nie.

Poszła na wzgórze, oddalając się od Ceccomoro. Zaczynało robić się nieco chłodniej i poczuła się swobodna, wolna, idąc przed siebie. Minęła gaj oliwny, potem pole słoneczników, przy którym postąpiła chwilę, podziwiając ciężkie kwiaty, ciemnobrązowe od pestek pośród trójkątnych płatków podobnych do małych proporczyków.

Niespodzianie wyprzedził ją rowerzysta, mozolnie pedałujący pod górkę, ubrany w obcisłe szorty i dziurawy podkoszulek. Męczył się na nierównej drodze, pot lał się z niego strumieniami.

- *Buona sera* - wydyszał, a ona odpowiedziała mu tym samym, życząc mu miłego wieczoru. Bo to już był wieczór. Następnego dnia. Udało jej się, wpełzła między siebie a Rolanda kolejnego dnia. Gdyby tylko mogła tak iść bez końca albo czekać, albo robić cokolwiek innego, co zabija czas, pewnego pięknego dnia wszystko znowu byłoby w porządku, rozmyślała, patrząc na rowerzystę, na jego żylaste łydki, a on uparcie parł do przodu.

Kiedy zniknął jej z oczu, powoli zawróciła, zataczając koło i patrząc na otaczające ją lasy i wzgórza. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, że we Włoszech może być tyle drzew. Przypomniała sobie, co Ginny opowiadała jej o pożarze, dziele podpalaczy, który strawił drzewa na całym tokańskim wzgórzu. Niebo wypełniło się dymem, żar był nie do zniesienia, a na domiar złego próbując go zgasić, strażacy wypompowali całą wodę z basenu rezydencji, w której Ginny wtedy pracowała. Jednak musiało to być całe lata temu, bowiem las zdążył odrosnąć. Lara obejrzała się na drogę prowadzącą do domu. Słońce kryło się za



wzgórzem, na zboczach kładły się coraz dłuższe smugi cienia. Czas wracać, uznała i ruszyła w dół.

Zaledwie skręciła z asfaltowej drogi w podjazd przed domem Caroline, zobaczyła dżipa. Ścisnęło ją w żołądku. Dżip oznaczał Kipa. Oznaczał Rolanda. Na moment odwróciła się do niego plecami, jednak wiedząc, że nie ma wyboru, zmusiła się do wejścia do domu frontowymi drzwiami. Już ich widziała, byli na tarasie, kręcili się, siedzieli i przypalali papierosy. May i Piers, Roland, Nettle, Willow, Kip. Drżała na całym ciele, w żołądku jej się przewracało, krew tętniła jej w żyłach. Schowała się pod schodami i nakryła dłonią usta, próbując się uspokoić.

- Cześć - powiedziała bezgłośnie, by przypomnieć sobie, jak to się robi, i nie dając sobie więcej czasu, podeszła do przeszklonych drzwi i wyszła na taras.

- Lara! - Pierwsza przywitała ją May, a kiedy Lara podniosła wzrok, zobaczyła w jej oczach autentyczne ciepło. - Gdzieś ty się podziewała?

- Nigdzie. - A potem szybko, zanim straci odwagę, obróciła się w stronę Kipa. Złowiła jego wzrok i natychmiast oboje popatrzyli w inną stronę.

- Towarzyszko. - Roland uniósł kieliszek, trzymając go, jak gdyby to była literatka z wódką, a nie duży, pękaty kielich wina, i wlał w siebie jego zawartość.

Lara wycofała się nieco i sięgnęła po pełny kieliszek. Kiedy uwagę pozostałych skupiła na sobie Caroline, opowiadająca, jak jej minął dzień, odsunęła się od Rolanda. Przeszła obok Kipa, tak blisko, iż trąciła go ramieniem. Nie zatrzymała się, ale Kip złapał ją za rękę, właściwie za mały palec.

- To jak, jedziesz z nami? - Nie słuchała, a May wyraźnie czekała na odpowiedź. - Wybieramy się do Sieny.

Lara wciąż czuła ciepło bijące od jego ręki, ale chciała dochować obietnicy.

- Lepiej tu zostanę. - Zaczęła się jąkać. - No wiecie... mój tata... - I dopiero gdy gromadnie wylegli z tarasu, zrozumiała, że liczyła na ułaskawienie - że Lambert zrozumie, jakie to poświęcenie z jej strony, albo Caroline wtrąci swoje trzy grosze.

Poszła za nimi do drzwi i patrzyła, jak Roland z Piersem siadają z przodu. May i bliźniaczki wdrapały się na tył. Kip podciągnął się na rękach i usiadł z nimi,



obejrzał się przelotnie, ale gdy Lara miała mu właśnie pomachać, jego uwagę przykuła któraś z osób w samochodzie. Zamruczał silnik, koła obróciły się i w tumanie białego pyłu terenówka odjechała. Lara usiadła w progu, jak gdyby nagle została ranna. Boże, syknęła i uderzyła się w ramię, by zagłuszyć inny ból.

Tego wieczoru Caroline była radosna i ożywiona niemal jak w gorączce. Opowiadała o porannej próbnej gonitwie i o tym, co z niej wynikło. Kolejna taka gonitwa miała odbyć się teraz, może nawet w tej chwili, a następne dwie jutro, jednak lekarz kategorycznie zalecił jej odpoczynek.

- Jeśli Il Nicchio wygra - postukiwała palcami - to będzie to pierwsze zwycięstwo Muszli od dwunastu lat. Jeśli Il Nicchio wygra - nie mogła usiedzieć na miejscu - mój koń będzie bohaterem. Będą o nim pisać w podręcznikach do historii. Nigdy nie zostanie zapomniany. Ale jest jeszcze La Selva - zamyśliła się. - La Selva, Leśna kraina, ma dobrego konia, no a oczywiście Il Bruco, Gąsienica, nie wygrała od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego, ale są, jak zawsze, dobrej nadziei. Wyobrażacie sobie? - perorowała Caroline. - Jest wielu dorosłych z Il Bruco, mężczyzn i kobiet, za których życia ich *contrada* nie wygrała ani razu. Jakie to musi być uczucie? - powiedziała zadumana, przenosząc wzrok to na Lamberta, to na Larę, jak gdyby żadne z nich nie było w stanie sobie wyobrazić, jaka to strata.

- Z której *contrady* był twój mąż? - spytała Lara, ale Caroline pokręciła głową.

- Żeby mówić, że pochodzi się z jakiejś *contrady*, trzeba się w niej urodzić.

Antonio urodził się w Rzymie, ale jako młody człowiek zakochał się w Palio. Zabrał mnie na moją pierwszą gonitwę, prawdę mówiąc, po to, aby poprawić mi humor po moim ostatnim rozwodzie, i od razu oszalałam na punkcie tych wyścigów.

- Kto wtedy wygrał? - spytała Lara, a Caroline odparła bez wahania:

- La Giraffa.

- Wiecie - odezwała się niewiele później - że małżonkowie pochodzący z różnych dzielnic zwykle wracają do swoich rodzin na noc przed Palio. Prawo tego nie wymaga, ale kiedy emocje szaleją, człowieka ciągnie do swoich. Ludzie wylegają na ulice, śpiewają, skandują, machają flagami. Wieczór przed Palio jest

jednym z moich ulubionych w roku. Próbną gonitwa odbywa się z największą pompą, właściwie to taka próba kostiumowa. Mam wielką nadzieję, że będziecie chcieli to zobaczyć?

- Myślę, że powinienem oszczędzać siły na główną imprezę. - Lambert zmarszczył czoło.

- A ja... - Lara spojrzała na ojca.

- Jedź - powiedział. - Uważam, że powinnaś.

- To będzie długi wieczór - uprzedziła Caroline, a Lara zastanawiała się, jakim cudem, skoro gonitwa trwa raptem dziewięćdziesiąt sekund.

- To będzie dziewięćdziesiąt najbardziej niesamowitych sekund w twoim życiu - obiecała Caroline. - To nie do wiary. - Jej dłonie tańczyły. - Zupełnie jak orgazm. - Lara usiłowała się nie zaczerwienić.

Lara leżała w łóżku i czytała *Grona Gniewu*. Co jakiś czas podchodziła na palcach do okna z cichą nadzieją, że na dole będzie stał Kip z czerwoną różą w ręku albo z wypitą do połowy butelką szampana, wracający ze Sieny i nie mogący znieść ani jednej nocy więcej bez niej. Jednak na dole nie było nikogo. Nawet rewolucjoniści ze wzgórz dziś milczeli, nie palili ogniska, nie śpiewali. O pierwszej nad ranem, wciąż nie mogąc zasnąć, po cichutku zeszła po schodach, licząc na to, że zastanie ojca przy biurku, jednak nawet Lambert już spał z odkrytą chorą stopą o czarnych palcach.

Zgasiła światło i próbowała się zdrzemnąć. Liczyła owce, usiłowała sobie przypomnieć imiona i nazwiska wszystkich osób, z którymi chodziła na angielski, nawet tych, którzy siedzieli w ostatnich ławkach i nigdy się nie odzywali, a kiedy i to zawiodło, znowu wstała i najciszej jak potrafiła, ćwiczyła kroki hinduskiego tańca, rozpościerając ramiona i wyciągając szyję. Tylko oczy mają się poruszać. Oczy, głowa i barki. To był najprostszy taniec, jakiego się nauczyła, jednak jak każdy taniec, niósł pewne przesłanie. Kryło się ono w ułożeniu dłoni, z odwiedzionym serdecznym palcem, i w dzwoneczkach przytroczonych do kostek, dzwoniących, kiedy się tańczyło. Kiedy już to opanowała, zaczęła ćwiczyć delikatne

uderzanie stopami o podłogę, przed sobą i za sobą, raz piętą, raz całą stopą, płasko, i przypomniawszy sobie, jak bardzo chciała zrobić jakieś postępy, nie tyle ze względu na umiejętności, jakich wymagał układ, lecz po to, by móc założyć strój tancerki.

Biel była kolorem uczennic, biel bawełnianej tuniki, którą dopełniały dźwięczące bransolety i dzwonki. Bardziej doświadczone tancerki nosiły jedwabie. Morskie, zielone i różowe. Plask, jej stopa uderzyła o posadzkę, plask, plask i zwinnie jak jaszczurka obracała głowę na boki. Im dłużej tańczyła, tym żywsze stawało się wspomnienie Indii i z nagłym wstrząsem, jak mogła o nim zapomnieć, pomyślała o Thubtenie Dawie.

Odwiedził je, kiedy mieszkały w Bangalurze, przedstawił się i spytał, czy czegoś nie potrzebują. Zajmowały skromny pokój na tyłach domu należącego do pewnej hinduskiej wdowy i jej córki, i chociaż zapewniły, że niczego im nie trzeba, Thubten Dawa został, by z nimi porozmawiać. Studiował ekonomię w Bangalurze, aż do ubiegłego roku mieszkał z rodziną w obozie dla uchodźców w Bylakuppe. Thubten był żyłasty i śniady. Był niezwykle uprzejmy, spokojny i bardzo przystojny i wkrótce spędzał z nimi niemal każde popołudnie, przesiadując na murze przed domem, gawędząc z nimi, plotkując i śmiejąc się.

Nie minął tydzień, a Lara zdażyła zapomnieć, że kiedykolwiek podkochiwała się w Samie, że naprawdę myślała, iż nigdy nie będzie szczęśliwa, gdy żegnała się z nim w Delhi. Lekcje tańca mijały błyskawicznie, pełne wyczekiwania na popołudnie, kiedy znowu go zobaczy. Thubten Dawa. Wciąż miała pamiętnik z jego wpisem. „Moim najgorętszym życzeniem dla ciebie”, napisał, „jest, abyś doznała oświecenia”. Złączyła dłonie nad głową i zrobiła krok do przodu, dotykając podłogi samą piętą.

Dawa, przypomniawszy sobie, Dawa znaczy „księżyc”, i pomyślała o tym, jak raz wybrali się autobusem nad morze. Pojechali zwiedzić świątynię w Mamallapuram, gdzie można było zobaczyć prawdziwe hinduskie tańce. Stwierdziwszy, że miejsce jest opustoszałe, Lara ubrana tylko w bikini wystąpiła dla publiczności złożonej z matki, dwóch trędowatych oraz Thubtena Dawy. To Lara wpadła na pomysł, by

spytać Thubtena, czy nie wybrałyby się z nimi. Wybrałyby się, odparł, bardzo chętnie.

Jak tylko wysiedli z autobusu, poszli na plażę. Świeciła pustkami, jeśli nie liczyć kilku mężczyzn w koszulach i spodniach oraz niewielkiej grupki kobiet w sari, które, ubrane od stóp do głów, brnęły ku coraz wyższym falom, jednak Cathy i Lara owinęły się dhoti i przebrały w kostiumy. Thubten Dawa, śmiertelnie poważny, zdjął koszulę i podwinął nogawki spodni, a potem we trójkę weszli do wody. Morze było ciepłe. W każdym razie w porównaniu z lodowatym zimnem ich jeziora w Szkocji, ale Thubten nie wydawał się o tym przekonany. Wchodził do wody ostrożnie, powoli, aż nagle, nieoczekiwanie, w twarz uderzyła go wielka fala.

Dał krok do tyłu, przewrócił się, a chwilę później wyskoczył nad wodę.

- Jak sól! - powiedział bez tchu. - Smakuje jak sól! - I jakby pod wpływem czarów wybiegł na bezpieczny, piaszczysty brzeg.

Cathy z Larą stały na płyciźnie i śmiały się. Śmiały się bez końca. Nie mogły się powstrzymać. Smakuje jak sól, powtarzały jedna drugiej, a Lara zastanawiała się nad tym, jakie to byłoby dziwne, gdyby morską wodą smakowała jak cokolwiek innego.

Nazajutrz Lara obudziła się, mając pewność, że Kip nie przyjdzie. Leżała plackiem przy basenie, nieposmarowana kremem przeciwsłonecznym, dopóki skóra nie zaczęła jej śmierdzieć spalenizną. Później, kiedy się ubierała, odważyła się stanąć naga przed lustrem po raz pierwszy od tamtej nocy. „Tamta noc” - te słowa brzmiały jak cios. Lara powtarzała je, wypluwała z siebie: „tamta noc”, „tamta noc”. Ale powtarzanie wcale ich nie złagodziło. Jej twarz wydawała się blada, pomimo maski brązu, blada, gniewna, twarda.

- Tamta noc - powtórzyła cicho i pomyślała o Kipie i jego pocałunkach. O tym, jak opierali się o pień drzewa, a ich ramiona, nogi spletały się niczym gałęzie. Całowali się, aż uczynili z tego własną mowę, a ich języki stworzyły słowa, które wypełniłyby całe tomy, całe biblioteki.

Lara stała w morzu porzucanych ubrań.

- Gotowa? - zawołała z parteru Caroline. Wcześniej uprzedziła ją, że o

czwartej chce ruszyć na próbną gonitwę.

- Tak! - odkrzyknęła Lara. Włożyła dżinsy i koszulę, wsunęła stopy w sandaalki i zbiegła po schodach.

Caroline stała przy drzwiach z torebką w ręce, drżąc z niecierpliwości.

- Jedną minutkę - rzuciła błagalnie Lara i popędziła na taras, gdzie siedział pogrążony w lekturze Lambert, ze stopą wygodnie podpartą i owiniętą gazą nasączoną ziołowym naparem Ginny.

- Do zobaczenia. - Pochyliła się nad nim, a on drgnął i książka wypadła mu z rąk.

- Tak - mruknął, a kiedy podniósł na nią wzrok, oczy miał szkliste, a zmarszczki na czole głębokie niczym koleiny.

- Przepraszam, obudziłam cię? - spytała, ale w chwili, gdy pokręcił głową, usłyszała pełen niecierpliwości pomruk Caroline, która stała już przed domem.

Jechały do Sieny w niemal zupełnej ciszy, sporadycznie komentując półgłosem ruch na szosie, który wyraźnie nasilił się na obrzeżach miasta. Caroline pędziła boczną drogą. Z rykiem silnika przemknęła uliczką między szeregowcami i pokonała ostry zakręt, z którego roztaczał się widok na miejskie mury. Wesóło pomachała policjantce, gorączkowo ponaglającej gestem kierowców, by nie zatrzymywali się przy samochodzie, który zajął się ogniem. Kiedy go ominęły, Lara obejrzała się i patrzyła, jak płomienie sięgają coraz wyżej, a kłęby gęstego, czarnego dymu wzbijają się ku niebu.

Caroline lawirowała umiejętnie bocznymi uliczkami aż do górnej części miasta, do placu, przy którym znajdowała się poczta. Zatrzymała się przed wejściem. Do samochodu podszedł jakiś mężczyzna. Laura oczekiwała, że zaraz usłyszą, że tu nie wolno parkować, ale mężczyzna powitał Caroline wylewnie, wyrzucając z siebie potok słów, i przytrzymał drzwi, by kobieta mogła wysiąść. Z łaskawością godną królowej brytyjskiej Caroline nagrodziła go uśmiechem oraz kilkoma krótkimi zdaniem, wypowiedzianymi pięknie po włosku, podała mu kluczyki i odeszła.

Lara pobiegła za nią. Ludzie byli wszędzie, płynęli ku Campo, jedni w szalikach w barwach swojej dzielnicy, inni nieśli flagi, prawie wszyscy jedli lody. W życiu nie widziała tylu dorosłych z lodami. W Wielkiej Brytanii lody to coś dla dzieci, coś, z czego się wyrasta, podczas gdy tutaj lizanie olbrzymich, topniejących gałek w rożkach wydawało się narodową rozrywką.

- To moja ulubiona gelateria - odezwała się Caroline, jak gdyby czytała w jej myślach. Weszły do zatłoczonej, przeszklonej lodziarni i, wyciągając szyje, zajrzały do gabloty. - Powinnaś spróbować *crema* - poradziła Caroline. - Smakują trochę jak budyń waniliowy. Albo bezowych, które są zupełnie wyjątkowe, w Anglii nie ma nic o takim smaku. - Uznając uśmiech Lary za zgodę, poprosiła o dwie kulki dla niej i dwie dla siebie.

Kulki były ogromne i wyglądały, jak gdyby miały się zaraz ześlizgnąć z wafla, więc obie zaczęły je oblizywać, z wielkim apetytem i równie wielkim pośpiechem, nie wychodząc z lodziarni. Kiedy zjadały pyszny, puszysty i lekki deser, Lara nagle zdała sobie sprawę, że od tamtej nocy to pierwsza rzecz, której smak naprawdę czuje. Dość - skarciła się w duchu i wgrzyła się w wafłowy rożek.

- Może jeszcze po gałce? - Caroline wyteżrzała wzrok w kierunku lady chłodniczej. - Czekoladowe są warte grzechu.

Zaskoczona Lara zaśmiała się i natychmiast tego pożałowała, bo Caroline, zamiast zamówić kolejne dwa podwójne lody, starannie wytarła palce w papierową serwetkę, przyklepała torebkę do boku i zaproponowała, żeby ruszyły dalej.

- Dzisiaj wszystkie *contrade* oprowadzają swoje konie po ulicach - powiedziała. - Śpiewają pieśni, wygrażają pięściami wrogom, a później, po *provie*, czyli po próbnej gonitwie, zasiadają do uroczystej kolacji. Każda *contrada* wydaje ucztę na cześć możliwej wygranej, nawet Il Bruco, która nie wygrała od dwudziestu sześciu lat.

Minęły plac, na którym w rzędach stały niezliczone stoły, nakryte białymi obrusami, zastawione talerzami, szklankami i kieliszkami. To świetny pomysł, pomyślała Lara, świętować, gdy jeszcze każdy może zostać zwycięzcą. Świętować



w wieczór poprzedzający gonitwę.

Na końcu ulicy prowadzącej na Campo stała barierka, przy której pokazały bilety. Weszły na Piazza. Plac uległ przeobrażeniu. Jego skrajem ciągnął się pas ubitej ziemi tworzący okrąg, pod ścianami budynków wyrosły trybuny. Na środku kłębił się tłum, który, jak wyjaśniła Caroline, czekał tam od bladego świtu. Tysiące wielobarwnych koszulek ściśniętych na niewielkiej przestrzeni wyglądało jak konfetti.

- Najlepiej oglądać paradę z bocznych uliczek - oznajmiła Caroline i niemalże pobiegła wzdłuż ziemnego kręgu, po czym skręciła w pierwszą w lewo. Wtargnęły do bramy, w której kłębił się tłum zmierzający do maleńkiej kafejki, a potem wylewający się drugą stroną, już z porcjami pizzy i butelkami wody. Nie czekały długo, nim usłyszały śpiew. Zaczął się nagle, brzmiał jak pieśń wojowników, a potem zobaczyły uczestników parady. Pierwszy stapał koń o dzikich ślepiach, za nim szeroka na cztery, pięć, sześć osób *contrada* Gęsi. Sami mężczyźni, pierś wypchnięta do przodu, głowy odchylone. Śpiewali na całe gardło, wymachiwali pięściami, miotali wyzwiska i pękali z dumy. Za nimi szły kobiety, niskie i groźne - cóż to musi być za waleczny naród - a potem grupa dzieci, śpiewających piskliwie, ale też ile sił w płucach.

- Mój Boże. - Larze również udzieliło się podniecenie Caroline. - O czym oni śpiewają?

- Jesteśmy najlepsi, reszta to gówno! - odparła Caroline bez wahania. - Nasza *contrada* jest najpiękniejsza na świecie!

- Serio? - Lara wyteżęła wzrok i słuch, czekając, aż pojawi się następna dzielnica.

Przepychała się do przodu i nagle, wnosząc tę samą pieśń, jak burza przemknęła koło nich *contrada* Orła, cała w złocie i czerni. Koń wyglądał na ognistego, łeb trzymał wysoko, wszyscy odsuwali się od niego, a kiedy wierzgnął w bok, tłum gwałtownie zapadł się i wlał w bramę kawiarenki.

- Ale oni śpiewają tę samą piosenkę.



- Tak - odparła Caroline - tylko słowa są trochę inne. To my jesteśmy najlepsi, reszta to gówno, to nasza *contrada* jest najlepsza na świecie.

Dzielnica za dzielnicą przechodziły śpiesznie, każda śpiewając własną gniewną pieśń. Od jej melodii Larę przechodziły ciarki, a serce wypełniało się gwałtowną tęsknotą.

- Nadchodzi Il Nicchio. Nasz koń! - Caroline przepchnęła się do przodu, gdy przeprowadzano przed nimi piękną szarą klacz.

Za nią szła w paradzie *contrada* Muszli w rozbłysku bieli i bladego błękitu, szereg mężczyzn, łysiejących i o wielkich nosach, wojowniczo wypinających pierś.

Kiedy przeszła ostatnia *contrada*, a jej pieśń rozbrzmiewała echem coraz bliżej środka Piazza, Caroline wzięła Larę za rękę.

- Teraz musimy się pośpieszyć. Lecimy na Piazza! Wpadły w strumień ludzi zdążających w tym samym kierunku, przepychających się i biegnących ku trybunom.

- Tutaj. - Caroline była zwinna jak kozica. Lara podążyła za nią wzdłuż otoczonego kordonem toru ku rzędowi krzeseł za linią startu.

Ochroniarz otworzył bramkę i Lara zaczęła wspinać się po schodach. Miały miejsca w połowie trybuny. Lara podała rękę Caroline, która, ku jej zaskoczeniu, chwyciła ją bez wahania.

- Gotowe - oznajmiła zasapana i zajęła miejsce, a potem obie pochyliły się do przodu i patrzyły, jak pojawiają się mężczyźni z miotłami i usuwają z ziemnego toru ślady ich stóp.

Niewiele później wniesiono linę. Kij, na którym zawieszono były zwoje, dźwigało dwoje ludzi. Linę przeciągnięto w poprzek toru, niemalże pod Larą i Caroline, i przywiązano do obciążnika. Zaledwie znalazła się na miejscu, tłum ucichł. To już niedługo. Wkrótce na tor zostaną wypuszczone konie. Teraz, jak wyjaśniła Caroline, czekają w holu olbrzymiego Palazzo na dole Campo.

A oto i one. Truchtem wbiegły na wzniesienie, niosąc dżokejów o sylwetkach w dziwnym, obcym kształcie, jadących bez siodeł i strzemion, z nogami

zwisającymi luźno u końskich boków. Lara usiłowała im się przyjrzeć, rozpoznać jeźdźców po barwach, wzorach każdej contrady wyhaftowanych na czapkach. Przed nimi, na drugim końcu toru, czekał zdradliwy zakręt, gdzie było najłatwiej o upadek, strącenie jeźdźca, złamanie kości.

Dziesiątka koni zatrzymała się o kilka kroków od linii startu. Wierciły się, obracały, podskakiwały i czekały. Tłum szeptał i rozmawiał cicho, a wszyscy aż wyciągali szyje, by lepiej widzieć rumaki. Wreszcie zatrzeszczał megafon i seria gniewnych syknięć uciszyła tych, którzy wciąż śmieli się odezwać. Lara czuła, jak rośnie napięcie wokół niej, gdy wszyscy bez wyjątku, całe sto tysięcy widzów równocześnie wstrzymuje oddech. Potem rozbrzmiał czyjś dźwięczny głos, a następnie wśród burzy oklasków ogier La Civetty - Sowy - stanął dęba i wyrwał się do przodu, by w końcu, poskromiony przez jeźdźca, drobiąc niespokojnie, obracając się bokiem, ustawić się na pierwszej pozycji, tuż przy wewnętrznej barierce. Il Bruco - Gąsienica - została wywołana jako następna.

Caroline pokręciła głową.

- Oj, nie mamy szczęścia.

Szybko, w atmosferze coraz większego podniecenia, wywoływano kolejne konie, Il Nicchio na ósmej pozycji, obok niego, jako dziewiąty, Il Drago - Smok oraz dziesiąty Il Aquila - Orzeł. Il Aquila nawet jednak nie próbował zbliżyć się do linii startu.

- Czemu nie podejdzie do przodu? - spytała Lara, w nieznośnym napięciu patrząc, jak Il Drago drepcze w miejscu i uderza o bok Il Nicchio, spychając go z toru. Ustawił go w efekcie tak, że gdyby gonitwa nagle się rozpoczęła, nieszczęśnik byłby zwrócony zadem do linii startu.

- Dziesiąty koń to „twórca królów” - wyjaśniła Caroline. - Może wystartować dopiero wtedy, gdy pozostała dziewiątka jest już na pozycjach.

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystkie konie znieruchomiały.

Teraz, teraz. Lara wyciągnęła szyję, tłum syczał i skandował, gdyż Aquila

wciąż nie zajął pozycji. Im dłużej dżokej czekał, tym bardziej niespokojne robiły się pozostałe konie.

- Raz ruszył się po tak długim czasie - odezwała się Caroline - że resztę koni trzeba było wprowadzić pod dach i uspokoić.

- Raz było jeszcze gorzej - przypomniała sobie nieco później, kiedy sfrustrowany tłum niemalże pluł na przebiegłego dżokeja Orłów. Ten siedział na koniu, zerkając na linię startową, gdzie konie darły kopytami ziemię i parskały rozdrażnione i niespokojne, co pewien czas zamierając w idealnym szyku, lecz zawsze wtedy, kiedy Aquila zwrócony był łbem w niewłaściwym kierunku. - Raz minęło tyle czasu, zanim Palio się rozpoczęło, że niektórym koniom trzeba było zmienić podkowy.

- Mój Boże. - Lara zakryła ręką usta, coraz bliższa hysterii.

- Raz... - oczy Caroline zdawały się tańczyć - zrobiło się tak późno, że wszyscy musieli wrócić do domów i przyjść następnego dnia!

Lara wyobraziła sobie, że zostanie tu na zawsze, z nerwami w stanie skrajnego napięcia, ze wzrokiem wlepionym w dziesiątego konia, lecz dokładnie w tym samym momencie Aquila zawrócił zamasyście i cała dziesiątka ruszyła z kopyta. Stało się to tak szybko, że Lara nie miała pojęcia, jak ktokolwiek zdołał zareagować. Dokładnie w chwili, gdy Aquila wystartował, huknął wystrzał, a powietrze wypełniło się grmiącym echem. Wszyscy pochylili się do przodu, jedni bladzi i milczący, inni krzyczeli i potrząsali pięściami. Usiłowała wypatrzeć w powodzi kolorów barwy Il Nicchio, lecz konie były już przy drugim końcu placu, galopowały pod górę, ciasno stłoczone.

Żadnych komentarzy, nikt niczego nie objaśniał, a potem już w luźniejszym szyku, konie znowu zaczęły się do nich zbliżać. Jeden wysunął się naprzód, widziała nogi dżokeja, który na nim jechał, wiotkie i zwisające bezwładnie, tak że wyglądał jak dziecko na huśtawce, jeszcze inny ściągnął lejce, a jego koń biegł na samym końcu, leniwie i samotnie. Dalej, dalej. Ludzie stali. Oczywiście była to tylko próbna gonitwa, połączona z próbą kostiumową, i dżokeje nie chcieli zmęczyć koni.

Nikt nie ryzykował na niebezpiecznym rogu przed San Martino, gdzie plac się pochylał, nikt nie bił rywali szpicrutą ani nie próbował wypchnąć z toru.

Lara czuła zarazem ulgę i rozczarowanie. Caroline wstała, gdy konie znowu je mijaly. Pokonywały ostatnie okrążenie, trzy szły łeb w łeb, a potem nagle jeden wysunął się na prowadzenie o całą długość łba. L'Oca. Tak, to L'Oca. Gęś prowadzi i zaraz wygra. Już wygrywa. Wygrała. Gęsi wymachiwały naręczami zielonych szalików, śpiewały zwycięską pieśń, lecz nikt nie dał się nabrać. To tylko próbna gonitwa, więc się nie liczy.

Powoli, ostrożnie Lara i Caroline zeszły po schodach. Larę przebiegł dreszcz, a kiedy podniosła wzrok, zauważyła, że niebo jest nadzwyczaj ciemne. Gęste chmury zbijały się w większe i nachodziły jedna na drugą. Kiedy tak stała, podziwiając niecodzienny widok, spadły pierwsze, wielkie jak łzy, krople deszczu.

- Nie zauważyłam, że się ochłodziło. - Caroline wydawała się zdumiona i zaskoczona, ale obie wiedziały, że w ciągu ostatnich trzech godzin pogoda mogłaby się zmienić w dowolny sposób, a one i tak nic by nie zauważyły.

Wraz z deszczem pojawił się wiatr. Porywy zimnego powietrza zacinały strumieniami, przyklejając miękki materiał bluzki Caroline do ciała. Objęła się ramionami, Lara zaś zobaczyła, jakie są chude, gdy nie maskuje ich przemyślny krój wielu warstw materiału.

- Lepiej chodźmy. - Caroline szczykała zębami. Wszyscy dookoła, mężczyźni, kobiety i dzieci, znikali w bocznych uliczkach, oddalając się od placu.

W milczeniu szły pod górę. Mijały lodziarnie i kioski, już na nowo zapełniające się klientami, a kiedy dotarły do placu pocztowego, zaczęły, aż ktoś wyprowadzi ich samochód z podziemnego garażu.

Caroline przez moment siedziała za kierownicą jak w transie. Na włosach miała krople deszczu, połyskujące jak perły. Przylgnęły do jej porcelanowej skóry i spływały po szyi, mieniając się jak brylanty na jej palcach. Wyglądała pięknie, jak syrena. Jej twarz, kark i ramiona, nawet jej palce, lśniły. Drżała jednak, ręce jej się trzęsły, gdy majstrowała przy pokrętle ogrzewania, nim prosto w oczy nie buchnęło

im suche, zakurzone powietrze z nawiewów. Lara obejrzała się z nadzieją, że na kanapie znajdzie się szal albo koc, którym będzie mogła ją okryć, lecz niczego takiego nie dostrzegła.

- No dobrze. - Caroline zrobiła głęboki wdech i trzymając się prosto, ruszyła do domu.

Lara chciała porozmawiać. Chciała zadać milion pytań. Czemu Aquila nie wykorzystał tylu okazji, aby rozpocząć wyścig? Czy zasady na to pozwalają? Czy zostanie ukarany? I czy fakt, że L'Oca dobiegł do mety pierwszy, ma jakieś znaczenie dla jutrzejszej gonitwy? Koń Il Nicchio dobrze pobiegł? Nie mogła sobie przypomnieć, który był na mecie. W ogóle nie pamiętała Il Nicchio. Jak się wybiera dżokejów? Każdy jest z *contrady*, w której barwach startuje? A potem przypomniawszy sobie, jak ojciec wspominał, że jeźdźcy są głównie z Sardynii. Słynni dżokeje, niekibicujący żadnej konkretnej dzielnicy. Wybrani wyłącznie ze względu na swoje umiejętności. Kiedy już jednak zostaną wybrani, strzeże się ich dniem i nocą. Nawet gdy śpią, podobnie jak koni, na wypadek gdyby ktoś z innej *contrady* chciał zadbać o to, by rywale nie wygrali.

- Caroline. - Obróciła się w jej stronę i chociaż w samochodzie było sucho, a ogrzewanie już zaczęło działać, twarz Caroline wciąż lśniła od wilgoci. Pot perlił jej się na skórze, tworząc na czole delikatną mgiełkę. - Dobrze się czujesz?

- Powiedz mi - przerwała jej Caroline - podobała ci się *prova*, próba kostiumowa?

- O tak. - Larze brakowało słów. - Dziękuję, że mnie zabrałaś. Tak się cieszę, że zostałyśmy i mogłam to zobaczyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Caroline miękko i popatrzyła na Larę tak, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy. - Nie bądź na niego zła - dodała.

Lara czekała.

- Na kogo?

- Na ojca. Nie było mu łatwo... On... - westchnęła. - Spróbuj go zrozumieć.

Cisza. Słyszeć było tylko pracujące wycieraczki.

- Rozumiem, chyba.
- Czy aby naprawdę?
- Spróbuję - obiecała, a potem Caroline skrzyła na nierówną drogę.

Kiedy wróciły, na ganku paliło się światło. To nie tylko moja wina, pomyślała Lara, lecz nagle zrobiło jej się smutno.

Lambert leżał na sofie, nogę miał podpartą poduszkami.

- Wciąż wygląda upiornie. - Caroline pochyliła się nad chorą kończyną. I miała rację: noga była sina, obrzmiała i napuchnięta do połowy łydki.

Lara usiłowała sobie wyobrazić, jak ojciec kuśtyka wąskimi uliczkami Sieny. Wdrapuje się po schodach na Campo. Wspina się po niemal pionowych stopniach na trybuny. A jeśli zanim rozpocznie się gonitwa, miną całe godziny? Albo i dni?

- Jak było? - Lambert patrzył na nią.

- Fantastycznie. Wygrała Geś.

- To była próbna gonitwa. - Caroline opierała się o drzwi, rzucając wyzwanie każdemu, kto odważyłby się napomknąć o jej bladości. - Idę się położyć. Chcę wcześniej wstać... - Ostrzegawczo uniosła brwi, na wypadek gdyby ktokolwiek usiłował wybić jej to z głowy. - Chcę obejrzeć ostatnią próbę. *Provaccia*. To jedyne wyścigi w historii świata, kiedy każdy dżokej staje na uszach, byle tylko nie wygrać. - Roześmiała się. - No to dobrej nocy. - Jedną ręką wciąż opierała się o ścianę, jak gdyby musiała się podeprzeć. - Miłych snów.

- Dobranoc. - Oboje patrzyli, jak odchodzi, i przez kilka minut żadne z nich się nie odezwało.

Ginny zostawiła im zimną kolację. Bładozieloną zupę w chłodnej misce, sałatkę i talerz salami. Lara zrobiła sobie kanapkę - salami chyba nie należało do mięs - i rozkoszując się tą rzadką okazją, aby zwykłą przekąską zastąpić oficjalną trzydaniową kolację, usiadła z talerzem obok Lamberta. Przez jakiś czas słuchali deszczu.

- Tato? - spytała, wyobrażając sobie tor zmieniony w morze błota. - Czy Palio można odwołać?



- Cóż. - Lambert odłożył książkę i zamknął oczy, jak gdyby dzięki temu łatwiej było wydobyć z pamięci potrzebne fakty. Opowiedział jej o tym, jak to w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym, w wyniku niedawnego trzęsienia ziemi, odwołano czerwcowe Palio. - W tysiąc osiemsetnym - kontynuował - za francuskiej okupacji, zakazano urządzania obu gonitw, czerwcowej i sierpniowej, a pięć lat później odwołano Palio w związku z epidemią cholery. Czerwcowe Palio w tysiąc dziewięćsetnym roku nie odbyło się z powodu żałoby narodowej po śmierci Umberta I, który zginął w Monzie z rąk zamachowca, no i oczywiście nie urządzano Palio podczas obu wojen światowych. Zazwyczaj - mówił dalej - sieneńczycy starają się nie dopuścić, aby sprawy polityczne czy państwowe miały wpływ na Palio, ale czasem nie da się tego uniknąć. To nie tak, że mieszkańców Sieny nie obchodzi polityka, po prostu Palio obchodzi ich bardziej.

- Och. - Lara cieszyła się, że nie napomknęła o swoich obawach w związku z deszczem. - Ale tato - dodała szybko, patrząc na jego nogę - nie będziesz okropnie rozczarowany, jeśli się okaże, że nie możesz pójść?

- Będę znacznie bardziej rozczarowany, jeśli spóźnimy się na pociąg.

Lara drgnęła. Pociąg? Zupełnie zapomniała, że następnego dnia po Palio wracają do domu. Już pojutrze!

- Naprawdę wracamy? - Poczowała przyływ paniki. - To znaczy, będziesz się czuł na siłach?

- Nawet jeśli będę musiał pojechać do Calais na koniu Caroline z nogą w gipsie i z walizką na głowie. - Uśmiechnął się, jak gdyby chciał, aby dowcip wydał się zabawniejszy, ale dostrzegła, jak ojciec zaciska zęby, i wiedziała, że rozpaczliwie chce wyjechać.

Lara stała w progu i wpatrywała się w noc. Wciąż padał deszcz, wielkie krople rozbłyskiwały bielą w świetle lampki nad gankiem, rozbryzgując się i czerniejąc tuż za granicą jasności. Powinna pobiec poszukać Kipa? Serce tłukło jej się w piersi, pompując w żyły strach. Powinna przemknąć seksowną ścieżką, podkraść się do domu, wślizgnąć frontowymi drzwiami i przemknąć kamiennym korytarzem do jego



pokoju? Mogłaby wsunąć się pod kołdrę, przytulić do niego, czuć, jak napinają się ścięgna jego rąk i nóg, dotknąć jedwabistej skóry na jego karku, jego ciepłego ciała. Przepraszam, szepnęłyby. A on przewróciłby się na bok i otoczył ją ramionami. Kochaliby się, a ona nie zamknęłaby oczu. Patrzyłaby na jego usta, na jego oczy, widziałaby, jak włosy opadają mu na czoło, zbyt zajęta uśmiechaniem się, aby myśleć o czymkolwiek innym. Na przykład o Rolandzie. Zresztą i tak już dawno o nim zapomniała. Udowodniła sobie, że to potrafi w wieczór próbnej gonitwy. Przez trzy godziny nic dla niej nie znaczył. Przestał istnieć. On i ostra krawędź bransolety jego zegarka, zapach wody kolońskiej, ciężar jego palców i jego uda.

- Jestem najlepsza! - wycodziła, naśladowując najbardziej wojowniczą ze wszystkich *contrade*. - Ty jesteś gównem! - Żałowała, że nie wie, jak to się mówi po włosku, bo chciałaby przemaszerować przez dolinę, przez lasy i wzgórza, bijąc się w pierś, krzycząc i śpiewając. Wypowiadając wojnę. - Nikim! - krzyknęła jeszcze raz. - Po prostu nikim! - Wyrzuciła jego imię na deszcz. Wdeptała je w żwir. Napłuła na nie. W dali zamruczał grzmot. Pogroziła mu pięścią. Jeszcze śmie pyskować? A masz!

- Laro? - Lambert stał za nią. - Wszystko w porządku?

- Och. Tak. - Lara poczuła, że się rumieni. - Ja tylko się zastanawiałam... zastanawiałam, co będzie z wyścigiem... no wiesz, przez ten deszcz. - Odsunęła się, zaledwie niebo przecięła błyskawica.

- Zmokniesz. - Oparł dłoń na jej ramieniu i kuśtykając, podszedł do drzwi i zamknął je cicho. - Chyba spróbuję dzisiaj przespać się na górze - powiedział, zerkając w kierunku ciemnych schodów. - Zaczynam się czuć jak śmieć wiecznie zalegający w mojej salono-sypialni. - I boleśnie, powoli, poczłapali po schodach, Lambert wsparty o ramię Lary. - Dziękuję. - Uśmiechnął się, gdy stanęli na piętrze przed drzwiami do pokojów, ona i jej ojciec, cudzoziemiec, prawdziwy dżentelmen, jakich teraz już nie ma.

- Dobranoc - powiedziała i patrzyła, jak idzie, kulejąc, podpierając się o ściany i o drzwi. Myślała o jego zgarbionych plecach, posiwiałych włosach, o czole pełnym

zmarszczek głębokich jak na twarzy starca.

- Dobranoc - powtórzyła szeptem. Poszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Niemal natychmiast wewnątrz pokoju rozjaśniła kolejna błyskawica. Lara aż podskoczyła, z duszą na ramieniu, z nieoczekiwanymi łzami w oczach. Otarła je, lecz natychmiast pojawiły się nowe, więcej niż przed chwilą. Rozgoryczona potrząsnęła głową. - Odpieprz się - powiedziała samej sobie, tej, która szlochała. Czuła się, jak gdyby tuż przy niej siedziała jakaś inna ona, bardziej wyniosła, pogardliwa. - Przestań. - Ale było już za późno. Już nie mogła przestać. Siedziała, nie próbując nawet zasłonić twarzy, a łzy płynęły niepowstrzymanie. Były gorące i śliskie, i choć próbowała je przelykać, ciągle napływały jej do oczu, aż zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przestaną.

Położyła się, przycisnęła twarz do poduszki i wciąż płakała, szloch wstrząsał jej ciałem, wdzierał się do ust i nosa, szarpał jej żebrami, dopóki twarz nie zaczęła jej płońać, a głowa pękać, jak gdyby czaszka miała jej trzasnąć na pół. W końcu, niewiele widząc przez łzy, po omacku dotarła do łazienki i obmyła wodą obrzmiałe powieki. Spojrzała w lustro i ostatecznie się doczekała - naprawdę się zmieniła. Wyrwał się jej ostatni urywany szloch. Znowu pochyliła głowę i ochlapowała się zimną wodą, dopóki nie zdrętwiała jej twarz, szyja, ramiona. Całe ciało miała odrętwiałe.

Gdy wróciła do pokoju, czuła się spokojna. Pusta. Niemal święta, jak gdyby nie pozostało w niej nic oprócz światła. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz: nawet deszcz zelżał. Otworzyła okno i odetchnęła głęboko. Powietrze pachniało cudownie, kobiercem sosnowego igliwia, lawendą i rozmarynem z rabatek Caroline. Stała tam tak długo, oparta o parapet, że głowa zaczęła jej sama opadać. Z ociąganiem wróciła do łóżka. Położyła się twarzą do ściany i zamknęła oczy.

Możliwe, że obudził ją samochód lekarza. Nie była tego pewna. Kiedy wyjrzała przez okno, auto już tam stało. Pobieгла do pokoju ojca, ale zastała tylko puste łóżko. Zdenerwowana, pośpiesznie włożyła sweter i zbiegła po schodach. W salonie Ginny patrzyła, jak lekarz rozmawia przez telefon.

- *Pronto* - szczeptał w słuchawkę niecierpliwym staccato. - *Pronto. Si.*

- Co się stało? - Lara złapała ją za rękę. Od policzka Ginny oderwała się łza.

- Mówiła, że musi wcześniej wstać. Więc poszłam ją obudzić i zanieść filiżankę herbaty. Pomyślałam sobie, że zanim wykąpię się w basenie...

Lara czuła, jak oczy robią jej się coraz okrągłejsze.

- Caroline? Czy ona...?

- Nie wiem, jak długo tak leżała. - Ginny przełknęła wielki haust powietrza jak ryba. - Próbowałam ją dobudzić, ale bałam się zrobić cokolwiek gwałtowniejszego. Znaczący... ona jest taka krucha, prawda? Jak mały ptaszek. Nie chciałam nią potrząsać. Pomyślałam, że to mogłoby być niebezpieczne, a pan doktor powiedział, że miałam rację. Że nie próbowałam jej ruszyć. Przyjechał piorunem. Powiedział, że spodziewał się tego od początku lata. Powiedział, że to cud, że wytrzymała tak długo.

- To ona...? - Lara poczuła, że żołądek zaciska jej się w zimny węzeł. - Czy ona... - Nie była jednak w stanie tego powiedzieć, a potem lekarz obrócił się w ich stronę i oznajmił, że karetka już jest w drodze.

- Nie. - Lambert stał w drzwiach, wysoki i wyprostowany na tyle, na ile może się wyprostować ktoś, kto balansuje na jednej nodze. - Nalegam. - oznajmił. - Nie wolno nam jej stąd przenosić.

Lekarz spojrział na niego z politowaniem.

- Ja ją znam. - Lambert drżał. - Znam ją od zawsze... prawie od zawsze. Ona by tego nie chciała.

Lekarz opuścił wzrok.

- Karetka. Zaraz tu będzie.

- Co pan próbuje powiedzieć? Że dojdzie do siebie? Że jeśli zabiorą ją do szpitala, to znowu będzie taka jak kiedyś?

Lekarz rozłożył ręce.

- Może uda się jeszcze utrzymać ją przy życiu.

- Po co? Żeby umarła w szpitalu, daleko od wszystkiego, co kocha? - Musiał

przytrzymać się stołu.

- Ktoś może chcieć ją pożegnać. Przyjaciele. Rodzina. To da im czas, jakiego potrzebują, by do niej przyjechać. To ważne. Czy nie mam racji?

Lambert ucichł i zwiesił głowę. Potem lekarz, w którego kieszeni odezwał się pager, odwrócił się i wyszedł.

Kiedy przyjechała karetka, Ginny wyrabiała ciasto na chleb, gniotąc je i tłukąc pięściami. Rzucając je niczym tłustego białego zapaśnika na kamienną płytę. Lara odsunęła się na bok, gdy załoga karetki zносиła Caroline po schodach. Wcześniej delikatnie owinęli ją kocem, aż po samą szyję, Lara zaś przekonała się, że nawet nieprzytomna, Caroline roztacza wokół siebie aurę elegancji.

Gdy noszowi zatrzymali się w holu, Lara zerknęła na jej twarz. Nie wyglądała na kogoś, kto ubiegłego wieczoru objadał się lodami na ulicach Sieny. Kto wygrażał pięściami przeciwnikom. Kto trzymał ją za rękę i wbiegał, szybko jak kot, po stromych schodach. Była nieruchoma i blada, lecz jej skóra, co zapewne sprawiłoby jej przyjemność, była piękniejsza niż kiedykolwiek, świetlista.

Lambert pokuśtykał na podjazd i patrzył, jak ratownicy układają nosze w karetce. A potem, ku zaskoczeniu Lary, rzucił się do środka za Caroline, powłócząc chorą stopą. Skrzywił się z bólu, gdy uderzył nią o schodek.

- Wrócę później - zawołał do Lary, która zobaczyła, że ojciec trzyma w ręku jakąś książkę i jeden z jedwabnych szalików Caroline.

- Niech pan dzwoni, gdybym była potrzebna. - Ginny wytarła ręce w fartuch. - Proszę dzwonić, naprawdę, nigdzie się nie wybieram. - Poczekała, aż drzwi karetki zamknęły się z metalicznym trzaskiem, potem na sekundę przytknęła fartuch do oczu i pośpiesznie wróciła do środka sprawdzić, co z chlebem wyrastającym pod kuchenną ściereczką.

Larze było wstyd. Czy wszyscy oprócz niej wiedzieli, że Caroline nie choruje, tylko po prostu umiera? Słuchała, jak Ginny dzwoni do osób, których numery znalazła na biurku Caroline. Miała dwie siostry, jak się okazało, i jakiegoś wujka. Najlepszą przyjaciółkę i dwóch eksmeźów, którzy jeszcze żyli. Ginny mówiła czule

i cicho. Obiecując każdemu, że zadzwoni, jak tylko będą jakieś wieści. Jedna z sióstr, a może obie, planowały przylecieć. Tak aby dzisiaj być już na miejscu, o ile to możliwe. A Ginny dała taktownie do zrozumienia, że jest mało czasu do stracenia.

Lara siedziała w domu. Wydawało się czymś niewłaściwym wyjść na dwór i byczyć się nad błękitnym basenem. Przeglądała więc zgromadzoną przez Caroline kolekcję płyt: Edith Piaf, Billie Holiday, Nina Simone oraz album z Koncertem skrzypcowym Brahmsa. Ten ostatni wydał się jej bezpiecznym wyborem. Przeszła przez ścianę monumentalnej, potocznej muzyki do kuchni, by wybadać reakcje Ginny, ale Ginny miała pełne ręce roboty: oddzielała żółtka od białek, białka do dużej miski, żółtka do mniejszej, tłukąc skorupki jajek wyważonym, precyzyjnym puknięciem noża. „Dla kogo robisz tyle jedzenia?” - chciała spytać, ale nie odważyła się.

Ginny przypomniawszy jej wdowę z Bangaluru. Płacili kilka rupii tygodniowo za możliwość spania w pokoiku na tyłach domu i dzielenia posiłków z nią i z jej córką trzy razy dziennie. Gotowała rewelacyjnie. Curry na śniadanie, lunch i kolację, ale lekkie, dobre i pełne delikatnego smaku - kardamonu i fenkułu - tak że zawsze znalazło się miejsce na dokładkę.

Lara przeżyła wstrząs, kiedy zobaczyła, ile pracy wymaga przygotowanie tych posiłków. Od świtu do zmierzchu, odkąd tylko otworzyły oczy, matka i córka urabiały sobie ręce po łokcie. Ucierały przyprawy. Piekły paraty. Kupowały okrę, ziemniaki, fasolę i kolendrę. Myły patelnie. Na nowo wypełniały je wonnymi potrawami.

Wcześniej Lara i Cathy nie znały zbyt wielu Hindusów, obracały się głównie wśród Tybetańczyków, znajomych ludzi, których poznały w Samye Ling. Tybetańczycy wydawali im się tacy swojscy z tymi swoimi świątyniami i modlitwami, z ploteczkami i dowcipami, ale Hindusi byli obcy. Kiedy się odrodzę, mam nadzieję, że nie wrócę jako córka ani żona, modliła się Lara. To już wolałabym wrócić jako żuk gnojak albo słoń. Wszystko, byle nie wieczne siekanie i mieszanie,

sprzątanie i szorowanie. Wszystko, tylko nie całe życie domowej harówki. Ginny natomiast byłaby w siódmym niebie.

Teraz właśnie ubijała białka, posypując je przesianym cukrem pudrem, i ubijała, i ubijała, dopóki na pianie nie potworzyły się odrębne, białe wierzchołki. Wyłożyła papierem do pieczenia niską blachę, posmarowała papier tłuszczem i łyżką nałożyła porcje białej piany.

- Gotowe - powiedziała z zadowoleniem - teraz mamy bezy. - I wstawiła je do rozgrzanego piekarnika. Poczucie szczęścia było jednak krótkotrwałe. - Co ja zrobię z tymi wszystkimi żółtkami? - zakwiliła, gdy muzyka skrzypcowa rozbrzmiała z nową siłą. Aby uspokoić Ginny, Lara zaproponowała, żeby zjadły śniadanie.

Usiadły na tarasie przy stole nakrytym obrusem, zastawionym miodem, owocami, herbatą oraz talerzami, na których piętrzyła się złota jajecznica i grzanki.

- Dziękuję ci - powiedziała Ginny, jak gdyby to Lara gotowała od świtu i po raz pierwszy od rana zdołała usiąść spokojnie na miejscu.

Lara chciała opowiedzieć jej o tybetańskich mnichach i o tym, jak któregoś razu, podczas modlitwy za zmarłego, jeden podłożył pierdzącą poduszkę pod obleczone pomarańczowymi szatami siedzenie innego mnicha. Rozległo się gulgotanie, potem mlaskanie, a na koniec niskie, donośne pierdnięcie. Mnich wyrzucił dłonie w powietrze, a potem kołysząc się i mrużąc oczy, wybuchł śmiechem. Śmiali się dosłownie wszyscy. Mnisi i żałobnicy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Lara wciąż miała przed oczami ich ciepłe, okrągłe twarze, śmiejące się bez końca, choć mnisi przygotowywali się do odprawienia nabożeństwa za zmarłego. Nie mogła jednak opowiedzieć o tym Ginny, nie wspominając zakazanego słowa - śmierć. Nawet jej matka, choć wciąż medytowała w zaciszu swojej świątyni, napełniała siedem czarek, dwie wodą, do obmycia oczu i dłoni, światłem świecy, kadzidłami, muzyką, jedzeniem i kwiatami, ustawiała pomalowanego na niebiesko, długouchego Buddę na szydełkowej serwetce, którą Lara zrobiła którejs zimy, kiedy nie było akurat nic innego do roboty, nawet matka unikała tego słowa.

- Chciałabyś jechać do szpitala, gdybyś... - Lara przełknęła ślinę. - Gdybyś



umierała? - W końcu to powiedziała i patrzyła, jak Ginny robi się blada jak ściana.

- Nie. - Zawahała się chwilę. - Raczej nie. - A potem, jak gdyby oswajając się z tą myślą, dodała: - Chciałabym umrzeć w mojej oranżerii, z twarzą w słońcu i wdychając słodki zapach pomidorów, jak wtedy, kiedy obrywasz ogonek i czujesz, że aż wierci cię w nosie.

- A ja chciałabym umrzeć... - Lara nigdy dotąd o tym nie myślała. - Po prostu odpłynąć, śpiąc na górnej pryczy w hinduskim wagonie sypialnym dla kobiet. - Niemal czuła kojące grzechotanie kół i słyszała świst, gdy pociąg mijał kolejne pola.

- Chciałabym, żeby ktoś przy mnie był. - Ginny się zadumała. - A może nie?

- Tak. - Lara zamknęła oczy, wyobrażając sobie Kipa, szlochającego, uczeplonego jej bezwładnej dłoni. - No cóż, może niekoniecznie w wagonie sypialnym. Może w pierwszej klasie. - Już widziała się przykrytą zielono-różowym kocem w lilie wodne. - Prawdę mówiąc, to... nie. - Życie nagle wydało jej się bezcenne. - Wiesz co? Po namyśle chyba nie zamierzam umierać.

- Oczywiście, że nie - odparła łagodnie Ginny i zaczęła wynosić naczynia do kuchni.

Telefon dzwonił przez całe rano, Lara zaś siedziała na tarasie, słuchając poważnego, ściszonego głosu Ginny, udzielającej informacji, pocieszającej życzliwym słowem. Dwukrotnie dzwoniła do szpitala, lecz mówiono jej tylko, że stan Caroline jest stabilny i za każdym razem, choć Lara stała tuż przy niej, dając znaki i prosząc szeptem, żeby spytała o Lamberta, Ginny odkładała słuchawkę, nawet o nim nie wspomniawszy.

- On nie jest pacjentem. Nie można prosić, żeby monitorowali wszystkich odwiedzających.

W końcu jednak, po lunchu, Lambert zadzwonił. Głos miał zmęczony i wycieńczony i powiedział Larze, że po wielu protestach zgodził się, aby lekarze usunęli mu nerw z chorego palca.

- Jutro mogą mnie zoperować - dodał. - W przeciwnym razie do końca życia będę go ciągle łamał, w koło Macieju. To znaczy i tak będę go dalej sobie łamał, ale



kiedy usunie się nerw, nie będę nawet o tym wiedział.

A Palio? - pomyślała Lara, lecz tylko zapytała, co z pociągiem.

- Wiem. - Lambert miał zbolący głos. - Pojedziemy dzień później. Jak tylko uda mi się stąd uciec. Poprosisz Ginny, żeby przywiozła mi trochę moich rzeczy, książki i papiery, i może udałoby jej się kupić jakąś gazetę?

- A co z Caroline?

Zapadła cisza, potem Lambert zrobił głęboki wdech.

- Nie odzyskała przytomności.

- Przyjechać?

- Nie. - powiedział kategorycznie. Niemal krzyknął. - Proszę, nie rób tego.

Przyjedź po mnie, kiedy będą mnie wypisywać. - Zawahał się, a potem dodał ciszej:

- Czy miałaś na myśli odwiedzenie Caroline?

- Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli tylko mogę jakoś pomóc. - Żałowała, że w ogóle wyrwała się z tą wizytą.

Ginny, która kręciła się jej za plecami, chwyciła słuchawkę i z ważną miną przycisnęła ją do ucha. Lara stała przy niej i wodziła palcami po blacie biurka Caroline, przeglądając listę nazwisk, schludnie ułożone kartki, notatnik z ozdobnym nadrukiem, kubek z ołówkami. Znajdowała się tam jeszcze tacka z drobnymi, trochę spinaczy do papieru, grzebień, a obok, wsunięte razem z broszurą reklamową jakiegoś hotelu, trzy prostokątne, podłużne bilety, przecięte dużym czarnym napisem: Palio. Lara cofnęła od nich dłoń, a potem, kiedy Ginny notowała naprędce listę rzeczy potrzebnych Lambertowi, przyciągnęła je do siebie i wsunęła do kieszeni szortów. Przebiegł ją dreszcz, od którego stanęły jej włosy na głowie, więc potrząsnęła nią i wyszła na słońce. Usiadła na górnym stopniu schodów przy tarasie i wyjęła bilety. Pogłaskała je. Takie cenne. Warte tyle pieniędzy. Serce zaczęło jej mocniej bić. I co teraz będzie z ich miejscami?

- To ja lecę - zawołała z domu Ginny. Lara wepchnęła bilety do kieszeni.

- Okay.

Ginny trzymała kosz pełen jedzenia oraz torbę z książkami i poskładanymi

ubraniami.

- Wrócę późno. Na kolację jest zupa, chleb i bezy. Jeśli te siostry nie przyjadą, może posiedzę przy Caroline przez całą noc. - Ginny promieniała.

Nareszcie odżyła.

- Dasz sobie radę sama?

- Oczywiście. - Lara podeszła za nią do drzwi, żeby pomachać jej na pożegnanie. - No to pa - powiedziała. - Ucałuj ją ode mnie.

- Chcesz, żebym później do ciebie zadzwoniła? Gdybym nie mogła wrócić.

- Nie! Naprawdę. Nie dzwoń. Nic mi nie będzie.

Już jednak zbierało jej się na płacz. Czemu ona też nie może pojechać? Omal nie tupnęła bosą, opaloną stopą. Dopiero kiedy samochód odjechał i stanęła twarzą do pustego domu, poprawił jej się humor. Rozpostarła ramiona, obracała się w kółko i chociaż wiedziała, że to nie na miejscu, zachwycała się wolnością płynącą z posiadania domu wyłącznie dla siebie. Biegała z pokoju do pokoju, a potem wypadła do ogrodu, przemknęła po schodach, wokół basenu i dla próby nacisnęła klamkę u drzwi do pokoju Ginny. Nie były zamknięte na klucz i Lara uchyliła je odrobinę, aby tylko zajrzeć do środka. Ale pokój był zwyczajny. Skromnie umeblowany. Z obszerną sukienką udrapowaną na fotelu. Obok, podobne do dwóch wielkich otoczków, miseczki porzuconego stanika. Lara szybko zatrzasnęła drzwi.

Czując się jak przestępca, wróciła pędem do domu, pomknęła po schodach na górę, potem przebiegła przez korytarz i oparła dłoń na klamce drzwi do pokoju Caroline. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie powinna tego robić, ale chciała zobaczyć wszystko. Nie mogłaby być sama w tym domu, dopóki wszystkiego nie obejrzy. Pokój Caroline był pełen swojej gospodyni. Na toaletce stały kwiaty, napuszone poduszki wciąż leżały na podłodze, tam gdzie upadły. W otwartej szafie, odbijając się w lustrze toaletki, wisiały jedwabne powłóczyście sukienki w odcieniach kości słoniowej i beżu. Na krześle leżał kapelusz, którym chroniła się przed słońcem, a na półce drugi, bardziej elegancki, przewiązany przezroczystym szalem.

Lara zrobiła krok do przodu. Pierścienie Caroline leżały na blacie toaletki w porcelanowej miseczce. Obok leżał zegarek z cienkim złotym paseczkiem. Lara wysunęła krzesło i usiadła. Wzięła jeden z pędzli Caroline i nałożyła puder na twarz. Nadał jej miękki, jak gdyby nieostry wyraz, więc nałożyła także odrobinę cienia do powiek i pacnęła policzki różem. Bardzo ostrożnie zdjęła z półki kapelusz Caroline i przymierzyła go, a kiedy okręcała się przed lustrem, poczuła, jak jedwabny szal łaskocze jej odsłonięte ramiona.

Podbiegła do szafki. Zawierała dzianinowe topy, plisowane spódnice, eleganckie sandały z cienkimi paseczkami, a wszystko w spokojnych, zgaszonych kolorach. Lara powiodła palcami po sukienkach, zachwycona miękkim, szeleszczącym materiałem. Zdjęła jedną z wieszaka, w odcieniu zgaszonego różu, suknię, której nigdy na Caroline nie widziała, i przyłożyła ją do siebie. Materiał był chłodny i śliski, a Lara, chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, naciągnęła ją na szorty i podkoszulek. Suknia była dopasowana w biuście, z satynową podszewką, bufiasta dzięki wielu warstwom jedwabiu. Szeroki dekolt w łódkę obnażał ramiona. Kiedy Lara zapięła suwak i suknia ciasno opierała jej talię, dziewczyna poczuła się smukła i wiotka.

Odwróciła się od lustra i obejrzała przez ramię. Ciemne włosy sięgały tuż za talię.

- Ooch - westchnęła tęsknie i nagle usłyszała jakiś dźwięk, cichutki niczym echo. Okręciła się błyskawicznie i wpatrzyła w lustro. Brzmiało to tak, jak gdyby ktoś cicho zatrzasnął drzwi. Wpatrywała się w siebie. Wyglądała śmiesznie. Twarz w połowie umalowana, kapelusz idiotyczny z tym powiewającym szalem. Zdjęła go i ostrożnie odłożyła na półkę.

I wtedy znowu to usłyszała. Stuknięcie drzwi, jak gdyby ktoś zamknął szafkę. Na palcach podeszła do schodów.

- Halo? - zawołała, ale odpowiedziała jej cisza. Wbiegła do swojego pokoju i przycisnęła twarz do szyby. Na podjeździe nie stał żaden samochód. Za domem, jak sprawdziła szybko, także nikogo nie było widać. Nikt nie stał przy basenie ani na

schodach prowadzących z tarasu do ogrodu. - Halo? - zawołała, odrobinę mniej przyjaźnie, i cichutko zeszła po schodach.

Na dole też nikogo nie było. Po prostu zatrzasnęły się drzwi na taras, z taką siłą, że przy okazji domknęły drzwiczki szafki. Teraz jednak Lara już się bała i nie potrafiła się z tego otrząsnąć. Obeszła cały dom. Otwierała i zamykała drzwi. Próbowała znowu poczuć się jego panią. Ale nawet kiedy wyszła na dwór i usiadła na leżaku, nie mogła pozbyć się wrażenia, że nie jest sama. Znajdowała się na szczycie wzgórza, we Włoszech, a wszyscy, którzy powinni być przy niej, są chorzy, umierają albo gdzieś sobie poszli.

I wtedy z wnętrza domu usłyszała szum wody. Serce jej waliło, krew omal nie rozsadziła tętnic i nie próbując nawet sprawdzić, co się dzieje, zgarnęła tenisówki i obiegła dom, dopóki nie znalazła się na podjeździe. Dokąd mogłaby pójść? Była już na drodze, gdy nagle, z wizgiem opon, minął ją jakiś samochód. Facet w przeciwsłonecznych okularach gwizdnął na jej widok, dwóch innych gapił się na nią obleśnie, wykonując obsceniczne gesty rękami i sprośnie wysuwając języki.

Pobiegła w przeciwnym kierunku i stwierdziwszy, że nieoczekiwanie dotarła do lasu, skręciła w dróżkę przez zarośla i przemknęła seksowną ścieżką do Ceccomoro, zbyt przerażona na myśl o ścigających ją duchach, by przejmować się komunistami czy dzikami. Zatrzymała się dopiero na polu. Upał panował tak ogromny, że aż zapierało dech w piersi. Musiała być co najmniej czwarta po południu. Było piekielnie sucho i nic nie wróżyło drugiej takiej gwałtownej ulewy jak wczorajsza.

Mknęła przez kukurydziane pole, kalecząc nagie ramiona o ostre czubki liści, zahaczając o nie cienką spódnicą. Nie zwolniła, dopóki nie dobiegła niemal do samego budynku. Miała wrażenie, że była w nim całe wieki temu.

Nie było słyhać krzyków ani śmiechów przy basenie. Ani szmeru rozmów w ogrodzie. Dlatego też bardzo cicho weszła na taras. Po drodze przyglądała włosy. Pośliniła opuszki palców, by zmasać białe zadrapania na skórze, strzepnęła różową spódnicę i nadal nie widząc nikogo, pociągnęła za klamkę frontowych drzwi

rezydencji.

W środku panowały chłód i cisza. Przystanęła i nasłuchiwała przez chwilę, ale nie usłyszała zupełnie nic. Ani jednego dźwięku. Oczywiście. Nikogo nie ma w domu. Pojechali na Palio. Szybko otworzyła drzwi do sali telewizyjnej. Panował tam półmrok, ale na jej widok nie poruszył się żaden cień. Żaden Kip nie czekał na deszcz ubrany w kurtkę. Poszła dalej, zaglądając do czyjejś sypialni. Wszędzie porozrzucone ubrania. W głębi za uchylonymi drzwiami łagodna krzywizna wielkiej wolno stojącej wanny. Lara zawróciła, przeszła korytarzem i bocznymi drzwiami wyszła na główny dziedziniec. Pobiegnęła kamienną dróżką i wpadła do kuchni. Wszystko sprzątnięte i pochowane, jak gdyby domownicy mieli już nigdy więcej nie jeść kolacji. Mój Boże! - pomyślała. Spakowali się. Wrócili do Anglii.

A potem usłyszała klakson.

- Pośpiesz się! - ryczał Roland. - Chodźże wreszcie! - I znowu rozległ się przeciągły, pełen zniecierpliwienia dźwięk klaksonu.

Lara podbiegła do okna i wyjrzała. Ciemny samochód Andrew Willoughby'ego płynnie zawracał. Tuż obok stał dżip, wypełniony po brzegi spóźnialskimi, którzy wsiadali w ostatniej chwili. Silnik ryczał na wysokich obrotach, z rury wydechowej biły kłęby czarnego dymu. Roland wytknął głowę przez okno po stronie kierowcy i patrząc niemal prosto na nią, zawołał przeciągle:

- Kiiiip!

Lara popędziła korytarzem, ślizgając się na kamiennej posadzce, dopóki nie dotarła do frontowych drzwi. Były półotwarte, a promienie słońca, które zza nich wpadały, wyglądały zupełnie jak rozsypane żółte słomki. Lara poczuła, jak serce jej zamiera. Spóźniła się o dosłownie parę sekund. Minęła się z nim. Oparła się o ścianę i dokładnie w tym samym momencie z bocznego pokoju wyłonił się Kip z butem w ręce. Oczy mu się rozszerzyły, gdy ją zobaczył, a ona pośpiesznie przytknęła palec do ust.

- Kiiiip! - Z zewnątrz dobiegł kolejny wrzask, a oni wciąż patrzyli sobie w oczy.

- Poczekaj tu - szepnął, rzucając but na podłogę. Podskakując na jednej nodze, wychynął na dwór. - Jeźdźcie beze mnie. No już. Nie chce mi się. - Niemal widziała, jak wzrusza ramionami. - Poza tym but mi się gdzieś zawieruszył. - Bez słowa protestu ze strony kierowcy czy pasażerów, dżip ruszył z piskiem opon i odjechał.

Kip stał w progu.

- Cześć - powiedział, a Lara poczuła, że nagle zaczyna ją dziwnie łaskotać w nosie, zupełnie jak gdyby powąchała sorbet, taki z musującym winem. Nie płacz, powiedziała sobie w duchu. Nie płacz.

- Ja pieprzę - mruknął. - Co ty masz na sobie? - Lara opuściła wzrok i zobaczyła, że nie zdjęła różowej sukienki.

- To nie moje, to Caroline. - Po policzku spływała jej paląca łza. - Ona umiera. A tata jest w szpitalu przez ten złamany palec. - Szloch, który wzbierał jej w krtani, przerodził się w wybuch histerycznego śmiechu. - To znaczy... - Zakryła twarz.

- Już dobrze. - Kip stał przy niej. Powiódł palcem po zadrapaniu na jej szyi. - Szkoda tylko, że to się musiało stać akurat dzisiaj, jedyne dnia latem, kiedy coś tu się naprawdę dzieje. - Jedną ręką objął jej plecy i wsunawszy bosą stopę pod stopę Lary, zaczął prowadzić ją po holu, tam i z powrotem, przez cały hol, jakby tańczyli sennego, koślawego walca.

- Masz na myśli Palio?

Wyślizgnęła się z jego objęć i zadzierając sukienkę, pomacała kieszeń szortów. Wciąż je ma? Czy odłożyła je gdzieś, kiedy myszkowała w sypialni Caroline?

- Zobacz. - Wyciągnęła trzy pogniecione bilety i uniosła je, chcąc mu je pokazać. - Tego potrzebujemy? - I zupełnie jak gdyby właśnie przebrzmiała ostatnia nuta walca, zatrzymali się drżący.

Kip wziął bilety i obejrzał je uważnie.

- Mój Boże. Co jeszcze tam chowasz?

- Nic. - Wiercąc się, rozpięła suwak i pozwoliła sukni opaść na podłogę, odsłaniając szorty i bawełnianą koszulkę. - Należały do... To Caroline... ona... je



zostawiła...

- Cholera, to prostu genialnie!

Kip zdjął z wieszaka prążkowaną kurtkę.

- Żebyś później nie zmarzła. - Rzucił ją Larze, a sam wziął identyczną, wiszącą na sąsiednim kołku. - Chodź. Jedziemy.

Został tylko jeden samochód. Mały biały fiat z kluczykami w stacyjce.

- Pamela nie będzie się gniewała - oznajmił, otwierając Larze drzwi.

- Umiesz prowadzić? - spytała Lara.

Kip zmarszczył brwi.

- Oczywiście. - Ale biegi wyskakiwały, a skrzynia biegów jęczała i zgrzytała, gdy szukał wstecznego, a kiedy już zdołał go wrzucić, zwlekał przez chwilę. - Rozkręcę się, jak już ruszymy. - I obrócił samochód tak szybko, iż omal nie rąbnęli w ścianę. - No, dobra - mruknął, kiedy mieli przed sobą otwartą bramę, i bardzo ostrożnie wyprowadził samochód na podjazd. Zamiast jednak skręcić w krętą, białą drogę przez dolinę, skręcił w lewo w nieoznakowaną, boczną. - Tylko dopóki nie przyzwyczaję się do tego samochodu - usprawiedliwił się. - Będę miał okazję trochę poćwiczyć. - Z początku tłukli się po wertepach w ślimaczym tempie, lawirując między kraterami i skałami, ale im pewniej czuł się Kip za kierownicą, tym szybciej jechał. - Najważniejsze - dodał, zupełnie jak gdyby cytował fragment wykutej lekcji - to nie hamować, tylko najechać na skały i pozwolić, żeby koła się od nich odbiły. - Lara milczała. Była zbyt przerażona, żeby się odzywać. - Jeśli dotkniesz hamulca - dodał radośnie - już po tobie.

Lara zamknęła oczy. Jazda wydawała się niebezpieczna, ale alternatywa była jeszcze gorsza. W końcu wjechali na równą, asfaltową drogę i co prawda gładka nawierzchnia przyniosła ulgę, ale za to pojawiło się niebezpieczeństwo w postaci innych samochodów. Trafiły i wyprzedzały ich, a Kip klął, śmiał się i wytykał przez okno rękę z wyprostowanym środkowym palcem, w wielkim pędzie przejeżdżając przez skrzyżowania, aż samochodem rzucało, i z piskiem opon hamując na czerwonych światłach. Niebawem jednak zaczęły się korki i już nie dało się jechać



szybko. Kilkakrotnie skręcili w niewłaściwą uliczkę i musieli zawracać albo jechać na wstecznym, aż wreszcie znaleźli się na placu pocztowym.

Kip zatrzymał samochód dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia Caroline. Pojawił się ten sam człowiek. Zamiast jednak powitać ich wylewnie, tylko pokręcił głową. Zmykać stąd, wydawał się mówić. W tej chwili.

- *Signor*. - Kip podał mu rękę i ignorując wyraźne polecenie, aby się stąd zabrali, przedstawił się, używając pełnego tytułu i nazwy Ceccomoro. Przez chwilę rozmawiali z ożywieniem, a potem Kip podał mu kluczyki i oddalił się z godnością.

- Nie wiedziałam, że znasz włoski. - Lara pośpieszyła za nim.

Kip wzruszył ramionami.

- Bo nie znam. W każdym razie nie najlepiej. Nie mów reszcie, bo Bóg jeden wie, do jakich rzeczy będą próbowali mnie zmusić.

W stronę placu napływały strumienie ludzi. Otwarte były te same lodziarnie i zupełnie jak gdyby było to obowiązkowe, Kip wstąpił do którejś i kupił dla nich po dwie kulki lodów w rożku. Stali w rogu lodziarni, tak samo jak wczoraj stały Lara i Caroline, i jedli miękkie, rozpływające się lody.

- Wczoraj byłam w Sienie - odezwała się Lara - obejrzyć próbną gonitwę. Z Caroline. - I raptem dotarło do niej, że te lody, bezowe i *crema*, mogą być ostatnią rzeczą, jaką w życiu zjadła Caroline.

- Tak, ja też przyjechałem. - Kip pochylił się i odgryzł kawałek kulki z rożka, który trzymała. Zupełnie zapomniała o swoich lodach i teraz ściekały jej na rękę. - Z Rolandem. Byliśmy na samym środku Campo. Z sześćdziesięcioma tysiącami innych wariatów. Nic nie widziałem. - Lara rozglądała się za koszem na śmieci. - A może z dwudziestoma. Zawsze zapominam. - Wziął od niej lody i pochłonał je dwoma ogromnymi kęsami. - Ja tylko mówię... - Znowu nachylił się w jej stronę i szepnął: - W przeciwieństwie do ciebie, nie miałem biletu. Ale nie martw się. Nie napuszczę na ciebie *carabinieri*, żeby sprawdzili, skąd właściwie masz te bilety. Wykorzystam tę informację w zupełnie inny sposób. Pamiętaj - łaskotał ją włosami po twarzy - od teraz mam cię w rękę.

Lara się roześmiała. Chciała czuć się szczęśliwa, ale humor psuła jej myśl o Caroline. A w ogóle to gdzie teraz jest? Wciąż z Lambertem, w szpitalu w Sienie? A jeśli są gdzieś tutaj? Może stoją za rogiem i patrzą, jak tłumy ludzi wdzierają się na plac. Powinna była zapytać. Powinna była uprzeć się i pojechać z wizytą do szpitala.

- Chodź - odezwał się Kip. - Idziemy obejrzeć paradę.

- A jeśli zobaczymy całą resztę?

- Cała reszta kisi się w łoży z jakimiś dzianymi Włochami. Możliwe, że ich zobaczymy. Ale oni nas na pewno nie.

Wyszli na ulicę i Kip wziął ją za rękę. Jego dłoń była ciepła, mocna i jedwabście gładka od słońca. Nie pytał, czemu go unikała, a skoro dotąd tego nie zrobił, to istnieje szansa, że nie zrobi tego nigdy. Poczula przypływ wdzięczności i przytuliła się do jego ramienia. To było jak powrót do dzieciństwa, to prawo do trzymania kogoś za rękę, i zdała sobie sprawę, jak bardzo jej tego brakowało: siedzenia u matki na kolanach, spania w jej łóżku, wspólnych kąpieli, prawa do matczynego ciała, jak gdyby było jej własne. W ostatnich latach to było nie do pomyślenia. Odkąd wróciły z Indii. Odkąd jej ciało zaczęło się zmieniać. Może po roku podróżowania, spania obok siebie, siedzenia tydzień po tygodniu w autokarowych fotelach niczym w przyciasnym namiocie, może po tym wszystkim obie potrzebowały wytchnienia. Ale bliskości Kipa łaknęła tak bardzo, że aż boleśnie. Ścisnęła jego ramię i uśmiechnęła się, a kiedy spojrzał na nią, usiłowała tego nie okazać - pewności, że nigdy nie będzie miała dość.

- Mamy jeden bilet na zbyciu - przypomniał sobie Kip, kiedy zbliżali się do barierki.

- Zachowaj go - odpowiedziała Lara. - Na wszelki wypadek. - I wyobraziła sobie Caroline odzyskującą przytomność na dźwięk nazwy „Il Nicchio”.

- Chwila prawdy - powiedział Kip i pokazał bramkarzom bilety, a po chwili byli już za barierką.

Campo zmienił się w wielobarwną ludzką masę. Na środku burza kolorów gęstniała, wszystkie miejsca wokół placu były zajęte, co do jednego. Lara oparła się

pokusie, by podnieść wzrok ku obwieszonym czerwonymi gobelinami oknom i balkonom, z których wychylali się widzowie. Parada już się rozpoczęła, uderzano w dzwon, Larę i Kipa prowadzono wzdłuż toru, dopóki nie znaleźli się na wysokości linii startu i stojącego naprzeciwko armatki, której wystrzał miał rozpocząć gonitwę. I właśnie stamtąd mieli ją oglądać. Z miejsca najlepszego ze wszystkich. Ktoś otworzył bramkę, mogli więc wejść po stromych schodkach do drugiego rzędu i usiąść za rodziną w koszulkach koloru ciemnej czerwieni, barwie Wieży.

- Komu kibicujesz? - spytała szeptem Lara, a Kip odparł, że chciałby, żeby wygrał Smok, tak jak w roku, kiedy on się urodził.

- W następnym roku, kiedy ty się urodziłaś, też wygrał Smok.

Wie, kiedy mam urodziny! - pomyślała.

- Koń Caroline biegnie dla Il Nicchio - powiedziała. - Tak bardzo chciała... Bardzo chce, żeby wygrał.

- Boże, tylko nie Il Nicchio. Z jakiegoś powodu mój ojciec ślubował zapłacić fortunę, jeśli wygra Il Nicchio. Mówi, że jeśli padnie na Il Nicchio, to on będzie zrujnowany.

Parada ruszyła. Bito w bębny, przed pierwszym koniem szli mężczyźni w średniowiecznych strojach. Jeden grał na werblach, dwóch niosło proporce, jeszcze inny miał na sobie lśniąca zbroję, a kilku innych trzymało miecze i flagi. Wszyscy mieli żółto-zielone szaty i w takich też kolorach były długie czapaki dwóch koni, które zamykały kolumnę.

- Il Bruco - syknął Kip, a Lara przypomniała sobie, że to Gąsienica, której od tylu lat nie dopisuje szczęście.

Mężczyźni w barwach Il Bruco zatrzymali się dokładnie przed ich trybuną. Boże, ależ im musi być gorąco, pomyślała i aż wyciągnęła szyję, by lepiej przyjrzeć się kostiumom, obcisłym rajtuzom, krótkim pelerynom i grubym kapeluszom. Skórzanym tunikom i pasom, rękawom z dwóch warstw aksamitu. I wtedy niosący chorągwie zaczęli tańczyć. Podrzucali flagi i łapali je w locie, żonglowali nimi, przekładali je pod nogami, skakali, tańczyli i robili piruety. Chorągwie miały te

same barwy, co ich stroje - zieleń i złoto, z gąsienicą pełznącą po gałązce między dwiema czerwonymi różami. Biły bębny, jeden chorąży pochylał się, drugi przeskakiwał nad nim, tłum bił brawo. Potem kolumna poszła dalej.

Drugi był Il Drago. Kip klaskał jak oszalały i rozglądał się, sprawdzając, czy na trybunie nie ma innych kibiców tej dzielnicy. Smoki wystąpiły w czerwonych pelerynach obszytych u dołu futrem, w dwubarwnych nogawicach, czarnej i czerwonej, nękających w długich do kolan cholewach butów. Ich flaga obrębiona była złotem, na środku widniał smok, też złoty, a gdy mężczyźni przyklękali, obracali się i podrzucali flagi, można było odnieść wrażenie, że niebo stanęło w ogniu. Kipa i Larę otaczały same Wieże, Jeżozwierze, Orły i Muszle, lecz nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było widać ani jednego Smoka.

Następny był Las: pomarańczowe aksamitne kapelusze, peleryny i kaftany z kremowego adamaszku oraz wysokie zamszowe buty. Po pokazie żonglowania flagami niewielka trupa ruszała dalej, a za nią konie, ten, który pobiegł w wyścigach, i drugi, osiodłany i niosący dżokeja. Bębny dudniły, grała orkiestra dęta, na drugim końcu placu pokazała się następna *contrada*.

- To Il Nicchio. - Kip wskazał kierunek.

Flaga Il Nicchio była błękitna, z dużą muszlą na środku. Sztandary nieśli mężczyźni w pelerynach szamerowanych futrem, w białych rękawiczkach, tunikach i w rajtuzach całych w złoto-czarne zygzaki. Zatrzymali się nieco dalej, tak że Lara musiała znowu wyciągać szyję i wychylać się w bok, by obejrzeć ich pokaz. Okazał się taki sam jak poprzednie. Obroty, podrzucanie flag, skoki i łapanie. Flagi rozwijały się i łopotały w powietrzu. Lara wyobraziła sobie, jak żonglerzy ćwiczą przez cały rok, by teraz każdy, z mocno bijącym sercem, mógł wyrzucić flagę jak najwyżej i śledzić jej lot, dopóki znowu nie wpadnie mu w ręce.

Parada przesuwała się w marszowym tempie. Bił duży dzwon na wieży Palazzo, dudniły bębny, grała orkiestra. Grupa dzieci w bieli z liśćmi wawrzynu maszerowała za Delfinem, ostatnią z dziesięciu *contrade* uczestniczących w gonitwie, a za nią, jedna za drugą, szło siedem tych, które miały mniej szczęścia.

Mężczyźni wyrzucali flagi w powietrze z takim samym zapałem, paradując, maszerując i tańcząc przy wtórze werbli. Kibice śpiewali i wygrażali pięściami wrogom, wkładając w to całe serce, jak gdyby ich koń miał wystartować w wyścigach.

Po tej siódemce pojawił się dziwny, złowieszczy korowód. Sześciu konnych. Konie w jeszcze dłuższych czaprakach, z czymś w rodzaju misiury na łbach, jeźdźcy w hełmach z opuszczonymi przyłbicami, wyglądający na świat jedynie przez wąską szczelinę w metalu.

- Kto to? - spytała Lara, a Kip wyjaśnił, że to duchy dawnych dzielnic.

- Tych *contrade*, które już przeminęły.

Na hełmie każdego z jeźdźców widniał emblemat. Wąż o rozdziawionej paszczy i plujący jadem, pięść o palcach zaciśniętych wokół noża. Kogucik, lew, wieniec, niedźwiedź...

- Ale co się z nimi stało? - spytała Lara.

Kip wzruszył ramionami.

- Wymarły, jak sędzę. Zostały pokonane i przestały istnieć.

Za korowodem duchów pojawił się wózek ciągnięty przez cztery białe woły. Tłum zawył, wszyscy zaczęli machać chorągiewkami.

- To właśnie palio - wyjaśnił Kip. - Ten obraz na płótnie. Trafi do zwycięzcy.

Lara patrzyła, jak palio łopocze na wietrze jak żagiel. Obraz przedstawiał konia, a właściwie sam łeb, sierp księżycy oraz jakąś kobietę, w ujęciu do ramion. Przed wozem i za nim szli mężczyźni w zbrojach, a po bokach inni, w barwnych strojach, dmący w trąbki.

Każdego wołu prowadził człowiek w tunice barwy ziemi. Gdy wóz przejeżdżał przed trybuną, Kip pochylił się w stronę Lary i szepnął jej do ucha:

- Widzisz te woły? Lara przytaknęła.

- Szpicruty robi się z wysuszonych... No wiesz.

- Z czego?

- Z ich... no wiesz... Z ich... - Ciągłe spoglądał na białe woły, jak gdyby chciał

jej coś pokazać.

I nagle zrozumiała, o co mu chodzi, czy raczej zobaczyła. Jak mogła dopiero teraz je zauważyć? Wielkie skórzaste penisy, ciemne jak pałki tataraku przy białych podbrzuszach.

- Coś okropnego. - Zasłoniła ręką usta, a potem zreflektowała się szybko i dodała: - To znaczy, okropne, że oni biją te biedne konie.

- Nie tylko konie - odparł Kip. - Między sobą też się biją.

- To tak można?

- A co byś chciała? Żeby czułym szeptem dopingowali kogoś, kto właśnie ich wyprzedza?

- Czemu nie? - Pomyślała o ostatniej próbie przed właściwą gonitwą, której nie mogła obejrzeć Caroline. O tej, gdy jeźdźcy robią wszystko, żeby nie wygrać.

Kip objął ją ręką w talii.

- A dżokej, który zwycięża, podczas wieczornej uczyty dostaje do zjedzenia jądra wołu.

- Nie!

- Nie. - Kip nie mógł się powstrzymać od śmiechu. - Jesteś beznadziejna.

Pewnie, że zmyślałem.

Siedzieli, trzymając się za ręce, chichocząc i dławiąc się ze śmiechu, dopóki przy ogłuszającym łoskocie bębnów chorążowie, po jednym z każdej dzielnicy, nie ustawili się w szereg przed frontem Palazzo. Równocześnie podrzucili chorągwie najwyżej, jak się dało. Siedemnaście proporców poszybowało ku niebu, jak gdyby z ziemi wytrysnęła nagle fontanna kolorów, a potem runęło w dół. Trębacze dęli w trąby, tłum wiwatował, a po torze ruszyła grupa mężczyzn roztaczających aurę bogactwa i władzy, ubranych w eleganckie szare garnitury, nieśpieszących się, z twarzami spokojnymi i uroczystymi.

- Twoi kumple z mafii. - Kip szturchnął ją łokciem.

Tor pustoszał. Jeszcze przemknęli po nim ubrani na biało chłopcy w wieńcach laurowych, a już pojawili się sprzątacze, którzy wygładzili tor i usunęli z ziemi ślady



ludzkich stóp i końskich kopyt. Gdzieś w centralnej części placu, tuż przy barierkach, wybuchło jakieś zamieszanie, ktoś krzyczał. Przez ziemny tor natychmiast przebiegło dwóch sanitariuszy.

- Ktoś zemdlał - stwierdził Kip. - To się często zdarza. - I rzeczywiście, ludzie już unosili kogoś, kto lał im się przez ręce i podawali ponad barierką. Nieprzytomny został niemalże wrzucony na nosze i bezceremonialnie wyniesiony z placu.

Wrócili sprzątacze i zmiotli ślady stóp, a chwilę później zapadła cisza. Umilkł nawet dzwon, który dzwonił tak długo, że nawet teraz, gdy milczał, Lara wciąż czuła, jak od jego uderzeń drży powietrze. Cisza była nie do zniesienia.

- Patrz, gołębie próbują się napić - szepnął Kip i miał rację: ptaki, całe stado, krążyły nad placem, z nadzieją sfruwając ku fontannie i nie mogąc nawet zbliżyć się do wody, znowu wzbijały się w niebo. Cały zabytek obsiedli gapie, powdrapywali się na kamienne posągi, byle znaleźć się jak najwyżej i popatrzeć sobie za darmo.

Raptem powietrze rozdarł huk eksplozji. Lara podskoczyła. Tłum zaczął wiwatować. Zaraz wprowadzą konie na Campo! Już wybiegają truchtem przez przepastną bramę Palazzo, już pojawiają się na drugim końcu placu. Wszyscy w tłumie aż wyciągają szyje. Już pokonują zakręt, niosąc dżokejów w kolorowych czapkach i ściskających szpicruty, są coraz bliżej i zupełnie jak podczas próby, ustawiają się niedaleko liny startowej, wcześniej obciążonej i rozpiętej w poprzek toru.

- Czy to... - Lara zdążyła obrócić się w stronę Kipa, gdy jakaś kobieta z Wieży, blondynka o nieskazitelnym makijażu, obejrzała się na nią i uciszyła ją gniewnym syknięciem.

Zapadła cisza. Cisza w sześćdziesięciotysięcznym tłumie. Teraz nikt nie odważy się zemdleć, pomyślała, lecz oto już wywołano pierwszą dzielnicę. Il Drago. Koń Il Drago stanął dęba, a potem błyskawicznie podbiegł do liny i gniewnie zaczął obracać się w kółko, raz po raz, jak gdyby nie chciał biec przy barierce. Wywołano następną dzielnicę, i następną. Niektóre tłum witał oklaskami, inne gwizdami, aż wreszcie na starcie stało już dziewięć koni.



Lara znowu wyciągnęła szyję.

- A dziesiąty? - szepnęła, kątem oka zerkając na blondynkę z Wieży.

- To L'Istrice. Jeżozwierz - syknął w odpowiedzi Kip i oboje patrzyli, jak ostatni koń tańczy w miejscu, wysoko unosząc kopyta, a jego jeździec nie spuszcza z oczu dziewiątki ustawionej na starcie. - Ostatnia chwila na konszachty - mruknął Kip.

I niemalże widzieli, jak dżokeje ustalają coś półgębkiem. Il Drago znowu stanął dęba i musiał chwilę pobiegać w tę i z powrotem, zanim trochę się uspokoił. Gdy w końcu znalazł się na właściwej pozycji, spłoszył się Il Nicchio. Napierał bokami na sąsiednie konie i jego także trzeba było cofnąć i uspokoić. A potem, na jeden magiczny moment, wszystkie znieruchomiały. Ustawione w takim porządku, w jakim zostały wywołane. Nawet Jeżozwierz był zwrócony we właściwą stronę. Startuj, ponagliła go w myślach Lara. Startuj. Ale „twórca królów” nawet nie drgnął. Na środku, przed linią startu, coś się zakotłowało: kilka zwierząt zaczęło się wycofywać i przypierać do barierki ostatnie dwa konie. Il Drago był coraz bardziej niespokojny, obracał się i wierzgał, aż ludzie, którzy przyciskali twarze do barierki, odskakiwali nerwowo.

- Wiesz - mruknął Kip - oni szprycują je narkotykami.

- Żeby je uspokoić? - spytała Lara.

- Nie, żeby je pobudzić.

Ktoś krzyknął. Długo, przeciągle, z frustracją, a jego głos cudem przebił się przez ryk tłumu. Lara oderwała wzrok od koni i obejrzała się. Po prostu musiała. Napięcie było nie do wytrzymania, nawet oddychała z trudem, a potem przypadkiem zerknęła w kierunku wypełnionego do niemożliwości balkonu nad Cafe del Campo. I wtedy ich zobaczyła. Piersa i May, Rolanda, Tabithę oraz Pamelę. Wychyleni poza poręcz obwieszoną czerwoną draperią, wpatrywali się w tłum na dole. Lara odwróciła wzrok jak najszybciej, ale zdążyła dostrzec postać Lulu z odgarniętymi do tyłu włosami barwy miodu, w wydekolowanej sukni odsłaniającej piękną, złocistą skórę. Lara poczuła ukłucie niepokoju. To dlatego Kip nawet nie spytał, czemu tak

długo się nie pokazywała? Może po prostu tego nie zauważył. Może był zbyt zajęty Lulu.

Włożyła prążkowaną kurtkę, obciągając ją na udach i ukrywając ręce w przepastnych rękawach. Uparcie, w skupieniu wpatrywała się w L'Istrice. Koń obracał się i zarzucał łbem, dżokej kurczowo ścisnął mu boki udami i ściągał lejce. Na linii startu panował chaos. Konie szarpały się do tyłu, niespokojnie kręciły się w kółko, ósmy trącał i napierał na dziewiątego, dopóki nie ustawił go bokiem do linii startu. Za każdym razem, gdy któryś z koni został wypchnięty z szeregu, usiłował jak najszybciej wrócić na miejsce, a te, między które chciał się wcisnąć, próbowały mu w tym przeszkodzić.

Pewnie dżokeje są akurat z dzielnic, które się nienawidzą, pomyślała Lara, ale jakoś nie mogła sobie przypomnieć, które *contrade* w ogóle są ze sobą sprzymierzone. Z tłumu posypały się krzyki i gwizdy, dobre rady dla jeźdźców.

- Teraz - powtarzała szeptem Lara, nie mogąc się powstrzymać. - Teraz! - Ale dżokej dosiadający L'Istrice wciąż ściągał wodze.

- Chce skosić jeszcze trochę forsy - szepnął Kip, a Lara po raz kolejny potoczyła spojrzeniem po tłumie.

Zatrzymała je na tysiącach widzów na środku placu. Potem przyjrzała się trybunom na wysokości materaców wyściełających niebezpieczny zakręt przed San Martino. Patrząc na machających szalikami ludzi, którzy aż wychylali się ze swoich miejsc, pomyślała, że ci muszą być jeszcze bardziej żądni widoku krwi niż cała reszta tłumu. Po chwili znowu zerknęła w stronę balkonu. Andrew Willoughby też tam był, a obok niego - Lara nie mogła w to uwierzyć - Isabelle, za którą, oparty o ścianę, stał Hugh. Powinna siedzieć w szpitalu przy Lambertie! A potem Lara przypomniała sobie, że przecież Lambert nie życzy sobie wizyt, dopóki nie wyjdzie ze szpitala. Odwróciła wzrok, obiecując sobie, że więcej nie spojrzy w stronę balkonu. Nie zdołała się jednak oprzeć pokusie, by zerknąć jeszcze jeden, ostatni raz. I spojrzała prosto na Rolanda. Gapił się na nią. Pośpiesznie odwróciła głowę i jeszcze szczerzej owinęła się kurtką, ale mimo to przebiegł ją dreszcz, tak silny, że za-

trzęsły jej się ramiona.

- Chyba zaraz ruszą! - Kip złapał ją za rękę. - Tak! Tak! Konie stały w szeregu. Tłum zamarł i wstrzymał oddech.

Lara także czuła tę udrękę oczekiwania. Ale nie. Jeszcze nie teraz. Dżokej siedzący na L'Istrice znowu obrócił konia. To nie do wytrzymania. Lara zwiesiła głowę. Miała ochotę krzyknąć. To się nigdy nie zacznie. W tym samym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, L'Istrice zawinął gwałtownie i najechał na linię startu. Placem wstrząsnął huk armatki, lina opadła na tor. Konie już biegły. Tłum zerwał się na równe nogi.

Wciąż patrzyła na dziesiątego konia, mknącego jak błyskawica przed resztą stawki, która jednak zaczynała go doganiać, już się z nim zrównała i szereg nagle się rozsypał. Biegły ciasno, jeden przy drugim, w kierunku San Martino, gdzie tor skręcał gwałtownie i ostro opadał w dół. W szaleńczym pędzie przemknęły przez zakręt - chwała Bogu za te materace! - ale żaden się nie przewrócił. I biegły dalej, Il Nicchio pierwszy, potem zniknęły Larze z oczu, by po chwili znowu pojawić się w polu widzenia, na końcu placu. Wbiegały pod górę dziarskim galopem, niemal komicznie pomniejszone przez perspektywę; wyglądały jak ruchome ołowiane żołnierzyki. Jak burza mknęły przed trybunami, przed oczami mignęły Larze barwne czapki dżokejów. Tłum szalał, gdyż oto L'Onda, biegnący po wewnętrznej toru, zaczął wysuwać się na prowadzenie, mozolnie wyprzedzać La Selwę, który biegł już niemal łeb w łeb z Il Nicchio, dotąd pierwszym. L'Onda odpuścił. Il Nicchio wystrzelił do przodu. La Selva - Las - deptał mu po piętach, a za nim Il Drago, który wpadł na innego konia i oba zwały się na ziemię.

- Nie! - krzyknął Kip.

- Nie!!! - zawtórowała mu Lara.

Nie było jednak czasu na lamenty. Il Nicchio znowu prowadził, już niezagrożony. Il Nicchio. Koń Caroline.

- NICCHIO! - wrzeszczeli oboje ile sił w płucach.

Na trzecią pozycję wysunął się koń bez jeźdźca. Koń bez jeźdźca też może

wygrać Palio. Takie są zasady.

- NICCHIO! - ryczał tłum, ludzie ślaniali się na nogach, szlochali, śpiewali, bili się w pierś.

- NICCHIO! - krzyczała Lara. - Dawaj! Dawaj! - Czuła się tak, jak gdyby unosiła się w powietrzu. - NICCHIO! - Jak gdyby od wygranej Muszli zależało jej życie. I życie Caroline.

Il Nicchio znowu mijał ich w dzikim pędzie. Jeszcze raz przemknął przez karkołomny zakręt przed San Martino, jak błyskawica wdarł się na wzgórze i zgrzany, z pianą na pysku, wszedł w ostatni zakręt, a za nim koń bez jeźdźca, łbem dotykający niemal jego zadu. Uff, już nie może przegrać.

- NICCHIO! - wrzeszczała Lara. Krzyczała, ile sił w płucach, i już nie liczyło się nic innego. - NICCHIO!

Wydawało się, że cały świat krzyczy wraz z nią, gdy koń dobiegał do mety, i zanim jeszcze wyścig się skończył, kibice Il Nicchio wdarli się na tor. Jakiś człowiek z tylnych trybun niemal przeszedł po Larze, stawiając stopę na jej ramieniu, jak gdyby to był schodek, a już po chwili mężczyźni i kobiety w barwach

Nie byli pierwsi. Na miejscu czekały już tysiące ludzi, a kolejni usiłowali wepchnąć się do katedry. Lara i Kip przecisnęli się przez drzwi, a potem tłum sam wessał ich do wnętrza. Wokół nich wszyscy śpiewali. Tę samą, mrozącą krew w żyłach pieśń, którą słyszała na wczorajszej próbie. Lara zatrzymała się, łapiąc gęste gorące powietrze, przesycone zapachem zawilgłych kamieni i ostrą wonią potu. Nagle popchnęła ją jakaś kobieta, która stała za nią, a pod jej wyciągniętym ramieniem, gęsiego, przecisnęło się kilkoro małych dzieci.

Kip obrócił ją twarzą do siebie. Ktoś krzyknął, tłum śpiewał coraz głośniejsze, cisnął się do przodu. Właśnie wnoszono jeźdźca, ponad głowami ludzi. Pieśń potężniała, niosła się ku sklepieniu katedry, aż sięgnęła malowanych gwiazd.

- Konia też czasami wprowadzają - odezwał się Kip.

Lara usiłowała cokolwiek zobaczyć, wspinając się na palce i rozglądając się, a za nią tłum gęstniał i coraz więcej ludzi wciskało się do wnętrza katedry. Pieśń to potężniała, to cichła, powietrze stało się tak gęste, że można je było kroić nożem. Lara nie mogła sobie wyobrazić, jak w takim ścisku mogłoby się znaleźć miejsce dla konia.

- Już pamiętam - powiedział Kip, jak gdyby usłyszał jej myśli. - Konie wprowadzają przed wyścigiem. Każdego prowadzi się do miejscowego kościoła po błogosławieństwo. - Wciąż czekali, ramię przy ramieniu, w duchocie katedry, wśród śpiewów, westchnień, łez szczęścia i nadziei.

- To teraz jesteśmy Muszle, nie Smoki? - spytała szeptem, a on obrócił się w jej stronę, rozpromieniony.

- Wiem, jestem niestały - odparł - ale czemu nie?

Po pewnym czasie zaczęli się przeciskać w stronę wyjścia, uważając, by nie potrącać kobiet wpatrzonych w głąb katedry, przepychając się przez grupki mężczyzn, którzy obejmowali się i płakali jak dzieci. Szło się coraz łatwiej i w końcu znaleźli się na dworze. Przestali trzymać się za ręce i niemal zawstydzeni, stali w milczeniu na podeście wielkich kamiennych schodów i wpatrywali się w noc. Tłum wciąż wylewał się z Campo, teraz jednak wolniej, spokojniej, ludzie obej-

mowali się coraz rzadziej, już nie szlochali, co najwyżej uronili kilka łez. Lara i Kip zaczęli schodzić po schodach. Świecił księżyc, srebrząc kamienne uliczki, pozamykane sklepiki, okna z suszącym się praniem, chorągwie i herby. Wszystko zdawało się lśnić.

Gdy wrócili na plac, trudno było znaleźć wolny stolik w rozlicznych kawiarenkach, na powrót otwartych. Właśnie wystawiano przed nie długie stoły i nakrywano białymi bawełnianymi obrusami.

Kip wyjął bilety.

- Kolacja wliczona w cenę. - Pokazał napis drobnym drukiem na bilecie, a Lara z niedowierzaniem usiadła naprzeciwko niego przy końcu stołu, który sięgał niemal do brzegu toru.

Wkrótce resztę miejsc zapełnili Włosi. Część wyglądała na przygnębionych, część się kłóciła, widać było, że nie ma wśród nich nikogo ze zwycięskiej *contrada*. Kelnerzy nalewali wino i podali przystawkę: wegetariański pasztet ze szpinaku, na zimno. Potem podano tortelloni faszerowane żółtym serem. Nie dostali karty dań i nie można było wybierać. Wszyscy jedli i pili, co im podano, Lara i Kip, elegancy Włosi w średnim wieku i cała reszta gości. A gdy jedli, plac wypełniał się na nowo, obok nich płynął strumień ludzi. Niektórzy ssali olbrzymie smoczki, inni walili w bębunki.

Trzech muzyków śpiewało serenadę dla Kipa i Lary, a ich kolega usiłował mu sprzedać różę. Lara aż za dobrze pamiętała, że Kip ma awersję do romantycznych gestów i aby odciąć się od lirycznej muzyki, zamknęła oczy. Tak naprawdę była nią jednak zachwycona. Słuchając dźwięków akordeonu, skrzypiec i gitary, zastanawiała się, czy to aby nie tych samych muzyków słuchała w ciepłe letnie noce, czy to nie oni grali miłosne piosenki na wzgórzach, a nie żadni komuniści planujący, kogo porwać i gdzie podłożyć bombę.

- Po co im te smoczki? - spytała Kipa, kiedy tercet, nie doczekawszy się zapłaty, ruszył dalej. Odpowiedział, idealną angielszczyzną, siedzący obok niej mężczyzna.

- Po Palio Siena rodzi się na nowo.

Kelnerzy krążyli przy gościach, dolewali wina do kieliszków. Wnoszono kolejne dania: sałatkę w wielkich miskach, a potem krwiste mięso.

- To mięso wołów - wyjaśnił Kip, a ona spojrzała na niego, mrużąc oczy, niepewna, czy znowu nie żartuje. - Nie, mówię serio. Nie z tych białych z zaprzęgu, rzecz jasna. To miejscowy przysmak. Śmiało, spróbuj. Jest naprawdę dobre. - I odkroił sobie kawałek.

Lara spojrzała na swój talerz. Nie tknęłaby tego mięsa za żadne skarby świata.

- Chyba jednak się nie skuszę. - Przyjemnie było myśleć, że jest taka nieugięta i nie chce łamać zasad, przecież jest wegetarianką, ale prawda była taka, że nie ruszyłaby niczego, co leży w kałuży krwi.

Kelner, który zabrał jej talerz, z dezaprobatą zmarszczył brew, jak gdyby to biedne zwierzę zabito właśnie dla niej, a ona okazała się taka niewdzięczna. Aby sprawić mu przyjemność, zjadła, do ostatniej łyżeczki, całe lody, które postawił przed nią, i wypła cały kieliszek wina, ale kelner zachowywał się, jak gdyby tego nie widział. Kiedy wstawali od stołu, kręciło jej się w głowie.

- To co robimy? - Kip przeciągnął się i nie mogąc się na nic zdecydować, splekli ręce i zaczęli spacerować wzdłuż toru w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, patrząc na ludzi, którzy siedzieli w ogródkach przed restauracjami albo stali w barach, rozmawiając i popijając drinki, przy długich, lśniących blatach barwy karmelu.

Doszli do dalszej, nieoświetlonej części placu i zanurzając się w ciemnościach, zajrzeli na dziedziniec za Palazzo, gdzie wcześniej trzymano konie. Ruszyli dalej, przyglądając się ostremu zakrętowi przed San Martino, gdzie stały połamane ławki. Bariery gdzieś zniknęły i już dawno wywieziono materace i ranne konie.

- Szybko! - rzucił Kip. - Zwycięzca bierze wszystko! - I nieoczekiwanie puścił się biegiem, błyskając piętami w za luźnych butach i zamiatając kurtką.

- Czeka! - Lara rzuciła się za nim, serce jej waliło. - Czeka! - wołała. - To nie Palio! - Ale Kip zniknął jej z oczu.



Biegła, ile sił w nogach, przepychając się między nastolatkami trzymającymi się za ręce, między parami z małymi dziećmi, pięknie ubranymi i gwiazdzistookimi. Gdzie on się podział? Przystanąła, aby się rozejrzeć, i usłyszała donośny gwizd. Ale zamiast Kipa zobaczyła całą paczkę Willoughbych. Siedzieli przy stoliku, Andrew Willoughby na honorowym miejscu, przy nim Lulu, a nieco dalej Roland i Isabelle.

- Nasza mała rewolucjonistka. - Oczy Andrew zdawały się pływać za szklami okularów, ale wołała patrzeć w nie, niż napotkać spojrzenie Rolanda.

- Tak. - A niby co miała odpowiedzieć? Miała wrażenie, że gapią się na nią wszyscy przy stoliku.

Lulu pochyliła się do przodu.

- Myślałam, że już wyjechałaś.

- Och tak, cóż. - Lara miała poczucie, że powinna się jakoś wytłumaczyć. - Mój ojciec zranił się w stopę... No i...

- Tak? - Isabelle spojrzała na nią przez pasmo włosów opadających jej na twarz. Lara zaś przypomniała sobie, że ojciec jest naprawdę chory. Że jest w szpitalu. Podobnie jak Caroline. Zakryła usta dłonią. Minęły całe godziny, odkąd wyszła z domu. Jak nic zapomniała zamknąć drzwi na klucz. A światło na ganku? Wyłączyła je? Czy ciągle się pali?

- Tak - wymamrotała. - Lepiej już pójdę. - Ale Andrew złapał ją za rękę i przytrzymał.

- No, pytam cię - Patrzył tylko na Isabelle. - Tylko błagam, nie wmawiaj mi, że tego nie widzisz. Cholera, oni wyglądają jak bliźnięta!

Isabelle odrobinę się wyprostowała.

- Nic takiego nie widzę - odparła. - Daj dziewczynie spokój.

- Jak słowo daję, kochanie. - Pamela pochyliła się w jego stronę. - Po prostu ma na sobie kurtkę Kipa, to wszystko. Nie dopatruj się czegoś, czegoś nie ma. Nie nudź już.

- A właśnie, gdzie się ten chłopak podziewa? - Andrew podniósł kieliszek i nie puszczając Lary, uniósł go do ust. - Gdzie ten mały gówniarz?!

- Przecież został w domu. Nie pamiętasz? - Lulu zmarszczyła czoło. - But mu zginął.

- Cóż, muszę sobie porozmawiać z *Herr* profesorem Goldsteinem. - powiedział to z takim przekąsem, jak gdyby Lambert był postacią z gry detektywistycznej, a Andrew uważał jego nazwisko za przezabawne. - Z Wolfgangiem... Lambertem, czy jak go tam zwał. - Spojrzał zimno na Larę i ściszył głos. - Kiedyś go znałem, wiesz? W dawnych dobrych czasach. Mnie tą idiotyczną zmianą nazwiska nie oszuka. - Puścił Larę, by dolać sobie wina, a ona obejrzała się ukradkiem i modliła w duchu, żeby Kipowi nie przyszło do głowy szukać jej akurat tu, akurat teraz. Butelka okazała się pusta. - Kelner! - Przywołał go gestem. - Jeszcze *vino*. Myśli, że może robić ze mnie głupca. Teraz. Po tylu latach. Przywozi tutaj tę dziewczynę z jednego i tylko jednego powodu...

- Och, naprawdę - zniecierpliwiała się Pamela. - Oczywiście, że jest twoim synem. Każdy to widzi. Przestań się awanturować. A zresztą - dodała niezbyt mądrze - nawet jeśli nie jest, to co to za różnica?

Lara przełknęła ślinę.

- Lepiej już pójdę.

Omiotła spojrzeniem stół, ale nikt na nią nie patrzył, nawet Roland raz w życiu wydawał się całkowicie pochłonięty swoją żoną. Tylko May uśmiechnęła się do niej smutno, kiedy Lara odsuwała się od stolika.

- Nie zapomnij! - krzyknął Andrew. - Podesłij go tutaj. Z chorym palcem, czy bez. Powiedz mu, że mam do niego słówko.

Lara ruszyła biegiem.

Pędziła wzdłuż toru, ile sił w nogach, zapominając o Kipie, chcąc tylko znaleźć się jak najdalej stąd, dopóki nie wpadła na kogoś, aż zadudniło.

- Niby taka powolna, ale jak się rozkręcisz! - Zaśmiał się, łapiąc ją, i po raz pierwszy od tamtego wieczoru w lesie, chciał ją pocałować.

Lara wyrwała się.

- Spotkałam ich! - rzuciła. - Twoją rodzinę. Byli w Caffè del Campo.

- Aha - uśmiechnął się szeroko. - A jak myślisz, dlaczego kazałem ci biec? Nikt nie powinien oglądać mojego papy w dniu, kiedy rozstaje się ze swoimi pieniędzmi.

Lara przytuliła się do niego. Zamknęła oczy i wdychała zapach lawendy i mydła, którym pachniała jego koszula.

- Chodźmy - powiedziała. - Naprawdę powinnam już wracać.

Powoli szli w stronę samochodu. Potem stali na placu, czekając, aż garażowy przyprowadzi auto. Wsiadli i po zaledwie kilku nieudanych próbach Kip uruchomił silnik. W milczeniu jechali cichymi ulicami w ciemną noc. Co Andrew Willoughby takiego powiedział? Próbowwała zapomnieć, lecz jego głos wciąż rozbrzmiewał jej w uszach. Bliźnięta. „Kurwa, oni wyglądają jak bliźnięta”. A potem przypomniało jej się, co mówił w korytarzu na piętrze w Ceccomoro. „Dekada bezowocnego pieprzenia się... a potem pojawia się jakiś fiut i moja żona nagle rodzi syna”. Co on sugeruje? Że ona i Kip są rodzeństwem? Nagle przez jezdnię przemknął jakiś duży, ciemny kształt.

- Mój Boże! - Kip wdepnął hamulec tak gwałtownie, że samochodem zarzuciło. - Myślę, że to naprawdę był dzik.

- Dzik - powtórzyła Lara i przypomniała sobie, jak Tabitha powiedziała, że nigdy nie widziała dzika. Siedzieli wtedy wszyscy nad rzeką. Ojciec był zdrowy. A Kip jeszcze nigdy nie był zakochany. Spojrzała na niego i przepełniła ją czułość tak wielka, że aż bolało ją serce.

- Już uciekł. - Kip wpatrywał się w ciemności i ruszyli dalej, już dużo wolniej.

Lara obserwowała go ukradkiem. To nieprawda, powtarzała. Nikt inny w to nie wierzy. „Oczywiście, że to twój syn - powiedziała Pamela. - A zresztą, nawet jeśli nie...” Lara wciąż wpatrywała się w niego, jak gdyby to mogło rozwiać jej wątpliwości. Ale w Kipie zawsze widziała coś znajomego. Czowała to od początku. Zupełnie jak gdyby tęskniła za nim przez całe swoje życie. Muszę mu powiedzieć, pomyślała, drżąc na całym ciele. Albo chociaż nie pozwolić mu zostać na noc. Tylko co miałyby robić? Przecież nie może wrócić do Ceccomoro, a jeśli Ginny

zostanie przy Caroline, musiałyby spędzić całą noc w pustym domu. Tego zaś po prostu nie zniesie.

- Kip? - Oparła dłoń na jego ramieniu. - Przenocujesz u mnie? - Palce drugiej ręki kurczowo zacisnęła na oparciu fotela, by ukryć ich drzenie.

- Skoro mnie o to błagasz. - Kip uśmiechnął się szeroko i przyśpieszył, a fiacik zaczął rzezić i klekotać, wjeżdżając na wzgórze.

W domu panowały ciemności, podjazd był pusty. Lara wysiadła, a Kip wyłączył silnik.

- Nikogo tam nie ma - szepnęła, a Kip spytał równie cicho: - To czemu szepczemy?

Poszli na tyły domu i stojąc na tarasie, patrzyli na basen. Woda miała kolor indygo i lśniła w świetle księżyca, dalej były już tylko czarne sylwety drzew. Hen, na wzgórzach na moment rozblęskło światło. Lara zaczęła nasłuchiwać, lecz tym razem z ciemności nie napłynęła muzyka. Jutro nad wszystkim się zastanowię, obiecała sobie w duchu. Przecież dzisiaj i tak nic nie mogę zrobić. Ruszyła po schodach w kierunku basenu.

Zrobiło się chłodno. Powietrze było ostre, a woda tak zimna, że kiedy Lara zanurzyła w niej czubek dużego palca, przebiegł ją dreszcz. Ale Kip już zdejmował dżinsy i nie rozpinając do końca koszuli, ściągał ją przez głowę. Odwrócił się plecami do Lary i zsunął bokserki.

Pomyślała, że nareszcie obejrzy sobie nagiego mężczyznę, nawet jeśli to tylko jej brat. Zanim jednak zdążyła bodaj rzucić okiem, Kip wskoczył do wody.

- Aaaa! - wrzasnął, wynurzając się. Lara niespokojnie obejrzała się w stronę domu, ale w żadnym z okien nie zapaliło się światło, nie drgnęła nawet zasłonka. Wciąż panował w nim mrok i bezruch.

Stanąła w miejscu, gdzie było najciemniej, i zaczęła się rozbierać, najwolniej, jak się dało. Co powinna zrobić? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniejszą czuła pewność.

- Tchórz! - zarzucił jej przekornie Kip, więc obróciła się w jego stronę i

ściągnęła bluzkę.

Nie miała jak uciec przed jego czujnym spojrzeniem, gdy podchodziła do basenu i do niego, zanurzonego w wodzie niemal po same oczy. Jej skóra pomimo opalania wydawała się bardzo jasna, a ślady po kostiumie lśniły bielą. Zmoczyła jedną stopę, potem drugą, by nagle, nie mogąc się powstrzymać, skoczyła do wody. Przez kilka chwil pływała szybko, zanurzając głowę, a kiedy wychyłała nad wodę, było jej całkiem ciepło.

- Między Lulu a tobą jest taka różnica - Kip stał bardzo blisko - że ona wie, że jest piękna, a ty jeszcze tego nie rozumiałaś.

- Oszalałeś. - Jej uśmiech był szeroki jak sierp księżycy, lecz przez cały czas myślała tylko: on nie wie, dlaczego mu się podobam. Wydaje mi się dziwnie znajoma. To nie jego wina. Przebierała stopami w wodzie. - Jednego nie mogę zrozumieć... - powiedziała bez tchu, chcąc myśleć o czymkolwiek innym... - no wiesz, jeśli chodzi o ciebie i Lulu... Czemu nie jesteś bardziej ... - Miała na myśli: zachwycony albo zauroczony, ale powiedziała tylko: - Bardziej zainteresowany.

- Nie wiem. - Czuła na twarzy jego oddech, czuła, jak przebiera stopami w wodzie, zupełnie jak ona. - Chyba po prostu nie jest w moim typie, i tyle.

Lara roześmiała się, a potem nagle obleciał ją strach, więc aby go ukryć, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go.

- Wiesz, to nie tak - teraz on ją pocałował - że masz wyjątkowo piękne oczy, czy usta, czy choćby nos.

- Nie? - Ponieważ jednocześnie się zanurzała, opierała się przy tym pytaniu wody.

- Ale wszystko razem... - zrobił to samo - składa się w idealną całość. Przynajmniej dla mnie.

- Ty naprawdę zwariowałeś. - Znowu go pocałowała, chcąc przemycić w tym pocałunku pewność, że to już ostatni raz. Już nigdy więcej tego nie zrobię, przysięgam.

Kip nic nie zauważył. Błądził dłońmi po jej nagim ciele, tam gdzie było

kragłe, i tam gdzie było tak szczupłe, iż czuł pod palcami zarys kości, całe mokre i lekkie jak u ptaka. Pod wodą jego ciało także wydawało się inne. Zimne i bardziej napięte. Brzuch płaski i stalowy, mięśnie pleców twarde jak deska. Oplótł ją nogami i już nie chciała się bronić. Obracali się objęci i całowali, usiłując nie zapaść się w wodę. Nie czuli stopami dna, lecz było to tak przyjemne, że nawet nie próbowali przenieść się w płytsze miejsce. Dopłynęli do brzegu basenu i oparci, całowali się, dopóki skóra na ustach nie zaczęła ich szczypać.

- Samo całowanie też jest super. - Kip przycisnął się do niej, lecz Lara wiedziała, że liczy na znacznie więcej.

- Racja - przyznała, twardo zamierzając dotrzymać obietnicy, którą złożyła samej sobie. Choć jednak zaledwie przed chwilą, gdy wirowali w wodzie, tylko się całując, była pewna, że absolutnie nic nie może się wydarzyć, poczuła, że on już w niej jest. Uciekł w jej ciepło i sama także nagle przestała marznąć. Potem zaczęli się poruszać. Zupełnie jak gdyby tańczyli, oparci o brzeg basenu niczym o poręcz w sali baletowej, zamiast lampy mając nad głowami księżyc. Lara zamknęła oczy. Przyjemność pulsowała w jej ciele, narastając nieustannie, aż nagle zgasła, i dziewczyna czuła już tylko zimne, mocne pchnięcia, uporczywe, przypierające ją do krawędzi basenu. Kurczowo zacisnęła powieki. Powtarzała sobie, że to on. To Kip. Nie Roland.

Desperacko przywołała wspomnienie letniego dnia w Szkocji. Były wakacje, ona i Sorrel bawiły się lalkami zrobionymi z czyścików do fajek. Ułożyły jedną, wyobrażającą mężczyznę, na tej, która imitowała kobietę, i splotły je w mocnym uścisku, który niemal zgniótł ich korpusy. Patrząc na te lalki, Lara poczuła w sobie eksplozję gorąca. To był pierwszy przeblysłk pożądania w jej życiu. Zaczerwieniła się, kiedy Sorrel położyła lalkową parę w malutkim łóżku, w sypialni domu dla lalek. Zawsze uśmiechała się na to wspomnienie, zawsze odpędzało przykre myśli. Już po wszystkim była taka zmęczona, że pomyślała, że chyba się zaraz utopi. Zamknęła oczy i osunęła się pod wodę, tylko na minutkę, by sprawdzić, jak to jest, lecz woda sama wyniosła ją ku powierzchni. Kiedy podniosła wzrok, Kip wyłaził z



basenu.

- Cholerny ziąb - mruknął. I wtedy go zobaczyła: jego penis. Wciąż stał na baczność. Kołysał się na boki i podskakiwał przy każdym kroku. Lara zasłoniła usta ręką, ale nie zdołała stłumić śmiechu.

- Co? - Kip spojrzał na nią, ale po prostu nie mogła się opanować.

- To takie komiczne - wykrztusiła, czując, jak jej ramiona trzęsą się od śmiechu, i nagle poczuła obezwładniającą ulgę.

Lara i Kip pobiegli do domu, nadzy, zgarniając po drodze ubrania. Uważali, żeby nie rozdeptać malutkich jaszczurek, które na ich widok rozbiegały się po kamieniach. Drzwi na taras były otwarte. Przebiegli przez salon środkiem białego dywanu i popędzili schodami na górę. Wpadli do pokoju Lary i zmarznięci wpakowali się pod kołdrę.

- Gdzie domownicy? - spytał Kip, szcękając zębami, a Larze wydało się, że słyszy, jak gdzieś w głębi domu dzwoni telefon.

- Ciii... - Uniosła rękę i nasłuchiwała, jednak albo telefon przestał dzwonić, albo nie dzwonił w ogóle. - Są w szpitalu.

- A, no tak.

Leżeli w milczeniu, rozgrzewając się powoli. Przez głowę Lary przemykały tysiące myśli i pytań. Spojrzała na Kipa. Miał zamknięte oczy, a usta lekko rozchylone. Pomyślała, że w sumie dobrze się stało, że zasnął. I tak nie ma o czym mówić. To nie może być prawda, powtarzała sobie, lecz mimo to łzy napływały jej do oczu i znowu obróciła się w jego stronę, szukając w twarzy podobieństwa.

- No co? - Kip zmarszczył czoło. Wyczuł, że ona go obserwuje. Szybko więc przewróciła się na drugi bok, przytuliła do niego i próbowała o niczym nie myśleć.

Lara mieszkała w Bangalurze od miesiąca, kiedy dziewczynom, z którymi ćwiczyła, zaproponowano występ w hotelu. To oznaczało wielkie emocje, dodatkowe próby i długie godziny cierpliwego stania, gdy krawcowe w nieskończoność poprawiały fałdy białego materiału, układały je i podpinały szpilkami. Ale Larę wszystko to ominęło. Nie była gotowa do występu, musiałyby



ćwiczyć jeszcze tysiące godzin, by wyjść na scenę ubrana na biało, i kolejne tysiące, by wystąpić w jedwabiach niebieskozielonych jak pióra pawia. Mogła tylko siedzieć po turecku na podłodze hotelowej jadalni i razem z Cathy podziwiać kolejne grupy tancerek.

Nauczycielka siedziała z muzykami, trzymając klawesy i czekając. Obserwowała uczennice, ich oczy, dłonie, ramiona i stopy, w takim napięciu, jak gdyby sama tańczyła. Dziewczyny przedstawiały tańcem dzieciństwo Kriszny. Był niesfornym, ale uroczym dzieckiem - kiedy tylko mógł, podkradał jogurt i miód. Później starsze dziewczęta odtańczyły jego lata młodości, kiedy kusiły go gopi, ni to nimfy, ni pasterki, naprawdę urocze. Uciekały przed nim, uwodziły go, przyzywały go wzrokiem. Chodź tu, chodź, zdawały się mówić ich oczy.

Nauczycielka podawała rytm, uderzając klawesami, których dźwięk aż świdrował w uszach. Skrzypce grały na niższych tonach, a na jeszcze niższych kotły. Stopy dziewcząt twardo uderzały o podłogę, dzwoneczki dzwoniły, a Lara obiecywała sobie, że będzie więcej ćwiczyć, choćby i tysiące godzin, i uśmiechając się promiennie, obróciła się w stronę Cathy. Pokaz był taki, jak obiecywała. Nawet lepszy. Ale ku jej zaskoczeniu Cathy wyglądała na nieszczęśliwą. Owszem, niby jednym okiem patrzyła na tancerki, ale siedziała do nich bokiem. Gruba, biała i spocona. Lara, próbując przez chwilę patrzeć oczami matki, przeniosła wzrok na młode tancerki. Zwróciła uwagę na ich makijaż - powieki całe na niebiesko, tak aby oczy wydawały się ogromne, w kącikach lśnił brokat - i na stroje, odsłaniające pas gładkiej skóry nad talią.

- Nie powinno się tego robić dla rozrywki - mruknęła później Cathy. - To są wiadomości dla bogów, a nie cyrk dla znudzonych turystów. - Nie powiedziała jednak złego słowa, kiedy Lara zerwała się o świcie, by poćwiczyć przed zajęciami. Stała, unosząc ramiona, ze środkowymi palcami przywiedzionymi do dłoni, i kręciła rękami w nadgarstkach, dopóki jej nie rozbolewały.

Kiedy Lara się obudziła, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest, czyje ramiona ją obejmują i czyja głowa, przyciśnięta do jej własnej, leży na tej samej

poduszce. A potem sobie przypomniała. Leżała nieruchomo, bojąc się drgnąć, by Kip się nie obudził, nie zerwał się z łóżka i nie uciekł. Zamknęła oczy i próbowała na powrót zatonać w ciepłe jego ciała, ale zorientowała się już, że musi być dość późno - zza zasłon wdzierało się słońce, świerszcze wrzeszczały, ukryte w trawie.

Wymknęła się z klatki jego ramion, ostrożnie wysuwając się spod niego i patrząc, jak policzek, który przed chwilą opierał się o jej głowę, opada na poduszkę.

Włożyła bluzkę i podeszła do schodów, by zajrzeć do pokoju ojca. Łóżko Lamberta wciąż było puste, ubrania zniknęły, zapewne złożone i schowane do szafy. Na niskiej komódce piętrzyła się sterta książek i notatek, przy lampce leżał kolejny stos, opasłe tomy w twardych okładkach. Czyżby wciąż był w szpitalu? Coś się stało? Zimny węzeł, który dotąd zaciskał się na jej sercu, rozwiązał się, a niepokój rozlał po całym ciele.

Zbiegła na dół. Zajrzała do opustoszałej kuchni, jadalni, w której na sofach wciąż leżały idealnie ułożone poduszki. Wpatrzyła się w aparat telefoniczny, a potem, tak na wszelki wypadek, przytknęła słuchawkę do ucha. Sygnał wolnej linii był taki optymistyczny, że prawie można było uwierzyć, że ktoś z drugiej strony tylko czeka, by powiedzieć jej, co się dzieje z ojcem.

- Halo? - powiedziała z nadzieją. - *Pronto?* - Nikt jednak, rzecz jasna, się nie odezwał.

Wróciła do kuchni i otworzyła lodówkę. W środku było mleko, owoce, sok brzoskwiniowy i morelowy w szklanych butelkach. Mozzarella i pancetta owinięte w papier, puszka czarnych oliwek. Lara stała, nie mogąc się zdecydować. A gdzie płatki śniadaniowe? I miseczki? Aż się zaczerwieniła, myśląc, jak bardzo jest uzależniona od nieustannie krzątającej się Ginny.

Zamiast poszukać płatków, wyjęła bochenek domowego chleba i oderwawszy kawałek, wygarnęła nim trochę jagodowego dżemu. Umierała z głodu. Jeszcze raz zanurzyła chleb w słoiku, ale tym razem oderwała się od niego skórka i w dżemie zostało mnóstwo okruchów, co w oczach wymagającej Caroline mogło go czynić niezdatnym do spożycia. Lara zaczęła szybko wygarniać je łyżką, a potem, nie

wiedząc, co zrobić z tym dżemem, który już nabrała, dokroiła dwie kromki chleba i posmarowała je bardzo grubo. Nalała soku do dwóch szklanek, otworzyła wszystkie szafki, zanim znalazła tacę, i zachwycona swoimi poczynaniami, zaniósła ją na górę.

- Kip - szepnęła. - Kip...

Nie poruszył się. Drgnął tylko kącik jego ust. Lara postawiła tacę na podłodze i wcisnąwszy się na łóżko obok niego, wierciła się, dopóki nie przewrócił się na bok. Sięgnęła po kromkę i podstawiając pod nią dłoń, żeby dżem nie skapnął na prześcieradło, odgryzła olbrzymi kęs. Ogarnęła ją błogość. Czyste, niezmacone szczęście. Wzięła kolejny kęs, i jeszcze jeden, patrząc, jak Kip śpi, na poły od niej odwrócony. Przyglądała się linii jego podbródka, włosom nad czołem, uchu przylegającemu do głowy, z płatkami tak małymi, że prawie niewidocznymi...

Przestała żuć. Przypomniało jej się, co sobie wczoraj obiecywała. Co sobie powtarzała? Że między nimi koniec. Upiła łyk soku i przytuliła się do pleców Kipa. Przecież on o niczym nie wie, przekonywała się w duchu, a jeśli nigdy się nie dowie, to i ja mogę o wszystkim zapomnieć. I czuła, że naprawdę by mogła. Mogłaby zapomnieć o wszystkim. Czyż nie zapomniała o Rolandzie? O ciężarze jego uda, o bólu kaleczony skóry na nadgarstku, o tym, jak usiłowała się wyrwać. Zresztą co miała zrobić: wyrzucić Kipa na zbity pysk? Objęła go ramieniem i by się uspokoić, przycisnęła dłoń do jego serca.

Kiedy znowu się obudziła, Kip pochylał się nad nią, sięgając po kanapkę z dżemem i rozsiewając jagody po prześcieradle.

- Ostrożnie - ostrzegła go w chwili, gdy na poduszce wylądował wielki jagodowy kleks, a Kip wepchnął do ust taki duży kawał chleba, że ledwie mu się zmieścił.

- Masz tego więcej? - spytał, przełknąwszy, ale nie odpowiedziała, zbyt zajęta zbieraniem jagód z pościeli, oblizywaniem palców i próbami starcia plam śliną. - Zostaw to. - Przeciągnął się. - Co się przejmujesz? Ktoś to upierze.

- A jeśli plamy nie zejdą? - Im dłużej pocierała, tym gorzej to wyglądało.

- No to co? - Kip patrzył na nią.

- Cudze rzeczy powinno się szanować. I tyle. Kip ściągnął kołdrę i rzucił ją w kąt pokoju.

- Już jej nie ma - oznajmił - ale jeśli chcesz, to mogę ją zakopać. Urządzimy jej pogrzeb. Czy dla ciebie to dostateczny wyraz szacunku?

Nagi przetoczył się na nią i zaczął trącać ją nosem, wydając takie dźwięki, jak gdyby węszył, unieruchamiając jej ręce i trącąc ją w brzuch sterczącym członkiem, dopóki nie skapitulowała i nie zaczęła się śmiać.

Kochali się, powoli i czule, Kip nie odrywał od niej oczu, lecz Lara tak bardzo starała się zapomnieć o wszystkim, co złe, że prawie na niego nie patrzyła. Chciała zapomnieć o Rolandzie, o Andrew Willoughbym i o tym, co powiedział, o Lulu i jej „Myślałam, że już wyjechałaś”. Zapomnieć o May. O Caroline na noszach, o ojcu kuśtykającym do drzwi, wsiadającym do karetki z książką i jedwabnym szalem. Ale Kip wciąż ją całował i pieścił. Jej myśli przyplływały i odpływały niczym fale, niosąc ją ze sobą, dopóki nie rozplnęły się, jak we mgle, i już nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna się ciało Kipa. Przepelniona słodyczą pomyślała, że zdoła zapomnieć o wszystkim, już na zawsze, byle tylko obiecał, że nigdy nie przestanie. A potem sobie coś przypomniała.

- Powinniśmy uważać. - Złapała go i poczuła, że ma plecy mokre od potu.

- Och. - Leżeli objęci. Spóźniła się. - Następnym razem - szepnął. - Chyba nawet powinienem mieć kilka dureksów. - I leżeli dalej, wyczerpani, śmiejąc się nerwowo, śliscy i mokrzy od potu, zbyt rozleniwieni, by wstać. W końcu przysnęli.

- Boże, ale jestem głodny. - Kip siedział na łóżku. Lara też poczuła bolesne ssanie w żołądku i dziwną słabość, jak gdyby miała zaraz zemdleć.

Ubrali się i zbiegli schodami.

- Jest jakaś zupa - powiedziała, zaglądając do garnka.

- I bezy.

Kip zajrzał do lodówki.

- Mógłbym zrobić jajecznicę - mruknął. - Powinienem sobie poradzić. - I zaczął rozbijać jajka. Wbił całe pudełko do miski, z wyjątkiem jednego, które

upadło na podłogę. Poszedł po bekon, uważając, żeby nie wdepnąć w pułapkę.

- Gdzieś tutaj powinna być jakaś ścierka. - Lara otworzyła szafkę.

Kip pochylił się nad plastrami bekonu i zaczął siekać je jak wariat.

- Przesuń się. - Lara szturchnęła go i sięgnęła za zasłonkę pod zlewem.

Kip spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co ty robisz? - Jajko wciąż leżało tam, gdzie upadło. Skorupka była stłuczona, żółtko jakimś cudem ocalało, a białko rozpląywało się po podłodze.

- Chcę to sprzątnąć - odparła. - Chyba że wolisz sam to zrobić?

- Och, zostaw to. Ktoś się tym zajmie - skrzywił się, a Lara poczuła, że robi jej się gorąco z oburzenia.

- Ktoś, czyli Ginny, tak?

Gdy szperała między płynami do mycia i pastami do polerowania, przed oczami stanął jej obraz matki z mopem w ręce, myjącej podłogę klasy w szkole w Eksdalemuir. I tak miała szczęście, że dostała tę pracę. Posadę szkolnej sprzątaczkii. Pracowała z radością. Lara jej pomagała. Przecierała biurka szmatką, odklejała gumy do żucia, zgarniała kurz, włosy i zmięte papierki z kątów sali.

- Gotowe. - Kip nałożył jajecznicę na dwa talerze i wyniósł je na taras, a Lara jeszcze męczyła się z tym stłuczonym jajkiem. Próbowwała je złapać, ale wciąż wyślizgiwało jej się z palców, a kiedy w końcu wyrzuciła je do śmieci, na podłodze pozostał błyszczący ślad, który nie chciał zniknąć.

- Mówiłem, żebyś zostawiła to specjalistom. - Kip ziewnął, a siadając przy stole Lara zrozumiała, że to jajko to kolejna rzecz, o której będzie musiała zapomnieć.

- A właściwie to która jest godzina? - Talerze były puste, Kip rozparł się na krześle. - Najmarniej czwarta.

- Poważnie? - Lara wbiegła do salonu i spojrzała na zegar. Mój Boże. Już prawie piąta! I z nagłym przeświadczeniem, że ktoś na pewno próbował się do niej dodzwonić, ojciec albo chociaż Ginny, złapała za słuchawkę, ale nie. Na linii nie było nikogo. Wbiła wzrok w biurko. Gdzie ten numer? - Wiesz może, jak się

nazywa ten szpital? - zawołała i zaczęła przeglądać luźne kartki na blacie biurka.

- Jaki znowu szpital?

- Ten, do którego zabrali Caroline. Karetką.

- Nie wiem.

- Ale gdybyśmy pojechali do Sieny... to chyba musielibyśmy go znaleźć?

Kip parsknął śmiechem.

- Chciałaś powiedzieć: poszli?

- Przecież moglibyśmy pojechać, prawda? Wciąż mamy samochód Pameli.

Kip zrobił wielkie oczy. Wyglądał na tak przerażonego, że nie zdziwiłaby się, gdyby włosy stanęły mu na głowie.

- O, cholera. - Podeszedł do frontowych drzwi i otworzył je. - Masz rację. Ona mnie zabije. Chodź, lepiej już jedźmy.

- Gdzie?

- Musimy go odstawić.

Lara wyjrzała przed dom. Nie może jechać do Ceccomoro. Na samą myśl o tym robiło jej się słabo.

- A nie mógłbyś mnie najpierw podrzucić do Sieny? Stamtąd już jakoś dotrę do szpitala.

- Laro. - Kip miał zmarszczone czoło. - Oni czekają... Wiesz o tym, prawda? Oni czekają, aż Caroline umrze.

Lara usiadła na schodach. To o to chodziło? Chcą być tylko we troje, bez niej?

Kip złapał ją za ramię i usiłował podnieść.

- No chodź - ponaglił. - Musimy odprowadzić samochód.

- Nie przejmuj się mną. Jedź. Ja tu zostanę.

- Serio? - Kip rozejrzał się. Spojrzał na pusty dom, na wzgórze, na dolinę gęsto porośniętą drzewami. - Wiesz co? - Przykucnął przy niej. - Weźmiemy samochód, odstawimy go do domu i wrócimy tu seksowną ścieżką. Pół godziny i będziemy z powrotem.

Lara nie odpowiedziała.



- No, ewentualnie mogłabyś tu zostać i poczekać... - W jego głosie brzmiała niepewność.

- Na co?

- Na nic. Przecież nic ci się nie stanie.

Kip ruszył w stronę samochodu. Czego on się tak boi, pomyślała. Porywaczy? Ducha Sida Viciousa? Dzików? Otworzył samochód i wślizgnął się do środka. Przekręcił kluczyk w stacyjce, jeszcze zanim zatrzasnął drzwi.

- No to pa - zawołał, wrzucając wsteczny. - Do zobaczenia! - I ruszył powoli.

Lara patrzyła na niego, czując, jak wali jej serce. Nie wiedziała, co zrobić.

- Czekaj! - krzyknęła przeraźliwie, biegnąc za samochodem. - Jadę z tobą.

Wydawało się, że w Ceccomoro nie ma żywej duszy, chociaż na parkingu stało pełno samochodów. Dżip, sportowy mercedes Andrew i dwa identyczne samochody z wypożyczalni. Kip postawił fiacika Pameli pod ścianą.

- Zaraz wracam - powiedział. - Tylko coś zabiorę. - I zanim zdążyła zaprotestować, zniknął za rogiem budynku.

Czekała, słuchając odgłosów kuchennej krzątaniny. Gdzieś daleko coś zabrzęczało o zlew, warczał mikser, cicho rozmawiała służba, już zajęta przygotowaniem wieczornego posiłku. Przed nią stał rozwalający się budynek z nierównych, kostropatych kamieni, a przy nim prasa do wytlaczania oliwy, służąca obecnie jako pojemnik na rakiety tenisowe i piłki. May raz ją tu przyprowadziła, pokazała jej miejsce, po którym na kamiennej podłodze w kółko dreptał osiołek, obracając ramię olbrzymiej prasy, dopóki nie wycisnął z oliwek ostatniej kropli oliwy. Biedny osiołek, pomyślała, całe życie z szarym nosem przy ziemi. May podała jej raketę i absolutnie nie chciała uwierzyć, że Lara nigdy nie grała w tenisa.

- Słuchaj - powiedziała nagle May. - Jeżeli ty i Kip wciąż będziecie... no wiesz... w przyszłym roku, to zaproszę cię na mój ślub.

- Dobrze. - Lara była zbyt zakłopotana, by protestować. Nawet teraz, siedząc w samochodzie, pamiętała, jak ją wtedy zapiekły policzki.

- Dość tego marudzenia. - Elizabeth Butler, w pomarańczowym kapeluszu i w



pomarańczowych okularach przeciwsłonecznych, energicznie szła przez podwórko, a za nią dreptały jej córki. Lara usiadła pod ścianą, tak aby nie było jej widać z za fiata. - Będziecie zachwycone, same zobaczycie. - Gwałtownie obróciła się w stronę Nettle, która wymamrotała coś jęśliwym albo buntowniczym tonem. - Bzdura! Nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa więcej. - I z rozmachem otworzyła bagażnik swojego auta. Dziewczynom zrzedły miny i opadły ramiona. - Pa! I jeszcze raz dzięki. - Elizabeth pomachała ręką, widząc, że na schodach pojawia się Andrew Willoughby.

- Pa, moje drogie - powiedział i co najmniej trzy razy cmoknął powietrze tuż przy policzkach Elizabeth, która zrobiła dokładnie to samo.

Lara zsunęła się niżej.

- Potworne nudziary - orzekł Andrew, zanim jeszcze samochód wyjechał z podwórka. - Naprawdę musisz je zapraszać rok w rok? - Lara mrużąc oczy, wyjrzała z za maski fiata, ciekawa, do kogo Andrew mówi.

Lulu stała plecami do niej, ale Lara rozpoznała ją natychmiast. Ta złocista skóra, te loki barwy miodu.

- Biedny Andrew - zagruchała Lulu - tak się męczy. W przyszłym roku zaproszę wszystkich moich znajomych z Hollywood. Wreszcie będziesz miał jakąś rozrywkę.

Andrew zaśmiał się sucho.

- Właśnie tego się boję. Ale jeśli i ty przyjedziesz... - Lara usłyszała głośne plaśnięcie i wiedziała, że klepnął Lulu w tyłek.

- Ty paskudo! - obruszyła się Lulu, a potem krzyknęła głośnie: - Kip!

Stał w kamiennym wejściu. Lara patrzyła, jak Kip rozgląda się z roztargnieniem i nie widząc jej, wzrusza ramionami.

- Gdzieś ty był? - Lulu już na nim wisiała. - Owszem, przywiozłam ze sobą Todda, ale to nie znaczy, że musisz przede mną uciekać.

- Aha, Kip? - dodał Andrew. - Nie pamiętam, o co dokładnie chodzi, ale Pamela jest cholernie wściekła i mam wrażenie, że padło twoje imię.

Kip przewrócił oczami i usiłował wyplątać się z objęć Lulu.

- No właśnie, a gdzie Todd?

- Och, on jest niepoważny. Uparł się, że będzie żyć wedle czasu z Los Angeles. Mówi, że nie ma sensu się przestawiać. Powinien wstać za jakąś godzinę.

- Idiota - mruknął Andrew i zniknął za murem.

Lulu zarzuciła Kipowi ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

- Todd uważa, że to wszystko jest przekomiczne. Jak nie lord, to lady. Bawią go te tytuły. Do Andrew mówi „milordzie”, na widok Pameli dyga, chociaż już mu mówiłam, że to ty jesteś lordem, a moja mama jest tylko przyjaciółką twojego ojca. Twoje siostrzyczki są wściekle jak osy.

- Lulu. - Kip potknął się, tak iż nagle oboje oparli się o ścianę. - Posłuchaj... - I ściszył głos, a Lara, chociaż wyteżęła słuch, słyszała jedynie westchnienia, śmiech i gruchanie Lulu.

Zrobiło jej się niedobrze. Powinna zakasłać albo w inny sposób zwrócić na siebie uwagę? Ostrzec Kipa, że ona tu jest i wszystko widzi? Ale wciąż była cicho, nie ruszała się, choć kolana zaczęły jej trzeszczeć, a ręce rozboleły od opierania się o maskę samochodu. I gdy tak patrzyła, rozmowa między Kipem a Lulu stawała się coraz bardziej intymna, poufała - ich głowy zbliżały się do siebie, już dotykali się czołami, już splotły się ich nogi, a za moment Lulu już go całowała.

Lara odwróciła wzrok. Zbierało jej się na mdłości, cała była złana zimnym, lepkiem potem. Chciała zakasłać, ale nie była w stanie. Wyszło jej w gardle. Kiedy znowu na nich spojrzała, Lulu uśmiechała się promiennie, a Kip zdążył się odsunąć.

- Już ci mówiłam, gdybyś chciał odkrywać nowe światy, wiesz, gdzie mnie szukać... - I odeszła, zmysłowo, sennie kołysząc biodrami.

Kip wytarł usta wierzchem dłoni i rozejrzał się. Spojrzał w jej stronę, ale jej nie zauważył, po czym obrócił się i nagle, przygarbiony, ruszył w kierunku seksownej ścieżki.

Lara odczekała chwilę, zanim ruszyła za nim. Słońce stało nisko na niebie, oświetlając podnóża wzgórz, a rozciągające się wyżej tarasy kryły się w cieniu. Szła

przez pole kukurydzy, rozgarniając rośliny rękami. Gdzie on jest? Nie zamierzała biec, nie zamierzała się śpieszyć, lecz mimo to rozglądała się za nim nerwowo, aż weszła w okryty cieniem las.

Raptem coś chwyciło ją za łokieć. Krzyknęła i szarpnęła ręką, ale to był Kip. Trzymał ją i śmiał się jak wariat, omal nie przewracając jej na ziemię.

- Puść mnie. Puść mnie! - Minęła chwila, nim dotarło do niego, że ona mówi poważnie, i następna, zanim w końcu zabrał ręce. - Nie chcę! Daj mi spokój. Chcę już wracać. - I zszokowana, blednąc, uświadomiła sobie, że naprawdę chce wracać do domu. Chciała dodać choćby „przepraszam”, ale za bardzo się wstydziła.

Szła przed siebie. Skoro to takie łatwe, wyrzucała sobie w duchu, to czemu wtedy nie krzyczała? Wtedy, kiedy przyszedł Roland. Dlaczego? Mdłości, które na chwilę ustąpiły, wróciły z nową siłą. Wiedziała jednak, że nigdy wcześniej tak naprawdę nie wierzyła, że świat może być taki ohydny. Mimo że w Indiach widziała żebraków i trędowatych, szczury biegające po ciałach śpiących ludzi, jakiegoś faceta, który onanizował się, leżąc w śpiworze na ulicy. W Szkocji widziała, jak jakiś budowlaniec przytrzasnął sobie palec ramą okna. Zzieleniał na twarzy i przygryzał usta. Ale i tak nie wyobrażała sobie, by mogło ją spotkać to, co ją spotkało. I nie wyobrażała sobie, nawet kiedy to już się działo. Kiedy było za późno. Gdyby zaczęła krzyczeć, wołać o pomoc, to stałoby się realne. Już na wieki wieków. I wszyscy by o tym wiedzieli. Lara zaczęła biec. A tak przynajmniej nikt o tym nie wie. I nigdy się nie dowie. Nikt nie będzie jej kojarzył z tym całym brudem i obrzydliwością.

- Cholera jasna - wysapał Kip, doganiając ją na drodze.

- Co cię ugryzło? - Lara wiedziała tylko, że chce wrócić do domu, teraz, zaraz.

- I dalej nikogo nie ma. - Kip zatrzymał się na podjeździe.

- A nie mówiłem...?

Wbiegła do domu. Wpadła do łazienki i wsadziła głowę pod kran. Gdyby tylko mogła zwymiotować, poczułaby się lepiej, ale chociaż szarpnęły nią mdłości, nie wydusiła z siebie niczego poza cienką stróżką śliny.

- Och - jęknęła. Chciała zmyć z siebie wszystkie brudy. Na nowo poczuć się czysta i pusta. Patrząc na odpływ umywalki, wyobrażała sobie, jak porywa ją strumień wody. Obraca nią w umywalce, a ona staje się coraz mniejsza i mniejsza, mała jak muszelka i znowu czysta. Przeczesała włosy, umyła zęby i odetchnęła głęboko, przypominając sobie, że bez względu na wszystko, nie może być w tym domu sama. Zeszła na parter.

Kip nastawił płytę. Pełen melancholii album Niny Simone. *Kochaj mnie albo odejdz i daj mi być samej, skoro nie wierzysz, że kocham tylko ciebie, wolę być samotna niż szczęśliwa z kimkolwiek innym...* Lara stała w progu i patrzyła na niego. Leżał na sofie, szorując butami o białe obicie poręczy. Ciekawe, co powiedziałyby Caroline, pomyślała Lara. Ale Caroline tu nie było.

- Więcej fritki, więcej piwo? - Kip uśmiechnął się do niej z nadzieją, a ona, kryjąc się za muzyką jak za tarczą, otworzyła lodówkę i przeglądała jej zawartość.

- Nie wydaje mi się, żeby Caroline należała do wielkich piwoszy - zawołała, jak gdyby wszystko było w najlepszym porządku, i wyjęła z lodówki butelkę wina. Zniosła ją do salonu wraz z dwoma kieliszkami, korkociągiem, puszką oliwek i bezami upieczonymi przez Ginny, a potem usiadła na podłodze przed sofą.

- Kim jest Todd? - spytała, żeby Kip wiedział, że wszystko słyszała.

- Och, Lulu ci nie mówiła? To jej... - Kip zaczerwienił się i wyjął jej z rąk butelkę. - Przepraszam.

Lara podała mu korkociąg.

- Co to za wino? Myślisz, że było potwornie drogie?

- Oby. Wypijemy całą flaszkę. - Uśmiechnął się szeroko i zaczął wyciągać korek.

Milczeli, dopóki nie wypili po jednym kieliszku. Wino uspokoiło Larę i dodało jej nadziei.

- Wciąż marzysz, żeby wrócić do domu? - spytał łagodnie Kip, napełniając kieliszki.

- Nie. - Lara sama była zaskoczona tą odpowiedzią.

- Dzisiaj już by cię tu nie było, prawda? No wiesz, gdyby Caroline nie...

- No tak. - Lara upiła duży łyk. Fakt, miała wyjechać nazajutrz po Palio. I nagle przypomniała sobie, jak rozpaczliwie marzył o powrocie do kraju jej ojciec. - A ty? Wrócisz niedługo do Londynu?

Kip zmarszczył czoło.

- Zostanę tu jeszcze kilka tygodni, a potem... Tak, sądzę, że na jakiś czas pojedę do matki.

Lara patrzyła na niego i widząc jego nieszczęśliwą minę, wstała i usiadła na sofie, opierając się o jego nogi.

- A potem pojedziesz do Kenii?

- Ale w Londynie moglibyśmy się widywać - powiedział. - Dopóki nie wyjadę.

- Jasne - przytaknęła, świadoma, że nie powinni. - Gdzie mieszka twoja matka?

Kip ziewnął.

- W Knightsbridge.

- Knightsbridge. - Lara zamknęła oczy. Mogłaby tam dojechać z Finsbury Park jedną linią metra, Piccadilly, mijając stacje Holloway i Caledonian Road, które niestety omijała jej ulubiona linia, Victoria, do King's Cross, labiryntu czarnych, przerażających tuneli, miejsca, którego powinno się unikać za wszelką cenę. Ale za to dotarłaby do Holborn, gdzie aż czuło się zapach cygar i widziało wyłożone boazerią salony, przez Covent Garden - i choć to wszystko już przeminęło, mimowolnie wyobrażała sobie, jak po bruku toczą się beczki z owocami i warzywami. Potem Piccadilly Circus, przyjaźni ludzie i atmosfera nieustającego święta, i Green Park, w którym, w przeciwieństwie do Finsbury Park, naprawdę było dużo parków. Dalej Hyde Park Corner i już wychodziło się przed pałacem Buckingham. Ciekawe, czy Karol i Diana już wrócili z podróży poślubnej? I wreszcie Knightsbridge. Wbrew nazwie, nie siedziba rycerzy, lecz sklepu Harrodsa. Czasem, ale bardzo rzadko, bywała jeszcze w muzeum Wiktorii i Alberta.

- Knightsbridge - powtórzyła półgłosem, żeby uwierzyć, że Kip naprawdę może być tak blisko.

- Aha. W jednej z tych półkolistych ulic za Pont Street - dodał Kip, jak gdyby to mogło ułatwić jej sprawę. A Lara pomyślała o szeregowcu, w którym mieszka, o podłodze z desek, drzwiach do ogródka, łazience z lustrem w ramie w kwiatki i szmacianym dywaniku na podłodze. W lodówce nigdy nie było wina ani oliwek. Najczęściej jakieś mleko, więdnąca sałata i otwarta puszka kociej karmy.

Płyta się skończyła, ramię gramofonu automatycznie wróciło na początek. *Kochaj mnie albo odejź i daj mi być samej, skoro nie wierzysz, że kocham tylko ciebie, wolę być samotna niż szczęśliwa z kimkolwiek innym...*

Kip podniósł się, aby odwrócić płytę i rozlać do kieliszków resztkę wina. Larze głowa sama opadała, ciało miała jak z kamienia. Z zaskoczeniem stwierdziła, że jest senna, choć nie minęło dużo czasu, odkąd z Kipem wstali z łóżka.

Poprawiła się na sofie, wpychając palce stóp pod jego plecy.

- Twoja matka mieszka sama? - spytała, a Kip przytaknął skinieniem.

- No, nie licząc mnie.

- Ale przecież prawie u niej nie bywasz.

- Bywam. Przynajmniej czasami. W ferie, w wakacje. A twoja?

- Też nie. To znaczy, też mieszka sama. Ze mną.

- Nikt się przy niej nie kręcił?

- Właściwie to nie.

Któregoś razu Lara spytała Cathy, dlaczego rozeszli się z Lambertem. Do tej pory nie wiedziała, co ją wówczas podkusiło, by zadać to pytanie. Wcale nie chciała znać odpowiedzi. Inaczej: wtedy jeszcze była przekonana, że ją zna, że po prostu się nie kochali i tyle. Ale powód okazał się całkiem inny.

- Twój tata był na jakimś wyjeździe - opowiadała Cathy.

- Często wyjeżdżał, zbierał materiały do książek, ale raz, jak miałaś ze cztery lata... - Twarz jej zbladła na to wspomnienie.

- Zobaczyłam go. Na Kensington Street. Stał z jakąś kobietą. Oboje byli

wystrojeni. No, przynajmniej ona, a on zatrzymał taksówkę i otworzył jej drzwi. - Cathy zaczęła drżeć.

- I co zrobiłaś? - spytała Lara.

- No cóż. - Cathy pociągnęła nosem, a potem, wbrew sobie, zaczęła się śmiać.

- Uciełam sobie romans. Z jego znajomym. Z kimś, komu zawsze się podobałam. A kiedy twój ojciec wrócił z tego służbowego wypadu, nasze mieszkanie było pełne róż, które przysłał mi tamten mężczyzna. Swoją drogą, był niesamowicie przystojny... - Cathy przymknęła oczy. - Twój tato... nie umiał się z tym pogodzić. Poprzewracał wszystkie wazonny i wazoniki, większość potłukł w drobny mak. Skakał po nich. Róże wyrzucił przez okno. Słowo ci daję, zachowywał się jak szaleniec. „Już nigdy ci nie zaufam”, oznajmił. „Skąd mam mieć pewność, że Lara jest moja?”. I spakował wszystkie swoje rzeczy, co do jednej. „A ty możesz mnie zdradzać?”, pytałam przerażona. „Przecież masz kochanki”, i wiesz, co mi powiedział? - Na twarzy Cathy pojawiły się pąsowe plamy. - „A to zupełnie co innego”.

Lara wzięła ją za rękę.

- Wtedy przeprowadziłyśmy się do Szkocji?

- Niewiele później. - Łzy spływały Cathy po szyi. - I nigdy tego nie żałowałam.

Kiedy tego samego dnia Lara poszła do jej pokoju powiedzieć dobranoc, matka siedziała po turecku przed swoim ołtarzykiem, oczy miała zamknięte, bezgłośnie poruszała ustami, a jej dłonie, opierające się o kolana, wyglądały jak kielichy lilii. s TD - .1 Tc ( ) Tj 2, o



mu się udaje, dopóki wszyscy pamiętają, żeby nie wspominać o Pameli. - Kip zmarszczył czoło. - No wiesz, raz czy dwa razy w roku wraca do kraju i wtedy zawsze mieszka w domu. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- No tak, ale czy...? - Lara też zmarszczyła czoło. - A co z...? - Zrozumiała jednak, że nie ma sensu przeciągać rozmowy.

Obudził ją pierwszy dzwonek telefonu. Przy drugim zerwała się z sofy, przelazła nad śpiącym Kipem i już biegła do biurka.

- Halo? - To był ojciec. Poznała go po sposobie, w jaki chrząknął. Długo się nie odzywał. - Tato? - odważyła się spytać.

- Caroline zmarła.

- Och. - Nie wiedziała, co powiedzieć. - O nie.

- Dziś rano. Całkiem niedawno. - Głos zadrżał mu ledwie słyszalnie i przez jedną straszną chwilę była pewna, że Lambert zaraz się rozplacze. - Słuchaj, ja nie mogę tu zostać. Ginny nie chce nawet słyszeć o wyjeździe, ale ja muszę stąd wyjechać. Wrócić do domu.

- Czyli tutaj?

- Nie. Do Londynu.

Serce na chwilę przestało jej bić.

- Dzisiaj? - Popatrzyła na Kipa, który wciąż leżał na sofie, owinięty moherowym pledem Caroline, tak że widać było tylko potargane włosy na czubku głowy.

- Ginny uważa, że powinniśmy czuwać przy Caroline. Siedzi teraz przy niej. Słuchaj. Pociąg odjeżdża w porze lunchu. Możesz spakować moje rzeczy i zabrać mnie stąd, żebyśmy mogli pojechać na dworzec?

- Ale ja...

- Kto mógłby cię podwieźć? - Z tego pośpiechu głos mu się zmienił niemal nie do poznania.

- Czyściciel basenu? Albo ogrodnik? - Lara nigdy ich nie widziała.

Przychodzili codziennie, kiedy jeszcze spała.

- Nie. Laro, słuchaj. Może zadzwoń gdzieś i wezwij taksówkę. Jedź pod szpital. Będę czekał przed wejściem. O dwunastej.

- Ale ja... - Jak ma wezwać taksówkę? A nawet gdyby znalazła numer, czy  
będz ta 7320135 Sezwa

Kip przewrócił się na drugi bok i przycisnął twarz do poduszki.

- Proszę cię. - Potrząsnęła nim. - Musimy zdażyć na pociąg.

Zostawiła go i wbiegła po schodach do pokoju Lamberta. Na łóżku leżał jego niebieski szlafrok, a wszystkie wolne powierzchnie zajmowały stosy książek i papierów.

- Kip! - zawołała. - Proszę cię, wstawaj. - Zbiegła na dół i znowu przy nim uklękła. Zbliżyła usta do jego ucha i najdelikatniej, jak umiała, szepnęła: - Caroline umarła.

Kip obrócił się w jej stronę i otworzył jedno niebieskie oko.

- Ale Nicchio wygrało. Nie odstąpiliśmy nikomu jej miejsca, zostało dla niej...

- Kip - szeptała błagalnie. - Muszę odebrać Lamberta ze szpitala. Obiecałam mu to. On czeka. Pomożesz mi znaleźć jakąś taksówkę?

- Taksówkę? - Przeciągnął się. - Nie sędzę, żeby tutaj jeździły jakieś taksówki.

- Nie możemy zadzwonić do jakiejś korporacji? Kip wzruszył ramionami.

- Nie wiem. A znasz numer? Lara pokręciła głową.

- A gdybyśmy wrócili do Ceccomoro i pożyczyli samochód od Pameli?

- Nie ma mowy! - Kip zatrzęsł się w udawanym przerażeniu.

- Ale ja muszę tam być. - Lara mówiła coraz bardziej podniesionym głosem, ale nie mogła nad sobą zapanować. - Po prostu muszę. Za godzinę!

- Cholera. - Kip odsuwał się od niej. - Uspokój się.

Lara wróciła biegiem do pokoju Lamberta. Sama wyniosę torby przed dom, pomyślała. Pojadę do Sieny stopem. Czemu nie? Piżamę Lamberta znalazła pod poduszką, na blacie nocnej szafki leżała chustka do nosa, złożona w trójkąt. Wydobyła skórzaną torbę podróżną, zdumiewająco zniszczoną jak na własność kogoś, kto nigdy nie podróżuje, i zaczęła zgarniać do niej książki i papiery. Otworzyła szafkę i najostrożniej, jak potrafiła, zdjęła z wieszaków jego garnitury. Poskładała je i zabrała się za spodnie i koszule. W szufladzie znalazła skarpetki, grafitowe i czarne, obok kilka par białych majtek. Kiedy wepchnęła je do torby, rozejrzała się, by sprawdzić, czy nic nie zostało. Jeszcze szczotka do włosów, puste

etui na okulary i portfel, potem mogła już wywlec torbę na podest schodów.

Przebiegła do swojego pokoju, wyciągnęła torbę i przesyłała do niej całą zawartość szuflady, zrywała z wieszaków ubrania i wrzucała książki. Na koniec schowała jeszcze szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów, pozapinała obie torby i stargała je po schodach.

Kip stał przed lodówką.

- Umieram z głodu - powiedział, wyciągnął sok morelowy w długiej smukłej butelce i chciwie pociągnął wielki łyk.

- Kip... - Już chciała poprosić, żeby nie pił z butelki, ale nagle sobie przypomniała. Caroline nie żyje.

Kip wyciągnął talerz z plasterkami szynki oraz okrągły serek w miękkim woskowanym opakowaniu.

- Podasz chleb? - spytał, krojąc mozzarellę. Lara chwyciła chleb i uniosła go nad głowę.

- Pod warunkiem, że mi pomożesz.

- Musisz na to spojrzeć z mojego punktu widzenia. - Próbował zabrać jej bochenek. - Co będę z tego miał?

Lara zmarszczyła czoło.

- Ja... - zawahała się, a wtedy Kip wyrwał jej chleb.

- Prosisz, żebym zawiózł cię do szpitala, zabrał twojego ojca i odwiózł was na dworzec... Po co miałbym to robić? - Polał oliwą grubą pajdę chleba i nałożył na nią całą stertę szynki. - No po co? - Wzruszył ramionami. - Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Lara wpatrywała się w niego. To była najbardziej romantyczna rzecz, jaką ktokolwiek jej w życiu powiedział, lecz mimo to chciało jej się płakać. Kątem oka widziała zegar - właśnie wybiła jedenasta.

- Ja też nie chcę wyjeżdżać - powiedziała błagalnie. - Ale mój tata... Trudno to wytłumaczyć. On musi wracać do domu. A ja... a ja muszę wracać z nim.

Kip obrócił się do niej plecami i wgryzł w kanapkę.

- Przecież ty też niedługo wracasz - przekonywała - będziemy się spotykać w

Londynie. - Pobiegnęła do salonu i oderwawszy kawałek kartki z papeterii Caroline, nagryzmoła na niej swój numer telefonu i, na wszelki wypadek, imię. - Masz - powiedziała, a Kip podsunął jej kanapkę. - Nie. - Była zbyt zdenerwowana, żeby myśleć o jedzeniu. - Tylko podwieź mnie pod szpital, tam już jakoś złapię taksówkę. Zrobię wszystko, co chcesz... proszę.

- Wszystko? - Kip miał taką minę, jak gdyby nie mógł się zdecydować. - A zrobiłabyś mi loda?

Lara patrzyła na niego z kamienną twarzą. Nienawidzę go, pomyślała chłodno. Nienawidzę go. Po prostu.

- No dobrze, dobrze. - Kip wepchnął do ust resztkę kanapki. - Pojadę, ale chcę, żebyś coś wiedziała. Pani Pamela mnie po prostu zarąbie.

- Trudno. - Lara złapała torby i zanim Kip zdążył zmienić zdanie, przeciągnęła je na ganek. - A może pójść z tobą? - spytała, wyobrażając sobie, jak wlecze obie torby seksowną ścieżką. - Tak byłoby szybciej. - Ale Kip zdążył już ruszyć biegiem.

- Nie bądź idiotką - odkrzyknął i zniknął.

Stała na podjeździe i czekała. A jeśli znowu ktoś go zatrzyma? A jeśli o wszystkim zapomni i najzwyczajniej nie wróci? Policzyła do stu. Kopała kamyki i obrywała kwiatki z lawendy, a potem miażdżyła o nadgarstki, gdzie łomotał puls, i namaszczała je ich pachnącym oleistym sokiem. W końcu przeszła za dom i stała wpatrzona w basen. Wyglądał na zaniedbany. Wręcz porzucony. Na wodzie pływały liście i zdechłe żuczki. Gdzie ten czyściciel? Wie, że jego usługi nie są już potrzebne? A potem zauważyła swoje bikini w kropki, które przed kilkoma dniami przewiesiła na leżaku do wyschnięcia. Popędziła po nie jak wariatka. Chwyliła kostium i przerażona, że mogła zapomnieć zabrać inne, równie cenne rzeczy, biegiem wróciła do domu. Ale wszędzie, dosłownie wszędzie, widziała tylko ślady obecności Caroline. Jej papeteria i długopisy. Jej miseczka z pot pourri, szale, czasopisma.

Pokój Lary był pusty. Na wszelki wypadek zajrzała pod łóżko i do dokładnie opróżnionej szafki. Krążyła po pokoju ojca, omiatając dłonią puste blaty, odsuwając

i zasuważąc szuflady. Raptem - a na samą myśl, że mogła go nie zabrać, zamarło jej serce - znalazła jego paszport w szufladzie przy łóżku. Wyjęła go, granatowy prostokąt ze złotym godłem, a kiedy wzięła go do ręki, zza sztywnej okładki wysunęło się zdjęcie i sfrunęło na podłogę.

Lara podniosła je. Co to może być? Ojciec nie należał do mężczyzn noszących przy sobie zdjęcia. Przez jedną upajającą chwilę naprawdę wierzyła, że to może być któreś z jej starych zdjęć. Ale ta fotografia była dużo starsza. Odbitka w kolorze sepii przedstawiała rodzinę - rodzice ubrani w odświętne białe-czarne stroje, a między nimi dzieci, wysoki chłopak w garniturze i dziewczyna, może dwunastoletnia. Lara obróciła zdjęcia w palcach. Otto, Olga, Lissia i Wolfgang. Ich imiona napisano ołówkiem z taką samą powściągliwością, z jaką do zdjęcia pozowali modele. Wolfgang... Lara zapatrzyła się w twarz ojca. Włosy miał gęste, twarz wciąż łagodną, lecz jego oczy miały taki sam stanowczy wyraz jak obecnie. Lara przejrzała paszport w nadziei, że dowie się czegoś więcej, lecz znalazła tylko paszportowe zdjęcie Lamberta, aktualne, siwiejącego i surowego.

Na podjeździe zatrąbił klakson. Lara podskoczyła. Wsunęła fotografię między kartki paszportu, złapała bikini i pobiegła przez dom.

- Kip! - zawołała, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę wrócił, i zobaczyła, że w progu stoi Roland.

- Obie zabrać? - Kiedy schylił się po torby, zobaczyła za jego plecami Kipa, siedzącego w dziupie i zamasyście otwierającego drzwi. Przycisnęła paszport do piersi i wpatrywała się w Rolanda. - Ej... - odezwał się, wytrzymując jej spojrzenie. - Nie bądź taka.

- Jaka? - Lara zmrużyła oczy i przywołując całą swoją nienawiść, wpatrywała się dalej.

- No wiesz... Daj człowiekowi szansę...

Nie odzywała się. Patrzyła i patrzyła, dopóki nie uciekł wzrokiem.

Powinam była pojechać stopem, pomyślała. Powinam po prostu wybiec na drogę. Przypomniała sobie, jak z matką wysiadły z autokaru i łapały okazję za

okazją, dopóki nie wróciły do domu aż z Niemiec.

Roland wrzucił torby na tył auta.

- To się nazywa szczęście, co? - zażartował, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. - Miałem właśnie jechać do Sieny, kiedy do domu wpadł twój amant.

Lara ruszyła powoli w stronę samochodu. Piiip piiip, wesoło trąbił Roland, gdy nie podnosząc oczu, wdrapywała się do dżipa i usiadła z tyłu między bagażami.

Jechali w milczeniu. Lara patrzyła na drogę za autem, nie śmiejąc się obrócić, by kątem oka nie zobaczyć uśmiešku na twarzy Rolanda.

- No to co sądzimy? - odezwał się. - O nowym facecie Lulu? Gej czy nie gej?

Kip zaśmiał się. Rozbawiony.

- Szkoda, że musi wracać. Tak liczyłem, że będę mógł zobaczyć, w co się wystroi na pogrzeb. Różowe szorciki. Albo morelową koszulkę. Albo... żeby po prostu zwalić nas z nóg, i różowe szorciki, i morelową koszulkę.

- Pogrzeb? - spytał Kip, jak gdyby czytał w myślach Lary. - Pogrzeb Caroline? Ja pieprzę. Tak szybko wszystko załatwili?

- Na to wygląda. Wszystko było załatwione już od kilku miesięcy. Andrew i Caroline zaplanowali wszystko. Co do ostatniego szczegółu. Cichaczem. Wiesz, że dzisiaj dzwoniła ta namolna baba, jak jej tam, Ginny, bladym świtem, i zalewając się łzami, oferowała swoje usługi? Powtarzała, że gdyby cokolwiek było trzeba, to ona bardzo chętnie...

Kip obejrzał się na Larę, jak gdyby dopiero teraz uwierzył, że Caroline naprawdę nie żyje.

- No mówię ci, po prostu bezczelna. Ile ona ją znała? Pięć minut?

- Kiedy będzie? - Lara musiała zapytać.

- Aha! - Roland tryumfował. - Naszej towarzyszce wróciła mowa! Kiedy co będzie? Nasza pierwsza randka?

- Pogrzeb. - Chciała być brutalna, ale zabrzmiało to tak, jak gdyby była zła i obrażona jak mała dziewczynka.



- Prrr, szalona! Nie rozpędzaj się tak, bo ci majtki spadną - zarechotał. -

wstrząsająco uczynny.

Lara przycisnęła rękę do ust i odwróciła się od niego.

Za kwadrans pierwsza dotarli do drugiego szpitala, przed którym, ku jej uldze, czekał Lambert, oparty o ścianę, z odsłoniętą głową wystawioną na promienie słońca. Trzymał w ręku but i kilka obwiązanych sznurkiem książek, stopę miał grubo owiniętą bandażem, tak iż wyglądała jak wielka biała buła.

- Strasznie przepraszam. - Leciała ku niemu jak na skrzydłach.

- Dzięki Bogu!

- Kip mnie podwiózł...

Równocześnie rozłożyli ramiona i niezręcznie próbowali się objąć. Roland zatrafił, popędzany przez kogoś z tyłu.

- Szybko - rzuciła i podtrzymując Lamberta, ruszyła w stronę dżipa.

Kip wysiadł i pomógł mu usiąść przy Rolandzie.

- Bardzo mi przykro z powodu Caroline.

- Tak. - Lambert przełknął ślinę. - Dziękuję.

- Sądzi pan, że ona wiedziała? - Ściszył głos. - O Il Nicchio... To znaczy, zanim...

Lambert obrócił się w jego stronę i uśmiechnął, ale twarz miał bladą.

- Szepnąłem jej to. Wierzę, że usłyszała. Lara wychyliła się zza foteli.

- Spakowałam twoje rzeczy. - Zawahała się. - Zabrałam bilety i twój paszport... - Czekala na jakąś reakcję. - I twoje książki, i etui na okulary....

Lambert z roztargnieniem zerknął na zegarek.

- Jak sądzisz, ile będziemy jechać? Roland wzruszył ramionami.

- Niedługo. - Wepchnął się na szybszy pas, o grubość lakieru unikając kolizji z innym samochodem.

Lara siedziała z tyłu w mokrej od potu koszuli i kurczowo ścisnęła swoje bikini. Paszport Lamberta spoczywał w kieszeni na jej piersi, gdzie zmieścił się na styk, rozpierając szwy w materiale. A w paszporcie tkwiła fotografia jego rodziny. Mogłaby spytać o to zdjęcie, wyjąć je z kieszeni i wskazać palcem jego matkę i

siostrę. Opowiedz mi o nich. O Oldze i o Lissi, których imiona zestawily się nagle w jej drugie imię.

- Ojciec je dla ciebie wybrał - mówiła Cathy dawno, dawno temu. - Podobało mu się - powiedziała tylko i dopiero teraz Lara zrozumiała, że Cathy zawsze wiedziała.

Kip siedział obok niej, z kolanami zwróconymi ku oknu, więc nie musiała się martwić, że otrą się o jej własne.

- No, nareszcie - powiedział, jak gdyby widok dworca sprawił mu ulgę, a Roland zatrzymał samochód.

Kip wyskoczył z auta i otworzył drzwi, żeby Lambert mógł wysiąść.

- Bardzo miło było znowu pana zobaczyć, panie Gold.

- Mnie także było bardzo miło, Kip. - Ojciec mówił wolno, przesadnie wyraźnie, jak gdyby dopiero uczył się angielskiego. - I nie zapomnij pozdrowić ode mnie matki.

Lara stała na gotującym się asfalcie i przyglądała się ich profilom. To nieprawda, powtarzała w myśli, lecz w żołądku znowu zaczęło ją ścisnąć. Lambert i Kip wciąż stali zwrócenii do siebie twarzami. Zupełnie jak gdyby chcieli sobie powiedzieć coś ważnego.

- Mama na pewno bardzo chciałyby pana zobaczyć.

- Tak. - Lambert zmarszczył czoło. - Powiedz jej, że do niej zadzwonię. Obiecuję.

Lara wyciągała torby z samochodu.

- Lepiej już chodźmy. Naprawdę, lepiej się pośpieszmy. - Musiała ruszyć, zanim Roland spróbuje się z nią pożegnać. Lambert kiwnął głową i z całą godnością, jaką tylko zdołał zmobilizować, ruszył w stronę dworca, kuśtykając i powłócząc nogą.

- No to pa. - Posłała Kipowi nikły uśmiech, ale kiedy ruszyła za Lambertem, wlokąc za sobą torby, pomyślała: umrę, jeśli rozstaniemy się w taki sposób. Umrę. To okropne, jęknęła w duchu, jeszcze zanim się obejrzała, pewna, że już sobie

poszedł albo śmieje się z Rolandem jak z jakiegoś koszmarnego dowcipu, lecz Kip wciąż tam stał i mrużąc oczy, patrzył pod słońce.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział bezgłośnie. Uniósł biały świstek papieru z jej numerem telefonu, a potem przycisnął go do ust.

Uśmiechnęła się jak samo słońce. Pokiwała głową, gorliwie, i przez chwilę trzymała dłoń przyciśniętą do serca, tak aby to zobaczył.

W ułamku sekundy znalazł się przy niej. Pocałował ją w usta, krótko i lekko, i równie szybko jak do niej doskoczył, odsunął się.

- Lara? - Lambert oglądał się w jej stronę, oparty o metalowy słupek. - To nasz pociąg? Jak myślisz?

- Tak - powiedziała - to ten. - A kiedy znowu się odwróciła, dzipa już nie było.

Zostało już tylko dziesięć minut. Lara znalazła dwa miejsca obok siebie z jednym wolnym naprzeciwko, tak aby Lambert mógł oprzeć stopę, i wciąż odurzona pocałunkiem Kipa, wyskoczyła na peron.

- Zaraz wracam - zawołała, myśląc w duchu: Nic mnie nie obchodzi, że może być moim przyrodnim bratem, najwyżej będę się z nim spotykała w tajemnicy. Co możemy zrobić? Jesteśmy zakochani! To Miłość!

Przemknęła przez peron i wpadła do sklepiku. Kupiła herbatniki, wodę mineralną, kilka paczek chipsów i z braku większego wyboru, dokupiła jeszcze trochę herbatników. Kilka chwil później siedziała już w swoim przedziale.

- Udało się nam - powiedziała, dopiero teraz zauważając, że przedział jest pełen turystek z plecakami, kobiet, zmęczonych i szarych od kurzu, o włosach obciętych na języka i sporych nosach. Ogólnie niezbyt ładnych. Wyglądały na Holenderki. Ale Lambert opierał się skronią o szybę, na jego czole kroplił się pot.

- Dobrze się czujesz? - Dotknęła jego ramienia i nie mogąc się powstrzymać, rozdarła opakowanie i wepchnęła do ust herbatnika. O Jezu, pomyślała, zaledwie zmiażdżyła go zębami. Ginny! Czy ona w ogóle wie, że wyjeżdżamy? - Tato? - odezwała się łagodnie, ale ponagłajaco. - Ginny wie? - Ale Lambert wciąż miał zamknięte oczy.

Lara pochłonęła następny herbatnik. Napiła się wody. Zjadła paczkę tłustych chipsów. Udało się nam. Wyrzała przez okno. Byliśmy na wakacjach, a teraz wracamy do domu. Musiała sobie przypomnieć, że nie cały wyjazd był taki udany. Gdy pociąg zatrzymał się na pierwszej stacji, powieki Lamberta zatrzepotały.

- Binario. - Wskazała tabliczkę. - Znowu jesteśmy w Binario. - Ale Lambert się nie uśmiechnął.

Siedzieli w milczeniu, wyglądając przez okno, patrząc na spalony słońcem krajobraz, zostawiając za sobą kolejne wsie. Im bardziej oddalali się od Sieny, tym mniej realne wydawały się jej plany na skrywaną w tajemnicy przyszłość z Kipem. Nie odbiorę telefonu i tyle, obiecywała sobie. A potem on wyjedzie do Kenii i zanim wróci... I niezdolna sięgnąć myślami ani odrobinę dalej, zamknęła oczy.

Widocznie przysnęła, bowiem kiedy znowu je otworzyła, Lambert płakał. Strumienie łez bezgłośnie płynęły po jego twarzy, rękaw miał mokry w miejscu, którym próbował je otrzeć.

- Och, tato. - Larę ogarnęła zgroza. Złowiła spojrzenie siedzącej naprzeciwko kobiety, która uprzejmie odwróciła wzrok.

- Tato, tak mi przykro. - Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- To z powodu Caroline?

- Była moją przyjaciółką - powiedział po prostu. - Od samego początku.

Jedyną osobą, która próbowała mi pomóc.

- Tak.

- A ja ją zawiodłem. Tak jak zawiodłem ich wszystkich. Lara położyła dłoń na jego ramieniu. Nie mogła tego słuchać, nie mogła znieść, kiedy tak mówił.

- Byłeś przy niej. W to lato... w tę noc... na pewno było jej lżej... - Lambert pokręcił głową.

- Caroline przyjechała do nas do Dorset - wykrztusił przez łzy. - Tuż przed wojną. I zrobiła wszystko, żeby mi pomóc.

- W czym pomóc?

- Z moimi rodzicami. - Spojrzał na nią dziwnie, jak gdyby nie dowierzał, że

ona naprawdę nic nie wie. - Potrzebowali pieniędzy, żeby dostać się do Wielkiej Brytanii. Napisaliśmy mnóstwo listów. Do wszystkich ustosunkowanych znajomych Caroline. Pisaliśmy je cały dzień i pół nocy, siedząc na piętrze w gabinecie lady Holt. A kiedy napisaliśmy już do wszystkich osób, których adresy udało nam się znaleźć we wszystkich możliwych kajetach, zaczęliśmy pisać następne listy, do ludzi, których Caroline знаła tylko ze słyszenia. Potem zaczęły przychodzić odpowiedzi. „Przykro mi”. „Nie ma takiej możliwości”. „To wykluczone”. Aż nagle pewien człowiek napisał, że być może zdoła mi pomóc. Jego ojciec handlował pasmanterią, jak mój, ale na znacznie większą skalę. Napisałem do rodziców. Nie poddawajcie się. Zdobędę te pieniądze. Ale ten człowiek wycofał swoją ofertę. Jego syn, idiota świeżo po państwowej szkole, narobił koszmarnych długów hazardowych i rozwalił nowiutki automobil ojca. I z obiecanych pieniędzy zostały nici.

Lambert zacisnął pięść i uniósł ją, jak gdyby chciał stłuc szybę w oknie.

- Pisaliśmy dalej...

- A Holtowie? - przerwała Lara.

- I tak dużo zrobili - odparł zwięźle Lambert. - Przyjęli mnie pod swój dach.

- No ale jakiej sumy potrzebowali? - Pomyślała o wystawnym życiu, jakie wiedli przez ostatnie tygodnie. - Nie mógł im ktoś pomóc? Dać te marne grosze na pociąg i zaoferować jakiś ką? Naprawdę nikt nie mógł? - Dotarło do niej, po raz pierwszy w życiu, że mówi także o swojej rodzinie, o swoich dziadkach.

Po policzku Lamberta powoli spłynęła łza.

- Brytyjski rząd życzył sobie pewnej kwoty jako rękojmi, że żaden uchodźca, żaden żydowski uchodźca, nie przekroczy granicy państwa. Dziesięciu tysięcy funtów. Czyli dwadzieścia tysięcy za samych moich rodziców, co odpowiada, powiedzmy... - Lambert potrząsnął głową. - Około pięciuset tysiącom dzisiejszych funtów.

- Pół miliona funtów? Za co?

- Ot, taki środek ostrożności, na wypadek gdyby mieli kiedykolwiek stać się... „ciężarem dla publicznego budżetu”. Ale brytyjski rząd nie znał moich rodziców.

Oni nigdy by o nic nie poprosili. Przynajmniej nie dla siebie.

- No to... co się sta...? - zająknęła się, myśląc o fotografii, którą znalazła rano, o promiennej twarzy siostry Lamberta, o płonących oczach jego matki. No to co się z nimi stało? No co? Ale bała się zapytać, zabrakło jej odwagi. Więc tylko usiadła przy nim, ramię przy ramieniu, kolana przy kolanach, jak tarczą osłaniając go własnym ciałem, dopóki w końcu nie obrócił twarzy ku oknu i nie zasnął.

Pięć turystek zgodnie czytało grube książki w miękkich okładkach, z zakładkami wetkniętymi między kartki. Lara zjadła jeszcze jednego herbatnika, wyjęła *Grona gniewu* i płakała nad niesprawiedliwością tego świata, dopóki nie zabrakło jej chusteczek do wycierania oczu. Zaczęła przeglądać podręczniki do historii, robiąc notatki na marginesach i podkreślając fragmenty o rewolucji francuskiej. Równocześnie zastanawiała się, co spotkałoby Kipa i jego rodzinę, gdyby lud znowu się zbuntował. Już słyszała, jak Roland mówi przeciągle: „To niech jedzą ciastka”. Zamknęła oczy i przez jedną rozkoszną chwilę wyobrażała sobie, jak stoi w pierwszym rzędzie i czeka na jego publiczną egzekucję. Tylko czy sama byłaby bezpieczna? Gdyby była z Kipem? Szybko odsunęła tę myśl. Lady Lara Willoughby. Teraz słyszała rozbawiony głos Ginny. Z drugiej strony mogłaby go uratować, byłaby dowodem, że on nie jest jednym z nich! Jest mój! - krzyknęłyby, stojąc w czepcu i w białym fartuszk. Oszczędźcie go, to mój brat! Ostrze gilotyny zatrzymałoby się ze zgrzytem.

A jeśli jest w ciąży? Na samą myśl zrobiło jej się zimno. „Gdybyśmy mieli dziecko...”. Czuła na sobie ręce Kipa, jego ciało przypierające ją do drzewa, pod którym się całowali. „Nie miałbym nic przeciwko temu”. Zacząłby mieć, gdyby je zobaczył, dwugłowego potworka mrużącego dwie pary błękitnych oczu. Musiałaby go przykrywać kocykiem w wózku, żeby ludzie się nie gapili.

Straciłaby Kipa. Czułby wstręt, a ona musiałaby udawać, że także brzydzi się tym, co się stało. Zrozumiałby, co przyciągnęło ich do siebie, dlaczego wydawało mu się, że ona jest w jego typie. Zrozumiałby, dzięki czemu miała w ogóle szansę przy wszystkich tych dziewczynach. Przy tej Lulu i przy wszystkich innych Lulu,



których nie poznała, nawet przy Allegrze, tylko czekającej, by dorosnąć. A gdyby ojcem dziecka nie byłby Kip, tylko Roland? Aż się skuliła na samą myśl, ale to chyba niemożliwe, żeby dziecko się poczęło z czegoś tak brutalnego? Usiłowała wymazać tę myśl innymi, modlitwą, aby tym razem dopisało jej szczęście, prośbą o jeszcze jedną szansę, lecz wspomnienie było silniejsze - udo ciężkie jak z żelaza, smród jego wody kolońskiej, usta śliniące się na jej karku, kiedy wbijał ją w ścianę.

\* \* \*

Kiedy dotarły w końcu do obozu dla uchodźców w Purawali, przeżyły straszliwy wstrząs. Ci ludzie, uprzedziła Larę wcześniej Cathy, zostali tam przesiedleni - wypędzeni z własnego kraju przez Chińczyków. Czytała Larze listy, w których opisane były trudy życia w nowych warunkach, opowiadała o odwadze tych ludzi, o tym, jak bardzo potrzebują pomocy, by osiedlić się i stworzyć nowy dom.

Cathy czytała je na głos w pociągu, podczas długiej podróży z Bangaluru, nie tylko po, aby uprzedzić Larę, czego powinna się spodziewać, lecz także po to, aby uświadomić jej, ile same mają szczęścia. Mieszkają w małym domku w Szkocji, a wygodka na dworze, nawet jeśli czasem bywa w niej przeraźliwie zimno, jest o niebo lepsza od jednej śliskiej deski nad pełną węży dziurą w ziemi.

Kiedy jednak dotarły do obozu, to Cathy została poddana próbie, a nie Lara. Tybetańczycy doczekali się pomocy. Nosili eleganckie zegarki i zachodnie ubrania, mieli traktory i szkołę, dzieciarnia, ku rozczarowaniu Lary, nie musiała już rzucać garnkami z dachów, by odstraszać papugi od lichego poletka kukurydzy. Cathy była załamana. Przez tyle lat żyły z Larą w biedzie, odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek pomocy od Lamberta, nie miały auta ani nawet roweru, a do jedynego sklepu w wiosce chodziły pieszo.

Jadły dal i brązowy ryż, twarde brązowe ćapati pieczone na blasze, bawarkę piły z kozim mlekiem, a tu proszę, Jego Świątobliwość, świeżo po powrocie z Ameryki, z dużym brzuchem, ze złotym łańcuszkiem na szyi i w potwornie drogich skarpetkach wyzierających spod skraju szat.

- Ja chcę we wszystko wierzyć - Cathy mocno ścisnęła Larę za rękę - ale tak

trudno mi zrozumieć, co jest prawdziwe.

Jego Świątobliwość milczał przez pewien czas, a potem podniósł wzrok na niebo.

- Widzisz? - wskazał. - To jest ogon smoka. - I patrzyli, we troje, na samotną smugę purpury przedzierającą się zza chmur.

- Ja nie... - Cathy obróciła się zapłakana, lecz Jego Świątobliwość uśmiechał się z takim uroczystym spokojem, że Cathy poczuła, jak powoli wraca jej wiara.

Lambert nie powiedział słowa, dopóki następnego dnia, pociąg nie zatrzymał się w Calais. Przez całą noc to drzemał niespokojnie, to się budził, nie tknął jedzenia. Co pewien czas tylko nieznacznie zmieniał pozycję, by ulżyć opuchniętej stopie, dopóki nie mógł się położyć na siedzeniach, które zwolniły się, kiedy holenderskie miłośniczki literatury były uprzejme wysiąść.

Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, Lara zerwała się na równe nogi i zaciągnęła zasłonki od strony korytarza, dzięki czemu, oprócz jednego wstydliwego młodego mężczyzny w okularach, nikt nie odważył się wpakować do ich przedziału. Na granicy z Francją zajrzał tylko strażnik i zażądał okazania paszportów. Lara patrzyła, jak Lambert pokazuje mu swój, wysunawszy z niego fotografię i przyciskając ją do uda, a potem odkłada na miejsce między dwie kartki. Nie zauważyłaby nic, gdyby nie wiedziała, na co patrzy.

Lara też spała, budząc się co kilka godzin z gardłem ściśniętym ze strachu, a potem, nie mogąc sobie przypomnieć, co ją tak przeraziło, siedziała nieruchomo, dopóki jej drżące serce nie zaczęło się uspokajać. Muszę go wreszcie spytać, po prostu. A potem pociąg się zatrzymał i byli w Calais.

- Tato. - Potrząsnęła nim lekko. - Dojechaliśmy. - Widząc, że jego koszula jest mokra od potu, rozpięła torbę i wyjęła jego szlafrok. - Masz. - Pomogła mu go włożyć. - Od razu lepiej.

- Dziękuję ci. - Kiedy wysiadał z pociągu, aż szczekał zębami. - Jesteśmy już prawie w domu. - I w niezwiązanym szlafroku, który powiewał wokół niego jak peleryna, chwiejnie ruszył w kierunku promu.

Lara słyszała, jak Lambert mówił kiedyś - najpewniej do Caroline - że powstrzymuje się od zadawania pytań innym, bo przeraźliwie boi się, że ktoś zada pytanie jemu. Z drugiej strony im bliżej Anglii, tym stawał się spokojniejszy. Gorączka mu spadła, spojrzenie miał żywsze. Siedzieli w restauracji, już na promie, Lara zamówiła rybę i puree z ziemniaków z groszkiem.

- To tylko wygląda obrzydliwie, zapewniam cię. - Lambert się uśmiechał. A puree rzeczywiście było pyszne. Słone, maślane i ciepłe.

- Wiedziałaś o pogrzebie Caroline? - odezwała się ostrożnie Lara - Że wszystko było już załatwione?

- Och. - Lambert milczał chwilę. - Tak. Ale ja nie chodzę na pogrzeby. To żywi mnie interesują. Nie zmarli.

- No to czemu...

- Mówię o moim życiu - odparł sucho. - Nie o moich książkach.

- Ale czy nie będzie ci przykro... - Nie mogła się powstrzymać. - Jeśli nikt nie przyjdzie na twój pogrzeb? Jeśli nikogo nie będzie to obchodziło? - I zdając sobie sprawę, jak idiotycznie to musiało zabrzmieć, dodała ciszej: - Nie zrobisz wyjątku nawet dla Caroline?

- Nie - odparł Lambert. - Nawet dla Caroline. - Ale wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

Milczeli. Lara dziobała łyżką pudding z ciasta ponczowego z dżemem i budyniem, czując, jak przepływa przez nią adrenalina, jak jej strumień to narasta, to słabnie, dopóki nie wystraszyła się, że zaraz całkiem ustanie. Muszę go wreszcie spytać, pomyślała i poczuła, jak jej serce przeszywa ból.

- Tato? - odważyła się dopiero wtedy, kiedy kelner przyniósł kawę.

Lambert zerknął na nią z ukosa.

- Tak?

Uśmiechnęli się do siebie i Lara szybko, żeby nie ulotniła się jej odwaga, nachyliła się w jego stronę.

- Tato, czy mogę cię o coś zapytać... Tylko... O Kipa. - Obserwowała jego

twarz. - Po prostu przyszło mi coś do głowy. To znaczy, coś usłyszałam... I wolałbym się upewnić. Czy Andrew... - Zawahała się. - Andrew Willoughby. Czy on... jest prawdziwym ojcem Kipa?

Lambert wpatrywał się w nią, jak gdyby nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Potem także nachylił się w jej stronę.

- Czemu pytasz?

Lara uśmiechała się, lecz w środku cała się trzęsła. Właściwie nie miała jednak nic do stracenia, w razie czego zawsze może wybiec na pokład i rzucić się do wody.

- Pamiętałam, że kiedyś znałeś jego matkę, a potem usłyszałam coś, co powiedział Andrew Willoughby, i...

- Andrew Willoughby? Nie wierz w ani jedno słowo, które padło z ust tego gnojka. To dla niego takie typowe, obsmarowywać przed wszystkimi jedyną kobietę, jaka była mu w życiu wierna. Jedyną kobietę, która nigdy by go nie zdradziła. - Potrząsnął głową. - Biedna dziewczyna. Taka urocza.

- Matka Kipa?

- Tak, ogromnie ją lubiłem. Stale ją gdzieś zapraszałem, próbowałem podnieść ją na duchu. Zwłaszcza kiedy była w ostatniej ciąży, tej z Kipem. Była taka przerażona, biedactwo, że urodzi następną dziewczynkę i jej małżeństwo się rozpadnie. Ale właśnie kiedy urodził się Kip, kiedy Willoughby doczekał się syna i następcy, praktycznie przestał ją zauważać. To ją zniszczyło, dosłownie. Rozchorowała się, przeszła załamanie nerwowe albo coś w tym rodzaju. - Powiedział to tak, jak gdyby „załamanie nerwowe” było fachowym terminem znanym tylko nielicznym. - Mówiłem jej, że pozostanie w tym małżeństwie jest najgorszym rozwiązaniem. Ale jako katoliczka, rzecz jasna, nigdy nie zdecydowałaby się na rozwód.

- Więc to nie twoje dziecko?

- Moje? - Lara nigdy nie widziała go tak łagodnego. - Nie, nie moje. Ale mogę ci powiedzieć, kto jest moim dzieckiem.

Lara wpatrywała się w jego twarz. Czowała, jak coś w niej pęka.

- Kto?

Sięgnął nad blatem stołu i nakrył dłonią jej rękę.

- Ty, oczywiście.

- Och. Ja. - I zaczęła się śmiać.

\* \* \*

Kiedy dojeżdżali do Victoria Station, Lambert był niemal wesoły. Wysiedli z metra, zarekwirował czyjś wózek bagażowy, wrzucił do niego ich torby i z wielką prędkością, podskakując na zdrowej nodze, pomknął do najbliższego kiosku. Tam kupił po jednym egzemplarzu każdej gazety.

- Taksówka! - krzyknął dziko, przyciskając je do piersi.

- Stać! - A gdy kolejne taksówki przyspieszały na jego widok, przez moment Lara zobaczyła go takim, jakim widzieli go kierowcy: jakiś nieogolony facet, na poły ubrany, kulejący, wyglądający jak cudzoziemiec.

- Stać! - Lara wyciągnęła rękę i niemal natychmiast usłyszeli pisk hamulców.

Mieszkanie Lamberta było takie samo, jak przed wyjazdem. Ciemne i ciche, nawet schody, które do niego prowadziły, wyłożone były materiałem chłoniącym każdy dźwięk. Lara została na herbatę, odwołując moment, kiedy skończy się przygoda i będzie musiała pojechać metrem do Finsbury Park, przejść przez ciemny tunel stacji z biletem w ręce i wrócić do prawdziwego świata. I znowu rozplynęła się w uśmiechu. Podobam mu się, myślała. Podobam się Kipowi tak po prostu, bez żadnego szczególnego powodu. Nie mogąc zapanować nad uśmiechem, który wciąż pchał jej się na usta, pomyślała, że tym razem musi jej się udać. Po prostu musi, dodała w myślach. Będzie trzymała kciuki.

- No to do widzenia. - Kiedy przyszedł moment pożegnania, poczuła się niezręcznie. - Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie. - Wspięła się na palce i, bardzo oficjalnie, ucałowali się w oba policzki. - Dziękuję ci że mnie zabrałeś - dodała. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jej przykro z powodu Caroline, Isabelle, jego biednego palca, lecz nagle jej wzrok padł na półotwarte drzwi jego sypialni i zobaczyła roślinę w olbrzymiej donicy. Znajome liście, bladozielone i w kształcie

serc, wyciągały się ku światłu. Lara bezwiednie poszła w jej kierunku.

- Zawsze się zastanawiałam, co to za roślina.

- Och. - Lambert otworzył drzwi szerzej, by pokazać jej poskręcane gałęzie, niemal zasłaniające dół jednej ściany. - To zimmerlinde. Moja młodsza siostra przysłała mi w liście nasionko. To jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek próbowałem się opiekować.

Stali i razem patrzyli na jej sercowate liście.

- Cóż, oczywiście, to nie jest ta sama roślina, którą wtedy wyhodowałem. -

Mówił cicho. - Ale co jakiś czas robię nowe sadzonki, może co dziesięć lat.

Lissia, pomyślała Lara, lecz milczała.

- No to pa - powiedziała w końcu. - Do zobaczenia niebawem.

- Tak. Spotkajmy się. Może na kolację?

- Dobrze. - Obróciła się roześmiana i uściskała go mocno.

- Do widzenia. - Lambert stał na podeście schodów i patrzył, jak po nich zbiega.

- Pa, pa! - Pomachała mu od drzwi, a Lambert milcząco uniósł rękę i patrzył, dopóki nie zniknęła mu z oczu.